MIĘDZYNARODOWY
BESTSELLER

Maja Lunde

Historia pszczół

POWIEŚĆ

Bokhandlerprisen
2015
Nagroda Księgarzy Norweskich

Jedyna taka saga o ludziach i pszczołach.
KLASSEKAMPEN

Ta powieść oczaruje czytelników.
AFTENPOSTEN

Maja Lunde

Historia pszczół

POWIEŚĆ

Przełożyła
Anna Marciniakówna

WYDAWNICTWO LITERACKIE

© 2015, H. Aschehoug & Co. (W. Nygaard) AS
© Copyright for the Polish translation by Anna Marciniakówna
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2016
TYTUŁ ORYGINAŁU: "Bienes historie"

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: Handverk; zdjęcie na okładce iStock, Karunakar Rayker / Creative Commons; opracowanie okładki na podstawie oryginału Robert Kleemann
REDAKTOR PROWADZĄCY: Anita Kasperek
REDAKCJA: Kamil Bogusiewicz
KOREKTA: Aneta Tkaczyk, Magdalena Bielska

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96 tel.: (+48-12) 619 27 70

ISBN: 978-83-08-05849-7

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Spis treści

TAO

WILLIAM

GEORGE

TAO

WILLIAM

GEORGE

TAO

WILLIAM

GEORGE

TAO

WILLIAM

TAO

GEORGE

TAO

GEORGE

WILLIAM

TAO

GEORGE

WILLIAM

TAO

GEORGE

WILLIAM

GEORGE

WILLIAM

TAO

WILLIAM

GEORGE

WILLIAM

TAO

GEORGE

WILLIAM

TAO

GEORGE

TAO

GEORGE

WILLIAM

TAO

GEORGE

WILLIAM

GEORGE

TAO

WILLIAM

GEORGE

WILLIAM

TAO

WILLIAM

GEORGE

TAO

WILLIAM

TAO

GEORGE

WILLIAM

GEORGE

TAO

WILLIAM

GEORGE

TAO

GEORGE

TAO

GEORGE

TAO

WILLIAM

GEORGE

TAO

PODZIĘKOWANIA

Jesperowi, Jensowi i Linusowi

TAO

Dystrykt 242, Shirong, Syczuan, 2098

Niczym przerośnięte ptaki balansujemy, każda na innej gałęzi, z plastikowym pojemnikiem w jednej ręce i pędzelkiem z piór w drugiej.

Wspinam się powoli, tak ostrożnie, jak tylko potrafię. Nie nadaję się do tego, nie jestem jak wiele innych kobiet z brygady, moje ruchy są często zbyt gwałtowne, brak mi odpowiedniej zręczności. Nie do tego zostałam stworzona, mimo wszystko jednak muszę tu być, każdego dnia, dwanaście godzin bez przerwy.

Drzewa mają wiek jednego ludzkiego pokolenia. Gałęzie, kruche niczym cienkie szkło, łamią się pod naszym ciężarem. Odwracam się z największą uwagą, drzewa nie wolno uszkodzić. Prawą nogę ulokowałam na wyższej gałęzi, ostrożnie podciągnęłam lewą. I w końcu znalazłam bezpieczną pozycję do pracy, niewygodną, ale stabilną. Stąd dosięgnę znajdujących się najwyżej kwiatów. Niewielki plastikowy pojemnik pełen jest leciutkiego złota, starannie odważonego i przydzielanego nam na początku dnia, dokładnie tyle samo dla każdej. Jakby w stanie nieważkości próbuję czerpać niewidzialne porcje z pojemnika i przenosić ponad gałęziami. Wszystkie bez wyjątku kwiaty należy zapylić owym małym pędzelkiem z kurzych piór, od kur wyhodowanych specjalnie w tym celu. Żadne pióra ze sztucznych włókien nie okazały się nawet w przybliżeniu tak skuteczne. Testowano je i testowano, bo czasu mieliśmy dość, w moim dystrykcie

tradycja liczy sobie ponad sto lat. Tutaj pszczoły zniknęły już w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku, na długo przed Zapaścią. Wyniszczyły je opryski. Po paru latach, gdy zaprzestano stosowania środków chemicznych, pszczoły wróciły, ale wtedy ręczne zapylanie już się upowszechniło. Rezultaty — choć zabiegi wymagają niewiarygodnie dużej liczby ludzi, mnóstwa rąk — okazały się niezłe. I oto, gdy doszło do Zapaści, mój dystrykt znalazł się w czołówce tych, które jakoś sobie radzą. Opłaciło się teraz, że nasze tereny były najbardziej zanieczyszczone. Pod tym względem przodowaliśmy w kraju, dlatego też znaleźliśmy się w czołówce ręcznego zapylania. Uratował nas paradoks.

Wyciągam ręce, jak tylko mogę, ale do najwyższych kwiatów i tak nie sięgam. Już miałam dać za wygraną, wiem jednak, że mogę zostać ukarana, więc próbuję jeszcze raz. Potrącają nam z pensji, jeśli zużywamy zbyt dużo pyłku. Ale potrącają też, jeśli zużywamy go zbyt mało. Rezultaty naszej pracy pozostają niewidoczne. Kiedy pod koniec dnia schodzimy z drzew, o naszym dziennym wkładzie świadczą jedynie krzyżyki na pniach narysowane czerwoną kredą. Najlepiej, żeby codziennie było ich około czterdziestu. Dopiero z nadejściem jesieni, kiedy drzewa uginać się będą pod ciężarem owoców, można będzie powiedzieć, gdzie wykonano dobrą robotę. Do tej pory jednak dawno zapomnimy, kto zapylał które drzewo.

Dzisiaj zostałam ulokowana na Polu 748. Ile ich jest? Nie mam pojęcia. Moja brygada jest jedną z setek. Ubrane w beżowe robocze kombinezony, jesteśmy tak samo do siebie podobne jak drzewa. I siedzimy równie blisko siebie jak kwiaty. Nigdy nie jesteś sama, zawsze w grupie — w koronach drzew lub wędrując drogą z jednego pola na drugie. Jedynie w czterech ścianach naszych maleńkich mieszkań możemy pobyć w samotności, przez kilka krótkich godzin na dobę. Poza tym całe życie toczy się tu, na zewnątrz.

Panuje cisza. Kiedy pracujemy, nie wolno nam rozmawiać. Jedyne, co się słyszy, to odgłosy naszego ostrożnego poruszania się po drzewach, czyjeś ciche chrząknięcie, jakieś ziewnięcie, szelest kombinezonu. I czasami dźwięk, którego żadna z nas nie lubi — trzask pękającej gałęzi, a w najgorszym razie odgłos złamania. Złamana gałąź oznacza mniej owoców i jest jeszcze jednym powodem do potrącenia z pensji. Ale poza tym jedynie wiatr wywołuje dźwięki, które unoszą się pośród gałązek, przetaczają się ponad kwiatami i przepływają w dole, tuż przy trawie.

Wiało z południa, od strony lasu, który wydawał się mroczny i dziki naprzeciwko obsypanych białym kwieciem drzew owocowych, wciąż jeszcze pozbawionych liści, ale które już za parę tygodni zmienią się w bujną zieloną ścianę.

My nigdy tak daleko nie chodzimy, nie ma tam dla nas żadnych zadań, choć ostatnio rozeszły się pogłoski, że również las zostanie wykarczowany i powstanie tam jeszcze jeden sad.

Skądś przyleciała brzęcząca mucha. To rzadki widok. Minęło wiele dni, odkąd po raz ostatni widziałam ptaki. Ich też jest teraz mniej. Polują na nieliczne owady, jakie jeszcze zostały, i głodują jak reszta świata.

Nagle w ciszy rozlega się przenikliwy dźwięk. Flet z baraku nadzorców, sygnał rozpoczęcia drugiej i ostatniej tego dnia przerwy. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że język przysycha mi do podniebienia.

Ja i moje towarzyszki pracy niczym bezkształtna masa zsuwamy się z drzew na ziemię. Inne kobiety już zaczęły rozmawiać. Kakofoniczny gwar pojawia się zawsze jak po przekręceniu włącznika, w momencie gdy dociera do nich, że cisza odwołana.

Ja nie mówię nic, koncentruję się na tym, by schodząc, nie złamać żadnej gałązki. Udało się. Czysty przypadek. Bo w ogóle to jestem niezdarna, po

prostu beznadziejna. Pracuję tu wystarczająco długo, by wiedzieć, że nigdy nie będę w tym naprawdę dobra.

Na ziemi pod drzewem stoi metalowa skorodowana butelka. Chwytam ją i piję łapczywie. Woda jest letnia, ma smak aluminium, z tego powodu wypijam mniej, niżbym potrzebowała.

Dwaj ubrani na biało młodzi chłopcy z brygady żywieniowej zaczęli rozdzielać pojemniki wielokrotnego użytku z drugim tego dnia posiłkiem. Usiadłam sama, oparłam się plecami o pień drzewa i sięgnęłam po swoją porcję. Dzisiaj mamy ryż z ziarnami kukurydzy. Spróbowałam. Jak zwykle trochę za słony, doprawiony sztucznie wytworzonym chili i soją. Mięsa nie miałam w ustach już od bardzo dawna. Produkcja paszy dla zwierząt zajmuje zbyt wiele uprawnej ziemi. Zresztą większość tradycyjnych roślin pastewnych też wymaga zapylania. Zwierzęta nie są warte naszej mozolnej ręcznej pracy.

Opróżniłam pojemnik, zanim zdążyłam zaspokoić głód. Wstałam i odstawiłam naczynie do kosza. Potem zaczęłam biegać, żeby rozruszać zmęczone, sztywne od ciągłego stania w bezruchu nogi. Poczułam pulsowanie krwi, nie byłam w stanie zapanować nad własnym ciałem.

Ale bieganie nie pomogło. Pośpiesznie rozejrzałam się wokół. Żaden z nadzorców niczego nie zauważył. Szybko położyłam się więc na ziemi, musiałam rozprostować obolałe plecy.

Na moment przymknęłam oczy. Próbowałam nie dopuszczać do siebie głosów innych kobiet z brygady. Słuchałam raczej, jak ich gwar to przybiera na sile, to opada. Ta potrzeba gadania równocześnie, wielu kobiet naraz — ciekawe, skąd ona się bierze? Wyniosły to pewnie z czasów szkolnych, gdy godzinami prowadziły grupowe rozmowy, o wszystkim i o niczym. Nigdy niczego nie zgłębiały, może z wyjątkiem sytuacji, gdy plotkowały o tej, której akurat nie było na miejscu. Osobiście wolę

rozmowy w cztery oczy. Albo po prostu własne towarzystwo. W pracy często zjawiam się jako ostatnia. A w domu mam Kuana, mojego męża. Wprawdzie te nasze rozmowy nie są długie, ale bardzo nas ze sobą wiążą. Kuana interesuje to, co dzieje się tu i teraz, jest konkretny, nie zabiega o głębszą wiedzę, o coś więcej. Ale znajduję spokój w jego ramionach. No i jest Wei-Wen, nasz trzylatek. O nim możemy rozmawiać.

W momencie kiedy gwar głosów wokoło niemal ukołysał mnie do snu, nagle zaległa cisza. Wszystkie kobiety umilkły.

Usiadłam. Dziewczyny z mojej brygady zwracały się w jedną stronę.

A tam piaszczystą drogą podążał w dół, ku nam, niezwykły orszak dzieci. Miały nie więcej niż po osiem lat. Wiele z nich rozpoznawałam, chodziły do tej samej szkoły co Wei-Wen. Teraz miały na sobie jednakowe robocze ubrania, takie same beżowe kombinezony jak nasze, i zbliżały się do nas tak szybko, jak im na to pozwalały małe nóżki. Dwóch nadzorców utrzymywało dzieci w ryzach. Jeden szedł z przodu, drugi z tyłu. Obaj podniesionymi głosami nieustannie przywoływali je do porządku. Ale nie krzyczeli, polecenia wydawali z serdecznością i współczuciem. Bo jeśli maluchy nie w pełni zdawały sobie sprawę z tego, dokąd idą, to dorośli owszem.

Dzieci trzymały się za ręce, tworząc nierówne pary — najwyższe wzrostem z najniższymi. Większe opiekowało się mniejszym. Nierówny krok, dezorganizacja, ale rączki mocno splecione ze sobą, jakby sklejone. Może wydano im surowy nakaz, by nie puszczać ręki towarzysza. Patrzyły na drzewa. Rozglądały się zaciekawione, niektóre mrużyły oczy od słońca, przechylały na bok głowy. Jakby znalazły się tu pierwszy raz, choć przecież wszystkie wychowały się w tym dystrykcie i nie znały innych krajobrazów niż te niekończące się rzędy owocowych drzew w cieniu gęstego lasu od południowej strony. Jedna niewysoka dziewczynka przyglądała mi się

swoimi wielkimi, trochę zbyt blisko osadzonymi oczyma. Mrugnęła ze dwa razy, potem z całej siły głośno pociągnęła nosem. Trzymała za rękę chudego chłopca, który ziewał bez skrępowania, nie zasłoniwszy wolną dłonią ust, pewnie nie zdawał sobie sprawy, że jego buzia wyglądała jak wielka dziura. On nie ziewał, by dać wyraz znudzeniu, na to był za mały. To objawiało się zmęczenie wywołane niedostatkiem pożywienia. Inna szczuplutka wysoka dziewczynka też prowadziła za rękę małego chłopca. Malec z trudem oddychał przez zatkany nos, pomagając sobie otwartymi ustami. Dziewczynka ciągnęła go za sobą, wystawiając twarz do słońca. Mrużyła oczy, marszczyła czoło, ale głowę trzymała wciąż w tej samej pozycji, jakby chciała się opalić, albo raczej nabrać sił.

Każdej wiosny przychodzą nowe dzieci. Ale czy zawsze były takie małe? Czy może przyprowadza się coraz młodsze?

Nie. To ośmiolatki. Tak jak zawsze. Właśnie skończyły szkołę. Chociaż może… Ależ tak, poznały liczby i parę znaków, w ogóle jednak szkoła jest tylko formą zorganizowanej opieki, przechowalnią dzieci i przygotowaniem do życia tutaj, na polach. Ćwiczy w siedzeniu bez ruchu przez dłuższy czas. „Siedź spokojnie, nie ruszaj się. Właśnie tak”. I uczy wykonywania finezyjnych ruchów. Dzieci tkają dywany, jak tylko skończą trzy lata. Ich małe paluszki znakomicie się do tego nadają, potrafią odtwarzać skomplikowane wzory. Tak samo jak te, które właśnie tu przechodzą, świetnie nadają się do perfekcyjnej pracy przy zapylaniu.

Dzieci minęły nas, kierując się w stronę innych drzew. I szły dalej, w kierunku innego pola. Tamten mały chłopiec się potknął, ale wysoka dziewczynka trzymała go mocno, więc nie upadł.

W końcu wszyscy zniknęli w oddali, stopili się z drzewami.

— Dokąd one idą? — spytała jedna z kobiet z mojej brygady.

— Pewnie na czterdzieste dziewiąte lub pięćdziesiąte — odparła inna. — Tam nikt jeszcze nie zaczął zapylać.

Serce mi się ścisnęło. To bez znaczenia, dokąd dzieci idą, na które pole. Chodzi o to, co będą tam…

Od strony baraku znowu dał się słyszeć odgłos fletu. Poruszałam się wolno, mimo to serce biło mi mocno. Bo dzieci nie są młodsze. Więc Wei-Wen… Za pięć lat będzie miał osiem. Jeszcze tylko pięć lat i nadejdzie jego kolej. Pracowite ręce są tutaj więcej warte niż w jakimkolwiek innym miejscu. Małe paluszki jakby zostały stworzone do tego typu pracy.

Ośmiolatki na polach, dzień po dniu, zesztywniałe drobne ciałka w koronach drzew. Pozbawione dzieciństwa, takiego jakie miałam ja i moi rówieśnicy. My chodziliśmy do szkoły do piętnastego roku życia.

A one? Takie nie-życie.

Trzęsły mi się ręce, kiedy unosiłam plastikowy pojemnik z drogocennym pyłem. Wszyscy musimy pracować, by zdobywać pożywienie, mówiono nam, musimy sami wyhodować to, co będziemy jeść. Każdy musi wnieść swój wkład, nawet dzieci. Bo na co komu wykształcenie, kiedy magazyny zbożowe świecą pustkami? Kiedy porcje z każdym miesiącem stają się mniejsze i mniejsze? Kiedy człowiek kładzie się spać głodny?

Odwróciłam się, by sięgnąć do kwiatów za moimi plecami, ale tym razem ruch był zbyt gwałtowny. Przesunęłam się obok gałęzi, której nie zauważyłam, straciłam nagle równowagę i opadłam ciężko w drugą stronę.

Właśnie wtedy to się stało. Suchy trzask, którego tak nienawidzimy. Odgłos złamanej gałęzi.

Szybko podbiegła do mnie brygadzistka. Obejrzała drzewo, bez słowa oceniła szkody. Zanim odeszła, zapisała coś w notatniku.

Gałąź nie była ani długa, ani gruba, ale i tak wiedziałam, że w tym miesiącu przepadła już cała nadwyżka. Pieniądze, które miały znaleźć się

w ołowianym pojemniku w kuchennej szafce, bo tam odkładamy każdziutkiego juana, jakiego uda nam się zaoszczędzić.

Głęboko zaczerpnęłam powietrza. Nie byłam w stanie o tym myśleć. Mogłam tylko pracować dalej. Unosić rękę, głęboko zanurzać pędzelek w pyłku, ostrożnie zbliżać się do kwiatów, strząsać na nie pyłek, jakbym była pszczołą.

Wolałam nie spoglądać na zegarek. Przekonałam się, że to nie pomaga. Wiedziałam tylko, że z każdym kwiatkiem, nad którym przesuwam pędzelek, odrobinę przybliża się wieczór. I owa jedyna krótka godzina, którą każdego dnia mogę spędzić ze swoim dzieckiem. Ta godzina to wszystko, co mamy, i może podczas niej mogłabym na syna wpłynąć, zasiać ziarno, z którego wykiełkuje szansa, jakiej sama nigdy nie dostałam.

WILLIAM

Maryville, Hertfordshire, Anglia, 1852

Wszystko wokół mnie było złote. Nieznośnie złote, złoto nade mną, złoto pode mną, wokół mnie, oślepiające. Złota barwa była jednak niestety rzeczywistością, nie czymś, co mi się przywidziało, a wszystko to za sprawą brokatowej tapety, którą moja żona, Thilda, obiła ściany, kiedy sprowadziliśmy się tutaj przed kilkoma laty. Wtedy stać nas było na wiele. Mój mały sklep nasienny przy głównej ulicy Maryville kwitł, mnie nadal nie brakowało inspiracji i wciąż niezłomnie wierzyłem, że zdołam połączyć prowadzenie interesu z tym, co naprawdę mnie pasjonuje: moimi studiami przyrodniczymi. Ale to było dawno temu, na długo przedtem, zanim zostaliśmy rodzicami gromadki córek. I na bardzo długo przed ostateczną rozmową z profesorem Rahmem.

Gdybym wiedział, ile udręki przysporzą mi te złote tapety, nigdy bym się na nie nie zgodził. Złoto bowiem na tapety się nie nadaje. Czy zamknę oczy, czy mam je otwarte, wciąż widzę owo przeklęte złoto. Towarzyszy mi we śnie, nigdy nie pozwala mi się od siebie uwolnić. Jakby to ono było chorobą.

Dla mojego cierpienia nie ma diagnozy, choć nadaje mu się wiele nazw: czarnowidztwo, smutek, melancholia. Ale nikt z mojego otoczenia nie ma odwagi tych słów wypowiedzieć. Nasz lekarz domowy długo udawał, że nie rozumie, długo posługiwał się jedynie terminami medycznymi, mówił o dyskrazji, o zaburzeniach gospodarki płynami w organizmie i o zbyt dużej

ilości czarnej żółci. Na początku mojej choroby próbował stosować upuszczanie krwi, następnie środki przeczyszczające, które uczyniły ze mnie bezradne niemowlę, a teraz, zdaje się, brakuje mu już odwagi. Najwyraźniej zrezygnował ze wszystkich sposobów i tylko kręci głową, kiedy Thilda podejmuje ten temat. Na jej protesty odpowiada głośnym szeptem. Od czasu do czasu rozróżniam jakieś słowa. „Za słaby, nie chcę o tym rozmawiać, żadnej poprawy". Ostatnio bywa u nas rzadziej, co może mieć związek z tym, że wyglądam na nieodwołalnie przykutego do łóżka.

Było popołudnie. Na parterze domu pulsowało życie. Hałas, jaki robiły dziewczynki, przedostawał się do mnie z dołu podobnie jak zapach jedzenia przenika przez podłogę i ściany. Rozpoznawałem głos Dorothei, tej po dziecięcemu rozsądnej dwunastolatki, czytającej Biblię — *staccato*, a zarazem jakoś śpiewnie — ale słowa w drodze do mnie gdzieś się gubiły, podobnie jak Słowo Boże, które też zdaje się do mnie nie docierać. Głos małej Georgiany brzmiał cieniutko, a Thilda upominała córki szorstko. Wkrótce Dorothea przerwała czytanie, przejęły je pozostałe dziewczynki — Martha, Olivia, Elizabeth i Caroline. Która jest która? Nie byłem w stanie odróżnić od siebie ich głosów. Któraś z dziewcząt roześmiała się krótko i w mojej głowie znowu zadźwięczał tamten śmiech, śmiech Rahma, ten, który zakończył nasze rozmowy raz na zawsze, niczym smagnięcie pasem przez plecy.

Nieoczekiwanie odezwał się Edmund. Jego głos był teraz głęboki, nieco sztuczny. Nie zostało w nim nic z głosu dziecka. Edmund, mój jedyny syn, najstarszy ze wszystkich dzieci, skończył już szesnaście lat. Zacząłem pilnie słuchać jego głosu, tak bardzo pragnąłem rozpoznawać słowa, mieć chłopca przy sobie. Możliwe, że to Edmund jest tym, który mógłby mnie wprawić w pogodniejszy nastrój, dać mi siłę, bym się pozbierał, wstał z łóżka.

Ale on nigdy do mnie nie przyszedł, a ja nie wiedziałem dlaczego.

Z kuchni dochodził szczęk garnków, odgłosy związane z przygotowywaniem jedzenia. To obudziło mój żołądek, który zaczął się kurczyć, a ja skuliłem się w pozycji embrionalnej.

Rozejrzałem się. Nietknięty kawałek chleba i obeschnięty plaster wędzonej szynki leżały obok opróżnionego do połowy kubka z wodą. Kiedy ostatnio jadłem? Kiedy piłem? Uniosłem się i sięgnąłem po kubek, wlałem wodę do ust, poczekałem, aż spłynie do gardła i spłucze nieprzyjemny smak. Język wyczuwał słoność szynki, dotykał ciemnego chleba, i jedzenie, Bogu dzięki, uspokoiło mój żołądek.

Mimo wszystko nie mogłem sobie znaleźć miejsca w łóżku. Plecy były jedną wielką odleżyną, od spania na boku skóra na biodrach zrobiła się cienka. Drętwienie członków, mrowienie pod skórą…

Nagle w domu zaległa cisza. Czyżby wszyscy wyszli? Nie słyszałem nic prócz trzasku ognia na kominku.

Ale oto, nieoczekiwanie, śpiew. Czyste głosy z ogrodu.

Hark! the herald angels sing
Glory to the newborn King

Czy to się zbliża Boże Narodzenie?

Ostatnimi czasy różne chóry z okolicy zaczęły w adwencie śpiewać pod drzwiami, nie dla pieniędzy lub innych darów, ale w bożonarodzeniowym duchu, po to tylko, by ucieszyć bliźnich. Kiedyś uważałem, że to piękne, że te skromne występy rozpalają we mnie światło, o którym nie myślałem, iż jeszcze istnieje. Miałem wrażenie, że zaniknęło dawno temu. Teraz jasne głosy płynęły ku mnie niczym woda z topniejącego śniegu.

Peace on earth and mercy
Child God and sinners reconciled

Postawiłem stopy na podłodze, poczułem pod podeszwami szorstkie drewno. Nagle stałem się niemowlęciem. Noworodkiem, którego stopy nie zdążyły jeszcze przywyknąć do twardego podłoża, ale są ukształtowane do tańczenia na palcach. Tak zapamiętałem stopy Edmunda, z wysokim podbiciem, tak samo miękkie i łukowato wygięte. Mogłem ujmować je w dłonie lub tylko na nie patrzeć. Dotykać ich, pieścić ciałko synka, zachowywać się tak, jak człowiek się zachowuje wobec swego pierworodnego i myśleć: będę dla ciebie kimś innym, kimś całkiem innym, niż mój ojciec był dla mnie. Stałem tak z nim w ramionach często, dopóki Thilda mi go nie wyrwała pod pozorem, że trzeba dziecku dać piersi lub zmienić pieluchę.

Teraz moje niemowlęce stopy brnęły wolno ku oknu. Każdy krok sprawiał ból. W końcu ukazał mi się ogród, a tam stały one.

Cała siódemka. Bo to nie był żaden obcy chór ze wsi, tylko moje własne córki.

Cztery najwyższe z tyłu, mniejsze trzy w przednim rzędzie, ubrane w swoje ciemne zimowe okrycia — wełniane płaszcze, za ciasne i za krótkie lub za długie, z wciąż przyszywanymi kolejnymi łatami. Przetarcia próbowano ukrywać pod tanimi wstążkami i kieszeniami w najdziwniejszych miejscach. Brązowe, granatowe lub czarne wełniane czapki z białymi lamówkami otaczały zimową bladość szczupłych twarzyczek. Śpiew tworzył przed nimi białe obłoczki zamarzniętych oddechów. Jakie one chudziutkie, wszystkie jak jedna.

Wąska ścieżka wskazywała, którędy szły. Ślady stóp w głębokim śniegu. Musiały w nim brodzić po kolana i chyba przemoczyły nogi. Wyobraziłem sobie ucisk wełnianych mokrych pończoch na skórze i mróz ciągnący od ziemi przez cienkie podeszwy — a żadna z nich nie ma więcej niż tę jedną parę butów.

Podszedłem bliżej do okna, spodziewałem się, że zobaczę kogoś jeszcze w ogrodzie, jakąś publiczność, Thildę lub może któregoś z naszych sąsiadów. Ale ogród był pusty. Moje córki nie śpiewały dla nikogo z zewnątrz. Śpiewały dla mnie.

Light and life to all He brings
Risen with healing in His wings

Spojrzenia dziewcząt utkwione były w moim oknie, ale żadna jeszcze mnie nie zauważyła. Stałem w cieniu, a blask słońca padał na szybę, przypuszczalnie więc dziewczynki widziały odbicie nieba i drzew.

Born to raise the sons of earth
Born to give them second birth

Postąpiłem o krok naprzód.

Czternastoletnia Charlotte, moja najstarsza córka, była najwyższa. Śpiewała całą sobą, pierś unosiła się i opadała w takt melodii. Może to całe śpiewanie było jej pomysłem? Ona śpiewała zawsze, nuciła przez całe dzieciństwo, z głową w szkolnych podręcznikach lub pochylona podczas zmywania, melodyjnie i monotonnie, jakby owe cichutkie tony były częścią jej ruchów.

To ona zauważyła mnie pierwsza. Smuga światła przemknęła po jej twarzy. Charlotte szturchnęła w bok Dorotheę, moją ponad wiek dojrzałą dwunastolatkę, ta z kolei skinęła do młodszej o rok Olivii, która ze swej strony skierowała wytrzeszczone oczy na Elizabeth, swoją siostrę bliźniaczkę. Nie były do siebie podobne z wyglądu, jedynie z charakterów, obie łagodne i delikatne, i strasznie głupie — nie potrafiły nauczyć się liczb, żeby im nie wiem jak wbijać je do głów. W szeregu przed nimi nastał niepokój, bo zauważyły mnie również najmniejsze — Martha, dziewięć lat, ścisnęła za ramię siedmioletnią Caroline, a Caroline, która ciągle marudzi,

bo właściwie chyba chciałaby być mała, mocno szturchnęła młodszą Georgianę, która z kolei wolałaby być starsza, niż jest. Żadne okrzyki radości nie uniosły się ku niebu, na to dziewczynki sobie nie pozwoliły, o tym, że mnie widzą, świadczyły jedynie niewielkie zachwianie rytmu oraz słabe uśmiechy, bo ich usta wciąż były zajęte śpiewaniem.

Dziecinne wzruszenie ścisnęło mi pierś. Dziewczynki śpiewały pięknie, szczupłe buzie płonęły, oczy lśniły. Córki przygotowały ten występ dla mnie, tylko dla mnie, i teraz wierzą, że im się udało — zdołały wyciągnąć ojca z łóżka. Dopiero kiedy skończą śpiewać, będą się cieszyć. Rozpromienione, pobiegną w podskokach po świeżym śniegu do domu i opowiedzą o tajemniczym cudzie, który sprawiły. Śpiewałyśmy, aż ozdrowiał, będą wykrzykiwać. Śpiewem przywróciłyśmy tatę do zdrowia. Zachwycone dziewczęce głosy będą rozbrzmiewać w korytarzach, odbijać się echem od ścian. Wkrótce tata będzie znowu z nami. Pokazałyśmy mu Boga, nowo narodzonego Jezusa.

Hark! the herald angels sing
Glory to the newborn King

Jakiż to wspaniały, naprawdę udany pomysł, by zaśpiewać tacie, przypomnieć mu to piękne świąteczne przesłanie, wszystko, o czym zapomniał, złożony tym, co nazywamy chorobą, choć wszyscy wiemy, że to coś innego. Ale mama zabrania nam o tym mówić. Biedny tata, nie czuł się ostatnio dobrze, jest blady niczym upiór, widywałyśmy to przez szparę w drzwiach, kiedy przemykałyśmy obok, tak, niczym upiór, skóra i kości, i ten zarost, którego nie golił, a który czynił go podobnym do ukrzyżowanego Jezusa. Tata jest nie do poznania. Ale wkrótce znowu znajdzie się wśród nas. Wkrótce będzie mógł pracować, a my znowu będziemy mieć masło do chleba i nowe zimowe płaszcze. To rzeczywiście prawdziwy wigilijny dar.

Christ is born in Bethlehem!

Ale to nieprawda, nie mógłbym dać im tego prezentu, nie byłem godzien ich radości. Łóżko ciągnęło mnie ku sobie, drżałem cały, moje nowo narodzone nogi nie były w stanie dłużej mnie utrzymywać, żołądek znowu się kurczył, zaciskałem szczęki, jakbym chciał zmiażdżyć to, co cisnęło się ku górze, a tymczasem śpiew na zewnątrz umilkł.

Dzisiaj żaden cud się nie wydarzył.

GEORGE

Autumn Hill, Ohio, USA, 2007

Odebrałem Toma na stacji autobusowej w Autumn. Nie odwiedzał domu od ubiegłego lata. Nie wiem dlaczego, nie pytałem. Może nie byłbym w stanie znieść odpowiedzi.

Do domu mieliśmy pół godziny drogi. Nie powiedzieliśmy sobie niczego szczególnego. Samochód, trzęsąc się, zmierzał przed siebie, a ręce Toma leżały po prostu na kolanach, blade, szczupłe, spokojne. Torbę postawił przy nogach. Ubrudziła się, podłoga w pikapie nie była myta, odkąd go kupiłem. Ziemia z ubiegłego roku, albo jeszcze z poprzedniego, zimą zmieniła się w kurz i teraz topniejący na butach Toma śnieg mieszał się z nim, tworząc błoto.

Torba była nowa. Z całkiem sztywnego materiału. Pewnie kupiona w mieście. I bardzo ciężka. Aż stęknąłem, kiedy na stacji autobusowej podniosłem ją z ziemi. Tom chciał sam nieść, ale ja chwyciłem pierwszy, nie dałem mu szansy, bo jakoś nie wyglądał mi na człowieka, który ostatnio dużo trenował. Można by sądzić, że nie będzie potrzebował niczego poza ubraniem, wakacje w domu potrwają przecież ledwie tydzień. Zresztą większość tego, czego potrzebuje, już wisi w sieni na haku. Roboczy kombinezon, buty, czapka z nausznikami. Najwyraźniej jednak on wziął też sporo książek. Widocznie myślał, że będzie miał czas na czytanie.

Kiedy dotarłem na miejsce, on już stał i czekał. Może autobus przyjechał wcześniej, a może to ja się spóźniłem? Musiałem przed wyjazdem

odśnieżyć dziedziniec, to pewnie dlatego.

— To nie takie ważne, George. On i tak chodzi z głową w chmurach — powiedziała Emma, która stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i przyglądała mi się, drżąc z zimna.

Nie odpowiedziałem, pracowałem w milczeniu. Śnieg był świeży i lekki, prawie się nie spociłem.

Ona nie przestawała mi się przyglądać.

— Można by pomyśleć, że spodziewasz się wizyty Busha.

— Trzeba odśnieżyć, ty przecież tego nie zrobisz.

Uniosłem wzrok znad sterty śniegu. Migotało mi w oczach. Emma spojrzała na mnie z tym swoim trochę krzywym uśmiechem. Musiałem odpowiedzieć tym samym. Znamy się z lat szkolnych i myślę, że nie minął od tamtej pory ani jeden dzień, byśmy nie wymienili ze sobą takiego właśnie uśmiechu.

Ale Emma miała rację. Przesadziłem z tym odśnieżaniem. Śnieg nie poleży długo, mieliśmy już wiele ciepłych dni, słońce przejmuje panowanie, zewsząd ścieka woda. Te opady to ostatnie podrygi zimy, wszystko stopnieje w ciągu kilku dni. Przesadziłem też dzisiaj z pucowaniem wychodka. To nie jest moje codzienne zajęcie. Chciałem tylko, by wszystko było w porządku, kiedy Tom wreszcie przyjeżdża do domu. Żeby widział odśnieżony dziedziniec i czysty wychodek, a nie farbę odłażącą z południowej ściany, gdzie słońce najmocniej przypieka. Ani rynnę, którą obluzowały jesienne wiatry.

Kiedy ostatnio od nas wyjeżdżał, był opalony i krzepki, pełen zapału, długo ściskał mnie na pożegnanie, a ja czułem wtedy siłę w jego ramionach. Ludzie mówią, że dzieci przy każdym spotkaniu wydają się większe i większe, że człowiek aż podskakuje ze zdziwienia, kiedy widzi je po jakimś czasie. Ale z Tomem tak nie jest. On jakby się skurczył. Nos ma

czerwony, policzki białe, barki wąskie. I teraz, kiedy kuli się, drżąc z zimna, wygląda niczym wysuszona gruszka. Wprawdzie podczas jazdy drżenie ustało, ale gdy tak siedzi obok mnie, przypomina dziecko.

— Jakie macie jedzenie? — spytałem.

— Jedzenie? Masz na myśli jedzenie w college'u?

— Nie. Na Marsie.

— Co?

— No w college'u, rzecz jasna. Byłeś w ostatnim czasie gdzieś indziej?

Tom znowu opuścił ramiona.

— Chodzi mi tylko o to, że… wyglądasz na trochę niedożywionego — powiedziałem.

— Niedożywionego? Tato, czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy?

— Jeśli dobrze pamiętam, wciąż ja opłacam szkołę, więc nie odpowiadaj mi w ten sposób.

Zapanowało milczenie.

Długie.

— Ale w ogóle to wszystko układa się dobrze? — zapytałem w końcu.

— Tak, dobrze.

— Więc moje pieniądze nie pójdą na marne?

Próbowałem żartować, ale widziałem kątem oka, że Tom nie reaguje. Dlaczego się nie śmieje? Mógłby przecież podchwycić żart, wtedy śmiechem pokrylibyśmy nieprzyjemne słowa i może udałoby się nam miło porozmawiać do końca jazdy.

— Skoro jedzenie jest opłacone, to mógłbyś chyba się postarać i jeść trochę więcej — spróbowałem.

— Tak — odparł krótko.

Wszystko się we mnie burzyło. Chciałem tylko, by syn się uśmiechnął. Ale on siedzi tu z tą swoją ponurą powagą. Nie powinienem był się

odzywać. Należało trzymać język za zębami. Ale nie mogłem się powstrzymać.

— Pewnie nie mogłeś się już doczekać wyjazdu, co?

Czy teraz się rozzłości? Znowu zaczniemy się kłócić?

Ale nie. Tom tylko westchnął:

— Tato…

— Tak. Gadam głupstwa. Znowu.

Przełknąłem pozostałe słowa. Wiedziałem, że jeśli będę to ciągnąć, mogę usłyszeć wiele rzeczy, których wolałbym nie wiedzieć. To nie powinno się tak zaczynać, nie teraz, kiedy w końcu przyjechał.

— Myślę tylko… — powiedziałem, starając się nadać głosowi łagodność. — …Kiedy wyjeżdżałeś ostatnio, wyglądałeś na bardziej zadowolonego niż teraz.

— Ja jestem zadowolony, okay?

— Okay.

Koniec z tą sprawą. Tom jest zadowolony. Bardzo zadowolony. Taki zadowolony, że aż podskakuje. Wprost nie mógł się doczekać spotkania z nami i chwili, kiedy znowu zobaczy obejście, tygodniami nie myślał o niczym innym. To oczywiste.

Chrząknąłem lekko, choć nie drapało mnie w gardle. Tom wciąż siedział z tymi nieruchomymi rękami na kolanach. Przełknąłem ślinę. Czego ja się spodziewałem? Że kilka miesięcy rozłąki uczyni z nas kumpli?

Emma długo trzymała Toma w objęciach. Dawniej też tak było i najwyraźniej ona może go nadal obejmować, przytulać, a jemu to nie przeszkadza.

Tom nie zauważył, że dziedziniec jest starannie odśnieżony. Jeśli o to chodzi, Emma miała rację. Ani nie przejął się złuszczającą się ze ścian farbą, a to już jakaś korzyść.

No więc nie zauważył. A tak naprawdę to chciałem, żeby zobaczył i jedno, i drugie. Żeby się tym zainteresował, kiedy nareszcie jest w domu. Żeby wziął odpowiedzialność.

Emma podała mięsny pudding i kukurydzę, wielkie porcje na zielonych talerzach, złote ziarna lśniły, śmietanowy sos parował. Jedzeniu nic nie można było zarzucić, ale Tom zjadł tylko pół porcji, mięsa nawet nie tknął. Wyraźnie nie miał na nic apetytu. Chyba za mało przebywa na powietrzu, na tym polega problem. Coś musimy teraz z tym zrobić.

Emma zaczęła wypytywać go o wszystko. O szkołę. Nauczycieli. Przedmioty. Przyjaciół. Dziewczyny… Na ten ostatni temat wiele się nie dowiedziała. Mimo to rozmowa między nimi dwojgiem toczyła się miarowo jak zwykle, chociaż Emma pytała więcej, niż Tom odpowiadał. Zawsze tak było. Słowa między nimi nigdy nie cichły, gadali nieustannie, byli sobie bliscy i najwyraźniej nic ich to nie kosztowało. Ale to oczywiste, Emma jest przecież jego matką.

Ona rozkoszowała się sytuacją. Na policzkach miała rumieńce, ani na chwilę nie spuszczała oczu z Toma, nie była w stanie przestać go dotykać, jakby to w dłoniach zawierała się tęsknota ostatnich miesięcy. Ja przeważnie milczałem, próbowałem się uśmiechać, kiedy oni się uśmiechali, śmiać, kiedy się śmiali. Ale po nieudanych próbach nawiązania kontaktu w samochodzie nie chciałem ryzykować. Powinienem raczej szukać dobrej okazji, by odbyć z nim tak zwaną męską rozmowę. Z pewnością taka okazja się nadarzy. Tom ma przecież spędzić tu tydzień.

Rozkoszowałem się więc posiłkiem, opróżniłem talerz, był zatem przy stole ktoś, kto potrafił docenić dobre jedzenie. Zebrałem resztki sosu kawałkiem chleba, ułożyłem sztućce skośnie na talerzu i wstałem.

Wtedy Tom też się podniósł, choć jego talerz nadal był pełny.

— Było bardzo dobre — oznajmił.

— Powinieneś zjeść to, co twoja matka przygotowała — upomniałem. Starałem się, by głos brzmiał spokojnie, ale chyba wyszło trochę zbyt ostro.

— Zjadł już dużo — zaprotestowała Emma.

— Matka pracowała wiele godzin, żeby to przygotować.

Była to gruba przesada, ale Tom usiadł i sięgnął po widelec.

— Chodzi tylko o mięsny pudding, George — wtrąciła Emma. — Nie zabrało mi to aż tak wiele czasu.

Chciałem zaprotestować. Przecież pracowała ciężko, co do tego nie ma wątpliwości, i taka była ożywiona, że znowu będzie miała Toma w domu. Naprawdę zasłużyła, by chłopak się o tym dowiedział.

— W autobusie zjadłem kanapkę — bąknął Tom do talerza.

— Najadłeś się przed przyjazdem do domu, gdzie matka czeka na ciebie z obiadem? Nie tęskniłeś za jej jedzeniem? Czy gdziekolwiek jadłeś lepszy pudding mięsny?

— Nie jadłem, tato. Chodzi tylko o to, że…

Umilkł.

Nie chciałem patrzeć na Emmę. Wiedziałem, że siedzi i przygląda mi się z surowo zaciśniętymi ustami i sprzeciwem w oczach.

— Chodzi tylko o co?

Tom dzióbał widelcem w jedzeniu.

— Przestałem jeść mięso.

— Co?

— Tak, tak — rzekła Emma pośpiesznie i zaczęła sprzątać ze stołu.

Usiadłem. No to wszystko jasne.

— Nic dziwnego, że schudłeś — powiedziałem.

— Gdyby wszyscy byli wegetarianami, nikomu na świecie nie brakowałoby jedzenia — oznajmił Tom.

— Gdyby wszyscy byli wegetarianami — przedrzeźniałem go, spoglądając znad szklanki z wodą. — Ludzie zawsze jedli mięso.

Emma ustawiła wysoki stos talerzy i półmisków, które podzwaniały złowieszczo.

— Proszę cię. Tom z pewnością wszystko to dokładnie przemyślał — powiedziała.

— Nie sądzę.

— Przecież nie tylko ja jestem wegetarianinem — bąknął chłopak.

— My w tym domu jadamy mięso! — krzyknąłem i zerwałem się tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się z hukiem.

— Tak, tak — powtórzyła Emma, sprzątając dalej w pośpiechu.

Posłała mi jedno z tych swoich krzywych spojrzeń. Tym razem nie oznaczało już tylko „przestań”. Teraz mówiło „zamknij się”.

— I wcale też nie chodzi o to, czy akurat ty hodujesz świnie, czy nie.

— A co to ma do rzeczy?

— Chyba dla ciebie to bez różnicy, czy jem mięso, czy nie? Dopóki wciąż jadam miód.

Roześmiał się. Przyjaźnie? Nie. Trochę bezczelnie.

— Gdybym wiedział, że tak się zmienisz w tym college’u, nigdy bym cię tam nie wysłał. — Słowa rozrastały się w miarę, jak mówiłem, ale nie byłem w stanie ich powstrzymać.

— To przecież jasne, że chłopak musi chodzić do szkoły — wtrąciła Emma.

Tak, oczywiście, to jasne jak słońce. Wszyscy muszą chodzić do szkoły.

— Całe wykształcenie, jakiego potrzebuję, zdobyłem tam — oznajmiłem, machając ręką. Chciałem wskazać ku wschodowi, w stronę łąki, na której stoją ule, ale zdałem sobie sprawę, że macham w stronę zachodu.

Tom nie był w stanie mi odpowiedzieć.

— Dziękuję za jedzenie.

Pośpiesznie sprzątnął po sobie i odwrócił się do Emmy.

— Zajmę się też resztą. A ty sobie usiądź.

Emma uśmiechnęła się do niego. Do mnie żadne się nie odezwało.

Unikali mnie oboje, ona wzięła gazetę i wyszła do pokoju, on natomiast włożył fartuch, naprawdę tak zrobił, i zaczął szorować garnki.

Zasychało mi w gardle. Wypiłem łyk wody, ale niewiele to pomogło. Żona i syn obchodzili mnie, jakbym był słoniem stojącym im na drodze. Chociaż słoniem nie byłem. Byłem po prostu mamutem, gatunkiem wymarłym.

TAO

Jeśli ja mam trzy ziarnka ryżu, a ty masz dwa, to ile mamy razem?

Wzięłam ze swojego talerza dwa ziarnka ryżu i przełożyłam je na pusty już talerz Wei-Wena. Nadal miałam przed oczami tamte dziecięce buzie. Wysoką dziewczynkę z twarzą zwróconą ku słońcu, chłopca z ustami rozciągniętymi w nieświadomym ziewnięciu. Byli tacy mali. A Wei-Wen nagle taki duży. Wkrótce będzie miał tyle lat co oni. W innych częściach kraju znajdują się szkoły dla garstki wybranych, tych, którzy będą przewodzić, którzy wezmą na siebie odpowiedzialność. I którzy unikną pracy na polach. Gdyby tylko on był wystarczająco zdolny, gdyby wcześniej pokazał się jako najlepszy…

— Dlaczego ty masz trzy, a ja tylko dwa? — Wei-Wen przyglądał się ziarnkom ryżu z grymasem niezadowolenia.

— W takim razie ja będę mieć dwa, a ty trzy. O tak. — Wymieniłam ziarnka na naszych talerzach. — Ile mamy razem?

Wei-Wen położył pulchną rączkę na talerzu i obracał ją, jakby chciał namalować coś palcami.

— Chcę jeszcze keczupu.

— Wei-Wen, no co ty? — Zdecydowanie odsunęłam na bok jego rączkę, lepką po posiłku. — Mówi się: czy mogę dostać jeszcze keczupu? — Westchnęłam, znowu wskazałam ziarna ryżu. — Dwa u mnie. Trzy u ciebie. I możemy policzyć. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć.

Wei-Wen potarł ręką twarz, zostawiając na policzku smugę keczupu. Potem próbował sięgnąć po butelkę.

— Czy mogę dostać jeszcze keczupu?

Powinnam była zacząć wcześniej. Ta jedna jedyna godzina, tylko tyle czasu możemy spędzić ze sobą każdego dnia. Ale ja często ją trwonię. Pozwalam, by mijała na jedzeniu i na przyjemnościach. On powinien był zajść już dalej.

— Pięć ryżowych nasionek — powiedziałam. — Pięć ryżowych nasion, prawda?

Wei-Wen zrezygnował z sięgania po butelkę i odchylił się na krześle tak gwałtownie, że stopy głośno uderzyły o podłogę. Często bywa taki gwałtowny, ma ruchy niekontrolowane. Silny, taki był od urodzenia. I zadowolony. Chodzić zaczął późno, nie był zbyt ruchliwy. Lubił siedzieć na ziemi i uśmiechać się do ludzi, którzy chcieli z nim rozmawiać. A chciało wielu, bo należał do dzieci, które wcześnie zaczynają się uśmiechać.

Wzięłam butelkę z czerwonym substytutem i nalałam mu na talerz. Może teraz zechce współpracować?

— O tak, bardzo proszę.

— Tak! Keczup!

Sięgnęłam do stojącej na stole miski po jeszcze dwa wyschnięte ziarnka.

— Patrz! Mamy jeszcze dwa. Ile to będzie razem?

Ale Wei-Wen był zajęty jedzeniem. Buzię miał umazaną keczupem.

— Wei-Wen? Ile mamy ziarenek ryżu?

Raz jeszcze opróżnił talerz, przyglądał mu się przez chwilę, a potem go uniósł. Zaczął mruczeć, udając, że talerz jest staroświeckim samolotem. Wei-Wen kocha stare pojazdy, jest bardzo zainteresowany helikopterami, samochodami, autobusami, godzinami może czołgać się po podłodze, budować drogi, lotniska, tworzyć miejsca dla lądujących maszyn.

— Wei-Wen, no co ty? — Zabrałam mu talerz i odstawiłam tak, żeby nie mógł go dosięgnąć. Potem znowu zaczęłam pokazywać zimne, wyschnięte

nasiona ryżu. — Patrz tutaj. Pięć plus dwa. To ile mamy razem?

Głos mi trochę drżał. Próbowałam pokryć to uśmiechem, którego Wei-Wen nie zauważył, ponieważ wyciągał ręce po talerz.

— Chcę go dostać. Chcę mieć samolot. On jest mój!

Z pokoju doszło nas chrząknięcie Kuana. Siedział nad filiżanką herbaty, z nogami na stole, i spoglądał na mnie ostentacyjnie rozluźniony.

Zlekceważyłam ich obu i zaczęłam głośno liczyć.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć i… siedem! — Uśmiechnęłam się do Wei-Wena, jakby było coś nadzwyczajnego w tych siedmiu ziarnkach ryżu. — Razem będzie siedem, prawda? Widzisz to, że jest ich siedem?

Tylko tyle, jeśli to zrozumie, ustąpię, pozwolę mu się bawić. Mały krok, ale każdego dnia.

— Daj mi go! — Wyciągał pulchną rączkę tak daleko, jak tylko mógł.

— Kochanie, talerz musi tam stać — mówiłam coraz głośniej. — A teraz my będziemy liczyć, prawda?

Kuan westchnął ledwo dosłyszalnie, wstał i podszedł do nas. Położył mi rękę na ramieniu.

— Jest ósma.

Cofnęłam się.

— Nic mu się nie stanie, jak pobędzie tu jeszcze trochę — odparłam, patrząc na męża.

— Tao…

— Zniesie jeszcze kwadrans. — Nadal się w niego wpatrywałam.

Kuan jęknął.

— Ale dlaczego?

Odwróciłam wzrok, nie byłam w stanie mu tłumaczyć, opowiadać o dzieciach. Zresztą i tak wiedziałam, co on by odpowiedział. Że dzieci wcale nie były mniejsze, że są takie duże jak zawsze, że w ubiegłym roku

też miały po osiem lat. Że tak jest od dawna. A jeśli będzie mówił nadal, padną słowa niepodobne do tych, jakimi się zwykle posługuje: Powinniśmy się cieszyć, że tutaj mieszkamy. Mogłoby być jeszcze gorzej. Moglibyśmy mieszkać w Pekinie. Albo w Europie. Musimy tę szansę wykorzystać najlepiej, jak potrafimy. Żyć tu i teraz. W każdej sekundzie czynić to, co należy. Frazy, jakby wygłaszał przemówienie wypowiadane z naciskiem. I on naprawdę w to wierzy.

Kuan pogłaskał Wei-Wena po niesfornych włosach.

— Bardzo bym chciał się z nim pobawić — rzekł cicho i łagodnie.

Wei-Wen zaczął się wiercić na krześle, to dziecięce krzesło jest właściwie dla niego za wysokie, ale siedzi w nim porządnie zapięty i nie może uciec z mojej domowej szkoły. Teraz wciąż wyrywa się do talerza.

— Daj mi go! On jest mój!

Kuan nie patrzył na mnie, powiedział tylko tym samym, opanowanym tonem:

— Talerza nie dostaniesz, ale wiesz co? Szczoteczka do zębów też może być samolotem. — Potem wziął Wei-Wena na ręce i poszedł z nim do łazienki.

— Kuan… Ale…

Swobodnie przeniósł Wei-Wena z jednego ramienia na drugie, udawał, że mnie nie słyszy, nadal rozmawiał z synem. Niósł go tak, jakby malec nic nie ważył, chociaż nasz syn robi się przecież coraz cięższy.

Siedziałam na miejscu. Chciałam coś powiedzieć, zaprotestować, ale nie znajdowałam słów. Kuan ma rację. Wei-Wen był wyczerpany. Zrobiło się późno. Powinien znaleźć się w łóżku, zanim będzie zbyt zmęczony, by zasnąć. Przecież wiedziałam, co się wtedy dzieje. Mały długo nie pozwoli nam zmrużyć oka. Najpierw będą to głupstwa, nieustanne otwieranie drzwi do sypialni, wycieczki do nas, perlisty śmiech, „chodź i mnie złap”. Potem

pojawią się frustracja i gniew, wycie, dzikie protesty. Tacy chyba są trzylatkowie.

Chociaż… Nie mogę sobie przypomnieć, bym sama zachowywała się podobnie. W wieku trzech lat umiałam już czytać. Sama wynajdywałam sobie znaki, zaskakiwałam nauczycieli, gdy płynnie czytałam bajki tylko dla siebie, nigdy dla innych. Od dzieci trzymałam się z daleka. Moi rodzice przyglądali się temu ze zdziwieniem. Godzili się, bym czytała proste historie dla dzieci, ale nigdy nie odważyli się zachęcić mnie do poważniejszych lektur. W szkole to zauważono. Nauczyciele pozwalali mi siedzieć nad książkami, kiedy inni uczniowie wychodzili na dwór. Pokazywali mi jakieś postrzępione programy nauczania, teksty i filmy. Wiele z nich pochodziło z czasów przed Zapaścią. Z okresu przed upadkiem demokracji, sprzed wojny światowej, która potem wybuchła i jedzenie stało się dobrem dostępnym jedynie dla niewielu. Produkcja informacji była wtedy taka ogromna, że nikt tego w całości nie ogarniał. Słowa w szeregach długich jak droga mleczna. Areały równe powierzchni Słońca, zapełnione obrazami, mapami, ilustracjami. A dzięki technologii wszystko to było dostępne. Dostępność to mantra tamtej epoki. Ludzie w każdej chwili otrzymywali informacje za pośrednictwem coraz bardziej zaawansowanych narzędzi komunikacji.

Ale w wyniku Zapaści zostały uszkodzone również sieci cyfrowe. Rozpadły się kompletnie w ciągu trzech lat. Wszystko, co ludziom zostało, to książki, powyszczerbiane DVD, zniszczone taśmy, zdarte płyty CD z nieaktualnymi programami i wciąż się psująca sieć telefonów stacjonarnych.

Połykałam owe zniszczone, stare książki i poszatkowane filmy. Czytałam i zapamiętywałam wszystko, jakby książki i filmy wdrukowywały mi się w pamięć. Wstydziłam się swojej wiedzy, bo ona czyniła mnie odmienną.

Niektórzy nauczyciele próbowali rozmawiać z moimi rodzicami o tym, że jestem bardzo utalentowanym dzieckiem, oni jednak uśmiechali się tylko skrępowani. Woleliby, żeby mówiono o mnie jak o normalnej dziewczynce, żebym miała przyjaciół, umiała szybko biegać, wspinać się, miała zręczne dłonie. A w tych dziedzinach mnie akurat się nie wiodło. Zresztą wstyd stopniowo malał, tłumił go głód wiedzy. Zgłębiałam zwłaszcza język, nauczyłam się, że każda rzecz, każde uczucie ma więcej niż jedną nazwę i opis. I uczyłam się naszej historii. Dowiadywałam się o masowym ginięciu owadów zapylających, o podnoszeniu się poziomu mórz, o globalnym ociepleniu, o katastrofach termojądrowych i o tym, że dawne supermocarstwa, USA i Europa, które utraciły wszystko w ciągu kilku lat, nie były w stanie się dostosować i teraz popadły w najgłębszą nędzę, a ludność została mocno zredukowana. Natomiast my tutaj, w Chinach, poradziliśmy sobie. Komitet, czyli najwyższy organ partii, skuteczne kierownictwo naszego kraju, przeprowadził nas przez Zapaść twardą ręką, podejmując szereg decyzji, których ludzie często nie rozumieli, ale nie mieli też okazji o nie pytać. Tego wszystkiego się uczyłam. I jedyne, czego chciałam, to iść dalej. Wiedzieć więcej i więcej, napełnić się wiedzą, ale bez jakiejkolwiek refleksji nad tym, czego się uczę.

Nie zatrzymałam się, dopóki nie natrafiłam na postrzępiony tekst zatytułowany *Ślepy pszczelarz*. Tłumaczenie z angielskiego było nieporadne i źle się je czytało, ale mimo to książka mnie wciągnęła. Została wydana w roku 2037, zaledwie parę lat przed Zapaścią, kiedy na ziemi nie było już żadnych owadów zapylających. Zaniosłam ją nauczycielce, pokazałam jej zdjęcia pszczelich uli i dokładne rysunki pszczół. Właśnie pszczoły zajmowały mnie najbardziej. Królowa i dzieci, larwy w komórkach. I ten złocisty miód, którym się otaczają.

Nauczycielka nie znała książki, ale zafascynowała się nią podobnie jak ja. Odczytywała na głos różne fragmenty. Czytała o wiedzy, o działaniu niezgodnym z instynktem, ponieważ człowiek jest przekonany, że wie lepiej. Że aby żyć w naturze, z naturą, musimy okiełznać naturę w nas samych. A także o wartości wykształcenia. Bo o to właśnie chodzi w wykształceniu — by tłumić naturę w sobie.

Miałam wtedy osiem lat i rozumiałam z tego wszystkiego tylko fragmenty. Pojmowałam poruszenie nauczycielki, to, że książka zrobiła na niej wielkie wrażenie. I rozumiałam też, o co chodzi z wykształceniem. Bez wykształcenia jesteśmy niczym. Bez wykształcenia jesteśmy zwierzętami.

Po tym doświadczeniu zaczęłam działać bardziej świadomie. Nie chciałam już uczyć się tylko dla samej nauki, chciałam się uczyć po to, żeby rozumieć. Wkrótce prześcignęłam inne dzieci w klasie i jako najmłodsza w szkole wstąpiłam do Młodych Pionierów Partii, a także uzyskałam prawo do noszenia chusty. Dawało mi to banalne poczucie dumy. Nawet moi rodzice się uśmiechali, kiedy wiązałam na szyi czerwony kawałek materiału. Wiedza czyniła mnie przede wszystkim bogatszą. Bogatszą niż inne dzieci. Nie byłam ładna, nie byłam silna, nie miałam zwinnych rąk ani rozwiniętych mięśni. Nie mogłabym wybić się w żadnej innej dziedzinie. Z lustra spoglądała na mnie niezdarna dziewczynka. Trochę za małe oczy, trochę za duży nos. Pospolita twarz nie mówiła nic na temat tego, co się za nią ukrywa. Nic o tym, co każdy dzień czyniło wartym przeżycia i co mogło otworzyć drogę do świata.

Już kiedy miałam lat dziesięć, określiłam swoje możliwości. Istnieją szkoły w innych częściach kraju, dzień drogi stąd, które mogą mnie przyjąć, kiedy skończę piętnaście lat, i właściwie byłabym gotowa, by rozpocząć pracę na polach. Kierowniczka szkoły pomogła mi znaleźć informacje, jak starać się o przyjęcie. Uważała, że mam szansę. Ale z tym

wiążą się koszty. Rozmawiałam z rodzicami, do niczego jednak nie doszłam. Patrzyli na mnie przestraszeni, jakbym była obcą istotą, której nie rozumieją i nie lubią. Kierowniczka szkoły też próbowała z nimi rozmawiać, nigdy się nie dowiedziałam, co im mówiła, ale w rezultacie rodzice stali się jeszcze bardziej stanowczy. Powtarzali, że nie mają pieniędzy i nie chcą oszczędzać. To ja muszę się dostosować, uważali. Ja powinnam się uspokoić, przestać snuć „te głupie marzenia”.

Ale nie potrafiłam. Bo takim człowiekiem byłam już wtedy i takim pozostanę.

Drgnęłam, słysząc dochodzący z łazienki śmiech Wei-Wena. Śmiał się głośno i perliście.

— Nie, tato! Nie!

Synek śmiał się, bo Kuan całował go po miękkim brzuszku.

Wstałam. Odstawiłam talerz do zlewu. Podeszłam do drzwi łazienki i nasłuchiwałam. Śmiech Wei-Wena brzmiał tak, że powinnam była go nagrać. I odtworzyć mu kiedyś, kiedy dorośnie i będzie mówił męskim głosem.

A jednak nie skłoniło mnie to nawet do uśmiechu.

Położyłam rękę na klamce i popchnęłam drzwi. Wei-Wen leżał na podłodze, a Kuan udawał, że nie może z niego ściągnąć spodni. Bo one tego nie chciały, walczyły.

— Pośpiesz się trochę — powiedziałam do Kuana.

— Mam się pośpieszyć? To przecież niemożliwe przy tych awanturniczych spodniach — odparł Kuan, a Wei-Wen znowu wybuchnął śmiechem.

— Za bardzo go rozbawisz.

— Posłuchajcie no, spodnie. Skończcie z tymi głupstwami!

Wei-Wen zaśmiewał się jeszcze bardziej.

— On się zbytnio rozszaleje — powtórzyłam. — Nie będzie można go położyć.

Kuan milczał. Odwrócił wzrok, ale uwagę przyjął.

Wyszłam i zamknęłam za sobą drzwi. W kuchni pośpiesznie pozmywałam. Potem wyjęłam przybory do pisania. Jeszcze maleńki kwadrans. Tyle mąż ścierpi.

WILLIAM

Często siadywała przy moim łóżku, z głową pochyloną nad książką, skoncentrowana, czytała wolno. Moja córka Charlotte, która skończyła czternaście lat i powinna zajmować się czymś innym, a nie szukać mojego milczącego towarzystwa. Mimo to przychodziła do mnie coraz częściej, dzięki jej wizytom i temu niekończącemu się czytaniu mogłem odróżniać dzień od nocy.

Thilda dzisiaj do mnie nie wstąpiła. Teraz przychodzi rzadziej, przestała nawet przyprowadzać lekarza domowego. Widocznie pieniądze naprawdę się skończyły.

Thilda nigdy ani słowem nie wspomina o Rahmie. Wiedziałbym o tym, nawet gdyby zaczęła mi o nim mówić w czasie, gdy ja leżę pogrążony w głębokim śnie. Jego nazwisko obudziłoby mnie również na tamtym świecie. Przypuszczalnie Thilda nigdy się nie zorientowała, nigdy nie zrozumiała tego, że to właśnie rozmowa z nim podczas ostatniego spotkania, jego śmiech, doprowadziły mnie tutaj, do tego pokoju, do tego łóżka.

To on poprosił mnie, bym przyszedł. Nie wiedziałem, dlaczego chce się ze mną spotkać. Nie odwiedzałem go przez wiele lat, wymienialiśmy jedynie obowiązkowe uprzejmości, gdyśmy przypadkiem spotkali się w mieście. Ale i wtedy on zawsze przerywał.

Jesień trwała w pełni, kiedy wybrałem się do niego z wizytą. Liście mieniły się intensywnymi barwami — jasna żółć, ciepły brąz, krwista czerwień — bowiem wiatr nie zdążył ich jeszcze zdmuchnąć i wbić w ziemię, by zgniły. Natura uginała się pod ciężarem owoców. Jabłonie

obsypane jabłkami, soczyste śliwki, ociekające słodyczą gruszki i ziemia, z której jeszcze nie wszystko sprzątnięto, pełna chrupkich marchewek, dyni, cebuli, pachnących ziół przy miedzach, wszystko gotowe do zebrania, gotowe do zjedzenia. Można tu żyć tak samo beztrosko jak w ogrodach Edenu. Lekkim krokiem szedłem w stronę domu Rahma przez zagajnik porośnięty ciemnozielonym bluszczem. Cieszyłem się, że go znowu zobaczę, że będę miał czas, by z nim szczerze porozmawiać, tak jak to robiliśmy dawno temu, zanim jeszcze zostałem ojcem gromadki dzieci i zanim handel nasionami zaczął pochłaniać cały mój czas.

Gospodarz przyjął mnie w progu. Był jak zawsze krótko ostrzyżony, jak zawsze chudy, żylasty, silny. Uśmiechnął się przelotnie, jego uśmiechy nigdy nie trwały długo, mimo to ogrzewały człowieka. Zaprowadził mnie do swojego gabinetu, pełnego roślin i szklanych naczyń, w których pływały amfibie, traszki i żaby, wychowane, jak sądziłem, od stadium kijanki. Na tę dziedzinę nauk przyrodniczych skierowana była cała jego uwaga. Kiedy pojawiłem się u niego po ostatnich egzaminach osiemnaście lat temu, miałem nadzieję, że będę mógł badać owady, zwłaszcza gatunki społeczne, wśród których jednostki funkcjonują wspólnie niczym jeden organizm, jeden superorganizm. Moją namiętnością były trzmiele, osy, błonkoskrzydłe, termity, pszczoły. I mrówki. On jednak uznał, że na to przyjdzie czas później. I wkrótce również ja byłem bez reszty zajęty tymi nieokreślonymi istotami, których tyle znajdowało się w jego gabinecie, stworzeniami, które nie są ani owadami, ani rybami, ani ssakami. Byłem jedynie jego asystentem, dlatego nie mogłem protestować, a poza tym zdawałem sobie przecież sprawę, że praca u niego to zaszczyt. Starałem się zatem okazywać mu szczerą wdzięczność i nie zgłaszać żądań. Próbowałem przejąć jego fascynację i liczyłem na to, że kiedy czas dojrzeje, czy raczej kiedy ja dojrzeję, on pozwoli mi zajmować się też własnymi projektami.

Taki dzień jednak nigdy nie nadszedł, a bardzo szybko stało się jasne, że własne studia mógłbym prowadzić raczej w czasie wolnym, zacząć od kwestii fundamentalnych i rozsądnie posuwać się naprzód. Do tego też nigdy nie doszło, ani przed poznaniem Thildy, ani potem.

Gospodyni podała ciasteczka i herbatę. Piliśmy z kruchych, cieniutkich filiżanek, które niemal ginęły w palcach. Ten serwis Rahm kupił podczas jednej ze swoich licznych wypraw na Daleki Wschód, zanim osiedlił się na spokojnej wsi.

Piliśmy herbatę, a on opowiadał o pracy. O badaniach, jakie prowadzi, o swoich ostatnich naukowych referatach, o ostatnim artykule. Słuchałem, potakując, zadawałem pytania, uważałem, by wypowiadać się fachowo, i znowu słuchałem. Nie spuszczałem z niego wzroku, pragnąłem, by choć od czasu do czasu spojrzał na mnie. Ale on prawie na mnie nie patrzył. Raczej wodził oczami po pokoju, po przedmiotach, jakby to do nich przemawiał.

W końcu zaległa cisza, nie było słychać nic prócz szumu wiatru w ogrodzie zrywającego z drzew ciemniejące liście. Upiłem łyk herbaty, odgłos siorbania rozszedł się po pogrążonym w ciszy pokoju. Zrobiło mi się gorąco, odstawiłem filiżankę. On jednak zdawał się niczego nie dostrzegać, siedział, nie poświęcając mi więcej uwagi.

— Dzisiaj są moje urodziny — rzekł w końcu.

— Przykro mi, nie miałem pojęcia, ale serdecznie życzę szczęścia.

— Czy pan wie, jaki ja się zrobiłem stary? — Skierował na mnie spojrzenie.

Wahałem się. Ile on może mieć lat? Chyba dużo. Dobrze po pięćdziesiątce. Może bliżej sześćdziesięciu. Wierciłem się na krześle, było mi coraz bardziej gorąco, chrząknąłem. Co powinienem odpowiedzieć?

Ponieważ nie mówiłem nic, Rahm spuścił wzrok.

— To zresztą bez znaczenia.

Jest zawiedziony? Rozczarowałem go? Ponownie?

Teraz jego twarz nie wyrażała niczego. Odstawił filiżankę, sięgnął po ciasteczko. Tak zwyczajnie, wziął ciastko. Mimo że rozmowa, którą prowadziliśmy, wcale nie była zwyczajna. Położył ciastko na talerzyku, ale go nie zjadł. W pokoju zapadła dręcząca cisza. Muszę coś powiedzieć. Teraz moja kolej.

— Urządza pan przyjęcie? — zagadnąłem i natychmiast tego pożałowałem. Co za beznadziejne pytanie, jakby był dzieckiem. Nie zniżył się do tego, by mi odpowiedzieć. Siedział wciąż z talerzykiem w ręce, ale nie jadł, spoglądał tylko na mały, suchy kawałek ciasta. Gdy poruszył palcami, ciastko zsunęło się na brzeg talerzyka. W ostatniej sekundzie zatrzymał je przed upadkiem i odstawił talerzyk.

— Był pan obiecującym studentem — oznajmił nieoczekiwanie.

Zaczerpnął powietrza, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale żadne słowo nie padło.

Odchrząknąłem.

— Tak?

Zmienił pozycję.

— Kiedy zaczął pan u mnie pracować, miałem wielkie nadzieje. — Ręce zwisały mu teraz po bokach, siedział wyprostowany. — Przekonał mnie pański wielki entuzjazm i żar. Bo przedtem nawet nie myślałem o zatrudnieniu asystenta.

— Dziękuję, profesorze. To bardzo pochlebne słowa.

Wyprostował się jeszcze bardziej, siedział tak, jakby sam był uczniem. Zerknął na mnie przelotnie.

— Ale potem stało się coś… z panem?

Poczułem ucisk w piersi. Pytanie. To było pytanie. Ale co miałbym odpowiedzieć?

— Czy to już wtedy wygłaszał pan odczyty o Swammerdamie?

Znowu przelotnie na mnie spojrzał, jego zwykle spokojny wzrok był teraz rozbiegany.

— O Swammerdamie? Ależ to było wiele lat temu — odparłem.

— Otóż to. Wiele lat temu. I to tam pan ją spotkał?

— Chodzi panu… o moją żonę?

Milczenie Rahma potwierdzało, że się nie mylę. Owszem, tam spotkałem Thildę. Po odczycie. Albo raczej okoliczności mnie do niej doprowadziły. Okoliczności… Nie. To Rahm mnie do niej doprowadził. To ten jego śmiech, jego szyderstwo skłoniło mnie, bym spojrzał w inną stronę, w jej stronę.

Chciałem coś o tym powiedzieć, ale nie znajdowałem słów. Gdy wciąż milczałem, on pochylił się ku mnie i cicho chrząknął.

— A teraz?

— Teraz?

— Dlaczego pan właściwie płodził dzieci?

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane wyższym tonem, głosem, który o mało się nie załamał i tym razem Rahm się we mnie wpatrywał, nie cofając wzroku. Narastał w nim jakiś chłód.

— Dlaczego…? — Odwróciłem się gwałtownie, nie byłem w stanie napotkać jego spojrzenia, tej surowości w oczach. — Nie… No, to się chyba robi…

Rahm położył ręce na kolanach, bezradny i zarazem wymagający.

— Tak się robi? Cóż, możliwe, że tak jest. Ale dlaczego pan? Co pan może im dać?

— Co daję? Jedzenie, ubrania.

Nagle on uniósł głos:

— Tylko niech mi tu pan nie wyciąga tego przeklętego handlu nasionami!

Potem równie gwałtownie odwrócił się tyłem, jakby chciał się ode mnie zdystansować, i pocierał o siebie dłonie, które przedtem spoczywały na kolanach.

— Nie… — Walczyłem z tym dziesięciolatkiem w mojej duszy, którego zwymyślano, próbowałem zachować spokój, ale zdałem sobie sprawę, że drżę. Gdy jednak w końcu byłem zdolny coś powiedzieć, mój głos brzmiał jasno i wyraźnie. — Ja przecież bym bardzo chciał. Chodzi tylko o to, że… Jak profesor z pewnością rozumie, czasu nie starcza.

— Czego pan ode mnie oczekuje? Żebym powiedział, że to jest do zaakceptowania? — Wstał. — Bym zaakceptował to, że pan nie nadąża? — Stał przede mną, podszedł o krok bliżej, rósł, zrobił się wielki i mroczny. — Bym zaakceptował, że nie ukończył pan nawet jednego artykułu na temat badań? Mam zaakceptować, że pańskie półki są pełne nieprzeczytanych książek? Akceptować, że straciłem na pana tyle czasu? A pan nadal nie osiągnął w tym życiu nic więcej niż zwyczajny knur?!

To ostatnie słowo długo drgało w powietrzu między nami.

Knur. Tym dla niego jestem. Knurem.

Narastał we mnie niepewny protest. Czy on naprawdę stracił na mnie tak dużo czasu, czy raczej byłem przede wszystkim pomocnikiem w realizacji jego projektów? Bo chyba tego faktycznie chciał, bym przejął jego badania, utrzymał je przy życiu. Utrzymywał jego przy życiu. Ale przełknąłem cisnące się na usta słowa.

— Czyż nie to pragnie pan usłyszeć? — spytał z oczami tak samo pustymi jak oczy amfibii spoglądające na nas ze szklanych pojemników. — Że takie jest życie? Powinienem powiedzieć, że życie takie jest, że

człowiek się kształtuje, płodzi potomstwo i instynktownie na pierwszym miejscu stawia jego potrzeby, bo dzieci to gęby do wykarmienia, więc człowiek musi zdobywać pożywienie, intelekt ustępuje przed naturą. To nie jest pańska wina. I nie jest jeszcze za późno. — Wpatrywał się we mnie tak, aż bolało. — To chce pan usłyszeć? Że jeszcze nie jest za późno. Że pański czas jeszcze nadejdzie. — I nagle wybuchnął śmiechem. Tym krótkim, nieprzyjemnym śmiechem bez radości, przepełnionym szyderstwem. Nie trwało to długo, ale pozostało w mojej duszy. To był ten sam śmiech co kiedyś.

Umilkł, ale nie oczekiwał ode mnie odpowiedzi. Widocznie zdawał sobie sprawę, że nie zdołam nic powiedzieć, podszedł więc tylko do drzwi i je otworzył.

— Muszę niestety prosić, by pan sobie poszedł. Wzywają mnie obowiązki.

Opuścił mnie bez pożegnania, gospodyni odprowadziła mnie do wyjścia. Powędrowałem z powrotem do swoich książek, ale po żadną nie sięgnąłem. Nie mogłem nawet na nie patrzeć, skuliłem się tylko w łóżku i tak już pozostałem. Zostałem tutaj, a na książkach osiadał kurz… Na wszystkich tekstach, które niegdyś pragnąłem przeczytać i zrozumieć.

Stoją tam nadal, poustawiane bez ładu i składu, niektóre grzbiety wysunięte bardziej niż inne, przypominają nierówny rząd zębów. Odwróciłem się od nich, nie miałem siły na nie patrzeć. Charlotte uniosła głowę. Zauważyła, że nie śpię, i pośpiesznie odłożyła książkę.

— Chce ci się pić?

Wstała, sięgnęła po kubek z wodą i podała mi.

Odwróciłem głowę.

— Nie. — Dotarło do mnie, że powiedziałem to nieuprzejmie, i pośpiesznie dodałem: — Dziękuję.

— Może chciałbyś coś innego? Doktor powiedział…

— Nic.

Charlotte wróciła na miejsce, przyjrzała mi się uważnie, jakby mnie badała.

— Wyglądasz lepiej. Jesteś bardziej przytomny.

— Nie mów głupstw.

— Ale tak uważam. — Uśmiechnęła się. — Przynajmniej odpowiadasz.

Zrezygnowałem z powiedzenia czegoś więcej, bo kolejne słowa mogłyby pogłębić wrażenie poprawy. Niech lepiej milczenie zaświadczy o czymś przeciwnym. Odwróciłem wzrok, jakbym już nie zauważał córki.

Ale ona się nie poddawała. Siedziała wciąż przy moim posłaniu, splotła dłonie, zaciskała je przez chwilę, potem znowu opuściła i nareszcie wykrztusiła to, co najwyraźniej leżało jej na sercu:

— Czy Bóg cię opuścił, ojcze?

Jakie by to było proste, gdyby miało coś wspólnego z Panem Bogiem. Na utratę wiary istnieje jedno proste lekarstwo: z powrotem ją odnaleźć.

W okresie studiów nieustannie zagłębiałem się w Biblii. Towarzyszyła mi wszędzie, wieczorem nawet kładłem się z nią do łóżka. Przez cały czas szukałem związku między nią a przedmiotem, który mnie interesował, czyli związku między tymi małymi cudami natury, które chciałem badać, a wielkimi słowami na papierze. Szczególnie często rozważałem pisma świętego Pawła, nie zliczyłbym, ile godzin przesiedziałem nad Listem Pawła do Rzymian, bo zawiera on wiele fundamentalnych myśli, dzięki niemu możemy się najbardziej zbliżyć do teologii paulińskiej. „Uwolnieni od grzechu, oddaliście się w niewolę sprawiedliwości”. Co to oznacza? Może to, że prawdziwie wolnym jest ten, kto jest podporządkowany. Czynienie tego, co sprawiedliwe, może być więzieniem, niewolą, ale została nam wskazana droga. Dlaczego więc nie jesteśmy w stanie nią

podążać? Nawet przy spotkaniu z dziełem stworzenia, tak przytłaczającym, że odbiera nam dech, człowiek nie jest w stanie czynić tego, co słuszne i sprawiedliwe.

Nigdy nie znalazłem odpowiedzi i coraz rzadziej sięgałem po tę niedużą czarną książkę. Wraz z innymi pokrywała się kurzem na półce. Co miałbym powiedzieć teraz? Że to moje tak zwane łoże boleści jest zbyt banalne i poniżające, by mogło mieć coś wspólnego z Nim? Że źródło wszystkiego znajduje się wyłącznie we mnie, w moich wyborach, w życiu, jakie prowadziłem.

Nie. Może kiedy indziej, ale jeszcze nie teraz. Zrezygnowałem zatem, nie odpowiedziałem jej, skinąłem jedynie i udawałem, że morzy mnie sen.

Charlotte siedziała przy mnie, dopóki dom pod nami nie pogrążył się w ciszy. Słyszałem, jak przewraca karty książki, czytała szybko, słyszałem cichy szelest muślinu, gdy czasami zmieniała pozycję. Najwyraźniej Charlotte jest przykuta do książek, tak jak ja jestem przykuty do łóżka, chociaż ona jest wystarczająco mądra, by lepiej zdawać sobie z tego sprawę. W jej przypadku książkowa nauka ulegnie roztrwonieniu, nigdy tej wiedzy nie wykorzysta, po prostu dlatego, że jest córką, a nie synem.

Nagle jej przerwano. Drzwi się otworzyły, usłyszałem szybkie kroki.

— Więc to tutaj siedzisz? — Surowy głos Thildy i z całą pewnością równie surowe spojrzenie. — Pora spać — mówiła, jakby wydawała rozkazy. — Musisz pozmywać po kolacji. I Edmunda rozbolała głowa. Chcę, byś mu zaparzyła herbaty.

— Tak, mamo.

Słyszę, jak stopy Charlotte dotykają podłogi, książka zostaje odłożona na stolik. Jej lekkie kroki w stronę drzwi.

— Dobranoc, ojcze.

Potem zniknęła. W miejsce jej spokoju pojawiły się nerwowe kroki Thildy. Podeszła do pieca, słyszałem teraz, jak z hałasem dokłada koksu. Robi to sama, bo służąca dawno temu została zmuszona poszukać sobie innej pracy i teraz Thilda codziennie cierpi, że musi zajmować się paleniem w piecach. W najmniejszym stopniu nie próbuje ukryć tego cierpienia, raczej podkreśla je nieustannym wzdychaniem i stękaniem.

Kiedy skończyła, przez chwilę po prostu stała. Ale niedane mi było długo cieszyć się ciszą, bo zaraz znowu zaczęła mówić. Nie musiałem otwierać oczu, by wiedzieć, że stoi przy ciepłym piecu i pozwala płynąć łzom. Widziałem to wiele razy, a towarzyszące temu dźwięki wykluczały jakąkolwiek pomyłkę. Jeremiadzie żony akompaniował trzask palącego się koksu. Odwróciłem się, przycisnąłem ucho do poduszki, by tego nie słyszeć, ale bez wielkiego powodzenia.

Minęła minuta. Dwie. Trzy. W końcu Thilda się poddała i zakończyła swoje żale głośnym czyszczeniem nosa. Chyba zrozumiała, że dzisiaj też niczego nie wskóra. Niemal mechanicznie wydmuchiwała z nosa śluz, wielkie ilości śluzu. Zawsze była taka. Pełna wewnętrznej wilgoci, nawet jeśli nie płakała. Nie miała tej wilgoci jedynie w dolnych partiach ciała. Te były żałośnie suche i zimne. A mimo to urodziła mi ośmioro dzieci.

Naciągnąłem kołdrę na głowę, żeby nie dopuszczać do siebie hałasu, jaki robiła.

— William — rzekła w końcu szorstko. — Przecież widzę, że nie śpisz.

Starałem się oddychać spokojnie.

— Widzę to.

Tym razem powiedziała głośniej, ale przecież nie było powodu, bym zareagował.

— Musisz mnie wysłuchać. — Wydmuchiwała nos z jeszcze większą siłą. — Byłam zmuszona odprawić Albertę. Sklep jest teraz pusty. Trzeba

było go zamknąć.

Nie. Nie byłem w stanie się odwrócić. Sklep jest zamknięty? Pusty. Ciemny. Ten sklep, który miał wykarmić moje dzieci?

Chyba zauważyła, że się ruszam, bo podeszła bliżej.

— Dzisiaj też musiałam prosić o kredyt u kupca. — Mówiła wciąż na pół z płaczem, jakby w każdej chwili znów miała się rozszlochać. — Wszystkie zakupy wzięłam na kredyt, on się tak na mnie gapił, ze współczuciem. Ale nie powiedział nic. To przecież dżentelmen.

Ostatnie słowa przeszły w jęk.

Dżentelmen. W przeciwieństwie do niżej podpisanego, który przypuszczalnie wcale nie budzi w otoczeniu podziwu, zwłaszcza u własnej żony, kiedy tu leży, bez kapelusza i laseczki, monokla i manier. No właśnie, pomyśleć, że mam takie okropne maniery, iż doprowadziłem do nędzy własną rodzinę. No i teraz okoliczności jeszcze się pogorszyły. Sklep został zamknięty, rodzina nie da sobie beze mnie rady przez dłuższy czas, pominąwszy już to, że jest naprawdę konieczne dla wszystkich, by przedsiębiorstwo normalnie działało. Bo to właśnie owe nasiona, przyprawy i cebulki kwiatów sprawiają, że mamy co jeść.

Powinienem wstać, ale nie mogę. Naprawdę nie wiem dlaczego. Łóżko mnie paraliżuje.

Thilda i dzisiaj dała spokój. Kilkakrotnie głęboko zaczerpnęła powietrza, westchnęła z drżeniem. Potem po raz ostatni wytarła nos, przypuszczalnie po to, by mnie przekonać, że każda najmniejsza kropla wilgoci opuściła rejony jej uszu, nosa i gardła.

Materac jęknął, kiedy się położyła. Że też ona chce dzielić łoże z moim spoconym, niemytym ciałem — to więcej, niż jestem w stanie pojąć. To mówi wszystko o jej psychicznej odporności.

Z wolna jej oddech się uspokajał, w końcu przeszedł w głęboki, ciężki i wiarygodny oddech osoby śpiącej, całkiem odwrotnie niż mój.

Położyłem się na boku. Blask płynący od kaflowego pieca pełgał po twarzy Thildy, długie warkocze leżały na poduszce, górna warga pokrywała dolną, nadając jej twarzy wyraz zaciętości bezzębnej staruszki. Długo tak leżałem, przyglądając się żonie, próbowałem odnaleźć w niej to, co niegdyś kochałem, to, co niegdyś wzbudzało moje pożądanie, ale nim do tego doszło, mnie także zmorzył sen.

GEORGE

Jeśli chodzi o śnieg, to Emma miała rację. Już następnego dnia wszędzie ciekło z dachów i chlupało pod nogami. Słońce piekło w drewniane ściany domu, zwłaszcza od strony południowej, kolor płowiał jeszcze bardziej. Temperatura bardzo się podniosła, zrobiło się wystarczająco ciepło na oczyszczające loty pszczół. Bo one nie załatwiają się w ulu, to czyste stworzenia. A kiedy słońce na dobre przygrzeje, wylatują na zewnątrz, by opróżnić jelita. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że zima odpuści właśnie w czasie, gdy Tom jest w domu, bo wtedy chodzilibyśmy razem do pasieki i czyścili w ulach dolne podstawki. Jimmy i Rick dostali nawet wolne, byśmy mogli z Tomem zostać sami. Ale tak się złożyło, że mogliśmy tam iść dopiero w czwartek, zaledwie trzy dni przed jego wyjazdem.

Mieliśmy za sobą spokojny tydzień. On i ja trzymaliśmy się na dystans. Emma wciąż była między nami, śmiała się i gadała jak zwykle. No i naprawdę stawała na głowie, by wymyślić jedzenie odpowiadające Tomowi. Bez umiaru wyczarowywała coraz to nowe rybne dania, nagle jakieś „fantastyczne” i „smakowite” ryby pojawiły się w zamrażarkach naszego sklepu. A Tom dziękował, kłaniał się i „taaak się cieszył tym pysznym jedzeniem”.

Kiedy rybny posiłek został zjedzony, Tom przeważnie siadywał przy kuchennym stole. Czytał złowieszczo grube książki i z zapałem trzaskał w klawiaturę komputera, albo kompletnie pogrążał się w jakichś japońskich krzyżówkach, które nazywał sudoku. Najwyraźniej nawet mu do głowy nie przychodziło, że mógłby się trochę poruszać. Nie zauważał, że

nieoczekiwanie na zewnątrz słońce rozpaliło się, jakby ktoś zmienił żarówkę na silniejszą. Ja znajdowałem sobie różne zajęcia, to jasne, że umiem być zajęty.

Któregoś dnia pojechałem do Autumn i kupiłem farbę, by pomalować dom. Malując południową ścianę, czułem, jak słońce piecze mnie w kark. I zdałem sobie sprawę, że mamy szansę na wyprawę do uli. Tak naprawdę nie musiałem jeszcze ich czyścić, ale to była ostatnia okazja dla Toma, więc postanowiłem kilka oporządzić. Pszczoły zaczynały się już pojawiać na zewnątrz, zbierać pyłek, wabiło je słońce.

Kiedyś Tom lubił pracę przy pszczołach. I chętnie z nami wyjeżdżał. Jimmy i ja parę razy w ciągu zimy oczyszczaliśmy otwory wylotowe, ale poza tym zostawialiśmy pszczoły w spokoju, dlatego zawsze pierwsza wiosenna wizyta w pasiece była czymś wyjątkowym. Dobrze jest znowu zobaczyć pszczoły, usłyszeć znajome brzęczenie, jest w tym radość z ponownego spotkania, prawdziwe święto zjednoczenia.

— Potrzebuję pomocy przy czyszczeniu dolnych podkładek — oznajmiłem.

Byłem już kompletnie ubrany, stałem pośrodku kuchni w kombinezonie i roboczych butach, zaniepokojony, ale i uradowany. Złożyłem siatkę. Tak będzie lepiej. Przygotowałem też dodatkowe wyposażenie, wszystko trzymałem w rękach.

— Już teraz? — spytał Tom, nie podnosząc wzroku znad klawiatury.

Jaki on uparty. Siedział blady w blasku monitora, z palcami na klawiaturze.

Nagle zdałem sobie sprawę, że trzymam ubranie i siatkę trochę zbyt daleko od niego, jakbym dawał mu prezent, którego on nie chce. Wsunąłem więc wszystko pod pachę i drugą rękę oparłem na biodrze.

— Odchody pod nimi gniją, przecież wiesz. Nikt nie lubi mieszkać w gnoju. Ty też nie, choć studenckie stancje zwykle nie należą do najczystszych.

Próbowałem się roześmiać, ale nie bardzo to wyszło. Zresztą jedną rękę miałem ugiętą pod dziwnym kątem. Opuściłem ją, ale zwisała jakoś bezradnie, podrapałem się więc po czole, żeby ją czymś zająć.

— Ale zwykle czekasz z tym jeszcze parę tygodni — rzekł.

Teraz spojrzał na mnie, miał piękne oczy.

— Nie, nie czekam.

— Tato…

Widział, że kłamię. Nie odwracając wzroku, uniósł jedną brew. Było w tym lekceważenie.

— Jest wystarczająco ciepło — wtrąciłem pośpiesznie. — I oczyścimy tylko parę uli. Resztę ci daruję. Zamówiłem już Jimmy’ego i Ricka na przyszły tydzień.

Znowu próbowałem podać mu ubranie i kapelusz z siatką, ale on ich nie przyjął. Nie wyglądało na to, że się podniesie z krzesła, wskazał tylko głową ekran komputera.

— Odrabiam lekcje.

— To nie masz wakacji? — Położyłem wyposażenie na stole przed nim. Spoglądałem na niego stanowczo, chciałem, by w moich oczach wyczytał, że powinien mi pomóc, skoro już przyjechał do domu. — Spotkamy się na dziedzińcu za pięć minut.

Mamy trzysta dwadzieścia cztery ule. Trzysta dwadzieścia cztery królowe, każda ze swoją pszczelą rodziną, rozlokowane po całym dystrykcie, w różnych miejscach, rzadko więcej niż dwadzieścia w jednym skupisku. Gdybyśmy mieszkali w innym stanie, moglibyśmy ustawiać nawet do siedemdziesięciu uli jeden obok drugiego blisko siebie. Znam

pewnego hodowcę w Montanie, który ustawia blisko siebie niemal sto. Jest to tak urodzajna okolica, że pszczoły muszą pokonać ledwie kilka metrów, by znaleźć to, czego im potrzeba. Ale tutaj, w Ohio, rolnictwo jest zbyt monokulturowe. Mila za milą ciągną się pola kukurydzy i soi. Zbyt ograniczony dostęp do nektaru przez większą część sezonu nie pozwala na wyżywienie pszczół.

Emma pomalowała ule na landrynkowe kolory, wszystkie, co do jednego. Robiła to latami — różowe, turkusowe, jasnożółte i zielonkawe, w kolorze pistacji. Wyglądają teraz tak samo sztucznie jak słodycze z chemicznymi barwnikami. Uważa, że to zabawne. Jeśli o mnie chodzi, równie dobrze mogłyby pozostać białe, jak dawniej. Mój ojciec zawsze malował ule tylko na biało, tak jak przed nim dziadek i pradziadek. Mawiali, że liczy się tylko to, co wewnątrz, najważniejsza jest zawartość ula. Emma uważała jednak, że pszczoły lubią kolory i że tak jest bardziej osobiście. Kto wie, może ma rację. I muszę przyznać, że na widok malowanych pszczelich domków rozrzuconych w krajobrazie, jakby jakiś wielkolud rozsypał słodycze, zawsze robi mi się ciepło na sercu.

Zaczęliśmy od łąki położonej między gospodarstwem Mentona, główną drogą oraz Alabast River, która mimo szumnej nazwy jest wąską rzeczką, przypominającą raczej strumyk. Tutaj ustawiłem najwięcej, bo dwadzieścia sześć uli. Najpierw zajęliśmy się intensywnie różowym. Dobrze jest pracować we dwóch. Tom unosił skrzynkę, a ja zmieniałem podstawkę. Wyjmowałem starą, pełną odchodów oraz pszczół padłych zimą, i wsuwałem nową, czystą. W ubiegłym roku zainwestowaliśmy w nowoczesne dolne podstawki z siatkami. Kosztowało to sporo, ale się opłaciło. Wentylacja jest teraz lepsza, czyszczenie łatwiejsze. Większość hodowców pszczół rzadko zmienia podstawki na podobną skalę jak my, ale ja myślę inaczej. Moje pszczoły powinny dobrze się czuć.

W ciągu zimy na podstawkach zebrało się mnóstwo odchodów, ale poza tym wszystko wyglądało dobrze. Mieliśmy szczęście, pszczoły zachowywały się spokojnie, tylko nieliczne wylatywały na zewnątrz. Miło było popatrzeć na Toma. Pracował szybko i sprawnie, znowu znalazł się w sytuacji, do której był przyzwyczajony. Czasami, gdy podnosił ul, pochylał się, obciążając w ten sposób plecy. Ale wtedy ja protestowałem:

— Pracuj nogami.

Znałem wielu, którzy popełnili podobny błąd i przypłacili to uszkodzeniem kręgosłupa, a kręgosłup będzie Tomowi potrzebny przez wiele lat i musi jeszcze dużo wytrzymać.

Pracowaliśmy bez przerwy aż do lunchu. Nie mówiliśmy wiele, czasem tylko dwa, trzy słowa, i to jedynie na temat pracy. „Weź tutaj, o tak, pięknie”. Czekałem, czy Tom nie poprosi o przerwę, ale on nawet o tym nie wspomniał. A gdy około wpół do dwunastej mój żołądek zaczął domagać się jedzenia, to ja zaproponowałem posiłek.

Usiedliśmy na brzegu naczepy i machaliśmy nogami. Miałem termos z kawą i kanapki. Masło orzechowe wtopiło się w gąbczasty chleb, kromki były wilgotne, ale to niewiarygodne, jak smakuje jedzenie po pracy na świeżym powietrzu. Tom milczał. Zdecydowanie nie jest gadułą ten mój syn. Ale skoro on tak chce, to proszę bardzo. Przywiozłem go tutaj, to najważniejsze. Żywiłem tylko nadzieję, że będzie się tu dobrze czuł i że praca sprawi mu przyjemność. Zjadłem i zeskoczyłem na ziemię, by wrócić do pracy, Tom posilał się dalej. Odgryzał maleńkie kęsy i wpatrywał się w kanapkę, jakby czegoś jej brakowało. I nagle oznajmił:

— Mam bardzo dobrego nauczyciela angielskiego.

— Ach tak? — odparłem, przystając. Próbowałem się uśmiechnąć, choć w sposobie, w jaki Tom wypowiedział te całkiem zwyczajne słowa, było coś, co sprawiło, że żołądek mi się skurczył.

— No to chyba dobrze?

Odgryzł kolejny kęs. Żuł i żuł, wyraźnie nie mógł przełknąć.

— On mnie zachęca, żebym więcej pisał.

— Więcej? Więcej od czego?

— On mówi, że…

Umilkł. Odłożył kanapkę, wziął filiżankę z kawą, ale nie pił. Dopiero teraz zauważyłem, że ręka mu lekko drży.

— On mówi, że mam głos.

Głos? Akademickie bzdury. Zachichotałem, czegoś takiego nie można brać poważnie.

— To akurat mógłbym ci powiedzieć dawno temu — rzekłem. — Zwłaszcza kiedy byłeś mały. Twój głos był wysoki i przejmujący. Bogu dzięki, że przeszedłeś mutację. I nie stało się to ani o dzień za wcześnie.

Tom nie zareagował na żart. Siedział w milczeniu.

Mój uśmiech też zgasł. On chce mi coś powiedzieć, co do tego nie ma wątpliwości. Siedzi tam, a w jego duszy płonie coś ważnego. Nabrałem podejrzeń, że jest to coś, czego absolutnie nie chciałbym usłyszeć.

— Dobrze, że nauczyciele są z ciebie zadowoleni — rzekłem w końcu.

— On bardzo mnie zachęca, bym pisał więcej — powtórzył Tom, z naciskiem na „bardzo”. — Mówi, że mógłbym się starać o stypendium i może nawet pójść dalej… na studia doktoranckie.

Poczułem ucisk w piersi, w gardle mi zasychało, w ustach pojawił się mdły smak orzechowego masła, ale nie mogłem przełknąć śliny.

— Ach tak. Tak powiedział?

Tom skinął głową.

Starałem się, by głos brzmiał spokojnie.

— Ile lat trwają takie studia doktoranckie?

Tom spoglądał na czubki swoich butów, nie odpowiadając.

— Bo ja młodszy nie będę — mówiłem dalej. — A tu sprawy nie układają się same.

— Racja. Wiem o tym — odparł cicho. — Ale czy nie masz pomocy?

— Jimmy i Rick przychodzą i odchodzą, kiedy chcą, to nie ich gospodarstwo.

Zacząłem znowu pracować. Układałem brudne podstawki, drewniane ramy uderzały w metal naczepy z głuchym stukotem. Owszem, to prawda, dawniej też słyszeliśmy od nauczycieli, że Tom świetnie sobie radzi z językiem. Z angielskiego zawsze dostawał A, to oczywiste. Jego głowie niczego nie brakuje. Ale przecież nie o angielskim myśleliśmy, posyłając go do college'u. Miał się uczyć ekonomii i radzenia sobie na rynku. Tego rodzaju rzeczy, by w przyszłości mógł ulepszać gospodarstwo. Powiększać je, modernizować, działać bardziej efektywnie i mieć własną porządną stronę internetową. Takich rzeczy miał się uczyć. To dlatego ściboliliśmy i oszczędzaliśmy pieniądze na naukę od czasu, kiedy był małym chłopaczkiem. Nigdy w ciągu tych lat nie pozwoliliśmy sobie na prawdziwe wakacje. Ani razu. Wszystko odkładaliśmy na konto. Co właściwie wie taki nauczyciel angielskiego? Z pewnością siedzi w college'u, w jakimś zakurzonym pokoju, pełnym książek, udaje, że wszystkie przeczytał, siorbie kawę, nosi po domu szalik i strzyże brodę krawieckimi nożyczkami. Jednocześnie udziela „dobrych rad" młodym facetom, którzy przypadkiem mają talent do pisania, nie zdając sobie sprawy, co w nich roznieca.

— Porozmawiamy o tym później — powiedziałem.

Ale tej rozmowy już nie podjęliśmy. Tom wyjechał, zanim zdążyliśmy porozmawiać, a ja tłumaczyłem sobie, że „później" to przecież może być też w odległym czasie. Albo może on tak postanowił? Jeśli nie Emma. Bo nigdy nie bywaliśmy w pokoju sami, Tom i ja. Ani razu. Ani razu przez resztę czasu, który spędził w domu. Emma gruchała wokół nas niczym

leśny gołąb, czujna, wciąż coś serwowała, sprzątała, gadała i gadała absolutnie o niczym.

W tych dniach byłem ciągle zmęczony, często drzemałem na kanapie. Miałem długą listę prac, które powinienem wykonać — stare ule wymagające naprawy, zamówienia, które należało zrealizować. Ale nie mogłem. Jakbym przez cały czas miał stan podgorączkowy. To jednak nie była gorączka. Nawet to sprawdziłem. Po kryjomu poszedłem do łazienki i w domowej apteczce znalazłem termometr. Jasnoniebieski, z namalowanym pośrodku misiem. Emma go kupiła, kiedy Tom był mały. Instrukcja obsługi głosiła, że działa wyjątkowo szybko, tak że dziecko nie musi się męczyć dłużej, niż potrzeba. Ale niestety działał jak wszystkie, czyli długo. Gdzieś w głębi domu słyszałem gruchanie Emmy, której raz po raz odpowiadał Tom. A ja stałem, trzymając w tyłku zimny metalowy termometr, który setki razy znajdował się w pupie mojego synka. Emma często poznawała po oczach, że dziecko ma gorączkę. Ja natomiast zawsze czekałem na elektroniczny sygnał, który świadczył, że wszystko jest w porządku, choć czułem się, jakbym przebiegł maraton albo coś takiego. W końcu wykluczyłem gorączkę, mimo to, nikomu nic nie mówiąc, poszedłem i położyłem się do łóżka. Będą musieli to znieść.

Gruchanie trwało, dopóki Tom nie wsiadł do autobusu. Wtedy, gdy był już w środku, z twarzą przyklejoną do szyby i ulgą malującą się od ucha do ucha, Emma nareszcie umilkła.

Staliśmy więc tam i machaliśmy mu, trochę automatycznie, jakbyśmy działali na baterie. Ręka w górę i w dół, w górę i w dół, wciąż tak samo. Oczy Emmy zwilgotniały, ale może to był tylko wiatr. Na szczęście nie płakała.

Autobus ruszył, blada twarz Toma rozpływała się przed nami, coraz mniejsza i mniejsza. Przypomniała mi nagle inny dzień, kiedy też odjeżdżał

autobusem. Również wtedy jego twarz świeciła tak blado. Z ulgi, ale też ze strachu.

Potrząsnąłem głową, chciałem odepchnąć wspomnienia.

W końcu autobus skrył się za rogiem. Oboje z Emmą opuściliśmy ręce, staliśmy i wpatrywaliśmy się w punkt, w którym pojazd zniknął. Jakbyśmy byli głupi i wierzyli, że on nieoczekiwanie może zawrócić.

— Tak, tak. — Emma westchnęła. — To tyle.

— To tyle? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Tom został nam tylko wypożyczony. — Otarła samotną łzę, którą wiatr wycisnął z jej lewego oka.

Ogarnęła mnie straszna chęć, żeby odpowiedzieć jej ostro, ale dałem spokój. Miałem zbyt duży szacunek do jej łzy.

Odwróciłem się i poszedłem do samochodu.

Emma powlokła się za mną. Kuliła się, ona też.

Usiadłem za kierownicą, ale nie byłem w stanie włączyć silnika. Rękę miałem dziwnie osłabłą, jakby zmęczoną machaniem.

Żona zapięła pas, zawsze bardzo uważa na takie sprawy, i zwróciła się do mnie:

— Nie zamierzasz jechać?

Chciałem unieść rękę, ale nie była mi posłuszna.

— Czy on z tobą o tym rozmawiał? — powiedziałem w stronę kierownicy.

— O czym? — spytała Emma.

— O tym, co planuje. Na przyszłość.

Ona chwilę milczała. Potem padły ciche słowa:

— Przecież wiesz, że Tom kocha pisanie. Zawsze tak było.

— Ja kocham *Gwiezdne wojny*, ale z tego powodu nie zamierzam zostać Jedi.

— Ale on najwyraźniej ma wyjątkowy talent.

— Więc ty go popierasz? Uważasz, że to rozsądny plan? Naprawdę mądry? Dobry wybór drogi życiowej?

Odwróciłem się teraz ku niej, wyprostowałem kark, próbowałem robić stanowczą minę.

— Chcę tylko, żeby był zadowolony — odparła niepewnie.

— Ty tego chcesz.

— Tak. Ja tego chcę.

— A nie pomyślałaś, że on też będzie musiał z czegoś żyć? Z czasem zacząć zarabiać pieniądze?

— Nauczyciel powiedział przecież, że ma na czym budować karierę.

Siedziała teraz, wytrzeszczając swoje wielkie oczy, do bólu szczera. Nie była zła, żywiła tylko niezłomną wiarę, że racja jest po jej stronie.

Ściskałem w dłoni kluczyki do samochodu, nagle stwierdziłem, że sprawia mi to ból, ale nie mogłem przestać.

— A czy w takim razie myślałaś, co zrobimy z gospodarstwem?

Emma milczała. Długo. Spoglądała w bok, obracała obrączkę na palcu, przesunęła ją niżej. Ukazał się biały pasek na skórze, ślad po obrączce, którą nosiła od dwudziestu pięciu lat.

— Nellie dzwoniła w ubiegłym tygodniu — oznajmiła w końcu, jakby w powietrze, nie zwracając się do mnie. — W Gulf Harbors panują właśnie letnie upały. Woda w morzu ma dwadzieścia stopni.

No i znowu to. Gulf Harbors. Ładnie brzmi, choć za każdym razem, kiedy Emma wypowiada nazwę tego osiedla, trafia mnie ona jak obuchem w głowę.

Nellie i Rob to nasi przyjaciele z dzieciństwa. Niestety przeprowadzili się na Florydę. Odkąd tylko tam zamieszkali, muszę się zmagać ze strasznym marudzeniem, nie tylko że powinniśmy ich odwiedzić w tej tak zwanej

oazie w okolicach Tampy, ale że i my powinniśmy się tam przeprowadzić. Emma wciąż wynajduje nowe anonse o domach w Gulf Harbors. Bardzo tani. Położony niedaleko. Moglibyśmy zrobić dobry interes. Molo i basen, świeżo wyremontowany, wspólna plaża i korty tenisowe — jakby to było nam potrzebne — a na dodatek mają oczywiście delfiny i manaty, zwane również krowami morskimi, pluskające się tuż za domem. Po co to komu? Krowy morskie! Wstrętne bestie.

Nellie i Rob strasznie się przechwalali. Opowiadali, że mają mnóstwo nowych przyjaciół. Wymieniali ich imiona: Laurie, Mark, Randy i Steven. Nie było temu końca. Co tydzień jadają wspólnie niedzielny brunch w osiedlowym klubie. Brunch za jedyne pięć dolarów, a podają naleśniki, bekon, jajka i pieczone ziemniaki. Od jakiegoś czasu Nellie i Rob próbują wszystkich do siebie ściągnąć, tak, namawiają nie tylko nas, pewnie najchętniej przenieśliby na południe całe Autumn. Ale ja wiem, o co tak naprawdę chodzi. Oni czują się tam samotni, w tym swoim głębokim kanale. Smutno jest mieszkać taki kawał drogi od rodziny i przyjaciół, znaleźć się z dala od wszystkiego, co otaczało człowieka przez całe życie. Poza tym lato na Florydzie — bliżej piekła podejść się nie da. Gorąco, mokro i okropnie. Z wariackimi wichurami wiele razy na dzień. I choć zima jest pewnie całkiem w porządku, z letnią temperaturą i niewielkimi opadami, kto chciałby żyć bez prawdziwej zimy? Bez śniegu i mrozu?

Wszystko to powtarzałem Emmie wielokrotnie, ale ona i tak nie ustępuje. Uważa, że powinniśmy zacząć ustalać konkretne plany, plany na starość. Nie może przyjąć do wiadomości, że ja to właśnie robię. Chcę zostawić po sobie coś solidnego, dziedzictwo, zamiast siedzieć w starym domu letniskowym, którego nie można sprzedać. Tak, tak. Już dawno poczytałem sobie o rynku nieruchomości na Florydzie. Zrobiłem taki prywatny research. Są powody, by sądzić, że takie domy nie sprzedają się w mgnieniu

oka, jeśli można tak powiedzieć. Ale ja mam inny pomysł. Nowe inwestycje. Więcej uli, o wiele więcej. Traktory. Ciężarówki. Stali pracownicy. Umowy z gospodarstwami w Kalifornii, Georgii, może na Florydzie. No i Tom.

To jest dobry plan. Realistyczny. Trzeźwy. Bo zanim Tom się zorientuje, już będzie musiał zamieszkać gdzieś z żoną i dziećmi. Wtedy okaże się, jak to dobrze, że jego ojciec tak starannie wszystko obmyślił, że gospodarstwo jest zadbane, dobrze utrzymane, a działalność dostosowana do współczesnych standardów. Dobrze, że Tom pracował tu wystarczająco długo, by poznać sztukę pszczelarską od podszewki. Czasy są niepewne. A ja stworzyłem pewność, sam stworzyłem podstawy bytu rodziny, jej przyszłość. Wygląda jednak na to, że nikt tego nie docenia.

Jestem zmęczony od samego myślenia i planowania. Dawniej dodawało mi to sił, by pracować jeszcze więcej, teraz droga naprzód wydaje się długa i wyboista niczym zabłocone koleiny w jesiennym deszczu.

Nie byłem w stanie odpowiedzieć Emmie. Wsunąłem kluczyk do stacyjki, był mokry od potu i zostawił na mojej dłoni czerwony odcisk. Muszę ruszać, zanim zasnę. Emma nie podniosła wzroku, zdjęła obrączkę i pocierała nią palce. Nie może mnie przekonać, a mimo to chce całe nasze życie wywrócić do góry nogami.

TAO

Zgasisz światło? — Kuan odwrócił się do mnie, blady ze zmęczenia.

— Chcę tylko przeczytać to do końca.

Czytałam starą książkę na temat wychowania małych dzieci. Oczy mnie piekły, ale nie chciałam jeszcze spać. Nie spać, czuwać, aż trzeba będzie wkroczyć w nowy dzień.

Mąż obok mnie westchnął. Naciągnął kołdrę na głowę, by zasłonić światło. Minęła minuta. Dwie.

— Tao… Proszę cię. Za sześć godzin musimy wstać.

Nie odpowiedziałam, zrobiłam tylko to, o co prosił.

— Dobranoc — bąknął cicho.

— Dobranoc — odparłam i odwróciłam się do ściany.

Sen zaczynał mnie morzyć, gdy poczułam, że jego ręce wsuwają mi się pod koszulę. Zareagowałam instynktownie, nie byłam w stanie powstrzymać rozkoszy, jaką sprawiał mi jego dotyk, mimo to próbowałam odepchnąć rękę. To on nie jest zmęczony? Po co prosił, żebym zgasiła światło, skoro chce tego?

Ręce się odsunęły, ale jego oddech nie uległ zmianie. W końcu Kuan chrząknął, jakby chciał powiedzieć coś, co leży mu na sercu.

— Czy miałaś… Miałaś dzisiaj dobry dzień?

— O co ci chodzi?

— Nie zapomniałaś, jaki to dzień?

— Nie. Nie zapomniałam.

Nie dodałam, iż miałam nadzieję, że to on zapomniał i będę mogła uniknąć tej rozmowy.

Kuan pogłaskał moje włosy, tym razem troskliwie, bez natarczywości.

— Wszystko z tobą było w porządku?

— Z każdym rokiem jest łatwiej — odparłam, bo z pewnością to właśnie chciał usłyszeć.

— Świetnie.

Uniósł rękę, jeszcze raz pogłaskał mnie po włosach, po czym schował ją pod kołdrą. Materac poruszył się, kiedy Kuan zmieniał pozycję, pewnie ułożył się na brzuchu, tak jak lubi. Sądząc po głosie, odwrócił się ode mnie. Po chwili spał głęboko.

Ale ja leżałam, nie śpiąc. Pięć lat. Minęło właśnie pięć lat, odkąd moja matka odeszła.

Nie, nie odeszła. Została odesłana.

Mój ojciec zmarł, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Liczył niewiele ponad pięćdziesiąt, ale ciało było o wiele starsze. Barki, plecy, stawy, wszystko wyniszczone w ciągu długich lat pracy na drzewach. Poruszał się z coraz większym trudem, może i krew gorzej krążyła, bo kiedy pewnego dnia wbiła mu się drzazga w dłoń, rana nie chciała się goić. Ojciec zbyt długo zwlekał, nie szukał pomocy. Taki już był. A gdy w końcu lekarz dostał zezwolenie, by podać mu antybiotyki, choć ojciec był właściwie za stary na takie kosztowne leczenie, okazało się, że jest za późno.

Mama pozbierała się po jego śmierci zdumiewająco szybko. Rozmawiała z ludźmi, jak należy, okazywała optymizm. Wciąż jestem młoda, powtarzała i uśmiechała się dzielnie. Mam przed sobą jeszcze długie życie. Może mogłabym nawet spotkać jakiegoś mężczyznę.

Ale to były tylko słowa. Bo matka została zdmuchnięta jak te płatki kwiatów, które wiatr unosi, gdy minie czas kwitnienia. W jej wzroku też czaił się wiatr, niemożliwy do opanowania.

Wkrótce nie była w stanie wychodzić do pracy na polach, nie opuszczała domu. Od dawna była chuda, ale teraz prawie przestała jeść. Zaczęła kichać, kaszleć, coraz bardziej słabła, szybko przyplątało się zapalenie płuc.

Któregoś dnia, kiedy poszłam ją odwiedzić, nie otworzyła drzwi. Dzwoniłam wielokrotnie, ale bez skutku. Na szczęście miałam zapasowy klucz i mogłam wejść.

Mieszkanie było czyste i wysprzątane, zostały tylko stare meble, które do niego przynależały. Wszystkie rzeczy matki zniknęły. Poduszki, które podkładała sobie pod plecy, drzewko bonsai, które z takim poświęceniem pielęgnowała, haftowana narzuta, którą lubiła okrywać się od pasa w dół, jakby tam marzła najbardziej.

Jeszcze tego dnia dowiedziałam się, że matka została wysłana na północ. Będzie jej tam dobrze, zapewnił mnie przedstawiciel okręgowego urzędu do spraw zdrowia, i podał nazwę domu opieki. Pokazano mi też zniszczony film prezentujący ten zakład. Jasny i piękny budynek, duże pokoje, uśmiechający się personel. Kiedy jednak poprosiłam o zwolnienie, bym mogła pojechać z wizytą, odpowiedziano mi, że muszę czekać do końca okresu kwitnienia drzew.

Po kilku tygodniach przyszło zawiadomienie, że matka odeszła. Odeszła. Używają takich słów, jakby ona rzeczywiście wstała z łóżka i sobie poszła. Starałam się nie myśleć o tym, jakie były jej ostatnie dni. Zanosząca się kaszlem, trawiona gorączką, przestraszona i samotna. Dlaczego musiała tak umierać? Ale ja nic nie mogłam zrobić. Kuan też tak mówił. Nic zrobić nie mogłam. Powtarzał to raz po raz, w końcu i ja zaczęłam mówić to sama sobie. Aż prawie uwierzyłam.

WILLIAM

Edmund?

— Dzień dobry, ojcze.

Stał przy moim łóżku. Nie miałem pojęcia, od jak dawna znajduje się w pokoju. Bardzo się zmienił, jest wyższy, i nos… Kiedy widziałem go po raz ostatni, wydawał mi się zbyt duży. Nosy u młodych rosną we własnym tempie, wyprzedzając resztę ciała, ale teraz nos syna pasuje do jego twarzy. Edmund zrobił się ładny, tą urodą, której zapowiedź zawsze w sobie miał. Elegancki, choć trochę niestarannie ubrany. Szal w kolorze butelkowej zieleni swobodnie otaczał szyję. Nieco zbyt długa grzywka skrywała oczy, ale było mu z nią bardzo do twarzy. Poza tym wydał mi się blady. Czy nie sypia wystarczająco długo?

Edmund jest moim jedynym synem. Jedynym synem Thildy. Nie trzeba było wiele czasu, bym zrozumiał, że on jest jej, jej bez reszty. Od dnia, kiedyśmy się poznali, dawała do zrozumienia, że jej największym pragnieniem w życiu jest urodzić chłopca, i kiedy w rok później on się u nas pojawił, jej życiowe zadanie zostało wypełnione. Dorothea i Charlotte, a później pozostałych pięć dziewcząt to tylko cienie brata. W jakiś sposób mogłem żonę zrozumieć. Tych siedem dziewcząt nieustannie przyprawiało mnie o ból głowy. Ich niekończące się gadanie, hałasowanie, bieganie, płacz, chichoty, kaszel, pociąganie nosem, ale przede wszystkim rozmowy, które takie dziewczynki prowadzą, zlewały się w jedno. Wszystkie te dźwięki otaczają mnie od chwili, gdy wstaję z łóżka, aż do momentu, kiedy kładę się spać. Ale na tym nie koniec, noce też są niespokojne. Zawsze znajdzie się dziecko płaczące przez sen, zawsze ktoś

idzie przez pokój w samej nocnej koszuli, we śnie zrzuca buty, a jego bose stopy klapią o podłogę, które wślizguje się do łóżka, wydając jakieś odgłosy, niektóre żałośnie szlochają, inne niemal agresywnie żądają, by mogły położyć się między rodzicami.

Zachowanie ciszy jest dla nich niemożliwe, wobec tego dla mnie niemożliwa stała się praca w domu, niemożliwe stało się pisanie. Bo naprawdę próbowałem. Nie zrezygnowałem natychmiast, jak sądzi Rahm. Ale na nic się to nie zdało. Nawet jeśli zamykałem drzwi do swojego pokoju, z jasną i wyraźną informacją dla całej rodziny, że tata musi pracować, więc powinni to uszanować, nawet jeśli obwiązywałem głowę szalem, by stłumić dźwięki lub zatykałem uszy pęczkami wełny, nawet wtedy je słyszałem. Wszystko na nic. Z biegiem lat miałem coraz mniej czasu na własną pracę i wkrótce nie byłem niczym więcej jak tylko pospolitym kupcem, który wypruwa sobie żyły, by nakarmić te wiecznie głodne dziewczęce buzie. Buzie niemające dna. Dobrze zapowiadający się badacz natury musiał ustąpić zmęczonemu, podstarzałemu kupcowi nasiennemu, ze zmęczonymi od stania za ladą nogami, głosem ochrypłym od nieustannych rozmów z klientami i palcami nieustannie liczącymi pieniądze, których nigdy nie starcza. A wszystko to robi przy akompaniamencie zgiełku wzniecanego przez dziewczynki.

Edmund stał całkiem spokojnie. Dawniej jego ciało było niczym morze w pobliżu cypla — wiatr i fale spotykają się tam i uderzają w siebie nawzajem, chaotycznie, bez reguł. Jego niepokój był nie tylko fizyczny, szalał także w jego duszy. Nie było w tym żadnego systemu. W jednej chwili mógł pokazać się z serdecznej, dobrej strony, pomóc nieść wiadro tylko po to, by okazać uprzejmość. W następnej natomiast mógł wylać zawartość wiadra na podłogę, żeby, jak to określił, utworzyć jezioro. Napomnienia do niego nie trafiały. Jeśli podnosiliśmy głos, śmiał się i biegł

w swoją stronę. Zawsze w pędzie, tak go zapamiętałem, jego małe stópki nigdy nie zaznawały spokoju, zawsze w drodze dokądś, od tej czy innej małej katastrofy, którą wywołał. Od wywróconego wiadra z wodą, potłuczonej porcelanowej filiżanki, zniszczonej robótki na drutach. Kiedy coś takiego się działo, a działo się często, nie miałem innego wyjścia, jak tylko go złapać, przytrzymać mocno, wyciągając równocześnie pasek ze spodni. Zacząłem nienawidzić świszczącego odgłosu skóry ocierającej się o materiał, brzęczenia sprzączki spadającej na deski podłogi. Przerażenie tym, co nastąpi, było niemal gorsze od rzeczywistych razów. Skórzany pasek w dłoni i sprzączka. Trzymałem ją w ręce, nigdy nie uderzałem tym końcem, nie byłem jak mój ojciec, który zawsze pozwalał, by sprzączka świszczała w powietrzu i boleśnie raniła mój grzbiet. Ja ujmowałem ją w dłonie i trzymałem tak mocno, że zostawały mi po niej ślady. Pasek spadający na nagie plecy, czerwone plamy rozkwitające na białej skórze niczym pnące się liany. U innych dzieci te czerwone rośliny miały za zadanie tłumić niepokój i przekazywać dziecięcej świadomości pamięć kary, tak by następnym razem nie popełniały tego samego błędu. Ale nie u Edmunda. On zdawał się nie rozumieć, że wszystkie jego nieznośne zachowania doprowadzą go ponownie do pasa, że istnieje związek między jeziorem na kuchennej podłodze i bolesnymi razami. Mimo wszystko musiałem reagować, miałem tylko nadzieję, że on w głębi duszy dostrzega też moją miłość, rozumie, że nie mam wyboru. Karzę go, ergo jestem ojcem. Biłem, a płacz dławił mnie w piersi, pot spływał z czoła, a ręce się trzęsły. Pragnąłem bić tak, aby wyrwać z niego niepokój, ale to nigdy nie pomagało.

— Gdzie są inni? — spytałem, bo dom był dziwnie cichy.

Natychmiast pożałowałem. Nie powinienem był pytać o pozostałych. Nie teraz, kiedy on wreszcie do mnie przyszedł. Nie teraz, kiedy w końcu

jesteśmy tylko my dwaj.

Edmund zachwiał się lekko, jakby tracił równowagę i nie wiedział, na którą nogę przenieść ciężar ciała.

— W kościele.

A zatem to niedziela.

Próbowałem usiąść. Uniosłem lekko kołdrę. W nos uderzyły mnie wonie mojego ciała. Kiedy się ostatnio myłem?

Jeśli Edmund coś zauważył, nie dał tego po sobie poznać.

— A ty? — spytałem. — Dlaczego zostałeś w domu?

Zabrzmiało to jak oskarżenie. Chociaż powinno być podzięką.

Syn nie patrzył na mnie, wbił wzrok w ścianę ponad oparciem łóżka.

— Ja… Miałem nadzieję, że będę mógł z tobą porozmawiać — rzekł w końcu.

Wolno skinąłem głową, ale całą siłą woli starałem się nie pokazać, jaką wielką radość sprawiła mi jego wizyta.

— Dobrze — odparłem. — Bardzo sobie cenię to, że cię widzę. Od dawna miałem nadzieję, że zechcesz przyjść.

Próbowałem siedzieć wyprostowany, ale kręgosłup nie chciał mnie w tej pozycji utrzymywać, musiałem więc oprzeć się o poduszkę. Już samo to było wysiłkiem. Stłumiłem chęć podciągnięcia kołdry jeszcze wyżej, by ukryć pod nią odór. Sam prawie nie mogłem wytrzymać tego smrodu. Że też nie poczułem go wcześniej! Nie zdawałem sobie sprawy, że tak bardzo potrzebuję kąpieli. Uniosłem rękę do twarzy. Zarost, który nigdy nie był zbyt bujny, zwisał teraz z mojej twarzy w postaci długich na wiele centymetrów nierównych kosmyków. Muszę wyglądać jak jaskiniowiec.

Edmund patrzył na moje palce u nóg wystające spod kołdry. Paznokcie były długie i brudne. Pośpiesznie zakryłem stopy i usiadłem na posłaniu.

— No to powiedz mi teraz, co ci leży na sercu.

Nie spojrzał mi w oczy, ale nie było w nim skrępowania, kiedy przedstawiał swoją prośbę.

— Może ojciec mógłby wkrótce wstać?

Na moich policzkach pojawiły się rumieńce wstydu. Thilda mnie prosiła, dziewczynki prosiły, prosił doktor. Ale nigdy przedtem Edmund…

— Nieskończenie sobie cenię, że do mnie przyszedłeś — rzekłem łamiącym się głosem. — Chętnie ci wytłumaczę…

— Wytłumaczysz? — Odgarnął dłonią grzywkę. — Nie potrzebuję żadnych tłumaczeń. Chciałem cię tylko prosić, byś wstał z łóżka.

Co miałem powiedzieć? Czego on ode mnie oczekiwał? Zapraszającym gestem poklepałem dłonią materac.

— Usiądź tutaj, Edmundzie. Porozmawiajmy. Co robiłeś w ostatnim czasie?

On się nie poruszył.

— Opowiedz mi o szkole. Zakładam, że wszystko idzie gładko.

Mój syn przygotowywał się, żeby jesienią wyjechać do szkoły w stolicy. Od dawna oszczędzaliśmy na jego naukę. I wkrótce będzie gotowy. Nagle poczułem ukłucie w piersi, bo przecież Thilda mogła wydać te pieniądze, podczas kiedy ja tu leżałem.

— Zakładam, że nic się nie zmieniło? Szkolne plany nadal obowiązują? — spytałem pośpiesznie.

On przytaknął, ale bez wyraźnego entuzjazmu.

— Pracuję, kiedy znajduję inspirację.

— Świetnie. Inspiracja to ważna siła napędowa.

Wyciągnąłem do niego rękę.

— Chodź i usiądź tutaj. Porozmawiajmy ze sobą szczerze. Dawno tego nie robiliśmy.

On jednak nadal stał.

— Ja… muszę iść na dół.

— Tylko kilka minutek. — Próbowałem mówić swobodnym tonem.

Edmund kręcił przecząco głową, nie patrzył na mnie.

— Muszę się uczyć.

Cieszyłem się, że syn pracuje, ale jednak, skoro w końcu przyszedł, mógłby mi poświęcić trochę więcej czasu.

— Chciałem cię zatrzymać jedynie na chwilkę.

Z jego ust wydobyło się niemal niedosłyszalne westchnienie, mimo to podszedł bliżej. Usiadł na krawędzi łóżka, wahał się przez chwilę i podał mi rękę.

— Dziękuję — powiedziałem cicho. Jego dłoń była ciepła i gładka. Promieniała, stanowiła więź między nami, poczułem, jakby przepływała przeze mnie świeża krew. Chciałem tylko tak siedzieć, ale jego niepokoju nie dało się nie zauważyć. Edmund nie mógł usiedzieć bez ruchu, wciąż zmieniał pozycję, drżały mu nogi.

— Przykro mi, ojcze. — Zerwał się gwałtownie.

— Nie! — zawołałem. — Nie musisz niczego żałować. Rozumiem. To jasne, że powinieneś pracować.

Skinął głową. Wpatrywał się w drzwi, chciał po prostu wyjść, znowu zostawić mnie samego. Zrobił kilka kroków, po czym przystanął, jakby sobie o czymś przypomniał, i się odwrócił.

— Ale ojcze… Czy naprawdę nie mógłbyś przynajmniej próbować znaleźć w sobie tyle woli, by wstać?

Przełknąłem ślinę, wiedziałem, że winien mu jestem szczerą odpowiedź.

— To, czego mi brakuje, to nie jest wola. To jest… pasja, Edmundzie.

— Pasja? — Uniósł głowę, widocznie to słowo coś w nim obudziło. — Więc musisz ją odnaleźć, ojcze — rzekł pośpiesznie. — I pozwolić, by cię prowadziła.

Musiałem się uśmiechnąć. Takie wielkie słowa w tym niepozornym ciele.

— Bez pasji jesteśmy niczym — zakończył ze stanowczością, jakiej dotychczas nigdy u niego nie zauważyłem.

Nie powiedział nic więcej. Po prostu opuścił pokój, a ostatnie, co do mnie dotarło, to odgłos jego kroków na korytarzu. Słyszałem, że dotarły do schodów, potem zeszły na dół. I gdzieś się rozpłynęły. Ja zaś poczułem, że nigdy wcześniej syn nie był mi tak bliski.

Rahm miał rację, zapomniałem o pasji i pozwoliłem, by otoczyła mnie trywialność. Nie wkładałem w swoją pracę wielkiego zainteresowania, dlatego utraciłem Rahma. Ale Edmund wciąż tu jest. Mógłbym nadal być jego mentorem, działać tak, by był ze mnie dumny. W ten sposób mielibyśmy szansę się do siebie nawzajem zbliżyć. Poprzez honor, jakim otoczyłbym rodzinne nazwisko, nasze stosunki mogłyby rozkwitnąć i przynieść owoce. Niewykluczone, że dzięki temu udałoby mi się odnaleźć także powrotną drogę do Rahma, a wtedy byłoby nas trzech: ojciec, syn i nauczyciel.

Przewróciłem się na bok, zrzuciłem kołdrę z cuchnącego ciała, potem wstałem. Tym razem się to dokonało. W końcu.

GEORGE

Stałem w szopie i budowałem drewniane ule. Często się tym zajmuję o tej porze roku. Wiosna się zbliża, przyroda gotowa jest wybuchnąć zielenią, wszyscy mówią o tym, jak jest pięknie, i że chcieliby tylko wyjść na zewnątrz, by się tym rozkoszować. A tymczasem ja przesiaduję w zamknięciu, pod buczącą świetlówką, i hebluję jak szalony. W tym roku pracuję więcej niż kiedykolwiek. Po wyjeździe Toma Emma i ja rozmawialiśmy niewiele. Większość czasu spędzam tu, w szopie. Zresztą, prawdę powiedziawszy, bałbym się wdawać w rozmowę z nią. Jest bardziej wygadana ode mnie, kobiety często takie bywają i nie tak rzadko zdarza się, że osiągają to, co chcą. Chociaż, jak się zastanowić, Emma często miewa też rację. Ale nie tym razem. Tyle to ja wiem.

I właśnie dlatego tkwię w tej szopie. Od rana do wieczora. Reperuję stare ule, buduję nowe. Nie żadne standardowe wyroby, nie w tej rodzinie. Zawsze mieliśmy własny wzorzec. Rysunki techniczne wiszą na ścianie w jadalni, oprawione, za szkłem. To Emma je kiedyś powiesiła. Znalazła te szkice w kufrze na strychu, gdzie sobie po prostu leżały, bo w mojej rodzinie i tak wszyscy znali wymiary na pamięć. Skrzynia, prawdziwy amerykański kufer, mogła zostać sprzedana jakiemuś antykwariuszowi za sporą sumę, ale ja uważałem, że dobrze mieć coś takiego na poddaszu. Niech mi przypomina, skąd pochodzę. Skrzynia przyjechała przez morze z Europy, kiedy pierwszy członek naszej familii postawił stopę na amerykańskiej ziemi. Była to pewna samotna dama. Wszystko pochodzi od niej, z jej skrzyni, od szkiców.

Pożółkły kruchy papier zaczynał się rozpadać, Emma jednak uratowała go za pomocą szkła i solidnych złoconych ram. Postarała się też, by szkice wisiały poza zasięgiem słonecznego światła.

Mnie one w żadnym razie potrzebne nie były. Zbijałem ule już tyle razy, że mógłbym to robić z zamkniętymi oczami. Ludzie śmieją się z nas, że budujemy je sami, żaden inny znajomy pszczelarz tego nie robi. Szkoda im czasu. Ale u nas zawsze tak było. To są nasze ule. Nie mówię o tym głośno, nie chciałbym się przechwalać, ale jestem pewien, że pszczoły czują się lepiej w naszych ulach niż w produkowanych masowo standardowych skrzyniach. Więc niech się ludzie śmieją.

Narzędzia leżały przygotowane w szopie, obok grubych, pachnących desek. Zacząłem od skrzynek. Ciąłem listwy piłą elektryczną i zbijałem deski gumowym młotkiem. Szło mi dobrze, wkrótce widać było rezultaty. Przygotowanie ram wymaga więcej czasu. Dziesięć ram dla każdego ula. Jedyna rzecz, którą kupujemy gotową, to metalowa sieć dla królowej, z otworami szerokości 4,2 milimetra, które sprawiają, że matka nie może się wydostać na zewnątrz, natomiast mniejsze robotnice wychodzą swobodnie. Istnieją granice.

Praca nie dawała mi spać. Tutaj, w zimnej szopie, gdzie trociny unoszą się w powietrzu niczym płatki śniegu, zmęczenie objawia się inaczej niż w domu. Poza tym wściekły zgrzyt elektrycznej piły nie dałby mi zasnąć. Zwykle używam ochraniaczy na uszy wytłumiających dźwięk, ale teraz je zdjąłem, pozwoliłem, by hałas wypełniał mi głowę. Bo wtedy nie ma w niej miejsca na nic innego.

Nie zauważyłem, kiedy weszła Emma. Mogła stać długo i mi się przyglądać, zdążyła w każdym razie włożyć ochraniacze na uszy. Odwróciłem się, by sięgnąć po kolejne listwy, i wtedy ją zobaczyłem. Stała

sobie po prostu z tymi wielkimi żółtymi ochraniaczami z plastiku. Uśmiechała się.

Wyłączyłem piłę.

— Hej?

Emma wskazała na swoje ochraniacze i lekko pokręciła głową. W porządku. Nie słyszy, co mówię. Staliśmy tak przez chwilę. Ona nadal się uśmiechała. Nie mogłem się pomylić co do tego uśmiechu. Ostatnio ważnym tematem w naszej okolicy jest okres przejściowy u kobiet. Panie, kiedy sądzą, że nikt ich nie słyszy, szepczą między sobą o uderzeniach gorąca, zatrzymywaniu wody, nocnym poceniu się i… no właśnie. My też o tym rozmawialiśmy: obniżonym libido. Emma jednak pozostała taka jak dawniej. I oto teraz, kiedy tak stała z ochraniaczami na uszach, nietrudno było się domyślić, czego pragnie.

Od ostatniego razu minęło dużo czasu. Nie byliśmy ze sobą od przyjazdu Toma. Krępowała nas jego obecność w domu, baliśmy się, że mógłby usłyszeć, jakby nadal był malcem sypiającym w naszym pokoju. Zawsze kiedy kładliśmy się do łóżka, zaczynaliśmy szeptać. Poruszaliśmy się ostrożnie, okrywaliśmy kołdrą i każde po cichu przewracało kartki w swojej książce. I potem, kiedy wyjechał, nie podejmowaliśmy tematu. Ja nawet o tym nie myślałem.

Teraz Emma mnie objęła, pocałowała w usta, oczy miała otwarte.

— Sam nie wiem — bąknąłem. Byłem dziwnie sztywny, niezdarny, nie czułem w sobie energii. — Trochę jestem zmęczony.

Ona uśmiechnęła się tylko i znowu wskazała ochraniacze.

Próbowałem je zdjąć, ale mnie odepchnęła.

Znowu staliśmy tak przez chwilę. Trzymałem ją za rękę. Na jej wargach uśmiech trwał jak przyklejony.

— Okay.

Ja też wyjąłem ochraniacze.

— Tak chciałaś?

I z jakiegoś powodu wstąpiło we mnie życie. Nie było wcale cicho, nigdy nie jest całkiem cicho, kiedy człowiek zostawia wszystko za sobą, szum w mózgu, własny oddech, bicie serca, wszystko naraz.

Całowaliśmy się, język Emmy był miękki, usta uchylone i ciepłe. Posadziłem ją na stolarskim blacie. Jej głowa znalazła się na wysokości mojej. Powietrze było zimne, musiała odczuwać dotyk moich palców jakby to były kawałki lodu. Skuliła się, ale nie cofnęła. Chuchałem na swoje dłonie, choć to chyba niewiele pomogło, bo Emma zadrżała, kiedy spróbowałem wsunąć je pod jej sweter. Położyła się na blacie z nogami zwisającymi ku podłodze. Zacząłem całować ją po brzuchu, ale przesunęła moją głowę w dół. Drgnęła pod dotykiem mojego języka. Może nawet jęknęła, ale tego nie mogłem usłyszeć.

Potem leżeliśmy na tym blacie oboje, ona na górze. Wszystko razem nie zabrało nam zbyt wiele czasu, było na to za zimno. I deski stolarskiego blatu boleśnie uwierały mnie w łopatki.

Kiedy skończyliśmy, ona zdjęła ochraniacze z uszu, podciągnęła spodnie i wsunęła w nie brzeg swetra. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, wyszła.

Pozostało jednak ciepło jej ciała, unosiło się w powietrzu nad stolarskim blatem.

Gulf Harbors. Znowu to samo. Gulf Harbors. Słowa nie chciały się ulotnić, nadal tłukły mi się w głowie. Gulf Harbors, lepkie niczym ciasto, Gulf Harbors, mocno potrząsnąłem głową, chciałem się ich pozbyć, ale one trwały tak samo uporczywie: Harb Gulfors, Gulf Borshar, Bors Harbgulf, Harb Forsgulf.

Tam jest teraz ciepło. Wczoraj, w tajemnicy przed Emmą, sprawdziłem pogodę. Nie wiem dlaczego, po prostu włączyłem w telewizorze krajową prognozę pogody, a potem siedziałem i czekałem, aż pojawi się Tampa. Pokazano, że o tej porze roku mogą być niewielkie opady. Tutaj nadal panuje deszczowa wiosna, ale tam już lato jak marzenie. Życie na świeżym powietrzu. Grillowanie. Delfiny. Krowy morskie.

Gulf Harbors.

Słowa tkwiły jak wrośnięte, nie można było się ich pozbyć. Więc niech tak zostanie.

Emma to niezwykła kobieta. Jestem szczęściarzem, że ją mam. Niezależnie od tego, co się stanie, to się nie zmieni. Nawet gdybyśmy przeprowadzili się na Florydę.

TAO

No i nareszcie nadszedł Dzień Odpoczynku. Jak każdego roku niezapowiadany. Aż do poprzedzającego go wieczora nikt nam nawet nie wspomniał, że Komitet zdecydował, iż mieszkańcy ostatecznie zasłużyli sobie na wolne. Oznajmiła to Li Xiara, przewodnicząca Komitetu. Kobieta, która regularnie przekazuje nam najnowsze postanowienia władzy. Jej monotonny, opanowany głos brzmi tak samo, niezależnie od tego, czy wiadomość jest dobra, czy zła. Zapylanie zostało zakończone, oznajmiła teraz, czas kwitnienia wkrótce minie. Możemy sobie na to pozwolić, powiedziała, my, wspólnota.

Czekaliśmy na ten dzień tygodniami. Minęły ponad dwa miesiące od ostatniego wolnego dnia. W tym czasie żyły w rękach stawały się coraz bardziej nabrzmiałe od nieustannego machania pędzelkiem, ramiona i barki coraz sztywniejsze, a nogi wiecznie zmęczone od stania, ale pracowaliśmy i czekaliśmy.

Tym razem obudziło mnie światło, nie zegar. Słońce ogrzewało mi twarz, leżałam z zamkniętymi oczyma i czułam, jak temperatura w pokoju się podnosi. W końcu byłam w stanie otworzyć oczy i się rozejrzeć. Miejsce obok było puste. Kuan już wstał.

Poszłam do niego do kuchni. Siedział z filiżanką herbaty i spoglądał na pola, a Wei-Wen bawił się na podłodze. Było bardzo cicho, dzień odpoczynku dla nas wszystkich, tak jak zostało postanowione. Nawet Wei-Wen zachowywał się spokojniej niż zwykle. Jeździł czerwonym samochodzikiem po podłodze i burczał, udając odgłos silnika. Jego delikatny kark i krótko przystrzyżone włosy, krótkie paluszki obejmujące

samochodzik. Usta burczące tak intensywnie, że ślina rozpryskiwała się na boki. Jego entuzjazm. Na pewno mógłby robić to godzinami, wyznaczać na podłodze drogi dla wszystkich pojazdów, jakie posiada, budować miasta pełne życia.

Zatrzymałam się przy Kuanie. Upiłam łyk jego herbaty. Była prawie zimna, musiał tu siedzieć od dawna.

— Co byś chciał? — spytałam w końcu. — Na co chciałbyś przeznaczyć ten nasz dzień?

Pociągnął z kubka jeszcze jeden łyk, jeden mały łyk, jakby oszczędzał.

— Nie… No nie wiem. A co ty byś chciała?

Usiadłam. On wie, czego by chciał, zdążyłam usłyszeć, jak rozmawiał z kilkoma swoimi kolegami z pracy o tym, co będzie się dziać w centrum tej małej osady, którą nazywamy miastem. Na rynku ma być poczęstunek, ustawi się długie stoły, wszyscy będą się bawić.

— Ja chciałabym przeznaczyć ten dzień dla Wei-Wena — rzekłam swobodnie.

Kuan uśmiechnął się lekko.

— Przecież też tego chcę.

Ale nie spojrzał mi w oczy.

— Mamy wiele godzin, możemy robić różne rzeczy, ja chciałabym nauczyć go cyfr — powiedziałam.

— Mhm. — Wciąż ten unikający mnie wzrok, jakby ustępował, choć wiedziałam, że jest odwrotnie.

— Spytałeś mnie, czego bym chciała — rzekłam. — No więc właśnie tego.

Kuan podniósł się z miejsca, podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu, pomasował lekko. Taki masaż dla przekonania mnie. Próbuje

trafić w mój słaby punkt, wie, że nawet jeśli mogłabym mu się przeciwstawić werbalnie, to fizycznie nie zdołam.

Wymknęłam się ostrożnie spod jego dłoni. On nie może wygrać.

— Kuan…

Mimo wszystko uśmiechnął się i ujął moją rękę. Pociągnął mnie w stronę okna, stanął za mną i przesuwał dłonie po moich ramionach, zsuwał je w dół, na plecy.

— Wyjrzyj na dwór — powiedział cicho, splatając swoje palce z moimi.

Próbowałam się od niego uwolnić, ale trzymał mnie mocno.

— Wyjrzyj na dwór.

— Po co?

Tulił mnie spokojnie, a ja zrobiłam to, o co prosił. Świeciło słońce. Białe płatki kwiatów spływały w dół niczym śnieżynki. Ziemia była nimi usłana. Unosiły się w powietrzu, mieniły biało w słońcu. Szeregi grusz zdawały się nie mieć końca. Mnogość kwiatów powodowała zawrót głowy. Widywałam je każdego dnia, patrzyłam na każde pojedyncze drzewo. Ale nigdy nie zobaczyłam ich tak jak dzisiaj, wszystkich razem.

— Uważam, że powinniśmy się ubrać i pójść do miasta. Wystroić się, kupić coś pysznego do jedzenia. — Jego głos był łagodny, jakby kategorycznie postanowił, że nie będzie się złościł.

Próbowałam się uśmiechnąć, wyjść mu naprzeciw, nie mogłam zaczynać tego dnia od kłótni.

— Nie do miasta, proszę cię.

— Ale przecież wszyscy tam właśnie są.

On chce znowu stać w kolejkach, tak jak czynimy to każdego dnia. Zaczerpnęłam powietrza.

— A nie moglibyśmy pobyć tylko sami?

Kuan uniósł kąciki warg w próbie uśmiechu.

— Wszystko mi jedno, bylebyśmy tylko wyszli z domu.

Odwróciłam się znowu ku oknu, w stronę kwiatów, w stronę tego białego morza. Nigdy nie bywamy wśród drzew sami.

— Może moglibyśmy po prostu pójść tam?

— Tam? Na pola?

— To przecież jest na dworze. — Próbowałam się uśmiechać, ale on nie odpowiedział tym samym.

— No nie wiem.

— Będzie pięknie. Tylko nas troje.

— Właściwie to umówiłem się z kimś na spotkanie…

— I wtedy nie musielibyśmy pokonywać tej długiej drogi z Wei-Wenem. Chyba lepiej, żeby nie musiał tego robić?

Położyłam rękę na jego barku, gest był serdeczny, i nie powiedziałam nic więcej na temat nauki. Ale on mnie przejrzał.

— I książki?

— Chyba możemy jakieś wziąć? Przecież nie musimy się uczyć przez cały dzień.

Nareszcie spojrzał mi w oczy. Wyniośle, ale z lekkim uśmiechem.

WILLIAM

Stanąłem przy biurku. Znajdowało się pod oknem. Światło jest tam najlepsze — to najwygodniejsze do pracy miejsce w pokoju. Ale od miesięcy tutaj nie siadywałem.

Na blacie leżała samotna książka. Czy to on, Edmund, położył ją tutaj, kiedy spałem?

Książka miała pożółkłe arkusze, pokrywała ją cienka warstwa kurzu. A brązowe skórzane okładki wyschły i pękały pod palcami. Teraz rozpoznałem to dzieło, kupiłem je w stolicy w czasie studiów, w okresie, kiedy z radością rezygnowałem przez cały tydzień z drugiego śniadania, by zdobyć nową książkę. Akurat tej jednak nigdy nie przeczytałem, przypuszczalnie dlatego, że kupiłem ją wtedy, kiedy miałem mnóstwo zajęć. Została napisana przez François Hubera, a wydana w Edynburgu w 1806 roku, czyli blisko czterdzieści pięć lat temu, pod tytułem *New Observations on the Natural History of Bees*. To książka o pszczołach, o ulu, superorganizmie, w którym każda jednostka, każdy najmniejszy owad został podporządkowany dużej całości.

Dlaczego Edmund wybrał tę książkę? Akurat tę?

Wyjąłem okulary. Musiałem wytrzeć je z kurzu brzegiem koszuli, potem usiadłem. Poczuć znowu pod plecami oparcie krzesła przy biurku było niczym spotkanie starego przyjaciela.

Okładki zatrzeszczały wojowniczo, kiedy otworzyłem książkę. Ostrożnie przewróciłem stronę tytułową i zacząłem czytać.

Znałem historię François Hubera z czasu studiów, nigdy jednak nie zagłębiłem się tak naprawdę w jego teorie. Urodził się w 1750 roku

w bardzo dobrze sytuowanej szwajcarskiej rodzinie. Ojciec zadbał o zamożność rodu i w przeciwieństwie do niego mały François nie musiał pracować. Jednak rodzina wiązała z nim bardzo konkretne oczekiwania, a mianowicie, by rozwijał się intelektualnie i w ten sposób określił swoje miejsce na ziemi. Musiał coś stworzyć, coś, dzięki czemu jego nazwisko, jak i nazwisko całego rodu, znalazłoby się na ustach wszystkich, powinien wprowadzić ród do podręczników historii. François robił wszystko, by zadowolić ojca. Był inteligentnym dzieckiem i już jako malec czytał poważne dzieła. Budził się po nocach i ukryty za stosem niesłychanie grubych ksiąg czytał, dopóki oczy nie zaczynały łzawić i boleć. W końcu okazało się tego za wiele, wysiłek był zbyt duży i oczy odmówiły posłuszeństwa. Książki nie wprowadziły go w erę oświecenia, doprowadziły go do ciemności.

Jako piętnastolatek niemal oślepł. Wysłano go na wieś z zaleceniem, by odpoczywał, nie wysilał się, uczestniczył jedynie w prostych gospodarskich zajęciach. I tyle.

Ale młody François nie mógł odpoczywać, bo nie zapomniał, jakie nadzieje niegdyś z nim wiązano, a charakter miał taki, że ślepotę traktował nie jak przeszkodę, lecz jako możliwość. Uważał, że wszystko, czego nie może widzieć, może usłyszeć, a przecież zewsząd otaczało go samo życie. Śpiewały ptaki, popiskiwały wiewiórki, wiatr poruszał gałęziami drzew, brzęczały pszczoły.

Jego uwagę przyciągały zwłaszcza te ostatnie.

Powoli rozpoczął swoją pracę badawczą, ta legła u podstaw dzieła, które właśnie trzymałem w rękach. Z pomocą swego wiernego ucznia i imiennika, François Burnena, zaczął dokumentować różne fazy życia pszczół miodnych.

Pierwsze duże odkrycie, jakiego ci dwaj badacze dokonali, związane jest z samym zapłodnieniem. Nikt wcześniej nie opisał, w jaki sposób królowa jest zapładniana, bo nikt dotąd nie zaobserwował, jak to się odbywa, mimo że różni badacze w różnych czasach prowadzili intensywne obserwacje życia w ulu. Huber i Burnen ustalili mianowicie, że zapłodnienie dokonuje się nie wewnątrz ula, lecz poza nim. Nowo narodzone królowe opuszczają ul, wylatują na zewnątrz i tutaj, podczas tak zwanych lotów godowych, odbywa się ów akt. Królowa wraca do ula pełna spermy trutni, ale też zamknięta ich organami płciowymi, które podczas aktu zostają im wyrwane. Odpowiedzi na pytanie, dlaczego natura żąda takiej strasznej ofiary od trutni, Huber nigdy nie znalazł. Że natura rzeczywiście domaga się od nich największej ofiary, czyli ofiary życia, wiedziano już wcześniej, i może lepiej, że nie doszedł do tego właśnie Huber, bo może niewidomy naukowiec nie mógłby pogodzić się ze świadomością, że jedynym życiowym zadaniem trutnia jest się rozmnożyć i z tego powodu umrzeć.

Huber nie tylko badał życie pszczół, lecz także przyczynił się do poprawy warunków ich życia. Zbudował mianowicie nowy typ ula.

Przez długi czas kontakt ludzi z pszczołami ograniczony był do podbierania miodu z naturalnych barci, czyli z plastrów miodu o kształcie półksiężyca, które pszczoły budują na gałęziach lub w dziuplach. Z czasem jednak wielu ludzi tak zafascynowało złoto wytwarzane przez pszczoły, że zapragnęli hodować je podobnie jak się hoduje zwierzęta domowe. Próbowano wykorzystywać ule ceramiczne, ale z niewielkim powodzeniem, następnie zbudowano ul ze słomy, który w czasach Hubera był najpopularniejszy w Europie. W mojej okolicy nadal istnieje wiele słomianych uli na łąkach i przy drogach, stały się czymś w rodzaju elementów krajobrazu. Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się nad nimi, dopiero teraz, podczas spotkania z książką Hubera. Wiedziałem jednak, że

ule te mają swoje wady i niedostatki. Ul ze słomy utrudnia zaglądanie do wnętrza; kiedy trzeba wybierać miód, musi się wyjąć plastry na zewnątrz, a wtedy niszczy się i jaja, i larwy, przez co miód jest zanieczyszczony. Niszczy się też same plastry będące mieszkaniem pszczół.

By wybrać miód, odbiera się pszczołom podstawę ich życia.

I to właśnie Huber postanowił zmienić. Zbudował ul, z którego łatwiej wybierać miód. Otwiera się on niczym książka, w której każdą kartą jest rama dla larw i miodu.

Studiowałem rysunki ula Hubera w książce, jego ramki, wyglądające pięknie, ale chyba niezbyt praktyczne. Chciałem się przekonać, czy można rozwinąć ten pomysł, wypracować metodę, dzięki której wybieranie miodu nie będzie wyrządzać krzywdy pszczołom, a każdy pszczelarz uzyska lepszy wgląd do ula, będzie mógł obserwować królową, larwy i miód.

Nagle zauważyłem, że drżę z przejęcia. Tego właśnie szukałem, to w tym zawiera się moja pasja. Nie byłem w stanie oderwać oczu od rysunków, od pszczół. Chciałem to badać. Badać ul!

TAO

Raz, dwa, trzy: hop!

Podążaliśmy koleinami w stronę pól. Wei-Wen szedł między nami. Miał na szyi moją starą czerwoną chustę. Kochał ją, chciałby nosić codziennie, ale wolno mu było ją wkładać, tylko kiedy nikt obcy nie widzi. Chusta stanowi poświadczenie zasług, nie jest ozdobą ani częścią ubrania. Ale lubiłam, kiedy Wei-Wen ją nosił, może to go zainspiruje? Może wzbudzi w nim pragnienie, by pewnego dnia dostać własną?

Teraz trzymał nas oboje za ręce i domagał się, żebyśmy podrywali go w powietrze tak, by mógł wykonywać długie skoki naprzód.

— Jeszcze! Jeszcze!

Chusta rozjaśniała jego buzię, ale też niemal ją ukrywała, więc raz po raz odsuwał ją na bok.

— Patrzcie! — krzyczał nieustannie. — Patrzcie! — Na drzewo, na niebo, na kwiaty. Przebywanie na świeżym powietrzu było dla niego czymś nowym. Zwykle pola obserwował z okien, zanim musiał wyjść, by zdążyć do szkoły, albo zanim zanosiliśmy go wieczorem do łóżka.

Chcieliśmy dotrzeć do wzniesienia w pobliżu lasu i tam biwakować. To wzniesienie widać z naszego domu, znajduje się nie dalej niż trzysta metrów od niego, więc dla Wei-Wena nie będzie za daleko, wiedzieliśmy też, że z góry jest piękny widok i na las, i na pola.

Mieliśmy ze sobą pieczony ryż, herbatę, koc i puszkę konserwowych śliwek, które zachowaliśmy na jakiś wyjątkowy dzień. Po jedzeniu wyjmiemy przybory do pisania, usiądziemy w cieniu i będziemy pracować.

Miałam nadzieję, że nauczę syna liczyć do dziesięciu. Dzisiaj pójdzie nam łatwiej, Wei-Wen jest wypoczęty. Ja także.

— Raz, dwa, trzy: hop!

Znowu poderwaliśmy go w powietrze, musiał to być piąty lub szósty raz.

— Wyżej! — zawołał.

Nasze lekko przejęte spojrzenia skrzyżowały się nad jego głową. Potem podnieśliśmy go jeszcze raz. Wiedzieliśmy, że nigdy mu się to nie znudzi. To leży w naturze trzylatka, że nigdy się nie nudzi. A nasz synek przywykł dostawać to, czego chce.

— A gdyby on musiał dzielić się nami z kimś jeszcze? — powiedziałam do Kuana.

— Pewnie byłoby to dla niego przykre — odparł mąż z uśmiechem.

Teraz byliśmy już bardzo blisko celu, jeszcze kilka miesięcy i będziemy mieć dość pieniędzy. Wszystko, co udaje nam się zaoszczędzić, odkładamy do zniszczonego ołowianego pudełka w kuchennej szafie. Kiedy będziemy mogli udowodnić, że posiadamy odpowiednio dużą sumę, uzyskamy zezwolenie. Żąda się trzydziestu sześciu tysięcy juanów. My mamy trzydzieści dwa tysiące czterysta siedemdziesiąt sześć. Ale czas nagli, bo wkrótce będziemy za starzy. Granicą jest skończone trzydzieści lat, a my oboje mamy po dwadzieścia osiem.

Wei-Wen będzie mógł mieć brata lub siostrę. Przypuszczalnie przeżyje szok, zwłaszcza że już nie będzie nas miał tylko dla siebie.

Próbowałam puścić jego rękę.

— Teraz możesz iść trochę sam, Wei-Wen.

— Nieee!

— Owszem. Tylko trochę. Do tamtego drzewa. — Wskazałam drzewo jakieś trzydzieści pięć metrów dalej.

— Do którego?

— Do tamtego.

— Ale wszystkie są takie same.

Nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu, on ma przecież rację. Zerknęłam na Kuana. Uśmiechał się do mnie, szczerze i z radością. Nie krzywił się, że jesteśmy tutaj, na szczęście był zadowolony z kompromisu. Po prostu postanowił, tak jak i ja, że to będzie dobry dzień.

— Ponieś mnie! — zapiszczał Wei-Wen i przywarł do moich nóg.

Wyszarpnęłam mu się.

— Chodź tutaj. Weź mnie za rękę.

Ale on nadal marudził.

— Ponieś mnie!

I nagle poszybował w powietrze, kiedy Kuan, bez najmniejszego wysiłku, posadził go sobie na ramionach.

— O tak. Teraz ja będę wielbłądem, a ty jeźdźcem.

— Co to jest wielbłąd?

— W takim razie będę koniem.

Zarżał i Wei-Wen wybuchnął śmiechem.

— Musisz biec, koniu!

Kuan zrobił parę kroków, ale przystanął.

— Nie, ten koń nie będzie biegał. Jest stary i zmęczony. A poza tym chce iść razem z końską mamą.

— Z klaczą — wtrąciłam. — Nie mówi się końska mama, tylko klacz.

— W porządku, z klaczą.

Szedł dalej z Wei-Wenem na ramionach. Próbował wziąć mnie za rękę, uszliśmy tak parę metrów, ale Wei-Wen zachwiał się złowróżbnie, więc Kuan znowu pośpiesznie go chwycił. Ciało Wei-Wena kołysało się w takt kroków ojca, chłopiec wysoko unosił głowę, rozglądał się i nagle zdał sobie sprawę, że zajmuje zupełnie inną pozycję.

— Ja jestem najwyżej.

Uśmiechnął się sam do siebie, taki szczęśliwy, jak tylko może być trzylatek.

Dotarliśmy do szczytu wzniesienia. Rozpościerał się przed nami niezwykły krajobraz. Drzewa w rzędach, jakby wytyczonych pod sznurek, kwitnące, symetrycznie rozstawione pęczki bawełny na tle brązowej ziemi, na której trawa dopiero zaczęła wypuszczać źdźbła spod ubiegłorocznych przegniłych liści.

Ledwie jakieś sto metrów dalej zaczynał się las pełen cieni. Gęsty i mroczny. Dla nas niczego ciekawego tam nie było. Poza tym mówi się, że teraz i te tereny mają zostać obsadzone drzewami owocowymi, a las się wytnie.

Odwróciłam się. W dole aż po horyzont nic tylko drzewa owocowe. Długie szeregi, drzewo za drzewem i jeszcze jedno drzewo, i jeszcze, i jeszcze. Czytałam, że dawniej ludzie podróżowali w celach turystycznych. Wyjeżdżali między innymi na tereny takie jak te, by oglądać je wiosną. Jeździli wyłącznie po to, by patrzeć na kwitnące drzewa owocowe. Czy to piękny widok? Nie miałam pojęcia. To nasza praca. Każde pojedyncze drzewo to dziesięć godzin pracy. Nie mogłam na nie patrzeć, by nie myśleć, że wkrótce obsypią się owocami i będziemy musieli znowu na nie wchodzić. Zbierać owoce tak samo ostrożnie, jak zapylamy kwiaty, pakować delikatnie w papier każdą gruszkę, jakby była ze złota. Ogromna, trudna do ogarnięcia ilość gruszek, drzew, godzin, lat.

A mimo to przyszliśmy tu dzisiaj. Dlatego, że ja tak chciałam.

Kuan rozłożył koc na ziemi. Wyjęliśmy pojemniczki z jedzeniem. Wei-Wen jadł szybko i brudził. Jemu zawsze przy posiłkach się śpieszy. Uważa, że jedzenie jest nudne. Lubi niewiele potraw, jada mało, chociaż my zawsze jesteśmy gotowi oddać mu nasze porcje, gdyby sobie tego życzył.

Ale kiedy otworzyliśmy puszkę ze śliwkami, był spokojny, może dlatego, że i ja, i Kuan zachowywaliśmy spokój. Siedzieliśmy, trzymając ją między sobą. Otwieracz do puszek zazgrzytał ostro, kiedy Kuan wbił go w blachę. Odsunął wieczko na bok i zobaczyliśmy żółte owoce. Pachniały słodko. Ostrożnie wyjęłam widelcem jeden owoc i położyłam na talerzyku Wei-Wena.

— Co to jest? — spytał.

— Śliwka — odparłam.

— Nie lubię śliwek.

— Tego nie wiesz, bo nie próbowałeś.

Pochylił się nad talerzykiem i wysunął koniec języka. Trwało to sekundę, nim poczuł smak. Uśmiechnął się. Potem pochłonął śliwkę, jakby był wygłodniałym psem. Włożył do buzi cały owoc, sok spływał mu z kącików ust.

— Jest tego więcej? — spytał z pełnymi ustami.

Pokazałam mu puszkę. Była pusta. Starczyło tylko po jednej śliwce dla każdego z nas.

— Ale możesz dostać też moją — powiedziałam, przekładając śliwkę na jego talerzyk.

Kuan popatrzył na mnie w skupieniu.

— Ty też potrzebujesz witaminy C — rzekł cicho.

Wzruszyłam ramionami.

— Będę tylko miała ochotę na więcej. Równie dobrze mogę zrezygnować.

Kuan uśmiechnął się do mnie.

— Oczywiście. — Potem przełożył swoją śliwkę na talerzyk Wei-Wena.

Nie minęły dwie minuty i było po wszystkim. Śliwki zniknęły w buzi Wei-Wena. Znowu zerwał się do zabawy, chciał się wspinać na drzewa.

Musieliśmy go powstrzymać.

— Gałęzie mogą się łamać.

— Ale ja chcę!

Tymczasem otworzyłam torbę, by wyjąć przybory do pisania.

— Myślałam, że raczej posiedzimy sobie tutaj i będziemy się trochę bawić liczeniem.

Kuan zaczął przewracać oczami, a Wei-Wen udawał, że nie słyszy, co mówię.

— Patrzcie! Łódka! — Unosił jakiś patyk.

— Bardzo piękna — rzekł Kuan. — A to jest woda. — Wskazał błotnistą kałużę nieco dalej.

— Tak! — zgodził się Wei-Wen i pobiegł w tamtą stronę.

Bez słowa odłożyłam przybory do torby, odwróciłam się do Kuana plecami. Poczochrał moje włosy.

— Dzień jest długi.

— Ale połowa już minęła.

— Chodź tutaj. — Pociągnął mnie na koc. — Poczuj, jak cudownie jest po prostu sobie poleżeć. Rozluźnić się.

Przyłapałam się na uśmiechu.

— W porządku.

Kuan ujął moją dłoń i uścisnął. Odpowiedziałam mu tym samym, a on znowu uścisnął moją. Roześmialiśmy się oboje. Brzmiało to inaczej niż na co dzień.

Odwróciłam się na plecy. Wyciągnęłam jak długa, nie obawiając się, że ktoś może przyjść i kazać mi wstać, bo przerwa się skończyła. Słoneczne światło mnie oślepiało. Zamknęłam jedno oko, świat utracił głębię. Jaskrawoniebieskie niebo zlewało się z białymi kwiatami na drzewach powyżej nas. Wszystko stało się jedną płaszczyzną. Niebo prześwitywało

pomiędzy płatkami. Jeśli będę patrzeć wystarczająco długo, plan pierwszy zamieni się z drugim. Jakby niebo było błękitną szydełkową narzutą z dziurkami, położoną na białym tle.

Zamknęłam oczy. Poczułam dłoń Kuana w mojej, spoczywała tam całkiem spokojnie. Mogliśmy ze sobą rozmawiać. Mogliśmy się kochać. Ale żadne z nas nie chciało niczego więcej, tylko tak leżeć. Słyszeliśmy, jak poniżej, nad błotnistą kałużą, Wei-Wen wydaje z siebie odgłosy pracującego silnika, a jego łódź pływa tam i z powrotem.

Po chwili musiałam zmienić pozycję. Łopatki boleśnie wbijały się w ziemię. Powoli zaczynał mnie boleć krzyż. Położyłam się teraz na boku i wsparłam głowę na ręce. Kuan oczywiście zasnął, cicho pochrapywał. Gdyby mu pozwolono, mógłby przespać chyba cały tydzień bez przerwy. Zawsze był trochę zbyt szczupły, zbyt blady, przez cały czas niedożywiony. Sypia mniej, niżby potrzebował, dostaje mniej jedzenia, niż powinien. Mimo to jakoś funkcjonuje, jego dni pracy są dłuższe od moich, ale nigdy nie okazuje niezadowolenia. Rzadko się skarży.

Jak tu teraz cicho… Bez tłoczących się wszędzie robotników. Nawet burczenie Wei-Wena ustało. Wiatr nie szeleści w trawie, znikąd żadnego dźwięku. Pustka.

Usiadłam. Gdzie on jest? Odwróciłam się w stronę kałuży. Trwała samotna w blasku słońca. Błotnista brunatna woda połyskiwała.

Zerwałam się.

— Wei-Wen?

Nikt nie odpowiadał.

— Wei-Wen, gdzie jesteś?

Mój głos nie docierał dalej niż kilka metrów. Pochłaniała go cisza.

Odeszłam od koca, tak by mieć jak najlepszy widok na okolicę.

Syna nigdzie nie było.

— Wei-Wen?

Kuan obudził się, usłyszawszy moje nawoływania, zerwał się na równe nogi i też się rozglądał.

— Widzisz go?

Pokręcił głową.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak nieskończenie rozległa jest ta okolica. I że wszystko jest tu takie samo. Jedno pole za drugim porośnięte gruszami. Nie ma nic, według czego można by się orientować, prócz lasu i słońca. I jeden trzylatek sam gdzieś tutaj…

Pobiegliśmy w dół, do kałuży. Patyk leżał w wodzie.

— Jeśli pójdziesz tam, to ja ruszę tędy. — Kuan mówił rzeczowo, nie dramatyzował.

Przytaknęłam.

— On się z pewnością tylko gdzieś zagapił — powiedział Kuan. — Nie mógł odejść daleko.

Pospieszyłam przed siebie, biegłam po nierównej ziemi, za śladami kół, ku północy. Tak, on z pewnością się zapomniał. Znalazł coś tak ciekawego, że nie słyszy naszych nawoływań.

— Wei-Wen! Wei-Wen!

Może miał szczęście i odkrył jakieś maleńkie stworzonko. Owada. Albo pień przypominający smoka. Coś, co go zatrzymało, sprawiło, że mały się rozmarzył, zapomniał o wszystkim, coś odkrył. Jakieś robaki. Ptasie gniazdo. Mrowisko.

— Wei-Wen?! Gdzie jesteś?! Wei-Wen!

Starałam się, by mój głos brzmiał pogodnie i miło, słyszałam jednak, że się trzęsie. I gdzieś dalej wołanie Kuana:

— Wei-Wen? Halo?

Jego głos był spokojny, nie taki jak mój. Wsłuchiwałam się w niego uważnie. Próbowałam wołać tak samo. On jest tutaj, to oczywiste, że tutaj jest. Siedzi i bawi się, zapomniał o bożym świecie.

— Wei-Wen?

Słońce piekło mnie w plecy.

— Wei-Wen? Moje dziecko!

Miałam wrażenie, że temperatura bardzo się podniosła.

— Wei-Wen? Odpowiedz nareszcie, kochanie!

Mój oddech. Nierówny. Urywany. Rozejrzałam się i zdałam sobie sprawę, że znajduję się już kilkaset metrów od wzgórza. To niemożliwe, by chłopiec zaszedł tak daleko. Zaczęłam biec z powrotem, trzymając się kursu. Orientowałam się po śladach kół ciągnących się kilka metrów w bok ode mnie.

Przypomniałam sobie, że Wei-Wen miał na szyi czerwoną chustę. Miał czerwoną chustę. Dzięki temu łatwiej go zobaczymy. Pomiędzy brunatną ziemią, zieloną trawą i białymi kwiatami chusta powinna mienić się jaskrawo.

— Tao! Tao! Chodź! — Głos Kuana. Obcy i ostry.

— Znalazłeś go?

— Chodź!

Zmieniłam kierunek i pognałam tam, skąd dochodził głos. Krtań mi się zaciskała przy każdym oddechu, coraz trudniej było mi wciągać powietrze, które zdawało się nie docierać do płuc.

Dostrzegłam Kuana między drzewami. Biegł w moją stronę. Za nim rozciągał się las, mroczny i wielki. On idzie stamtąd? Czyżby Wei-Wen tam właśnie się zagubił?

— Coś jest nie w porządku? Stało się coś?!

Ledwo byłam w stanie wydobyć z siebie głos, dyszałam z wysiłkiem.

I teraz zobaczyłam ich wyraźnie. Kuan zbliżał się do mnie. Twarz miał jakby przemarzniętą, oczy wytrzeszczone. Trzymał coś w rękach.

Czerwona chusta.

But, który wybijał takt, w rytm ruchów Kuana, czarna zwisająca dziecięca głowa.

But. Głowa, która kiwa się z boku na bok.

Podbiegłam do Kuana.

Wydałam z siebie cichy jęk, stłumiłam krzyk.

Bo Wei-Wen walczył o oddech. Twarz miał białą, oczy, które na mnie patrzyły, błagały o pomoc.

Czy on coś zjadł? Czy jest ranny? Krwawi? Nie. Był jak sparaliżowany.

Kuan powiedział coś, ale nie słyszałam słów. Widziałam, że jego wargi się poruszają, jednak nie docierał do mnie żaden dźwięk.

Nie zatrzymywał się, wołałam coś. „Rzeczy. Nasze rzeczy". Jakby one były ważne. Ale Kuan nie reagował. Po prostu biegł z Wei-Wenem w ramionach.

Rzuciłam się za nimi. Towarzyszyłam mężowi i dziecku, biegliśmy w stronę zabudowań, w stronę pomocy.

Kołyszący się but. Poruszająca się na wietrze czerwona chusta.

Przez całą drogę do miasta nie zwolniliśmy tempa. Nie spuszczałam wzroku z mojego dziecka, z Wei-Wena, którego oczy były wielkie i przerażone. Nie mogłam jednak zrobić nic innego, tylko biec.

Wciąż powtarzałam jego imię.

Ale teraz on już nie reagował. Ciało stawiało coraz mniejszy opór. Spocone czoło było jeszcze bledsze.

Oczy się zamknęły.

Jak daleko jeszcze? Jaką część drogi już pokonaliśmy? Czy to naprawdę aż taka odległość? W końcu ukazały się przed nami pierwsze zabudowania.

Ale nadeszliśmy z innej strony. Drogi są takie same i nie zauważyliśmy różnicy. Powitała nas cisza. Gdzie podziali się ludzie?

W końcu ukazała się jakaś postać. To starsza kobieta. Dokądś wychodzi. Wystroiła się. Tyle zauważyłam. Że kobieta ma szminkę na wargach i ubrana jest w sukienkę. „Stop!”, zawołał Kuan. „Stop. Pomóż nam!” Kobieta wyglądała na zakłopotaną. Wreszcie zauważyła dziecko.

Karetka pojawiła się w ciągu kilku minut. Nadjeżdżając, wzbijała chmury pyłu z wysuszonej drogi, który osiadał na włosach Wei-Wena, na jego butach, na powiekach. Z samochodu wybiegł ubrany na biało personel. Ostrożnie wzięli dziecko z objęć Kuana i zabrali je ze sobą. Ramiona Wei-Wena opadły, to ostatnie, co widzieliśmy. Kuan i ja zostaliśmy wprowadzeni do samochodu, ale nie z tyłu, tam gdzie on leżał, nas posadzili z przodu. Ktoś przypomniał, że trzeba zapiąć pasy bezpieczeństwa.

Pasy bezpieczeństwa. Na co nam one?

GEORGE

Ocknąłem się na godzinę i dwadzieścia dwie minuty przed dzwonkiem budzika. Pościel była przepocona, zrzuciłem z siebie pierzynę, wiedziałem jednak, że już nie zasnę. To dzień kontrolowania uli, pierwszej inspekcji po zimie. Często przed tym dniem sypiałem źle, w głowie miałem tylko ule. Wosk, plastry i larwy okupowały moje myśli. Nie miałem pojęcia, co zastanę w środku, zdarzała mi się już zimowa śmiertelność sięgająca pięćdziesięciu procent. I to uczucie, kiedy tam stoisz i widzisz, że przynajmniej w połowie uli nie ma ani larw, ani królowej. To straszne. Ale ostatnia zima była normalna, nie ma się na co skarżyć. Ani specjalnie zimna, ani zbyt ciepła, nie ma powodu, żeby obawiać się czegoś zaskakującego. Ale mimo to… Drżąc, czekałem na Ricka i Jimmy’ego. Prosiłem, byśmy się spotkali o wpół do ósmej. Chciałem po prostu zacząć jak najszybciej. Najchętniej wyruszyłbym już teraz, ale mamy tyle rzeczy do zrobienia, wszyscy trzej, że ten pierwszy dzień kontroli zaczynamy od spotkania tutaj, na dziedzińcu, żeby przejrzeć, co trzeba, i wypić, co trzeba.

Rick jak zawsze przyszedł pierwszy. To wysoki i szczupły mężczyzna, ale jakby różne części jego ciała nie zostały dokładnie poskładane. Przypomina trochę Jamesa Stuarta, tylko nie ma tak sympatycznej gęby. Długi ostry nos, oczy głęboko osadzone w czaszce, włosy przerzedzone na czubku głowy, choć nie skończył jeszcze trzydziestki. Wytaszczył się z samochodu. Rick wykonuje zawsze dziesięć razy więcej ruchów niż to konieczne, niezależnie od tego, co ma robić; cała jego osoba jest fatalnie zorganizowana. Ale przepełnia go zapał. Zdobył rolnicze wykształcenie na kursach korespondencyjnych, wciąż mnóstwo czyta. Niezależnie od tego,

co zamierzamy robić, Rick zawsze potrafi przedstawić kontekst sprawy. I historię. I teorię. Jak za naciśnięciem guzika. Stanowi coś w rodzaju automatu do opowiadania anegdot.

Marzy o własnym gospodarstwie, ale prawdę powiedziawszy, lepiej by zrobił, gdyby marzył o siedzeniu za biurkiem i wykorzystywaniu głowy.

Teraz stał, machając rękami, jak zwykle nie mógł zachować spokoju.

— No to tak — powiedział.

— No to tak — powtórzyłem.

— Tak… Masz jakieś przypuszczenia, jak się sprawy mają?

— Nie… Chyba dobrze. Nic nie wskazuje, żeby było inaczej.

— Rzeczywiście, nic.

Rick zmarszczył czoło, poczochrał swoje przerzedzone włosy.

— Ale może. — Drapał się teraz obiema rękami, można by pomyśleć, że ma wszy. — Przecież nigdy nie wiesz.

— No właśnie. Nigdy nie wiesz. Chociaż przy tej zimie…

— Tak. To jasne…

— No właśnie.

— Z drugiej strony jednak są też te zniknięcia.

— Ach, te.

Zachowywałem się, jakbym o niczym nie słyszał. Ale oczywiście słyszałem. Szczerze mówiąc, śledziłem sprawę. „The Autumn Tribune” wspomniała nawet o tajemniczych zaginięciach, z którymi miała do czynienia część pszczelarzy na Południu. W listopadzie pewien facet z Florydy zameldował, że jego ule nagle opustoszały. Nazywał się David Hackenberg. Potem wszyscy zaczęli mówić o tym, co się stało na jego farmie, i od tamtej pory pojawia się coraz więcej meldunków z Florydy, Kalifornii, Oklahomy i Teksasu.

Wydarzenia mają zawsze taki sam przebieg. Do pewnej chwili ule funkcjonują normalnie, jedzenia jest pod dostatkiem, larwy, wszystko w dobrym stanie. I oto, w ciągu paru dni, a nawet godzin ule niemal dokumentnie pustoszeją. Pszczoły znikają, porzucają swoje potomstwo, zostawiają wszystko. I nigdy nie wracają.

Pszczoły to czyste stworzenia. Wylatują z ula, by umrzeć, nie chcą tam zostawać, żeby nie zanieczyszczać domu. Może to jest właśnie przyczyna. Tylko że królowa zawsze zostaje, razem z gromadką młodych pszczół. Robotnice porzucają matkę i młode, skazując je na samotną śmierć w ulu. Wbrew naturze.

Nikt nie wie na pewno, dlaczego tak się dzieje. Kiedy usłyszałem o tym pierwszy raz, pomyślałem, że przyczyną jest niewłaściwa pielęgnacja. Że ten cały Hackenberg nie zajmował się swoimi pszczołami jak należy. Spotkałem naprawdę wielu pszczelarzy, którzy oskarżają innych, a właściwie sami ponoszą winę. Za mało cukru, za gorąco, za zimno. Nie zajmujemy się przecież fizyką kwantową. Z czasem jednak dziwnych opowieści przybywało, były zbyt podobne jedna do drugiej, mówiły o nagłych wydarzeniach. A to już co innego.

— Sprawa dotyczy tylko Południa — powiedziałem.

— Tak. Tam jest najgorzej — potwierdził Rick.

W tym samym momencie zielony pikap Jimmy’ego wjechał na dziedziniec. Jimmy wysiadł, szeroko się uśmiechając. O ile Rick się martwi i myśli za dużo, o tyle Jimmy jest pogodny i prostolinijny. Ani jednego zbędnego ruchu, żadnego posunięcia, które nie byłoby absolutnie niezbędne. Ale pracować to on umie.

Jeśli czegoś Jimmy’emu brakuje wewnątrz, to został wyposażony na zewnątrz. Jest przystojny w stylu uniwersyteckim. Blondyn, bujna czupryna, dołek w brodzie, potężne szczęki, doskonałe proporcje, przez

okrągłą dobę powinien mieć na sobie strój futbolowy. W dodatku bardzo dba o swój wygląd. Zawsze przystrzyżony, uczesany. Niejasne jest tylko, dla kogo tak się stroi, bo nigdy nie pojawiła się w jego pobliżu żadna dziewczyna.

Trzymał w ręku termos. Zauważyłem, że nowy. Lśniąca stal odbijała słoneczne światło, oślepiła mnie, zanim Jimmy odwrócił dzbanek.

Każdy z nas wyjął swoją filiżankę. Jimmy kupił je kilka lat temu. Nieduże zielone filiżanki z działu turystycznego Kmartu. Można ścisnąć je tak, że robią się płaskie. Obaj z Rickiem wyciągnęliśmy je w stronę Jimmy'ego, który bez słowa otworzył termos.

— Świeżo mielone ziarna — powiedział i zaczął nalewać.

Mnie podał pierwszemu.

— Kolumbijska. Ciemna, mocno palona.

Jeśli o mnie chodzi, równie dobrze mógłby to być proszek. Kawa to kawa. Dla Jimmy'ego przygotowywanie kawy jest przypuszczalnie tym, co najbardziej przybliża go do sztuki. Ziarna kupił przez internet. Uważa, że powinny być mielone tuż przed parzeniem, bo kawa rozpuszczalna to dzieło szatana. Poza tym trzeba ją parzyć w odpowiedniej temperaturze. Temperatura ma decydujące znaczenie. W tym celu Jimmy zainwestował w europejski ekspres do kawy, który tygodniami czekał na cle, zanim w końcu można go było przywieźć do domu.

Stuknęliśmy się filiżankami. Miękki plastik dotknął miękkiego plastiku niemal bezgłośnie. Nareszcie każdy z nas pociągnął łyk.

Teraz nadeszła ta chwila, kiedy mieliśmy wychwalać kawę, powiedzieć coś rozsądnego. To należy do rytuału. Zmrużyłem oczy, smakowałem płyn w ustach niczym jakiś znawca win.

— …głębia… pełnia.

— Mhm — przytaknął Rick. — Czuje się smak palonych ziaren.

Jimmy kiwał głową, zadowolony. I spoglądał na nas z oczekiwaniem, niczym dzieciak czwartego lipca. Spodziewał się więcej.

— Tak, to jednak coś całkiem innego niż proszek — rzekłem.

— Najlepsza kawa w tym roku — dodał Rick.

Jimmy znowu skinął.

— Niech no tylko kupię młynek i postaram się o porządne ziarna. Wtedy będziecie sobie mogli brać go też do domu.

Zawsze to powtarzał, choć dobrze wiedział, że nigdy nie dojdzie do tego, byśmy taszczyli ze sobą młynek. U nas w domu kawę robi Emma. Przygotowuje też mrożoną. Ostatnio próbowała jakichś dziwnych rzeczy, dodała mleka w proszku i cukru, ale ja zostaję przy czarnej.

— Czy wiecie, że najstarszy ślad dotyczący kawy, jaki znaleziono, to pochodząca sprzed tysiąca pięciuset lat historia z Etiopii? — spytał Rick.

— Rany, nie, naprawdę? — dziwił się Jimmy.

— Naprawdę. Pasterz kóz, niejaki Kaldi, odkrył, że kozy po zjedzeniu pewnych czerwonych jagód zachowują się dziwnie: mianowicie nie śpią. Powiedział o tym znajomemu mnichowi.

— Czy tysiąc pięćset lat temu w Etiopii byli mnisi? — spytałem.

— Tak. — Popatrzył na mnie rozkojarzony, z lekko rozbieganym wzrokiem.

Jimmy natomiast machnął ręką.

— Oczywiście, że istnieli mnisi.

— Chyba jednak nie chrześcijańscy. Chodzi mi o to… Etiopia czy w ogóle Afryka w tamtych czasach nie…

— Niezależnie od tego, jak było, mnich się tym zainteresował. Bo często przysypiał podczas modlitwy, więc zalał te owoce gorącą wodą i wypił napar. Voilà, kawa!

Jimmy kiwał głową zadowolony, Rick zrobił research. A to honor dla jego kawy.

Wypiliśmy. W wiosennym wietrze kawa szybko stygnie. Ostatni łyk był letni i cierpki. Potem poszliśmy każdy do swojego samochodu i ruszyliśmy w stronę uli.

Dopiero kiedy położyłem ręce na kierownicy, poczułem, jaki jestem spocony. Dłonie lepiły się do skóry, by móc prowadzić, musiałem wycierać je o spodnie kombinezonu, sweter przyklejał się do pleców. Nie wiedziałem, co nadchodzi. Ogarniała mnie groza.

Mieliśmy do pokonania tylko kilkaset metrów wyboistej drogi, wkrótce znaleźliśmy się na łące nad Alabast River.

Wysiadłem, dłonie splotłem na plecach, by ukryć drżenie.

Rick już był gotowy. Podskakiwał zniecierpliwiony. Chciał zaczynać.

Jimmy też wysiadł z samochodu. Wystawił nos w stronę słońca, jakby węszył.

— Ciekawe, jaka teraz może być temperatura? — Zamknął oczy, wyglądał, jakby zamierzał tak trwać, nieruchomo i całkowicie bezczynnie.

— Wystarczająco wysoka. — Szedłem szybko w stronę uli. Ktoś musi dawać przykład. — Trzeba zaczynać.

Sprawdziłem wlot do pierwszego ula, pomalowanego na kolor pistacjowy, farba płatami odpadała w trawę porastającą zbocze. Był pełen pszczół, tak jak należy. Uniosłem wieko. Spodziewałem się najgorszego, ale w środku wszystko było dobrze. Nie widziałem królowej, jednak wszędzie znajdowało się sporo jaj i larw w różnych stadiach. Sześć pełnych ramek. Ul może stać tak jak teraz, trwa w nim życie, nie trzeba jego mieszkańców łączyć z innym rojem.

Odwróciłem się do Jimmy’ego. Wskazał głową ul, który on otworzył.

— Tutaj wszystko w porządku.

— Tutaj też — wtrącił Rick.

Posuwaliśmy się dalej. W miarę jak słońce przygrzewało i otwieraliśmy jeden ul po drugim, czułem, że moje ciało wysycha w bardzo przyjemny sposób. Ręce zrobiły się ciepłe, ubranie odkleiło się od pleców. Czasem napotykaliśmy oczywiście na problemy. Niektóre pszczele rodziny trzeba było łączyć ze sobą, gdzie indziej nie znajdowaliśmy królowej. Ale nie działo się nic nienormalnego. Wyglądało na to, że zima upłynęła pomyślnie. Jakby zaraza masowego ginięcia pszczół nie dotarła tu z południa kraju. Tego by tylko brakowało. Pszczoły są dobrze pielęgnowane, naprawdę nic złego się nie dzieje.

Spotkaliśmy się znowu, by zjeść lunch. Każdy usiadł na swoim trzeszczącym kempingowym stołku i grzejąc się w słońcu, jadł wilgotne kanapki. Z jakiegoś powodu wszyscy trzej milczeliśmy niczym w kościele. Aż do chwili, kiedy Rick nie mógł się już powstrzymać.

— Słyszeliście to o Kupidynie i pszczołach?

Żaden z nas nie odpowiedział, jeszcze jedna historia. Czułem, że jej nie potrzebuję.

— Słyszeliście? — spytał znowu.

— Nie — odparłem. — Dobrze wiesz, że nie słyszeliśmy o Kupidynie i pszczołach.

Jimmy zachichotał.

— Kupidyn to był swego rodzaju bóg miłości — rzekł Rick. — Tak uważali starożytni Rzymianie.

— Ten ze strzałami — wtrąciłem.

— Tak, to on. Syn Wenus. Wyglądał niczym duże niemowlę, a wszędzie chodził z łukiem i strzałami. Jeśli strzała trafiła człowieka, budziła w nim namiętność.

— Ech, to dosyć perwersyjna sprawa, bóg namiętności wyglądający jak niemowlę. — Jimmy zachichotał.

Ja też się roześmiałem, ale Rick spojrzał na mnie surowo.

— A wiedzieliście, że on zanurzał swoje strzały w miodzie?

— Nie, no nie mów!

— Nigdy o Kupidynie nie słyszałem — rzekł Jimmy. — Aż do tej chwili.

— No więc tak, on zanurzał strzały w miodzie, który kradł — tłumaczył Rick, przeciągając swoje ciało tak gwałtownie, że stołek zatrzeszczał ostrzegawczo.

Roześmialiśmy się, ale nie Rick. On chciał opowiadać dalej.

— Więc to niemowlę krążyło po okolicy i kradło pszczołom miód. Zabierało ze sobą całe ule. Aż pewnego dnia… — Rick zrobił artystyczną pauzę. — Aż pewnego dnia pszczoły miały dość i zaatakowały go. — Słowa przez chwilę zawisły w powietrzu. — A Kupidyn był golusieńki, bo w tamtym czasie bogowie chętnie tak chodzili. Został pożądlony wszędzie, naprawdę WSZĘDZIE.

— Zasłużył sobie na to — burknąłem.

— Możliwe. Pamiętaj jednak, że było to małe dziecko. Malec pobiegł do Wenus, swojej matki, po pociechę. Wrzeszczał, przerażony, że coś tak niepozornego jak pszczoła mogło sprawić mu tyle bólu. Ale czy myślicie, że matka zaczęła go pocieszać? Nie. Ona się po prostu roześmiała.

— Roześmiała się? — spytałem.

— Ty też jesteś mały, kochanie — tłumaczyła mu. — A twoje strzały mogą przysporzyć większego bólu niż użądlenie pszczoły.

— O rany — jęknąłem. — No i co dalej? Co się stało?

— Nic, nic dalej się nie działo — odparł Rick.

Obaj z Jimmym przyglądaliśmy mu się podejrzliwie.

— To już cała historia? — dopytywał się Jimmy.

Rick wzruszył ramionami.

— Tak. Namalowano na ten temat mnóstwo obrazów. Wenus zwykle stoi. Jest bardzo piękna, porcelanowa skóra i wspaniałe kształty. I ona też jest naga. Obok stoi jej synek z plastrami wosku w rękach i płacze, a pszczoły go żądlą.

Przeniknął mnie dreszcz.

— No, co za matka. — Jimmy się skrzywił.

— Tak można powiedzieć — rzekł Rick.

W końcu zaległa cisza. Zamrugałem, by uwolnić się od obrazu płaczącego, pożądlonego dziecka. Słońce piekło mnie w kark. Taki dzień jak dzisiaj Emma nazywa rozkosznym. Starałem się więc poczuć, jak bardzo jest rozkoszny. I jak dobrze, że słońce tak pięknie świeci. Bo słońce oznacza miód. Zapowiada się dobry rok. A dobry rok to pieniądze na koncie. Pieniądze zaś można zainwestować w farmę. Tak powinno być. Komu potrzebna jakaś Floryda? Powiem jej to dziś wieczorem: Komu potrzebna jakaś Floryda?

TAO

Nastał wieczór. My jednak nie spaliśmy. Oczywiście, że nie. Sądziliśmy, że pojedziemy do naszego małego lokalnego szpitala we wsi, ale zostaliśmy wysłani do wielkiego szpitala w Shirong. Obsługuje cały dystrykt. Nikt nam nie powiedział, dlaczego mamy jechać właśnie tam. Poruszająca się bez kierowcy karetka w połowie drogi zmieniła kierunek, ponieważ jednak siedzieliśmy z przodu sami, nie było kogo spytać dlaczego.

W szpitalu umieszczono nas w pokoju dla rodzin. Czasami słyszeliśmy kroki przechodzących korytarzem, ale nikt nigdy nie otwierał drzwi, wyglądało na to, że mamy ten pokój tylko dla siebie.

Stanęłam przy oknie. Mieliśmy widok na podjazd dla karetek, otoczony budynkami na planie gwiazdy — pięć niskich białych ramion wyciągało się w różne strony. W niektórych oknach paliło się światło, ale zdecydowanie nie we wszystkich. Jedno skrzydło było całkiem ciemne. Szpital został zbudowany dla znacznie większej liczby mieszkańców niż teraz zasiedla dystrykt, wzniesiono go na inne czasy. Raz po raz na plac zajeżdżały kolejne samochody, wylądował nawet helikopter. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziałam taką maszynę. Musiało minąć wiele lat, teraz już się ich nie wykorzystuje, bo zużywają zbyt dużo paliwa. Śmigła wirowały w powietrzu, wprawiały w łopot białe kitle pracowników, jakby chciały ich unieść. Drzwi się otworzyły i z helikoptera wysiedli ubrana w kostium kobieta oraz dwóch mężczyzn. Żadne z nich nie wyglądało na chore, ale pobiegli w stronę głównego wejścia, jakby czas ich naglił.

Niekiedy przyjazd samochodu obwieszczała syrena wysokim i przejmującym głosem. Wtedy pojawiało się wielu pracowników gotowych na przyjęcie chorych, pacjent był pośpiesznie wydobywany z karetki i niesiony do szpitala, a lekarze i pielęgniarki zajmowali się nim już w drodze. Tak też było, kiedy my przyjechaliśmy. Tylko że my tego nie widzieliśmy. Wszystko działo się tak szybko. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, Wei-Wen został już zabrany. Zobaczyliśmy tylko plecy pracowników znikających z noszami. Chyba leżał na nich nasz syn, ale nie udało mi się go zobaczyć, wszystko przesłaniały plecy w białych kitlach. Próbowałam biec za nimi, chciałam tylko go zobaczyć, ale drzwi się zatrzasnęły i zostały zamknięte na klucz.

My zostaliśmy na placu. Wyciągnęłam rękę do Kuana, on jednak stał zbyt daleko ode mnie. Nie sięgałam. A może on nie chciał, żebym dosięgła. Potem drzwi się otworzyły i wyszło dwóch ubranych na biało mężczyzn. Lekarze? Sanitariusze? Objęli nas troskliwie i poprosili, byśmy poszli z nimi. Chciałam zadać wszystkie pytania, które mnie dręczyły. Gdzie jest Wei-Wen? Co mu się stało? Czy jest ranny? Czy wkrótce go zobaczymy? Ale oni nie mieli dla mnie odpowiedzi. Odparli tylko, że nasz syn, nasz „syn”, bo pewnie nawet nie znali jego imienia, znajduje się w dobrych rękach. Wszystko się ułoży. Potem ulokowali nas tutaj, w tym pokoju, i zniknęli.

Stałam tak przez wiele godzin, aż w końcu przyszła jakaś lekarka. Przedstawiła się jako doktor Hio i nie spojrzawszy nam w oczy, zamknęła za sobą drzwi.

— Gdzie on jest? Gdzie jest Wei-Wen? — pytałam. Mój głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka.

— Lekarze nadal pracują przy państwa synu — odparła kobieta, zatrzymując się pośrodku pokoju.

Włosy miała siwe, ale twarz gładką, pozbawioną wyrazu.

— On ma na imię Wei-Wen — powiedziałam. — Czy mogłabym go zobaczyć?

Zrobiłam krok w stronę drzwi. Ta kobieta musi mnie do niego zaprowadzić. To musi być możliwe. A jeśli nie całkiem do niego, to może za jakąś szklaną szybę, żebym tylko mogła popatrzeć.

— Pracują przy nim? Co pani ma na myśli? — spytał Kuan.

Lekarka podniosła głowę i spojrzała na niego. Mojego wzroku starała się unikać.

— Robimy wszystko, co możemy.

— On przeżyje, prawda? — spytał Kuan.

— Robimy wszystko, co możemy — powtórzyła łagodnie.

Kuan uniósł rękę do ust. Zagryzał palec. Poczułam, że nagły chłód wywołuje we mnie drżenie.

— Musimy mieć prawo go zobaczyć — rzekłam, ale słowa były ciche, rozpływały się w powietrzu.

Lekarka nie odpowiedziała, pokręciła tylko lekko głową.

To nie może być prawda. To musi być błąd. Wszystko, co się stało, było pomyłką. To wcale nie on tam gdzieś leży. Nie Wei-Wen. On jest w szkole albo w domu. To jakieś inne dziecko, nieporozumienie.

— Muszą nam państwo ufać — powiedziała cicho doktor Hio i usiadła. — A tymczasem chciałabym uzyskać odpowiedzi na kilka pytań.

Kuan przytaknął i usiadł na krześle. Kobieta wyjęła papier i pióro, przygotowała się do notowania.

— Czy syn państwa kiedykolwiek przedtem był chory?

— Nie — odparł Kuan posłusznie i zwrócił się do mnie: — Był chory? Pamiętasz, żeby coś takiego się zdarzyło?

— Nie. Miał tylko zapalenie ucha — odparłam. — I grypę.

Lekarka zapisała parę słów.

— Nic niezwykłego?

— Nie.

— A inne infekcje? Astma?

— Nic — odparłam szorstko.

Doktor Hio zwróciła się znowu do Kuana:

— Gdzie dokładnie mały się znajdował, kiedy państwo go znaleźli?

Kuan pochylił się w przód, zgiął plecy, jakby chciał się bronić przed jej pytaniami.

— Pomiędzy drzewami, w okolicy pola czterysta pięćdziesiąt osiem albo czterysta pięćdziesiąt siedem, tuż pod lasem.

— I co wtedy robił?

— Siedział. Zgięty wpół. Był blady, spocony.

— I to pan go znalazł?

— Tak, ja.

— On się strasznie bał — wtrąciłam. — Potwornie się bał.

Kobieta przytaknęła.

— Przedtem jedliśmy śliwki — mówiłam dalej. — Mieliśmy ze sobą śliwki, on zjadł całą puszkę.

— Dziękuję. — Lekarka znowu zanotowała coś w zeszycie. Potem ponownie odwróciła się do Kuana, jakby tylko on mógł jej odpowiedzieć.

— Czy sądzi pan, że mały wyszedł z lasu?

— Tego nie wiem.

Lekarka się zawahała.

— A co państwo tam robili?

Kuan znowu pochylił się w przód. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, w ogóle nie zdradzała, co myśli. Czułam presję, trudno mi było oddychać. Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Nie spuszczałam wzroku z męża,

próbowałam go błagać, by wyjaśnił sprawę. Powiedział, że był taki pomysł, żeby tam pójść. Może nawet, że to był jego pomysł. Choć właściwie to ja chciałam. To moja wina, że się tam znaleźliśmy.

Kuan nie odwzajemnił mojego spojrzenia. Odwrócił się tylko do lekarki i zaczerpnął powietrza.

— Poszliśmy na wycieczkę — rzekł. — Chcieliśmy nasz wolny dzień przeznaczyć na coś przyjemnego.

Może mąż nie zrzuca winy na mnie, może mnie nie oskarża? Nadal na niego patrzyłam, on jednak nawet nie zerknął w moim kierunku. Nie udzielił żadnej odpowiedzi, ale też nie wystąpił z oskarżeniami.

I może tak właśnie było? Może taka jest prawda? Razem podjęliśmy tę decyzję, wspólnie postanowiliśmy tam pójść. Wybór dokonany wspólnie i zgodnie, kompromis, nie tylko mój pomysł.

Doktor Hio najwyraźniej nie zauważyła, co się dzieje między nami. Spoglądała to na jedno, to na drugie, ze współczuciem, nie tylko profesjonalnie.

— Obiecuję, że wrócę do państwa, jak tylko będę miała więcej informacji.

Zrobiłam krok do przodu.

— Ale co się stało? Co się z nim dzieje? — Głos mi teraz drżał. — Przecież musicie wiedzieć coś więcej.

Kobieta tylko wolno pokręciła głową. Nie miała odpowiedzi.

— Niech państwo próbują odpoczywać. Zobaczę, może uda mi się znaleźć państwu coś do jedzenia.

Zniknęła za drzwiami, a my nadal staliśmy jak przedtem.

Na ścianie wisiał zegar. Czas poruszał się szarpnięciami i skokami. Raz od czasu, gdy ostatnio patrzyłam na zegar, minęło dwadzieścia minut. Ale

gdy popatrzyłam następnym razem, różnica wynosiła tylko dwadzieścia sekund.

Kuan znajdował się wciąż na drugim końcu pokoju. Był daleko ode mnie. I nie tylko z własnej woli, w równym stopniu także z mojej. Dzieliło nas coś wielkiego, czego nie byliśmy w stanie pokonać. W zderzeniu z tym oboje byliśmy jak zrobieni z cieniutkiego lodu, podobni do pierwszej zamarzniętej warstwy na jesiennych kałużach, kruszącej się przy najlżejszym dotknięciu.

Upiłam łyk wody. Była cierpka, woda z bańki, woda, która trwa w bezruchu.

Zrobiło się ciemno. Żadne z nas nie zapaliło światła. Po co nam światło? Godzinę temu była tu lekarka. Ponownie sprawdziłam korytarz, ale nikogo tam nie zauważyłam.

Poszłam dalej, mijałam jednak tylko drzwi pozamykane na klucz. Przystawiałam do nich ucho, ale nic nie słyszałam. Głośny szum wentylatora dławił wszystko inne.

Powrót do pokoju. Tylko tutaj być. Czekać.

GEORGE

Pojechaliśmy do uli w pobliżu farmy Satisa. Ja zająłem się stojącymi najbliżej drogi. Ledwo stąd widziałem Jimmy’ego i Ricka, pracujących dalej na równinie. Byłem zmęczony, ale nie wyczerpany. Wiedziałem, że dziś wieczorem zasnę, jakby mnie ktoś wyłączył z kontaktu. Właśnie miałem podnieść wieko ostatniego ula, gdy nadjechał Gareth. Gareth Green.

Nad okolicą unosił się łoskot jego ciężarówki. Za nią podążały jeszcze trzy. Na mój widok przystanął i ciężarówki za nim musiały grzecznie czekać, stojąc z włączonymi silnikami na pustym biegu, ze słońcem świecącym prosto w szyby.

Wysiadł z samochodu roześmiany. Miał okulary przeciwsłoneczne z lustrzanymi szkłami i opaloną na brązowo skórę. A na głowie jadowicie zieloną czapeczkę z napisem „Clearwater Beach, Springbreak 2006”. Pewnie kupił ją gdzieś na Południu na wyprzedaży. Gareth lubił kupować tanio, ale tak, żeby nikt się tego nie domyślał, bo bardzo też lubił ludziom imponować. Zostawił drzwiczki otwarte, silnik włączony.

— No. Wszystko tu w porządku?

Skinął w stronę uli, rozstawionych w nieregularnych odstępach na równinie. Nie było ich tu dużo, stały daleko jeden od drugiego.

— Wygląda znakomicie — odparłem. — Zima była dobra, straty okazały się niewielkie.

— Świetnie, świetnie. Dobrze to słyszeć. U nas też ubytki niewielkie. — Gareth zawsze używał słowa „ubytki”, mówiąc o pszczołach. Brzmiało to, jakby chodziło o plantacje, plantacje pożytecznych roślin.

Wskazał głową krajobraz przed nami.

— Zjedziemy teraz w dół i tam się zatrzymamy. Praca przy gruszkach.

— A nie przy jabłkach?

— Nie. W tym roku będą gruszki. Znalazłem większą farmę. Bo widzisz, mam teraz więcej pszczół. Farma Hudsona jest dla nas za mała.

Nie odpowiedziałem, kiwałem tylko głową. On też kiwnął.

Staliśmy więc tam i obaj kiwaliśmy głowami, ale nasze spojrzenia kierowały się w różne strony. Jak dwie figurki, takie jak za czasów mojego dzieciństwa, które miały luźno przymocowane głowy i wystarczyło je lekko popchnąć, a kiwały nimi i kiwały bez końca.

Wreszcie Gareth wskazał na ciężarówki.

— Od dawna jesteśmy w drodze. Dobrze będzie trochę odpocząć.

Popatrzyłem w ślad za jego wzrokiem. Ul za ulem, wszystkie przemysłowej produkcji pokryte szarym styropianem, solidnie zamocowane na ciężarówkach i pokryte zieloną, maskującą siatką. Łoskot silnika zagłuszał brzęczenie unoszących się nad nimi pszczół.

— Jedziecie z Kalifornii? — spytałem. — Ile to będzie kilometrów?

— Ty chyba nie nadążasz. — Roześmiał się. — Kalifornia była w lutym. Migdały. Sezon już dawno się zakończył. Teraz jedziemy z Florydy. Cytryny.

— Ano tak. Cytryny.

— I krwiste pomarańcze.

— No właśnie.

Krwiste pomarańcze. Garethowi nie wystarczą zwyczajne pomarańcze, o nie.

— Jechaliśmy całą dobę — mówił dalej. — Ale to drobiazg w porównaniu z drogą, którą wykonaliśmy przedtem: z Kalifornii na Florydę. To jazda na serio. Samo przeprawienie się przez Teksas zabiera

prawie dobę. Czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, jaki w gruncie rzeczy szeroki jest ten stan?

— Nie, i nie mógłbym powiedzieć, że kiedyś się nad tym zastanawiałem.

— Najszerszy stan, jaki mamy. Z wyjątkiem Alaski, oczywiście.

Cztery tysiące uli Garetha jest przez cały rok w nieustannej podróży. Nigdy dłuższego postoju. Zima w stanach południowych — papryka na Florydzie, migdały w Kalifornii, następnie powrót do pomarańczy, czy raczej krwistych pomarańczy, które najwyraźniej są nowością roku na Florydzie; stamtąd na północ i trzy lub cztery przystanki w ciągu lata. Jabłka lub gruszki, borówki i dynie. Tylko czerwiec spędzają tutaj, w domu. Wtedy Gareth dokonuje przeglądów, jak mówi. Ocenia straty, naprawia ule i uzupełnia braki.

— A wiesz, spotkałem na Florydzie Roba i Nellie — mówi nagle.

— Ach tak?

— Jak nazywa się to miejsce? Gulf Village?

Aha, więc on tam był. W tym tak zwanym raju.

— Gulf Harbors.

— Otóż to! Ty też przecież o tym słyszałeś. Gulf Harbors, tak. Widziałem ich nowy dom. Tuż nad kanałem. Pojeździłem wodnym skuterem. Rob zabrał mnie na wycieczkę. Nie uwierzysz, ale widzieliśmy delfiny.

— Delfiny? Co ty powiesz? A nie krowy morskie?

— Nie. Krowy morskie? Co to takiego?

— Rob i Nellie się chwalili. Że tuż przy domu mają krowy morskie.

— Jezu, nie. Żadnych krów nie widziałem. Ale mimo wszystko urządzili się tam bardzo dobrze. To piękne miejsce.

— Domyślam się.

Jeden z kierowców ciężarówki zatrąbił zniecierpliwiony, Gareth jednak zdawał się tego nie zauważać. On taki jest. Podrapałem się po nodze, a on wciąż stał spokojnie, jakby nigdy nie miał skończyć gadać.

— A ty? — Zdjął okulary i przyjrzał mi się. — Planujesz jakieś podróże?

— Owszem — odparłem. — Wiele podróży. Już za kilka tygodni wyjeżdżam do Maine.

— Borówki, jak zwykle?

— Tak. Borówki.

— W takim razie może się spotkamy. Ja też mam w tym roku Maine w planach.

— Naprawdę? No to na pewno się zobaczymy. — Próbowałem się uśmiechnąć.

— White Hill Farm, wiesz może, gdzie to jest? — Podrapał się pod czapeczką, ręka mu zzieleniała od słońca świecącego przez materiał.

— Nie — odparłem. — Tam kilometrami ciągną się wielkie farmy. Wszyscy, nawet małe dzieci, co tam, każdy pies wie, gdzie to jest.

Gareth zachichotał, nie odpowiedział, pewny, że żartuję. W końcu odwrócił się, zasalutował mi, unosząc rękę do czapeczki, mrugnął porozumiewawczo i wsiadł do szoferki.

Obłoki kurzu przesłoniły słońce, kiedy odjechali. Gareth i ja chodziliśmy razem do szkoły. On był dziwnym facetem. Jadł za dużo, trenował za mało, dręczyły go jakieś egzemy. Dziewczyny się nim nie interesowały. My, chłopcy, też nie. Z jakiegoś powodu skierował swoją sympatię na mnie. Może dlatego, że nie obrzucałem go wyzwiskami przez cały czas. Widocznie miałem w sobie trochę człowieczeństwa, poza tym mama wciąż mnie napominała: „Trzeba być miłym dla wszystkich, zwłaszcza dla tych, którzy mają niewielu przyjaciół”. Gareth z całą pewnością należał do tej kategorii, do ludzi z niewieloma przyjaciółmi. Taka była moja mama. Nie

można pozwolić sobie na prawdziwą złośliwość, kiedy przez cały czas ma się w głowie jej głos. Mama zmusiła mnie, nawet kilkakrotnie, bym zaprosił go do domu. Gareth uważał, że to wprost czary, iż może być u nas na obiedzie. Mój ojciec zabierał nas do pszczół, Gareth wypytywał i wypytywał. Był o wiele bardziej zainteresowany ode mnie, w każdym razie robił takie wrażenie. A mój ojciec oczywiście chętnie mu opowiadał. W liceum na szczęście straciliśmy kontakt. Czy może raczej: łatwiej było mi trzymać się od niego z daleka. Zresztą miałem wrażenie, że Garetha pochłaniały szkoła i praca. Pracował dorywczo w sklepie żelaznym, już wtedy zaczął odkładać pieniądze. Z czasem nadmierne kilogramy zniknęły, i podobno nabył jakąś specjalną kwarcową lampę, która pomogła mu pozbyć się egzemy i sprawiła, że jego skóra zawsze już miała lekko złotawy kolor. Nie wyglądało to źle, muszę przyznać.

Postarał się też o dość urodziwą damę. Po skończeniu szkoły kupił kawałek ziemi, ale nie zaczynał od hodowli pszczół. Gospodarstwo rozwijało się znakomicie, najwyraźniej miał dobrą rękę. Potem kupił ule. Pani urodziła dzieci, ładniejsze niż Gareth, żadne nie miało egzemy. A teraz jest wielkim przedsiębiorcą. Jednym z najbogatszych w mieście. W niedzielę wozi rodzinę wielkim niebieskim SUV-em. Został członkiem Country Clubu i płaci osiemset pięćdziesiąt dolarów rocznie, żeby rodzina mogła stać na łące i odbijać piłki przy każdej pogodzie. Tak, tak, sprawdzałem, ile to kosztuje.

Poczynił też inwestycję w nową bibliotekę. Lśniąca tabliczka z miedzi informuje wszystkich, którzy to czytają, a chce czytać wielu, że lokalne społeczeństwo żywi głęboką wdzięczność dla Greens Apiaries za szczodrość przy budowie biblioteki.

To zemsta kujonów, tak to chyba jest. A my pozostali, my, którzy nie byliśmy specjalnie obkuci, ale wystarczająco popularni w szkole, musimy

teraz stać z boku i patrzeć, jak z każdym mijającym rokiem Gareth pławi się w coraz większym dobrobycie.

Otóż wszyscy zajmujący się pszczołami wiedzą, że prawdziwe pieniądze zarabia się nie na miodzie, że dobra Garetha nie pochodzą z produkcji miodu. Prawdziwe pieniądze zarabia się na zapylaniu. Rolnictwo bez pszczół nie ma szans. Ciągnące się kilometrami rzędy kwitnących drzew migdałowych lub połacie borówkowych krzewinek nie są nic warte, jeśli pszczoły nie przeniosą pyłku z jednego kwiatu na drugi. Na szczęście pszczoły mogą pokonać wiele kilometrów dziennie, zapylić tysiące kwiatów. Bez nich kwiaty byłyby tak samo bezproduktywne jak uczestniczki konkursu piękności. Jest na co popatrzeć, dopóki pokaz trwa, ale na dłuższą metę absolutnie żadnej wartości. Kwiaty więdną, umierają, ale nie wydają owoców.

Gareth od pierwszego dnia postawił na zapylanie. Jego pszczoły były zawsze ludem wędrownym. Nieustannie w drodze. Czytałem, że to je stresuje, że nie czują się z tym dobrze, ale Gareth twierdzi, że pszczoły niczego nie zauważają i mają się równie znakomicie jak moje.

Może Gareth tak postępuje, bo przyszedł do branży z zewnątrz. Zrozumiał, jakimi torami sprawy się toczą, że niewielkie miodne farmy, takie jak moja, działają mniej więcej tak samo od wielu pokoleń. I nie przynoszą wielkich zysków. Nie było ich dawniej, więc nie ma i teraz. Każda najmniejsza inwestycja jest ryzykiem, a my żyjemy na łasce naszego lokalnego banku, który nie zawsze bywa tak samo surowy, jeśli chodzi o terminy spłat, i ufa, że pszczoły wykonają swoją pracę również i w tym roku. Wierzy mi, kiedy mówię, że mieszane tanie gówno z Chin, które jest teraz sprzedawane pod nazwą miodu i przyjeżdża do nas w ilościach z roku na rok większych, nie ma znaczenia, polega na mnie, kiedy zapewniam, że ceny miodu utrzymają się na takim poziomie, jak zawsze, że widoki na

stałe zarobki są dobre, że coraz bardziej przewidywalna pogoda nam nie szkodzi i możemy zagwarantować dobrą sprzedaż jesienią. Że pieniądze popłyną strumieniem, dokładnie tak jak dawniej.

Ale to wszystko kłamstwo. Dlatego będę musiał dokonać zmian. Stać się taki jak Gareth.

WILLIAM

Chcesz, żebym ja to zrobiła? — spytała Thilda. Stała przy drzwiach, trzymając przybory do golenia i lusterko.

— Mogłabyś skaleczyć się brzytwą — odparłem.

Skinęła głową. Wiedziała tak samo jak ja, że nigdy nie miała zbyt pewnej ręki.

Chwilę później wróciła z wodą w miednicy, mydłem i pędzlem. Położyła wszystko na nocnym stoliku przysuniętym do łóżka, tak bym mógł zająć wygodną pozycję. Na koniec ustawiła lusterko. Stała, czekając, aż zobaczę swoje odbicie. Czyżby się bała, jak zareaguję?

Z lusterka spoglądał na mnie inny mężczyzna. Powinienem był się przestraszyć, ale mi nie wypadało. Bo zniknął tamten pulchny, zażywny. Zniknął sympatyczny kupiec. Ten, który na mnie teraz patrzył, był kimś innym, człowiekiem, który wiele przeżył.

Czysty paradoks. Bo przecież miesiącami leżałem w łóżku i nie przeżywałem niczego prócz własnych ponurych myśli. Ale o tym obraz w lusterku nic nie mówił. Ten mężczyzna przypominał mi żeglarza, który wraca do domu z trwającej wiele miesięcy wyprawy, lub może górnika, wychodzącego na powierzchnię po męczącej szychcie, czy też badacza, kończącego długą i dramatyczną podróż studyjną do dżungli. Jest szczupły, ma ostre rysy, odznacza się elegancją. On żyje.

— Masz nożyczki?

Thilda popatrzyła na mnie zakłopotana.

— Zarost jest zbyt gęsty, bym mógł zacząć od brzytwy.

Skinęła głową, że rozumie. Wkrótce przybiegła z nożyczkami krawieckimi. Były bardzo małe, dostosowane do kobiecych palców. Ale udało mi się przystrzyc największy zarost.

Wolno zanurzyłem pędzel w wodzie, potem chwilę go namydlałem. Pieniło się znakomicie, pachniało jałowcem.

— Gdzie brzytwa? — Rozejrzałem się.

Thilda stała po prostu z rękami złożonymi na fartuchu, wpatrując się w podłogę.

— Thilda?

W końcu podała mi brzytwę, którą miała w kieszeni. Ręka jej lekko drżała, jakby nie chciała oddać mi ostrego narzędzia. Ująłem brzytwę i zacząłem się golić. Ostrze skrzypiało po skórze, brzytwa została świeżo naostrzona. Thilda stała, przyglądając mi się.

— Dziękuję, możesz już iść — powiedziałem.

Ale Thilda nie poruszyła się. Nie spuszczała oczu z mojej dłoni, z brzytwy. I nagle zrozumiałem, dlaczego ona tak stoi i czego się lęka. Opuściłem rękę.

— Czyż to nie jest oznaka zdrowia, że sam się golę?

Jak zawsze musiała się zastanowić.

— Jestem bardzo wdzięczna, że masz na to siłę — odparła w końcu, ale stała nadal.

Żeby można było zrobić coś takiego, o czym myślała Thilda, należało znaleźć metodę, by wszystko wyglądało całkiem zwyczajnie. W ten sposób chciałbym oszczędzić Edmunda. Miałem przygotowanych wiele sposobów działania, nie brakowało mi czasu na ich obmyślanie, ale, rzecz jasna, Thilda tego nie wiedziała. Przypuszczała jedynie, że jeśli zostawi mnie samego w pokoju z ostrym narzędziem, to zechcę wykorzystać sytuację, jakby to była jedyna okazja. Taka jest prostolinijna.

Gdybym chciał przekreślić to wszystko, już dawno wyszedłbym na śnieg w samej nocnej koszuli. Następnego dnia znaleziono by mnie zamarzniętego na śmierć, z lodem w brodzie i na rzęsach, a wszyscy by mówili: Kupiec nasienny zabłądził w ciemnościach i biedak zamarzł.

Albo mógłbym użyć grzybów. Lasy są ich pełne, a ktoś ubiegłej jesieni mógł znaleźć drogę do najwyższej szuflady w komodzie stojącej w sklepie po lewej stronie, starannie zamkniętej na klucz, do którego dostęp miałem tylko ja. Działanie grzybów jest niezawodne, w ciągu paru godzin człowiek robi się słaby i bezradny, potem traci świadomość. W następnych kilku dniach ciało ulega powolnej degradacji i dochodzi do zapaści. Lekarz uznałby, że przyczyną śmierci była zapaść ogólnoustrojowa. Nikt nie musiałby wiedzieć, że to samobójstwo.

Albo utonięcie. Rzeka na tyłach posiadłości jest wzburzona, zwłaszcza zimą.

Albo psia farma Blake’a, z siedmioma dzikimi rozbójnikami ujadającymi za płotem.

Albo stromy uskok w lesie.

Możliwości są liczne, a jednak teraz siedzę tutaj i golę zarost, nie mam najmniejszego zamiaru posłużyć się żadną z nich, ostrym narzędziem, które trzymam w ręce, też nie. Bo się podniosłem i nigdy więcej nie będę rozważał tego rodzaju sposobów.

— Nie chciałbym cię zatrzymywać — powiedziałem do Thildy. — Z pewnością masz mnóstwo pracy.

Wskazałem na drzwi prowadzące do pozostałych części domu z jego niekończącymi się żądaniami dotyczącymi a to odkurzania, a to przygotowania jedzenia, prania ubrań, szorowania podłóg i wszystkich innych czynności, które kobiety zawsze uważają za niezbędne.

Thilda przytaknęła i nareszcie sobie poszła.

Zdarzały się chwile, kiedy miałem wrażenie, że moja żona byłaby bardziej niż wdzięczna losowi, gdybym jednak skorzystał z brzytwy, a jeszcze lepiej przystawił sobie nóż do gardła i pozwolił, by krew z głównej tętnicy wyciekła aż do ostatniej kropli, żeby została ze mnie jedynie pusta skóra, kokon porzucony na podłodze. Nigdy wprost czegoś takiego nie powiedziała, ale zarówno ona, jak i ja rozumieliśmy, że oboje przeklinamy tamto słońce, które w domu ludowym ponad siedemnaście lat temu padło dokładnie na jej nos. Mogło być przecież tak wiele innych kobiet, albo mogło nie być żadnej.

Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat, minął dokładnie rok, odkąd przybyłem do miasteczka. Nie wiem, czy w tym miesiącu było coś z pogodą, może jakiś suchy wiatr długo wiał nad okolicą, tak że jej wargi zrobiły się czerwone i suche, a ona musiała je wciąż zwilżać językiem lub po kryjomu zagryzać, tak jak to robią młode dziewczęta, by ich usta wyglądały kusząco. Ale tamtego dnia po prostu nie zwróciłem uwagi, że ona prawie nie ma warg. Pamiętam, że zobaczyłem ją w połowie wykładu. Byłem znakomicie przygotowany. Przede wszystkim ze względu na Rahma. Niczego nie pragnąłem bardziej, niż zrobić na nim wstrząsająco dobre wrażenie. Wiedziałem, że dopisuje mi szczęście, większość moich kolegów ze studiów otrzymała o wiele mniej interesujące prace. Człowiek, który dopiero co uzyskał wykształcenie, nie może żądać zbyt wiele, a znalezienie się pod skrzydłami uznanego badacza stwarzało ogromne możliwości. W tamtym okresie mojego życia Rahm był jedyną osobą, która coś dla mnie znaczyła. Od momentu, kiedy przekroczyłem próg jego gabinetu, byłem absolutnie zdecydowany: z nim nawiążę najważniejszą relację. Będzie nie tylko moim przyjacielem i mentorem, lecz także moim ojcem. Z własnym ojcem od dawna nie miałem kontaktu i wcale nie pragnąłem go odnawiać. Przynajmniej raz po raz sobie to powtarzałem. Ale pod opieką profesora

mógłbym dorastać i rozkwitać. On miał mnie zrobić tym, kim chciałem być.

Moje niewielkie doświadczenie sprawiało, że przygotowałem się wyjątkowo starannie. Przecież dotychczas nigdy nie wygłaszałem żadnego odczytu. Kiedy Rahm poprosił mnie o pomoc w zorganizowaniu tego poświęconego zoologii wieczoru dla mieszkańców Maryville, najpierw pomyślałem, że to drobiazg. W miarę jednak jak dni mijały, zadanie to zaczęło mi się rozrastać, w końcu prawie przestałem je kontrolować. Jak będę się czuł jako wykładowca? Jak stanę przed tak licznym audytorium, które słucha mojego głosu, kieruje na mnie całą uwagę? Chociaż mieszkańcy małych miejscowości są, delikatnie mówiąc, ludźmi prostymi, nie to co moi koledzy z uniwersytetu, to jednak mam wygłosić naukowy odczyt. Czy w ogóle jestem w stanie sobie z tym poradzić?

Nie chodziło tylko o to, że mam przemawiać po raz pierwszy w życiu, ale znaczenie, jakie moje słowa mogłyby mieć dla innych, sprawiało, że zadanie przepełniało mnie lękiem. Nauki przyrodnicze to nieznany ląd dla mieszkańców małych miasteczek i wsi, bowiem ich pogląd na świat oparty jest na Biblii, jedynej książce, do której są przywiązani. Przyszło mi do głowy, że pojawia się możliwość, by pokazać im coś więcej, by zaprezentować powiązania między tym, co małe, a tym, co wielkie, między siłą twórczą a dziełem stworzenia. Oto nadarza się okazja, by otworzyć im oczy i zmienić ich widzenie świata, a nawet samej egzystencji. Ale jak najlepiej to przekazać? Już sam wybór tematu to trudny problem, kręciłem się w kółko. Szczerze mówiąc, dla mnie każdy temat jest interesujący, kiedy człowiek pokazuje go z punktu widzenia nauk przyrodniczych. Urodzajność ziemi, odkrycie Ameryki, pory roku. Ile możliwości!

W końcu to Rahm podjął decyzję. Położył swoją chłodną dłoń na mojej spoconej, uśmiechnął się nad mym pełnym zakłopotania zapałem.

— Opowiedz im o mikroskopie — zaproponował. — Jakie możliwości stwarza nam to urządzenie. Większość z nich pewnie nawet nie wie, że coś takiego istnieje.

Był to fantastyczny pomysł, sam nigdy bym na to nie wpadł. Dlatego się oczywiście zgodziłem.

Dzień toczył się, z tym suchym wiatrem i słońcem z wysokiego nieba. Nie byliśmy pewni, ilu ludzi zechce przyjść. Wielu starszych mieszkańców miasteczka mówiło, że to, co robimy, jest bezbożne, że człowiek nie potrzebuje żadnych książek prócz Biblii. Ale najwyraźniej ciekawość nie dała spokoju większości z nich, bo o wyznaczonej porze dom ludowy się wypełnił, zrobiło się gorąco jak w środku lata, chociaż mieliśmy właśnie deszczowy kwiecień. Tego rodzaju wydarzenia w małym domu ludowym w Maryville należały do rzadkości.

Przyszedłem jako pierwszy, Rahm tak sobie życzył. Może chciał mnie przedstawić, jakbym był jego nowo narodzonym dzieckiem, może w tamtym czasie nadal był ze mnie dumny. Po kilku długich minutach, kiedy mój głos drżał i trzęsły mi się kolana, odzyskałem poczucie bezpieczeństwa. Wypowiadałem słowa, które zostały starannie przygotowane, zdałem sobie sprawę, że zyskują posłuch, że w momencie, kiedy opuszczają papier i unoszą się w powietrzu między mną a słuchaczami, wcale nie tracą swojej wiarygodności, ale trafiają do celu.

Zacząłem od skrótowego przedstawienia historii, opowiedziałem o soczewce, która weszła do użytku już w szesnastym wieku, następnie o bardziej złożonym optycznym mikroskopie opisanym między innymi przez Galileusza w 1610 roku. By pokazać znaczenie mikroskopu w praktyce, postanowiłem opowiedzieć o konkretnym człowieku. Wybrałem w tym celu holenderskiego zoologa Jana Swammerdama. Żył on w wieku siedemnastym i nigdy tak naprawdę nie został uznany przez

swoich współczesnych. Był biedny i samotny, później jednak stał się jedną z ważniejszych postaci w historii nauk przyrodniczych, może właśnie dlatego tak wyraźnie widział związek między dziełem stworzenia a siłą twórczą.

— Swammerdam — powiedziałem, przesuwając wzrok po zgromadzonych. — Nigdy nie zapomnijcie tego nazwiska. Jego prace dowodzą, że poszczególne stadia życia owadów, jaja, larwy i poczwarki, to naprawdę różne formy tego samego owada. Swammerdam sam stworzył mikroskop, dzięki któremu mógł dokładnie badać owady. Podczas tych badań opracował szkice, niepodobne do tych, które znamy.

Dramatycznym, starannie wystudiowanym gestem odsłoniłem jedną z plansz, które zawiesiłem na ścianie.

— Tutaj widzą państwo przedstawioną przez Swammerdama budowę anatomiczną pszczół, tak jak ją narysował w swojej pracy *Miraculum naturae*. — Pozwoliłem sobie na teatralną pauzę, spoglądając na zgromadzenie, wpatrzone w niezwykle szczegółowe rysunki. Właśnie wtedy wiosenne słońce w swojej wędrówce po dachu domu ludowego trafiło w okno po mojej lewej stronie, samotny promyk wpadł do środka, widoczne stały się tłuste plamy na szybie, dostrzegalny też stał się kurz wirujący w powietrzu — pomieszczenie wcale nie było myte tak często, jak powinno, promyk dotarł do rzędu ławek i spoczął na twarzy dziewczyny siedzącej na samym skraju po lewej stronie, obok jej dwóch przyjaciółek. Na twarz Thildy. Z czasem zrozumiałem, że dla niej nie było to wcale takie zaskakujące jak dla mnie. Oczywiście wiele młodych kobiet zwracało na mnie uwagę; młody przyrodnik, wykształcony w stolicy, modnie ubrany, elokwentny, może trochę zbyt niski i niezbyt atletyczny — prawdę mówiąc, już wtedy zmagałem się z początkami nadwagi, ale to, czego brakowało mi pod względem fizycznym, nadrabiałem w sferze intelektualnej. Już

chociażby okulary na nosie o tym świadczyły. Nosiłem je zwykle lekko zsunięte na nos, tak bym mógł mądrze spoglądać znad oprawek. Kiedy dostałem je po raz pierwszy, straciłem cały wieczór na znalezienie najodpowiedniejszej pozycji. I znalazłem wtedy to miejsce na nosie, gdzie mogłem je bezpiecznie umieszczać, a jednocześnie nie tracić możliwości patrzenia ludziom prosto w oczy, a nie przez małe owalne szkiełka. Dobrze wiedziałem, że wypukłe soczewki sprawiają, iż oczy wydają się mniejsze. Wiedziałem również, że wiele młodych kobiet uważa moją bujną czuprynę za atrakcyjną. Nosiłem półdługie włosy, bo było mi w nich do twarzy. Może Thilda obserwowała mnie już od dłuższego czasu, oceniała mnie, porównywała z innymi młodymi mężczyznami z miasteczka. Widziała, z jakim respektem jestem traktowany, zauważyła głębokie ukłony i pokorne spojrzenia, jakich trudno by szukać w odniesieniu do innych młodych mężczyzn, z którymi się spotykała, którzy byli traktowani stosownie do swego wyglądu i prostackiego zachowania.

Thilda miała na sobie niedzielny strój w niebieskim kolorze, suknię, czy może bluzkę, która pięknie układała się na piersiach. Jej twarz okalały zwisające do ramion francuskie loki. Takie fryzury nosiły niemal wszystkie jej przyjaciółki, również wiele zamężnych kobiet — choć wydawałoby się, że te nie powinny zwracać aż takiej uwagi na swój wygląd. Ale mojej uwagi nie przykuły loki ani ubranie. To, co oświetlił samotny promień słońca przedostający się przez pełne kurzu powietrze w domu ludowym, to niezwykle prosty i bardzo proporcjonalny nos, jak na ilustracji z podręcznika do anatomii. To się nazywa nos klasyczny. Natychmiast ogarnęła mnie ochota, by go narysować, studiować go. Nos idealnie się do tego nadawał. Jak się później miało okazać, Thilda traktowała go całkiem inaczej, ponieważ nieustannie był czerwony i zakatarzony. Tego dnia jednak jaśniał przede mną. Nie błyszczał ani się nie czerwienił, był po prostu

niesłychanie zainteresowany mną i moimi słowami. Nie mogłem oderwać od niego oczu.

Teatralna pauza trwała zbyt długo. Publiczność zaczęła wiercić się niespokojnie, dotarło do mnie przeciągłe i natarczywe pochrząkiwanie stojącego za mną Rahma. Plansza nadal wisiała na ścianie, niekomentowana.

Pośpiesznie więc do niej wróciłem.

— Swammerdam przeznaczył pięć długich lat na studiowanie życia w ulu. Wszystko oglądał przez mikroskop, dzięki któremu mógł dostrzec każdy najmniejszy detal. O tutaj… Tutaj widzą państwo jajeczka królowej pszczół. Swammerdam stwierdził, co się później w pełni potwierdziło, że jedna jedyna królowa znosi jajka, z których wylęgają się wszystkie pszczoły, zarówno trutnie, robotnice, jak i nowe królowe.

Słuchacze wpatrywali się we mnie, niektórzy się kręcili, zdawało się, że nikt nic nie rozumie.

— Była to teza nowatorska w tamtym czasie, kiedy wielu ludzi sądziło, że musi być jakiś król pszczół, to znaczy samiec pszczoły, który później opuszcza ul. Swammerdam z prawdziwą fascynacją, z naprawdę wielkim entuzjazmem przeszedł następnie do badań organów owego samca. I tutaj widzą państwo rezultaty. — Przedstawiłem kolejną planszę. — To są genitalia tej pszczoły.

Na sali widziałem spocone twarze. Słuchacze poruszali się niespokojnie. Niektórzy jęli przyglądać się swojemu ubraniu, studiowali jakieś luźne nitki w tkaninie, innych nagle zainteresowały dziwne formacje obłoków na niebie, za oknami.

Nieoczekiwanie przyszło mi do głowy, że nikt z nich nie wie, co to są jajniki czy genitalia i ogarnęła mnie dręcząca potrzeba, by im to jakoś wytłumaczyć. Tutaj zaczyna się ta część referatu, która nigdy nie stała się

częścią historii opowiadanej przez Thildę naszym dzieciom, co więcej, nigdy nie była wspominana również w naszych rozmowach. Sama myśl o tym, co się stało, przez lata wywoływała na mojej twarzy rumieńce wstydu.

— A zatem jajniki stanowią część systemu reprodukcyjnego, tam gromadzone są jajeczka… z których wylęgają się larwy.

Kiedy te słowa padły, pojąłem, w co się wdałem, ale nie mogłem się teraz zatrzymać.

— A genitalia to jest to samo co… ehm… reprodukcyjne organy samca pszczoły. Są one całkowicie niezbędne w procesie… ehm… powoływania do życia nowych pszczół.

Gdy ludzie zrozumieli, co przedstawiają rysunki, w sali dało się słyszeć głębokie westchnienie. Dlaczego wcześniej nie domyśliłem się, jaki wpływ będzie na nich miał ten temat? Moje podejście było czysto naukowe, dla nich jednak to coś grzesznego, coś, co człowiek zatrzymuje dla siebie, nigdy o tym nie rozmawia. Moje zainteresowanie tymi sprawami było w ich oczach czymś brudnym.

Ale nikt nie wstał, nikt mnie nie powstrzymał. Gdyby ktoś to zrobił, choćby jednym słowem dał do zrozumienia, w jakie szaleństwo popadam, gdybym słyszał jakieś szuranie po drewnianej podłodze, stukot butów, chrząkanie. Thilda pochyliła głowę. Czy się zarumieniła? Jej przyjaciółki wymieniały spojrzenia, w ich oczach czaił się śmiech, a ja, głupek, mówiłem dalej, w nadziei, że dalsza część wykładu przekieruje uwagę ze słów, które właśnie wypowiedziałem, na to, co naprawdę jest ważne.

— Swammerdam poświęcił tym kwestiom całe trzy strony w dziele swego życia, *Bibliae Naturae* czy też Biblii Natury, jeśli państwo wolą. Tutaj widzimy kilka jego niewiarygodnie drobiazgowych ilustracji… geni… genitaliów samca pszczoły, czyli trutnia. — Słowa padały z trudem.

— Różne stadia, jak się one otwierają, jak się wysuwają… ehm… urastają do swego pełnego potencjału. — Czy naprawdę to powiedziałem? Pośpieszne spojrzenie na zgromadzonych świadczyło, że dokładnie tak zrobiłem. Wbiłem wzrok w notatki, zacząłem głośno czytać, chociaż dalej było po prostu coraz gorzej. — Swammerdam opisał je jako… egzotyczne morskie potwory.

Teraz przyjaciółki Thildy zachichotały. Nie odważyłem się na nie spojrzeć. Zamiast tego sięgnąłem po dzieło Swammerdama i zacząłem cytować jego bajeczne słowa, które tak starannie zgłębiłem, uczepiłem się książki w nadziei, że słuchacze teraz w końcu mnie zrozumieją i ogarnie ich taka sama pasja.

— „Jeśli czytelnik przyjrzy się podziwu godnej strukturze tych organów, odkryje wyrafinowaną sztukę i z pewnością zrozumie, że Bóg nawet w najmniejszych owadach, nawet w ich maleńkich organach ukrywa zdumiewające cuda”.

Odważyłem się podnieść wzrok i stało się całkiem jasne, tak, kompletnie oczywiste dla mnie, że przegrałem, bo twarze zwrócone w moją stronę były w najlepszym razie poruszone, niektóre z nich nawet gniewne, i ostatecznie pojąłem, dotarło do mnie w całej rozciągłości, co zrobiłem. Mówiąc wprost, nie udało mi się opowiedzieć im o cudach natury, stałem tutaj i mówiłem o sprawach najnędzniejszych z nędznych. A na dodatek wmieszałem w to wszystko Boga.

Nie opowiedziałem historii do końca, nie wspomniałem, że nieszczęsny Swammerdam nigdy nie osiągnął niczego ponad to, że bez efektu zakończył karierę, że studia nad pszczołami wpędziły go w religijne rozważania, ponieważ perfekcja tych owadów go przerażała i musiał nieustannie przypominać samemu sobie, że Bóg, a także te małe istoty są warte jego badań, miłości i uwagi. Badając pszczoły, trudno było uwierzyć, że na

świecie istnieje coś doskonalszego, nawet nie zapominając o Bogu. Te pięć lat, które spędził niemal w pszczelim ulu, po prostu go unicestwiły.

Ale zdałem sobie wtedy sprawę, że gdybym to powiedział, stałbym się tylko śmieszny, że znienawidziliby mnie, bo do takich spraw nie należy mieszać Wszechmogącego.

Poskładałem rękopis, rumieniąc się ze wstydu i potykając niczym uczniak, zszedłem z podium. Rahm, któremu pragnąłem zaimponować bardziej niż komukolwiek innemu, najwyraźniej powstrzymywał śmiech, bo twarz zastygła mu w dziwnym grymasie. Przypominał mi ojca, mojego prawdziwego ojca.

Po zakończeniu odczytu uścisnąłem ręce wielu słuchaczy. Nie wiedzieli, co powiedzieć, zauważyłem, że ludzie wokół mnie szepczą, jedni z niedowierzaniem, inni w gniewie i szoku. Rumieniec z twarzy spływał w dół, oblewał plecy i pozostałe członki, wywołując niekontrolowane drżenie, które bez powodzenia pragnąłem ukryć przed otoczeniem. Rahm musiał to zauważyć, bo położył mi rękę na ramieniu i rzekł cicho:

— Powinien pan zrozumieć, że zawładnęły panem sprawy trywialne. Pan nigdy nie będzie taki jak my.

Jego słowa miały być pocieszeniem, ale uwypukliły tylko różnicę między nim a mną. Rahm nigdy by nie wybrał przykładu, który wzburzy słuchaczy. Rozumiał, ile mogą znieść, potrafił zadbać o równowagę. Zdawał sobie sprawę, że świat nauki i świat ludzi to dwie różne przestrzenie. Jakby dla podkreślenia tego, co powiedział, i wobec mojego jawnego braku zrozumienia dla publiczności, nagle się roześmiał. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem jego śmiech. Był krótki i cichy, ale mimo to wprawił mnie w dygot. Odwróciłem się, nie byłem w stanie patrzeć na niego. Śmiech był nie do zniesienia, zniwelował tamtą pociechę, palił tak mocno, że odwróciłem się i odszedłem kilka kroków.

A tam stała ona.

Może to była słabość, źle tego dnia skrywana wrażliwość; nie byłem już tylko tym tajemniczym przybyszem, który zajmuje się czymś niezwykłym i niezrozumiałym, pracując u profesora. Nie wiem, co sprawiło, że Thilda odważyła się podejść. Nie śmiała się. Podała mi dłoń w rękawiczce, skinęła głową i podziękowała za ten „ehm… bajeczny wykład". Z tyłu za nią przyjaciółki wciąż chichotały. Ale ich śmiech przestał dla mnie istnieć. One też przestały dla mnie istnieć. Nie widziałem już Rahma, tylko rękę Thildy. Trzymałem ją długo, czułem przez rękawiczkę ciepło skóry, od tej ręki płynęła i wnikała we mnie siła. Thilda mnie nie wyszydzała, nie śmiała się ze mnie i byłem jej za to nieskończenie wdzięczny. Oczy płonęły nad pięknym nosem, osadzone szeroko, były otwarte na świat i życie, ale przede wszystkim na mnie. Proszę pomyśleć, na mnie! Nigdy żadna młoda kobieta tak na mnie nie patrzyła, to spojrzenie dawało mi do zrozumienia, że chętnie oddałaby się całkowicie, że odda wszystko mnie i tylko mnie, bo tak nie patrzyła na nikogo innego. Na myśl o tym kolana zaczęły mi się trząść i w końcu spuściłem wzrok. To było tak, jakby pękła jakaś struna, sprawiało mi to wewnętrzny ból. Nie pragnąłem niczego innego, jak tylko ponownie nawiązać kontakt wzrokowy i pozwolić, by świat wokół nas wirował.

Trzeba było miesięcy, by ludzie w miasteczku przestali rozmawiać o moim występie. O ile wcześniej spotykałem się wyłącznie z respektem i szacunkiem, o tyle teraz wielu mocniej ściskało mi dłoń, klepało po plecach, a mężczyźni rozmawiali ze mną z półuśmieszkami i źle skrywaną ironią. Słowa „urastają do swego pełnego potencjału", „biblia natury" oraz „egzotyczny morski potwór" prześladowały mnie latami. Nikt nigdy nie zapomniał też o Swammerdamie, jego nazwisko było później używane w licznych i bardzo rozmaitych kontekstach. Kiedy konie parzyły się na

łące, opisywano to jako czynność swammerdamską, pijani mężczyźni, którzy wieczorem w gospodzie musieli pójść za potrzebą, mówili, że wychodzą, by przewietrzyć swammerdama, a w miejscowej piekarni podłużną bułkę faszerowaną mięsem zaczęto nagle nazywać „swammerdamką”.

Zdumiewająco mało mnie to obchodziło. W jakimś sensie moja narażona na szwank pozycja była tego warta. W każdym razie tak myślałem, gdy w kilka miesięcy później poślubiłem Mathildę Tucker. Zwróciłem uwagę na jej wąskie wargi na długo przed dniem, w którym szliśmy oboje w stronę ołtarza główną nawą kościoła. Pozwoliłem sobie na pocałunek przy oświadczynach i odkryłem z żalem, że jej usta wcale nie mają zdolności otwierania się niczym duży, tajemniczy kwiat czy może raczej morski potwór, jak u Swammerdama, tak jak to sobie po nocach wyobrażałem. Były dokładnie takie suche i sztywne, na jakie wyglądały. A nos, prawdę powiedziawszy, okazał się nieco za duży. Mimo to jednak płonęły mi policzki, kiedy pastor błogosławił nasze małżeństwo. Pominąwszy wszystko, właśnie brałem ślub, by na poważnie wkroczyć w dorosłe życie, nie pojmując jednak, że to dorosłe życie ma też strony, które uniemożliwią mi realizację większości marzeń i zmuszą do opuszczenia świata nauki. Rahm miał rację. Mimo że w jakimś zakresie kontynuowałem niektóre prace badawcze, nie było już w tym dawnego zapału.

Żywiłem jednak pewność, stanowcze przekonanie, że Thilda jest właściwą dla mnie osobą. Fascynowało mnie zwłaszcza jej opanowanie. Zawsze długo się zastanawiała, zanim odpowiedziała na pytanie. Podobny podziw budziło we mnie jej dumne zachowanie, to, jak broni swoich poglądów, rzadko bowiem spotyka się tę cechę u młodych kobiet. Dopiero później, choć nie tak dużo później, ledwie kilka miesięcy po ślubie, zrozumiałem, że ona waży każdą odpowiedź tak długo dlatego, że nie jest

specjalnie bystra, a to, co uważałem za dumę, stanowiło w gruncie rzeczy niemożliwy do pokonania upór. Miało się okazać, że Thilda nie poddaje się nigdy. Nigdy.

Najważniejszym jednak powodem, dla którego chciałem się z nią ożenić, było coś, do czego wolałem się nie przyznawać nawet przed sobą, a co zrozumiałem dopiero teraz, na moim łożu boleści, kiedy zdałem sobie sprawę, że nadal jestem tak samo prymitywny i zachłanny jak młody chłopak. Tym powodem było jej żywe, miękkie ciało. To, że ona jest moja, że będę mógł ją mieć w każdej chwili. Że już wkrótce będę miał powód, by mocno przyciskać to ciało, układać je pod sobą, wdzierać się w nie i zapładniać, jakby to była wilgotna ziemia.

Niestety, to się akurat nie ułożyło tak, jak marzyłem. Czekały mnie raczej pozbawione czułości pośpieszne akty ze zbyt dużą ilością guzików i wstążek, szpilek od gorsetu, szorstkich wełnianych pończoch i kwaśnego zapachu potu spod pach. Mimo to coś mnie do niej ciągnęło, jakiś zwierzęcy instynkt niczym u trutnia. Znowu i znowu, z pełną świadomością, że to prowadzi do zapłodnienia, chociaż ostatnie, o czym marzyłem, to potomstwo. Tak jak truteń ofiarowywałem życie za zapłodnienie.

TAO

Robią, co mogą. Powiedzieli, że robią, co mogą.

Kuan nasypał listków herbaty do dzbanka, który właśnie przyniosła nam pielęgniarka. Potem pewnymi ruchami nalewał napój do filiżanek. Jakbyśmy byli w domu, jakby to był powszedni dzień. Dzień. Kolejny dzień. Wieczór. Czy ja coś jadłam? Nie wiem. Podają nam tutaj jedzenie i picie w równych odstępach czasu. Chyba tak, coś musiałam zjeść. Parę łyżek ryżu, kilka łyków wody, by stłumić ssanie w żołądku. Resztki zastygły w aluminiowej misce, zrobiła się zimna, lepka klucha. Ale nie spałam. Nie brałam prysznica. To samo ubranie co wczoraj, zanim wszystko się stało. Wystroiłam się, włożyłam najładniejsze rzeczy, jakie mam. Żółtą bluzkę i spódnicę do kolan. Teraz przeklinam te syntetyczne materiały opinające moje ciało. Za ciasna bluzka uwiera pod pachami, rękawy są za krótkie, wciąż ściągam je w dół.

— Ale dlaczego oni nie mówią nic konkretnego?

Stałam. Nigdy nie siedzę. Stoję lub chodzę. Szybko. Jakbym miała przebiec w tym pomieszczeniu maraton. Dłonie mam wilgotne, cały czas czuję na sobie zimny pot. Ubranie lepi się do ciała. Otacza mnie jakiś zapach, woń, jakiej nigdy przedtem nie czułam.

— Oni wiedzą więcej niż my. Musimy po prostu na nich polegać.

Kuan upił łyk herbaty. Patrzyłam na to z wściekłością. Sposób, w jaki pił, para unosząca się z filiżanki, to, jak przesuwa się pod jego nosem, ciche siorbanie — robił to przecież tysiące razy przedtem. Ale teraz nie powinien.

Powinien krzyczeć, wołać, przeklinać, oskarżać mnie. A to, że po prostu tak siedzi z filiżanką w dłoniach, które o nią ogrzewa, te jego

nieprawdopodobnie spokojne ręce…

— Tao? — Nagle odstawił filiżankę, jakby czytał w moich myślach. — Proszę cię…

— Co chcesz, żebym powiedziała? — Patrzyłam na niego surowo. — Picie herbaty w każdym razie nie pomoże.

— Co?

— To był symbol.

— Tyle zrozumiałem. — Teraz jego oczy błyszczały.

To jest nasze dziecko, chciałam krzyknąć. Wei-Wen! Ale tylko się odwróciłam, nie mogłam na niego patrzeć.

Dźwięk dzbanka, który został uniesiony, i gorąca herbata, którą przelano. Kuan wstał i podszedł do mnie.

I stał z filiżanką parującej herbaty wyciągniętą ku mnie, trzymał ją pewną ręką.

— To mogłoby ci pomóc — rzekł cicho. — Potrzebujesz czegoś ciepłego.

To mogłoby pomóc… Picie herbaty. Taki jest jego plan? Nic nie robić, tylko siedzieć tutaj? Biernie patrzeć przed siebie bez woli zmiany, działania, zrobienia czegokolwiek?

Znowu odwróciłam twarz. Nie mogłam tego wszystkiego powiedzieć. On ma mi zbyt wiele do zarzucenia. Odpowiedzialność nie została podzielona po równo między nas oboje. Mimo to Kuan mnie nie oskarża, nie obarcza winą. Stoi tam po prostu, z wyciągniętą ku mnie filiżanką herbaty, ręka niemal nienaturalnie wygięta.

Zaczerpnął powietrza, jakby chciał powiedzieć coś więcej.

W tym momencie drzwi się otworzyły. Do środka weszła doktor Hio. Z wyrazu jej twarzy nic nie można było wyczytać. Żal? Odrzucenie?

Nie przywitała się, tylko skinęła w naszym kierunku.

— Byłoby dobrze, gdybyście państwo przeszli do mojego gabinetu.

Ruszyłam natychmiast, Kuan zaś stał z filiżanką w ręce, jakby nie wiedział, co z nią zrobić. W końcu się opanował, odstawił filiżankę na stół, trochę płynu się rozlało. Zauważył to i zawahał się. Czy będzie tracił czas na wycieranie? Nie. Wyprostował się szybko i ruszył za nami.

Lekarka szła przodem, Kuan i ja nie patrzyliśmy na siebie. To, co ważne, niech nadal pozostanie niewypowiedziane. Wpatrywaliśmy się w doktor Hio. W jej plecy wyprostowane pod białym kitlem. Poruszała się lekko, włosy miała związane w koński ogon, który kołysał się jak u młodej dziewczyny.

Otworzyła jakieś drzwi i weszliśmy do pomalowanego na szaro pokoju. Pomieszczenie bez wyrazu. Ścian nie zdobiły żadne zdjęcia dzieci, na biurku stał tylko telefon.

— Siadajcie państwo, bardzo proszę.

Wskazała nam dwa krzesła i przesunęła własne na drugą stronę biurka tak, by blat nas nie dzielił. Może czegoś takiego uczą ich na studiach. Że biurko daje im autorytet. A kiedy chcą rozmawiać o czymś poważnym, to lepiej jest występować, na ile to możliwe, jako bliźni.

Coś poważnego. Ona ma nam do powiedzenia coś poważnego. Nagle zapragnęłam, żeby lekarka siedziała inaczej, nie tak blisko. Odchyliłam się do tyłu, jak najdalej od niej.

— Czy możemy go zobaczyć? — spytałam pośpiesznie. Pozostałych pytań nie odważyłam się zadać: Jak on się czuje, co się z nim dzieje, co się stało naszemu synowi?

Lekarka popatrzyła na mnie.

— Obawiam się, że nie mogą państwo jeszcze do niego pójść… Zresztą ja, niestety, zostałam odsunięta od leczenia państwa syna.

— Odsunięta od leczenia? Ale dlaczego?

— Badaliśmy wiele hipotez dotyczących diagnozy. Ale… Ale sprawa nadal jest niejasna. — Teraz wzrok miała rozbiegany. — Niezależnie od wszystkiego, przypadek jest bardzo skomplikowany i leży poza zasięgiem mojej specjalności.

Poczułam lekką ulgę. Najgorsze słowa nie padły. Lekarka nie powiedziała: Odszedł. Umarł. Zasnął. Powiedziała natomiast, że to skomplikowane, ale oni mają hipotezy. To znaczy, że nie dają za wygraną.

— W porządku. Świetnie. Kto go przejął?

— Zespół, który wczoraj wieczorem przyleciał z Pekinu. Podam państwu nazwiska, jak tylko sama je otrzymam.

— Z Pekinu?

— Oni są najlepsi.

— A tymczasem?

— Proszono mnie, bym powiedziała, że nie musicie państwo czekać. Że możecie jechać do domu.

— Co? Nie!

Odwróciłam się do Kuana. Czy on nic nie powie?

Doktor Hio wierciła się na krześle.

— Mały jest w najlepszych rękach.

— Nie ruszymy się stąd. To nasze dziecko.

— Proszono mnie, bym poinformowała, że może minąć wiele czasu, zanim będą wiedzieć coś więcej. A teraz tutaj państwo nic nie mogą zrobić. Przypadek Wei-Wena był naprawdę wyjątkowy.

Zesztywniałam. „Był”.

Kiedy w końcu zdołałam otworzyć usta, moje słowa były ledwo dosłyszalne.

— Co pani próbuje nam powiedzieć? — Znowu zwróciłam się do Kuana w poszukiwaniu pomocy, ale on siedział nieporuszony. Jego dłonie

spoczywały bez ruchu na kolanach. O nic nie pytał. To znowu ja zwróciłam się do lekarki. Słowa wydobywały się z głębi mej duszy. — Czy on żyje?

Doktor Hio pochyliła się lekko w przód i zwróciła ku nam głowę. Jak żółw wyglądający spod skorupy. Oczy miała okrągłe, wzrok błagalny, jakby prosiła nas, byśmy jej więcej nie nękali. I nie sprawiała wrażenia, że odpowie.

— Czy on żyje?!

Lekarka się wahała.

— Kiedy widziałam go ostatni raz, był… utrzymywany sztucznie przy życiu.

Kuan obok mnie zaniósł się szlochem. Zauważyłam, że jego policzki są mokre, ale nie zrobiło to na mnie wrażenia.

— Co to znaczy? Czy on nadal żyje? Czy to znaczy, że on żyje?

Kobieta skinęła głową, bardzo wolno. Żyje, uchwyciłam się tego słowa. Żyje. On żyje.

— Ale nie bez pomocy — wtrąciła lekarka cicho.

To nie miało znaczenia. Zmuszałam się, by myśleć, że to nie ma znaczenia. Najważniejsze, że żyje.

— Chcę go zobaczyć — powiedziałam głośno. — Nie wyjadę stąd, dopóki go nie zobaczę.

— Obawiam się, że to niemożliwe.

— On jest moim synem.

— Jak powiedziałam, ja już za niego nie odpowiadam.

— Ale pani wie, gdzie on jest.

— Naprawdę bardzo żałuję…

Zerwałam się nagle z miejsca. Kuan uniósł głowę, patrzył na mnie zdumiony. Nie spojrzałam mu w oczy, zwróciłam się do lekarki:

— Proszę mi wskazać, gdzie on jest!

GEORGE

O piątej odesłałem Ricka i Jimmy’ego do domu. Została jeszcze jedna trzecia uli. Poradzę sobie z tym sam. Nie mogę ich zatrzymywać, skoro nie jest to konieczne.

Blisko zachodu słońca byłem prawie gotowy. Mniej więcej w tym samym czasie równina została opanowana przez jakieś dziwnie natrętne muchy. Nie miałem pojęcia, gdzie się podziewają za dnia, ale o zmierzchu przylatują — ogromne chmary much, których nie można się pozbyć. Wygląda, jakby lubiły ludzi, bo trzymają się mnie, towarzyszą mi na każdym kroku.

Zbierałem się, by wrócić do domu. Byłem w drodze do samochodu, kiedy zatelefonował Tom. Nie zapisałem sobie jego numeru w komórce, szczerze mówiąc, nie wiem, jak to zrobić, ale na szczęście go rozpoznałem.

— Cześć, tato.

— Cześć.

— Gdzie jesteś?

— A dlaczego pytasz? — odparłem i zachichotałem.

— No, sam nie wiem…

— Dawniej ludzie zaczynali rozmowy od słów „jak ci idzie”, teraz, odkąd mamy telefony komórkowe, pytają „gdzie jesteś?” — próbowałem mu tłumaczyć.

— Tak…

— Jestem na polu. Robiłem kontrolę.

— O! I wszystko dobrze?

— Dobrze.

— Świetnie. Miło to słyszeć. To mnie cieszy.

„To mnie cieszy”? Te słowa w jego ustach brzmiały dziwnie. Czy on teraz w ten sposób będzie rozmawiał?

— A co twoim zdaniem to mówi? — spytałem.

— Mówi?

— Tak. Co to mówi o społeczeństwie? Że pytamy się nawzajem o to, gdzie jesteśmy, zamiast spytać, jak się czujemy.

— Tato…

— Żartuję, Tom.

Próbowałem się roześmiać. On, jak zwykle, nie odpowiedział śmiechem. Przez parę sekund milczeliśmy. Potem ja roześmiałem się głośniej, w nadziei, że to pomoże, ale akurat w momencie, kiedy stałem z ustami otwartymi niczym drzwi kościoła w niedzielę, wpadła mi do środka mucha, mógłbym przysiąc, że trafiła w migdał. Cholernie mnie łaskotała, nie wiedziałem, co zrobić. Czy powinienem kaszleć, by ją wyrzucić, czy połknąć, więc próbowałem i jednego, i drugiego naraz. Ale nie działało.

— Tato — powiedział nagle Tom. — Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy, kiedy byłem ostatnio w domu?

Mucha nadal tkwiła mi w przełyku.

— Jesteś tam?

Znowu zakaszlałem.

— Tak.

— Kiedy ostatnio sprawdzałem ule. — Głos Toma brzmiał teraz ciszej. — Chcę ci powiedzieć, że dostałem stypendium.

Słyszałem, że zaczerpnął powietrza. Na linii między nami trzeszczało, jakby telefon protestował przeciwko tej rozmowie.

— Nie będzie cię to kosztowało ani centa, tato. John wszystko załatwił.

— John? — spytałem ochrypłym głosem, bo wciąż nie pozbyłem się muchy.

— Tak. Profesor Smith.

Oczyściłem gardło, zaniosłem się gwałtownym kaszlem, ale nie wydobyła się z niego ani mucha, ani żadne słowo.

— Ty płaczesz, tato?

— Nie, do diabła, przecież nie będę się mazał.

Znowu zacząłem kaszleć. W końcu mucha odkleiła się od gardła, zsunęła na język i zatrzymała przy wargach.

— No, pewnie — potwierdził.

Kolejna pauza.

— Chciałem ci tylko to powiedzieć.

— No to powiedziałeś.

Nie mogłem teraz pluć, on by to usłyszał.

— Tak.

— Tak.

— No to trzymaj się.

— Ty też się trzymaj.

Solidna porcja śliny i mucha zniknęła, nie patrzyłem gdzie, nie byłem zainteresowany jej dalszymi losami.

Stałem z telefonem w ręce. Miałem wielką ochotę cisnąć nim o ziemię, zobaczyć od środka tę cholerną tanią elektronikę, która umożliwia otrzymywanie ze wszystkich stron złych wiadomości nawet tak daleko od domu, na łące. Wiedziałem jednak, że zdobycie nowego telefonu będzie wymagało wielkiego zachodu. No i poza tym to kosztuje. Zresztą nie ma pewności, że telefon zostanie uszkodzony, trawa zdążyła już wyrosnąć, jest miękka niczym pierzyna. Stałem więc z ręką zaciśniętą na telefonie i z pękniętym sercem.

WILLIAM

Zaczynałem dochodzić do siebie, jadałem z apetytem i podejmowałem ostrożne ćwiczenia. Kąpałem się codziennie, często prosiłem o świeże ubrania, goliłem się chętnie nawet dwa razy dziennie. Po wszystkich miesiącach, kiedy wyglądałem jak zarośnięty szympans, polubiłem gładkość twarzy, muśnięcia powietrza na skórze.

I czytałem, aż oczy zaczynały mnie piec. Byłem w stanie robić coraz więcej, z każdym dniem czytałem dłuższe fragmenty, spędzałem też długie godziny przy biurku, w otoczeniu książek rozrzuconych po stole, łóżku i podłodze. Ponownie czytałem Swammerdama, jego badania nadal były dla mnie inspiracją i wsparciem. Dokładnie studiowałem ul Hubera, konstrukcję praktycznych ramek, i na dodatek zamówiłem wszystkie opracowania i czasopisma o hodowli pszczół, o których informację udało mi się znaleźć. Okazało się, że jest ich mnóstwo. W ostatnich latach mieszczanie w wolnym czasie jęli zajmować się pszczelarstwem, poświęcali temu długie godziny między lunchem i piciem herbaty. Toteż większość tych nowych podręczników była, rzecz jasna, pisana dla zwyczajnych ludzi, prostym językiem, nieskomplikowanym stylem. Komuś takiemu jak ja wystarczyło je przejrzeć. Niektórzy autorzy opisywali eksperymenty z ulami z drewna, uważali, że odkryli coś, co narzuci nowe standardy, ale żaden z nich nie potrafił zbudować ula, który naprawdę pozwalałby pszczelarzowi w pełni obejrzeć wnętrze. Nikt nie wymyślił takiego ula, jaki ja zamierzałem stworzyć, i wiedziałem, że stworzę.

Dorothea odwiedzała mnie teraz codziennie. Przychodziła zarumieniona, z przekąskami, które sama przygotowała. Thilda musiała ją o to prosić

w nadziei, że zjem więcej, wiedząc, iż moja córka własnymi rękami szykowała dla mnie to danie. Musiałem potwierdzać to przypuszczenie, jedzenie zaskakująco mi smakowało, a Dorothea najwyraźniej miała zostać prawdziwą gospodynią. Czasami przychodziła też Georgiana. Wypełniała pokój swoim przenikliwym dziecinnym głosem, by za chwilę tak samo nagle zniknąć. Charlotte była najmniej dokuczliwa, wsuwała swój ostry nos przez uchylone drzwi i zazwyczaj prosiła, by wolno jej było pożyczyć książkę, jedną z tych, których ja w tym momencie nie potrzebuję. Pożyczała wciąż nowe, wkrótce chyba przeczyta wszystko, co posiadam, tak szybko się z tym uwijała.

Edmund nigdy nie przychodził. Niekiedy po obiedzie docierał do mnie z dołu lub z ogrodu jego głos, słyszałem go nawet z korytarza za moimi drzwiami, ale ani razu nie zaszczycił mnie swoją obecnością.

Ostatecznie więc ja poszedłem do niego.

Był wczesny wieczór, dom odzyskał spokój po popołudniowej herbacie. Wkrótce znowu wszędzie rozlegną się głosy, bo trzeba będzie podawać kolację, ale akurat w tej chwili panowała cisza.

Ostrożnie zapukałem do jego drzwi. Nikt nie odpowiedział. Uniosłem rękę do klamki, ale się zawahałem. Chciałem dać mu czas. Dotknąłem dłonią twarzy, potarłem gładko wygolony policzek. Przygotowałem się, zanim tu przyszedłem, umyłem się, włożyłem czyste spodnie. Z całego serca pragnąłem, by zobaczył tę wersję mnie, a zapomniał o tym, z czym spotkał się ostatnio.

Wciąż nie podchodził do drzwi, zacząłem więc znowu delikatnie pukać. Odpowiedzi nie było.

Czy mimo to mógłbym wejść? To jego pokój, jego prywatność. Ale jednak jestem ojcem. I dom, a tym samym również jego pokój, należą do mnie.

Oczywiście, mogę wejść. To przecież moje prawo.

Ostrożnie nacisnąłem klamkę. Drzwi otworzyły się na całą szerokość, zapraszały.

Pokój pogrążony był w półmroku, jedyne światło pochodziło z zewnątrz, ze świata skąpanego w blasku zachodzącego słońca. Ale pokój znajdował się po wschodniej stronie, więc jego promienie tutaj nie docierały.

Wszedłem i zauważyłem klucz po wewnętrznej stronie drzwi. Czy on ma zwyczaj się zamykać? Powietrze było gęste. Unosiła się w nim woń piżma i czegoś ostrego, czego nie byłem w stanie określić. Wszędzie leżały bezładnie porozrzucane ubrania — marynarka na krześle, spodnie i koszula na łóżku. Na tym wszystkim szal, ten sam szal w kolorze butelkowym, który miał na szyi, kiedy złożył mi wizytę. Na nocnym stoliku stały brudne filiżanki i talerze, a parę zabłoconych butów rzucono po prostu na podłogę.

Stałem przy drzwiach. Poczułem się dziwnie. Coś w tym pokoju było nie tak. Coś mi się nie zgadzało.

Czy chodzi o nieporządek? Nie, on jest młody, jest mężczyzną. Oczywiście zachowuje się jak inni chłopcy w jego wieku. Powinienem skłonić którąś z dziewczynek, by pomogła mu utrzymywać porządek w pokoju. Ale to nie bałagan. To coś innego.

Rozejrzałem się wokół. Ubrania, talerze, buty, kubek.

Czegoś mi tu brakowało. I nagle wiedziałem już czego. Jego biurko. Jest puste. Półka na ścianie. Pusta.

Gdzie są wszystkie książki? Gdzie przybory do pisania? To, czego potrzebuje uczeń, który przygotowuje się na studia.

— Ojcze?

Odwróciłem się pośpiesznie. Pojawił się tak, że go nie zauważyłem.

— Edmund? — Zachwiałem się. Czy powinienem wyjść? Nie. Mam wszelkie prawo, żeby tu być. Wszelkie prawo.

— O czymś zapomniałem. — Był zdyszany i zarumieniony, najwyraźniej przyszedł z dworu. Dzisiaj też wyglądał pięknie, ale jakby przypadkowo ubrany, w czerwonej aksamitnej kamizelce, rozpiętym płaszczu i z szalem zawiązanym wokół szyi. W ręku trzymał sakiewkę, szybko podszedł do konsolki zawieszonej na ścianie przy łóżku. Stała tam niewielka szkatułka, podniósł wieko i czegoś szukał. Słychać było brzęk monet. Otworzył sakiewkę i wsunął do niej kilka miedziaków. Potem nareszcie zwrócił się do mnie.

— Czy coś się stało?

Nie był zły, że wdarłem się do jego pokoju, to najwyraźniej nie miało dlań znaczenia.

— A ty dokąd? — spytałem.

Machnął ręką w powietrzu.

— Wychodzę.

— A dokąd?

— Ojcze… — Uśmiechnął się, trochę skrępowany, tak przynajmniej to wyglądało. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałem go uśmiechniętego, ale przecież ma do tego pełne prawo.

— Musisz mi wybaczyć — odpowiedziałem uśmiechem. — Zapomniałem, że nie jesteś już dzieckiem.

Ruszył ku drzwiom. Zrobiłem krok naprzód. Czy zamierza wyjść? Nie mógłby trochę poczekać? Choćby tyle, żeby mi się przyjrzeć, popatrzeć na mnie uważnie, stwierdzić, na ile wyzdrowiałem, zauważyć, jaki jestem zadbany, jak bardzo nie przypominam tamtego ojca, którym byłem podczas naszej poprzedniej rozmowy.

Zawahał się i zatrzymał. Staliśmy tak, każdy po swojej stronie drzwi, jeszcze tylko dwa kroki i Edmund zniknie.

— Czy mógłbym cię o coś spytać? — rzekł.

— Oczywiście. Możesz pytać o wszystko, co tylko przyjdzie ci do głowy.

Uśmiechnąłem się zachęcająco. Za chwilę zacznie się nasza dobra rozmowa, ta, która będzie dla nas obu początkiem czegoś całkiem nowego.

Edmund zaczerpnął powietrza.

— Masz trochę pieniędzy?

Drgnąłem.

— Pieniędzy?

Pomachał sakiewką i się skrzywił.

— Prawie pusta.

— Ja… — Nie byłem w stanie odpowiedzieć. — Bardzo żałuję.

Syn wzruszył ramionami.

— Będę musiał zwrócić się do matki.

I wyszedł.

Udałam się do siebie dziwnie przygnębiony. Czy w jego oczach jestem tylko po to, aby zarabiać? Czy pieniądze to wszystko, czego ode mnie potrzebuje?

Usiadłem przy biurku. Nie, tak nie może być. Ale pieniądze… Dla niego pewnie pieniądze znaczą wszystko, czego nam brakuje. Ubóstwo, w jakim ostatnio żyła rodzina… To zrozumiałe, że odbiło się na jego charakterze. Dla niego brak pieniędzy wiąże się z tym, że ojciec był chory. To, że wstałem z łóżka, jest słuszne i dobre, ale nadal nie potrafię zdobyć tego, czego on naprawdę oczekuje. Jest młody. Oczywiście ta prosta potrzeba jest dla niego najbardziej istotna. Ale musi dać mi czas. Bowiem pomysł, z którym się noszę, może zapewnić mu to, czego, jak to przed chwilą pokazał, pragnie i co uważa za najważniejsze.

Zamoczyłem pióro w kałamarzu i pochyliłem się nad papierem. Nigdy nie byłem wielkim rysownikiem, niestety, a dla zoologa rysowanie tego, co

obserwuje, jest ważną częścią pracy. Więc przez całe lata zmuszałem się do pracy nad tym i teraz jakoś daję sobie radę. Coś mi mówiło, że muszę swoje pomysły naszkicować, zanim się ulotnią. Oczyma wyobraźni widziałem drewnianą skrzynkę ze spadzistym dachem. Koszykowe ule mają organiczne formy, niczym gniazdo, i niemal zlewają się w jedno z kołyszącym się na polach zbożem. Ja natomiast chciałem stworzyć coś innego, coś zakotwiczonego w cywilizacji. Mały domek dla pszczół, z drzwiami, otworami, możliwością zaglądania do środka. Powinien zostać stworzony przez człowieka, bo tylko my, ludzie, możemy wznosić odpowiednie budowle, dom, który można nadzorować i który daje kontrolę człowiekowi, nie naturze.

Rysowałem przez wiele dni, mierzyłem różne części, wyobrażałem sobie, jak ul będzie można wprowadzić do produkcji, i wszystkie swoje siły wkładałem w detale. Rodzina żyła własnym życiem, ja prawie ich nie zauważałem, jednak codziennie przyjmowałem wizyty Georgiany i Thildy. I oczywiście Charlotte.

Któregoś przedpołudnia przyszła wyjątkowo wcześnie. Zapukała lekko do drzwi, jak miała w zwyczaju. Najpierw nie odpowiedziałem, bo byłem zbyt zajęty szczegółami dachu ula. Zapukała znowu.

— Tak — westchnąłem.

Drzwi się otworzyły. Charlotte zatrzymała się w pół kroku.

— Dzień dobry, ojcze.

— Dzień dobry.

— Czy mogę wejść? — Głos brzmiał spokojnie, ale wzrok utkwiony był w podłogę.

— Pracuję.

— Nie będę ci przeszkadzać. Chciałabym tylko oddać to.

Wyciągnęła ku mnie książkę. Trzymała ją obiema rękami, jak coś bardzo cennego. Podeszła kilka kroków bliżej, uniosła głowę i popatrzyła na mnie.

— Miałam nadzieję, że może będziemy mogli trochę o niej porozmawiać. — Jej oczy były szarozielone, osadzone odrobinę zbyt blisko siebie. Nie takie jak oczy Thildy. Zresztą prawie w ogóle nie była podobna do matki.

— Połóż ją tam.

Wskazałem głową półkę na książki. I popatrzyłem na nią wymownie, w nadziei, że to wystarczy i nie będę musiał jej wprost wypraszać.

— Tak. — Znowu pochyliła głowę, podeszła do półki i tam się zatrzymała.

Zmieniłem zdanie. To prawda, że jestem zajęty, ale to jeszcze nie powód, by być niemiłym.

— Zastanawiam się właśnie nad pewną sprawą, ale chętnie porozmawiam z tobą później — rzekłem z nadzieją, że mój głos zabrzmi łagodnie.

Charlotte nie odpowiedziała, popatrzyła tylko na książkę, którą nadal trzymała w rękach.

— Gdzie ona ma stać?

— Na półce oczywiście.

— Tak, ale… Chodzi mi o to… Nie masz tu żadnego systemu?

— Nie. Po prostu ją tam postaw.

Charlotte spojrzała na mnie, tym razem pełna zapału.

— Może mogłabym ci je posortować?

— Co?

— Książki. Mogę poustawiać je alfabetycznie według nazwisk pisarzy, jeśli chcesz.

Ona z pewnością nie ustąpi.

— Dobrze… Tak… Dlaczego nie.

Córka uśmiechnęła się nieśmiało, pochyliła się, a potem usiadła na podłodze. Jej kark miał teraz piękną linię, włosy upięte z tyłu, żadnych loków nad uszami, wyraźnie tego typu sprawy jej nie interesują. Pokręciła się, raz i drugi zmieniła pozycję, w końcu znalazła odpowiednią. Widocznie zamierza siedzieć tu długo.

Potem zaczęła pracować, robiła to szybko, ruchy miała pewne i precyzyjne. I troskliwość, z jaką odnosiła się do książek, jakby to były młode wróbelki, którym pomaga wrócić do gniazda.

Pochyliłem się znowu nad rysunkiem, próbowałem pracować dalej, ale nie byłem w stanie przestać jej się przyglądać. Zapał widoczny w ruchach, troskliwość, koncentracja, szacunek, każda książka została starannie ustawiona. Charlotte przesuwała palcami po grzbietach, by upewnić się, że żadna nie wystaje z szeregu. Swego czasu traktowałem książki tak samo jak ona. Charlotte musiała zauważyć moje spojrzenie, bo nagle odwróciła się ku mnie z uśmiechem. Odpowiedziałem jej tym samym i bardzo szybko skupiłem się znowu na pracy z niezrozumiałym uczuciem, że zostałem przyłapany.

Wkrótce książki były ustawione jak trzeba. Słyszałem, że Charlotte wstała, udałem jednak, że mnie to nie interesuje, jakbym był głęboko pogrążony w swojej pracy. Ale ona nie wyszła. Po prostu stała.

Uniosłem wzrok.

— Dziękuję. — Skinęła mi w odpowiedzi. Czy ona sobie nie pójdzie? Nie mogę pracować z tym cieniem, który stoi za mną i oddycha.

— Ty… Usiądź, proszę — powiedziałem w końcu, podsuwając jej krzesło. Byłem jej to winien.

— Dziękuję. — Pośpiesznie usiadła na samym brzeżku.

Znowu podjąłem pracę.

— Co to jest? — spytała, wskazując rysunek.

Spojrzałem na nią.

— A jak myślisz?

— Ul — odparła.

Popatrzyłem na nią zaskoczony. Potem pomyślałem, że ona oczywiście musiała oglądać te wszystkie podręczniki, które mi przysyłano.

— Zamierzasz taki zbudować? — spytała.

— Muszę. Powinienem taki mieć.

— Ale… Czy to jest pierwsza rzecz, którą zrobisz?

— Pierwsza? Nie widzisz tych wszystkich książek, które już przeczytałem? — Wskazałem ręką wokół.

— Widzę — odparła tylko, przyglądając się swoim rękom, które ładnie złożyła na kolanach.

Zaczęła narastać we mnie irytacja.

— Czy nie obiecywałaś mi, że będziesz cicho?

— Wybacz. Już nic nie mówię.

— Ale ja słyszę, co ci się tłucze po głowie.

— Chodzi tylko o to, że…

— O co?

— Zawsze powtarzałeś, że trzeba budować od podstaw.

— Aha, więc tak mówiłem?

Oczywiście, że tak mówiłem. Wiele razy. Może nie wprost do Charlotte, ale do Edmunda, kiedy siedział nad lekcjami i pragnął rozwiązać trudne zadanie matematyczne, mimo że wciąż nie opanował tabliczki mnożenia.

Charlotte uniosła wzrok.

— A poza tym opowiadałeś mi wiele o tym, że w zoologii zawsze trzeba zaczynać od obserwacji.

— To prawda.

— Że fundament zawiera się w obserwacji. Dopiero potem przychodzą rysunki.

Jakaś taśma obejmowała mi głowę coraz większym uciskiem. Moje własne słowa w ustach Charlotte. Do cholery, ona ma rację.

TAO

Doktor Hio zabrała nas ze sobą. Winda w górę, potem długi korytarz. Wreszcie winda na dół. Hio szła szybko, raz po raz oglądała się przez ramię, może nie chciała, by ją widziano. Powiedziała, że otrzymała jasne instrukcje — nikt nie może go odwiedzać. Został położony w izolatce, nikomu nie wolno tam wchodzić.

— Ale — mówiła dalej, głównie do samej siebie — pani jest matką. — Zerknęła pośpiesznie na Kuana, jakby dopiero teraz go odkryła, i poprawiła się: — Jesteście państwo rodzicami. Macie prawo go zobaczyć. — Głos jej drżał, gdy wypowiadała te słowa. Jej urzędowa empatia zniknęła.

Co nas czeka? Wei-Wen na szpitalnym łóżku. Blady, duże oczy. Żyłki na powiekach wyraźnie widoczne. Małe ciałko, przedtem pełne uporu i energii, teraz całkiem bezwładne. Rączki wzdłuż boków, w jednej kaniula z plastikową rurką. Rączki, które obejmowały moją szyję, policzek gładki i ciepły, który się do mnie tulił, teraz otoczone maszynami, piszczącymi aparatami, migoczącymi ekranami. Sterylnie. Biało. Samotnie.

Było do niego daleko, albo może to my szliśmy okrężnymi drogami. Za każdym razem, kiedy kogoś mijaliśmy, lekarka kiwała krótko głową i jeszcze bardziej przyśpieszała kroku. Jakbyśmy zostali połknięci przez trzewia tej budowli, jakbyśmy byli w drodze do miejsca, z którego nie ma wyjścia.

W końcu lekarka się zatrzymała. Staliśmy przed stalowymi drzwiami. Obejrzała się ukradkiem, jakby chcąc się upewnić, że w pobliżu nikogo nie ma, potem nacisnęła jakiś guzik. Drzwi otworzyły się z szumem. Futrynę obramowano gumowymi listwami, zamknięcie było bardzo szczelne.

Przekroczyliśmy próg. W środku słychać było głośniejszy szum, urządzenie wentylujące włączono na najwyższe obroty. Drzwi za nami się zamknęły, przyssały się do futryny.

Myślałam, że zastaniemy tu jakiś personel. Ubranych na biało pracowników, którzy nas otoczą. Szorstkie głosy, autorytety. „Musicie stąd wyjść, wyjdźcie, to strefa zamknięta”. Już sobie przygotowałam słowa odpowiedzi. Postanowiłam, że będę nieustępliwa wobec Kuana, bo po jego spojrzeniu poznawałam, że już się wycofuje, przechodzi do defensywy, nie chce być tutaj, na zakazanej ziemi.

Ale korytarz przed nami był pusty. Podobnie jak cały oddział. Posuwaliśmy się w głąb, okrążyliśmy narożnik. Spodziewałam się jakiejś kraty, dyżurki, biegnącego gdzieś lekarza. Jednak tu też ani żywej duszy. Doktor Hio szła przodem. Nie widziałam jej twarzy, poruszała się jednak jakby z wahaniem, coraz wolniej.

W końcu dotarliśmy do kolejnych drzwi. One też zostały zrobione ze lśniącej stali, nie było na nich śladów palców, żadnych śladów życia. Okrągłe okno pośrodku, jak na dawnym statku. Próbowałam zajrzeć do wnętrza, ale lampy pod sufitem świeciły zbyt mocno, zielonkawa poświata uniemożliwiała zobaczenie czegokolwiek.

— To tutaj. Tu on leży — oznajmiła doktor Hio.

Stała chwilę, niepewna, potem usunęła się na bok.

— Mogą państwo wejść tam sami.

Dotknęłam ręką drzwi. Metal był zaskakująco zimny. Cofnęłam dłoń, która zostawiła wilgotny ślad na sterylnym tle. Potem otworzyłam.

Wkroczyłam do mrocznego pokoju. Ledwo zauważałam, że Kuan podąża za mną. Trzeba było czasu, by przywyknąć do ciemności. O mało nie zderzyłam się ze szklaną szybą, zamocowaną od podłogi do sufitu zaledwie jakiś metr od wejścia. Za tą szybą znajdowała się skromnie umeblowana

szpitalna sala. Szafa. Łóżko. Nocny stolik ze stali. Nagie płaszczyzny ścian. Łóżko.

Puste.

Łóżko było puste.

Pokój był pusty. Naszego syna tam nie było.

Wypadłam z powrotem na korytarz. Ale stanęłam jak wryta. Doktor Hio towarzyszył teraz inny lekarz. Rozmawiali ze sobą szeptem, pośpiesznie. Ten drugi pochylał się ku niej, surowy i zagniewany. Wyraźnie przywoływał ją do porządku.

Kuan wyszedł za mną i też się zatrzymał.

— Gdzie on jest? — spytałam głośno.

Lekarz odwrócił się do mnie. Wysoki, szczupły, blady. Niespokojne ręce wsunął do kieszeni kitla.

— Państwa syna tu niestety już nie ma. Został wypisany.

— Co?

— Przeniesiony.

— Przeniesiony? Dokąd?

— Do… — Nadal nie patrzył mi w oczy. — Do Pekinu.

— Do Pekinu?

— Jak państwu być może powiedziano, nadal nie mamy pewności, co mu dolega. Dlatego podjęto decyzję, że lepiej przekazać go w dobre ręce zespołu specjalistów.

Kuan nie powiedział nic, kiwał tylko głową.

— Nie — zaprotestowałam.

— Co? — Lekarz nareszcie na mnie spojrzał.

— Nie. Nie mogliście go tak po prostu odesłać.

— Przecież my go nie odesłaliśmy. Pojechał do najlepszych. Powinniście być wdzięczni.

— Ale dlaczego nikt nam nic nie powiedział? Dlaczego nie mogliśmy pojechać z nim?

Znowu to samo. Najpierw mama. Teraz on. Odebrani mi bez wyjaśnienia.

— W jakim jest szpitalu?

— Tego się państwo dowiedzą.

— Teraz!

— Jeśli państwo wrócą do domu, to udzielimy więcej informacji.

Coś we mnie pękło, nie byłam w stanie dłużej nad sobą panować, kontrolować się, być rozsądna. Podniosłam głos, który zabrzmiał przenikliwie.

— Zabierz mnie natychmiast do mojego syna! Zaprowadź mnie do niego! — Dwoma skokami dopadłam do doktora i chwyciłam go za ramiona. — Chcę zobaczyć moje dziecko, rozumiesz?!

Krew uderzyła mi do głowy, policzki miałam mokre, próbowałam nim potrząsać, ale on stał tylko i patrzył z niedowierzaniem.

W końcu ktoś mnie chwycił i mocno przytrzymał, wykręcił ręce do tyłu, unieruchomił mnie, uczynił tak samo bezwolną, jak sam był. Kuan. Posłuszny, teraz, jak zawsze.

W pociągu do domu nie rozmawialiśmy. Podróż zabrała nam blisko trzy godziny. Musieliśmy się przesiadać. Przeszliśmy też dwie kontrole. Jedno pobranie odcisków palców i mnóstwo pytań. Kim jesteśmy? Gdzie mieszkamy? Dokąd jedziemy? Gdzie byliśmy? Kuan spokojnie odpowiadał, nie pojmowałam, jak mu się to udaje. Jakby był tym samym Kuanem co zawsze, a mimo to innym. Raz napotkałam jego wzrok, spojrzały na mnie nieznajome oczy. Odwróciłam się.

Ostatni odcinek drogi pokonaliśmy piechotą. Byliśmy zaledwie sto metrów od naszego domu, gdy zauważyliśmy krążące nad nami helikoptery. Ich łoskot narastał i opadał. Najpierw myślałam, że znajdują się dokładnie

nad naszym domem, ale kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyłam, że latają nad polami, nad gruszami. Oraz nad lasem.

Okrążyliśmy narożnik i zatrzymaliśmy się. Tam, przed naszym domem, gdzie zaczynają się pola, stali nasi koledzy, wszyscy w roboczych kombinezonach. Zostali oderwani od pracy i biernie stali w niewielkiej grupie. Niektórzy nadal trzymali w rękach ogrodowe nożyce i koszyki z pyłkiem. Milczeli, po prostu stali i zdumieni patrzyli na okolicę przed nami. Nieco dalej znajdowało się wzniesienie, na którym jedliśmy lunch. Za nim rozciągał się las. W powietrzu nad drzewami pełno było różnych latających maszyn, a przed nami przesuwał się rząd wolno jadących czołgów. Tworzyły mur. Mur między nami a terenem po tamtej stronie. Za czołgami uwijali się żołnierze. Stawiali wysoką przegrodę z białego brezentu, długą na kilkaset metrów. Pracowali szybko i efektywnie, w milczeniu, słyszałam tylko uderzenia, kiedy wbijali słupki w ziemię. Obok żołnierzy, po drugiej stronie przegrody, majaczyły postaci w ochronnych kombinezonach i hełmach. Ochraniali nas przed czymś, co mogło nadejść z tamtej strony.

GEORGE

Nie mogłem spać. Po rozmowie z Tomem serce wciąż nie dawało mi spokoju, jego słowa nieustannie tłukły mi się po głowie. „Dostałem stypendium, nie będzie cię to kosztowało ani centa, John wszystko załatwił”.

Emma leżała cicho u mojego boku, oddychała niemal bezgłośnie. Twarz miała gładką. We śnie wygląda młodziej. To wprost bezczelne, że może tak leżeć i po prostu spać, kiedy ja muszę zmagać się z bolesnymi myślami. Żarówka na dziedzińcu mrugała. Lampa się chyba psuje, albo może coś się stało z kontaktem. Światło migotało niczym w dyskotece. Blask stroboskopów wpadał przez okno i wdzierał się pod powieki. Naciągnąłem pierzynę na głowę, ale to nie pomogło, było mi jeszcze trudniej oddychać.

W końcu wstałem, próbowałem szczelnie zaciągnąć story, by zlikwidować szparę, przez którą wpadało światło.

Ale to też nie wystarczyło. Migotanie przedzierało się również przez zasłony. Może Emma ma rację, mówiąc, że powinniśmy sobie sprawić całkiem szczelne, zaciemniające żaluzje. Pokazywała mi je w jakiejś gazecie, wyglądały jak zwyczajne rolety. Ale to musi poczekać. Teraz trzeba coś zrobić z lampą. I to zaraz. Nie zabierze mi to chyba wiele czasu, zwyczajna naprawa, coś, co można załatwić od ręki. Krótko mówiąc, muszę zreperować tę lampę, żebym mógł spać.

Noc była ciepła. Nie włożyłem kurtki, wyszedłem w samym T-shircie. Zresztą i tak nikt mnie nie zobaczy.

Lampa wisiała wysoko na ścianie, musiałem przynieść drabinę. Poszedłem do szopy, zdjąłem najdłuższą drabinę ze ściany, wyniosłem ją,

ustawiłem na miejscu, sprawdziłem, czy stoi pewnie, i wspiąłem się na górę. Klosz przykręcony był bardzo mocno. Nie mogłem go ruszyć. Przy tym był rozgrzany. Taki gorący, że ledwo byłbym w stanie go utrzymać, a i to niedługo. Próbowałem z T-shirtem, chwyciłem klosz przez materiał i usiłowałem odkręcić, ale się nie udało. Ostatecznie zdjąłem z siebie koszulkę. Żarówka migała w nierównych odstępach czasu, żadnego rytmu. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby chodziło o uszkodzony kontakt. Emma protestuje za każdym razem, kiedy sam naprawiam elektryczne urządzenia, ale przecież elektrykom trzeba płacić już za samo patrzenie. Muszą zarabiać niewiarygodne pieniądze, może człowiek powinien był wybrać taki zawód. A może Tom powinien tak zrobić? To by było o wiele lepsze, krótsza edukacja, dobre zarobki.

„Stypendium. Nie będzie cię kosztować ani centa. John wszystko załatwił”.

To jest porażka. Ale nie aż taka, by mnie przerazić.

Stałem na drabinie w spodniach, na nogach miałem skarpetki i buty i próbowałem zdjąć ten upaprany klosz. Nareszcie puścił. Trzymałem go w lewej ręce przez T-shirt, próbując równocześnie chwycić żarówkę.

— Cholera!

Parzyła. Musiałem zejść na dół z kloszem, odłożyłem go na ziemię i spojrzałem w górę. Żarówka na szczęście dała się szybko wykręcić. Przyszło mi jednak do głowy, że jeśli dzieje się coś z napięciem, to należałoby chyba zdjąć całą lampę, całe urządzenie. Zostawienie tego tak jak jest grozi pożarem. No i przecież nie może to chyba być bardzo trudne.

Wróciłem do szopy, żeby poszukać narzędzi. Potem znowu wszedłem na drabinę. Nienawidzę krzyżakowych śrubokrętów. Zrobi taki kilka obrotów i już krzyżak się wyrabia, po czym śrubokręt chodzi luźno. A już te

poczwórne są szczególnie uparte. Ale ja byłem bardziej uparty. Nie zamierzałem się poddać, nie jestem takim facetem, o nie.

Przykładałem śrubokręt i obracałem z całych sił.

W końcu wydostałem wszystkie śruby. Lampa nadal tkwiła przyklejona do ściany, zamalowana na stałe czerwoną bejcą. Ale dam sobie radę i z tym, takie przeciwności mnie nie przerażają. Chwyciłem więc i szarpnąłem.

Oderwałem lampę. Tylko przewody wystające ze ściany zwisały niczym dżdżownice. Dotknąłem jednego z nich palcem.

— O do diabła!

Kopnięcie nie było aż takie silne, bym stracił równowagę, ale w drugiej ręce trzymałem śrubokręt i podstawę lampy. Zresztą drabina też nie stała zbyt pewnie.

Leżałem na ziemi. Nie mam pojęcia, jak spadłem. Zachowałem w pamięci niewyraźne wspomnienie chwiejącej się drabiny, na której szczycie stałem, jakbym był jakimś bohaterem komiksu. Czułem ból w wielu miejscach. Piekielny ból.

Wysoko w górze widziałem przewody pełzające po ścianie, w dół, w moją stronę. Starałem się skoncentrować wzrok na przewodach, przestały się poruszać. Teraz nade mną pokazała się twarz Emmy. Żona była blada i potargana.

— George, co ty?

— To lampa.

Uniosła głowę i zobaczyła przewody sterczące ze ściany.

Usiadłem. Powoli. Na szczęście ciało nie stawiało oporu. Żadnych złamań. I lampa jest na dole. Zdjąłem ją.

Emma wskazała głową drabinę.

— Musiałeś zajmować się tym w środku nocy? — Podała mi jedną rękę, pociągnęła mnie w górę. — To nie mogło zaczekać?

Zrobiłem parę kroków. Noga bolała, starałem się nie okazywać, jak bardzo. Powinienem być niezadowolony, ale właściwie to ulżyło mi, że zdołałem zdjąć lampę. Jestem uparty jak osioł. Działam, kiedy coś układa się nie po mojej myśli.

Emma podała mi T-shirt. Próbowałem go włożyć.

— Zaczekaj.

Zaczęła wycierać mi plecy. Dopiero teraz zauważyłem, jaki jestem upaprany. Cały pokryty kurzem i gruzem, od skarpetek po korzonki włosów, ręce brudne od lampy.

Uwolniłem się od Emmy, wciągnąłem T-shirt, poczułem, że drobne kamyki nadal lepią mi się do pleców i sprana chińska bawełna wbija je w skórę. Trudno będzie z tym spać, to tak, jakbym chodził z kamieniem w bucie. Ale co tam, lampa jest na dole, a to najważniejsze.

Ustawiłem drabinę i poszedłem znowu do szopy. Trzeba zakończyć to, co rozpocząłem.

— Muszę przynieść taśmę izolacyjną. Przewody nie powinny tak zwisać.

— Ale to mógłbyś chyba zrobić jutro?

Nie odpowiedziałem. Emma westchnęła.

— To przynajmniej pozwól mi wyłączyć prąd. — Jej głos brzmiał teraz donośniej.

Spojrzałem na nią. Uśmiechała się niepewnie. Czy to ironia? Jak mogłem zapomnieć o pierwszym przykazaniu elektryka?

— Idź i połóż się — burknąłem tylko.

Wzruszyła ramionami, potem odwróciła się i poszła w stronę domu.

— Posłuchaj, Emma — zawołałem.

— Tak?

Przystanęła, czekając.

Wyprostowałem się i zacząłem mówić:

— Nie będzie żadnej Florydy. Chcę tylko, żebyś o tym wiedziała. Nie ze mną. Musiałabyś znaleźć sobie kogoś innego. Ja zamierzam mieszkać tutaj. Nie będzie żadnego Gulf Harbors.

WILLIAM

Słomiany ul, który zamówiłem, przyszedł trzy dni później. Postawiłem go w półcieniu pod osiką, na samym krańcu posiadłości, w tej części ogrodu, gdzie pozwalaliśmy zieleni rosnąć swobodnie. Tam nikomu nie będzie przeszkadzał, żadne z dzieci tam nie chodzi, więc naprawdę będę mógł pracować w spokoju, obserwować pszczelą rodzinę, bez przeszkód robić notatki i rysunki. Pewien chłop z południowej części miasteczka sprzedał mi ten ul bez mrugnięcia okiem; przypuszczalnie dlatego, że sam zaproponowałem mu cenę zamiast dowiadywać się, ile on by za niego chciał. Nawet nie próbował wdawać się w targi, zgodził się od razu, co świadczyło, że tak naprawdę mógłbym dostać ul za połowę ceny.

Tłumaczył mi, jak się wybiera miód, ale machnąłem tylko ręką. Przecież kupiłem ten ul nie ze względu na miód.

Thilda ze starego białego prześcieradła uszyła kostium podobny do kombinezonu szermierza. Musiała go mierzyć trzykrotnie, najwyraźniej nie mogła zrozumieć, że moje dawne wymiary są już nieaktualne. Na rękach miałem rękawice, w których wprawdzie pociły się ręce, ale stanowiły konieczną ochronę.

Teraz stałem tu, pod osikowym drzewem, byłem tylko ja i drzewo, ja i pszczoły.

Wyjąłem notatnik. Obserwacja była nowoczesną formą pracy naukowej, dawała mi radość, bo właśnie od nich, od obserwacji wszystko się zaczęło, wtedy narodziła się moja pasja.

Już miałem zacząć notować, kiedy przyszło mi do głowy coś jeszcze. Po tych wszystkich minionych latach wypadłem z rutyny — przecież

potrzebne jest krzesło.

Przyniosłem mały taboret. Byłem zdyszany, pot spływał pod kostiumem, który, teraz zaczynałem to odczuwać, okazał się trochę za ciasny, pił mnie pod pachami i w kroku.

Usiadłem, powoli ogarnął mnie spokój.

Na razie nie za bardzo było na co patrzeć. Pszczoły opuszczały ul, potem wracały, niczego zaskakującego w tym nie było. Poza ulem zbierały pyłek i nektar, ten ostatni przetwarzały na miód, natomiast pyłek stanowił pokarm dla larw. Trwała spokojna, mozolna praca, systematyczna, instynktowna, przekazywana w genach. One wszystkie są rodzeństwem, ponieważ królowa jest matką wszystkich, zostały stworzone z niej, ale nie są jej podporządkowane. Podporządkowane są całej społeczności roju.

Chętnie zobaczyłbym królową, ale kosz otaczał pszczoły i wszystko, co działo się wewnątrz, było ukryte.

Ostrożnie uniosłem kosz i zajrzałem do środka. Pszczoły zaczęły wylatywać z ula, rozproszyły się wokół mnie. Nie lubią, kiedy się im przeszkadza. Widziałem pełne wosku plastry, tu i tam pojawiał się truteń, widziałem jaja i larwy, pochyliłem się jeszcze bardziej. Z podniecenia czułem pulsowanie w skroniach, bo oto ruszyłem z pracą. Nareszcie ruszyłem.

— Jest obiad. — Głos Thildy zagłuszył brzęczenie owadów, muchy zerwały się do lotu. Znowu się pochyliłem. Mnie to nie dotyczy. Wspólne posiłki rodziny nie są częścią mojego życia. Od miesięcy z nimi nie jadałem. Słyszałem, jak dzieci biegły do domu, jedno po drugim znikały w drzwiach.

— Jedzenie czeka!

Ukradkiem zerknąłem przez ramię na Thildę. Stała pośrodku ogrodu i patrzyła w moją stronę, po chwili ruszyła ku mnie.

Widelec małej Georgiany zaskrzypiał na pustym talerzu.

— Ciii! — napomniała ją Thilda. — Odłóż widelec.

— Jestem głodna!

Thilda, Charlotte i Dorothea stawiały na stole półmiski. Jeden z jarzynami, drugi z ziemniakami i wazę z cieniutkim płynem, który miał być zupą.

— Czy to wszystko? — Wskazałem na dania.

Thilda skinęła głową.

— A gdzie mięso?

— Nie ma żadnego mięsa.

— A gdzie ciasto?

— Nie mamy masła ani białej mąki. — Spoglądała na mnie z uporem. — Ale gdybyś chciał, możemy wziąć z pieniędzy szkolnych.

— Nie, nie ruszymy pieniędzy na kształcenie Edmunda.

Teraz nagle zrozumiałem, dlaczego Thilda tak się upierała, bym uczestniczył w rodzinnym obiedzie. Jest bardziej przebiegła, niż myślałem.

Rozejrzałem się. Wychudzone dziecięce buzie zwrócone były ku trzem skromnym daniom stojącym na stole.

— No tak — rzekłem w końcu. — W takim razie podziękujmy za to jedzenie, które dostaliśmy.

Pochyliłem głowę i zacząłem się modlić. Słowa modlitwy źle mi się układały na języku, wypluwałem je szybko, by jak najszybciej skończyć.

— Amen.

— Amen — powtórzyła rodzina cicho.

Przez okno widziałem ul majaczący daleko w ogrodzie. Jadłem niewiele, tak by jak najszybciej móc tam wrócić.

Thilda odbierała ode mnie półmiski i podawała dzieciom, po kolei, według wieku. Cieszyłem się, że Edmund jest najstarszy i może brać

jedzenie zaraz po matce, chłopcy w tym wieku potrzebują solidnych posiłków cztery razy dziennie. Ale on nabrał niewiele i dzióbał jedzenie widelcem. Był niezwykle blady i szczupły, jakby nigdy nie widywał dziennego światła. Drżały mu ręce, czoło miał spocone. Czy jest chory? Dziewczynki przeciwnie, rzuciły się na posiłek. Ale było tego za mało dla nich wszystkich. Kiedy mała Georgiana dostała wreszcie swoją porcję, były to po prostu resztki. Charlotte przełożyła jeden z ziemniaków na talerz młodszej siostry.

Jedliśmy w milczeniu. Jedzenie zniknęło z talerzy dziewczynek w ciągu kilku minut. Podczas posiłku czułem na sobie wzrok Thildy. Nie musiała nic mówić, wiedziałem aż za dobrze, o co jej chodzi.

GEORGE

Wyruszyłem o świcie. Miałem kilka kanapek w woreczku i kawę w termosie. Przejechałem całą drogę za jednym zamachem. Siedem długich godzin bez jednej przerwy. Emmy przed wyjazdem nie widziałem. Kiedy skończyłem z lampą, przedrzemałem parę godzin na kanapie. Ona wróciła na górę, do sypialni, może spała, może nie. Nie byłem w stanie sprawdzić. Nie miałem czasu. Nie… Jeśli mam być szczery, nie zdobyłem się na tyle odwagi.

Oczy mnie piekły, były lekko zaczerwienione, ale nie czułem się senny. Przejechać tyle kilometrów to dla mnie nic. Przez całą drogę trzymałem się nieźle, ale to pewnie dlatego, że ruch był niewielki i żadnych kontroli.

Punktualnie o dwunastej dwadzieścia pięć, zgodnie ze wskazaniem zegara na desce rozdzielczej, zajechałem przed budynek szkoły. Zaparkowałem na miejscu z tabliczką: „Zarezerwowane dla profesora Stephensona”, ale do diabła z tym. Ten Stephenson, kimkolwiek jest, niech sobie znajdzie inne miejsce.

Szkołę zbudowano z czerwonej cegły, co oczywiste, bo przecież wszystkie szkoły buduje się z czerwonej cegły i nawet jeśli nie są specjalnie stare, to mają wyglądać szacownie — wysokie i szerokie, okna w białych futrynach mają chyba przywodzić na myśl Harvard lub inną poważną uczelnię. Budzić respekt. Mnie to jednak nie onieśmielało.

Nie byłem tutaj od czasu, kiedy ubiegłej jesieni przywieźliśmy Toma. Zainstalowaliśmy go w maleńkim pokoiku, który miał dzielić z Japończykiem w okularach. Pokój wypełniał zapach nieświeżych

skarpetek i hormonów. Biedni chłopcy, nie mają miejsca nawet na to, by pobyć w samotności. Ale ze studenckimi kwaterami tak bywa.

Wkroczyłem do środka. Minąłem długi rząd miedzianych tablic upamiętniających dobroczyńców szkoły. Green Apiaries na szczęście wśród nich nie występował. Wystawione też były różne puchary, które studenci zdobywali w rozmaitych mniej lub bardziej bezsensownych konkurencjach oraz niesłychanie poważne portrety rektorów. Sami mężczyźni. Zresztą nie było ich tak wielu, uczelnia została otwarta w latach siedemdziesiątych i nie może się pochwalić szczególnie długą historią.

Znalazłem się w dużym owalnym pomieszczeniu z kamienną posadzką, od której odbijał się odgłos moich kroków. Zacząłem się skradać, ale szybko się zmitygowałem. Przecież nie mam za co przepraszać. Zapłaciłem za naukę syna tutaj, więc jakoś do tego miejsca należę. W pewnym sensie jestem współwłaścicielem uczelni. Spytałem o Toma, głośno i wyraźnie. Bez żadnych wstępów. Facet w recepcji był szczupły i miał dredy, siedział wpatrzony w monitor. Sprawdził rejestry, nie poświęciwszy mi nawet spojrzenia.

— Teraz ma wolną godzinę — oznajmił.

Zaraz potem powrócił do stukania w klawisze, w coś widocznie grał w czasie pracy.

— To pilne — powiedziałem.

Tamten się skrzywił. Najwyraźniej wykonywanie obowiązków w pracy nie znajduje się najwyżej na jego liście priorytetów.

— Spróbuj w bibliotece.

Tom siedział pochylony nad książkami i rozmawiał cicho z dwojgiem innych studentów. Z brunetką, dość ładną, ale skąpo odzianą, i chłopakiem w okularach. Byli pogrążeni w dyskusji, mamrotali coś z zapałem. Tom zauważył mnie dopiero, kiedy stanąłem tuż przed nim.

— Tata?!

To także powiedział cicho, tutaj, w świątyni wiedzy, najwyraźniej nie wolno podnosić głosu. Tamtych dwoje też na mnie popatrzyło, oboje z takimi minami, jakbym był natrętną muchą, która się tu wdarła.

Z jakiegoś powodu sądziłem, że Tom będzie sam, że będzie siedział tu i czekał na mnie, ale on, jak widać, prowadzi własne życie, i to z ludźmi, których w ogóle nie znam.

Uniosłem rękę w geście pozdrowienia.

— Cześć, chłopie.

Zaraz się skrzywiłem. Cześć, chłopie? Nikt tak nie mówi.

— Ty tutaj? — zdziwił się Tom.

— Ano tak.

To jeszcze gorsze. Ano! Wszystko jakby się zacięło. Chyba powinienem trochę pomyśleć, zanim coś powiem.

— Czy coś się stało? — Tom zerwał się na równe nogi. — Coś się stało z mamą?

— Nie, nie. Mama jest zdrowa jak ryba, he he.

Rany boskie, chyba powinienem trzymać język za zębami.

Wyszedł ze mną na słońce. Usiedliśmy na ławce. Tutaj wiosna przyszła wcześniej niż u nas, powietrze było ciężkie i ciepłe. Wszędzie wokół kręcili się młodzi ludzie. Studenci college’u. Mnóstwo okularów i skórzanych teczek.

Zauważyłem, że Tom mi się przygląda, a ja nagle nie wiedziałem, od czego zacząć.

— Przejechałeś całą drogę tylko po to, by porozmawiać?

— Na to wygląda.

— A co z farmą? Z pszczołami?

— Przecież one nie pójdą w swoją stronę… To znaczy nie odlecą.

Próbowałem się roześmiać, ale skończyło się na charknięciu. Chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

Starałem się ogarnąć, wydobyć z siebie to, co właściwie chciałem powiedzieć.

— W przyszłym tygodniu jadę do hrabstwa Hancock. Do Blue Hill.

— O, a gdzie to jest?

— W Maine. Ledwie dziesięć minut od oceanu. Pamiętasz, że byłeś tam kiedyś ze mną?

— No… Nie, nie wiem.

— Miałeś wtedy pięć lat. Nie zacząłeś jeszcze szkoły. Pojechaliśmy tylko my dwaj. Spaliśmy w namiocie, pamiętasz?

— A tak. To tamta wyprawa.

— Tamta wyprawa, właśnie.

Tom długo milczał.

— Odwiedził nas niedźwiedź — rzekł w końcu.

— Ale skończyło się dobrze — odparłem trochę za głośno.

— Czy one tam nadal są?

— Co takiego?

— Niedźwiedzie.

— Oczywiście, że nie. Teraz już nie.

Dobrze pamiętam jego wielkie oczy. W ciemności przypominały okrągłe węgle, porykiwanie niedźwiedzia docierało do nas przez płótno namiotu.

— Im teraz grozi wyginięcie, wiesz o tym? — spytał nieoczekiwanie. W jego głosie znowu pojawił się upór.

— Wiele gatunków wymiera. — Znowu próbowałem się roześmiać. — Twój stary ojciec także.

Tom się nie roześmiał. Zaczerpnąłem powietrza. Muszę to z siebie wykrztusić, teraz, kiedy już tu jestem.

— Przyjechałem prosić cię, byś towarzyszył mi do Maine — oznajmiłem.

— Co?

— Chcesz, żebym to powtórzył?

— Teraz?

— W poniedziałek. Trzy ciężarówki, o jedną więcej niż przedtem.

— Świetnie. Rozwijasz gospodarstwo.

— My rozwijamy.

— Nie mogę z tobą jechać, tato. Wiesz o tym.

— Pracy jest więcej niż dawniej. Czas najwyższy, byś się przyłączył.

— Wkrótce mam egzamin.

— To nie musi trwać długo.

— Nie dostanę zwolnienia.

— Tylko tydzień, maksymalnie.

— Tato…

Przełknąłem ślinę. Mój wykład poszedł na marne. Wykład przez wielkie „W”, który planowałem przez całą drogę. Wszystkie wielkie słowa, którymi się bawiłem jak cynowymi żołnierzykami, zalegały teraz w mojej głowie niczym zimny metal. Dziedzictwo, miałem powiedzieć, to jest twoje dziedzictwo. To, co jest tobą, Tom. Pszczoły, miałem przekonywać po wymownej przerwie. W nich jest twoja przyszłość. Tylko daj im szansę. Daj szansę tej przyszłości.

Ale teraz żadne z tych słów nie pojawiało się na moich wargach.

— Proszę cię, żebyś się zwolnił. Powiedz, że jesteś potrzebny na rodzinnej farmie — zacząłem.

— Z takiego powodu nikogo tu nie zwalniają.

— A ile dni chorobowego miałeś w tym roku?

— Dwa, może trzy.

— No więc widzisz, prawie nie chorowałeś.

— Nie sądzę, żeby to pomogło.

— Rany boskie, oczywiście, że nie, ale powiedz, że teraz jesteś chory. A czytać możesz chyba gdziekolwiek.

— To nie chodzi tylko o czytanie, tato. Mamy prezentacje, zadania.

— To też możesz wykonywać.

— Nie, potrzebuję do tego książek.

— No to weź je ze sobą.

— To są książki z biblioteki, nie mogę.

— Chodzi tylko o tydzień. Tylko jeden tydzień…

— Ale tato, ja nie chcę!

Podniósł teraz głos. Dwie krótko ostrzyżone dziewczyny w ubraniach nadających się raczej dla mężczyzn, podwiniętych spodniach i wielkich wojskowych kamaszach, minęły nas, przyglądając się z zaciekawieniem.

— Ja nie chcę — teraz mówił ciszej. Patrzył na mnie psimi oczyma, tak bardzo podobnymi do oczu Emmy.

Zwykle ulegam temu spojrzeniu.

Zerwałem się z miejsca. Nie usiedziałbym spokojnie ani sekundy dłużej.

— To jest jego wina, prawda?

— Co? To znaczy czyja?

Nie czekałem na odpowiedź. Pobiegłem z powrotem do ceglanego budynku.

Część nauczycielska znajdowała się na tyłach recepcji.

— Hej, a ty dokąd?

Szybko przeszedłem obok faceta z dredami, nie raczyłem odpowiedzieć.

— Halo?!

Tamten wstał, ale byłem już daleko w głębi korytarza, mijałem gabinet za gabinetem, w niektórych były otwarte drzwi. Profesor Wilkinson, Clarke,

Hang, Langsley. Migały mi wypełnione książkami regały, szerokie parapety, ciężkie zasłony. Nic osobistego, wszystko cuchnęło wiedzą.

O, nareszcie Smith. To ten. Jeszcze jedne zamknięte drzwi, jeszcze jedna miedziana tabliczka. Zaczynałem powoli wierzyć, że miedź ma przyszłość. „Profesor John Smith”.

Facet z dredami był coraz bliżej.

— To tutaj! — krzyknąłem do niego, zdałem sobie sprawę, że jestem zdyszany. — Znalazłem.

On skinął głową, zatrzymał się i stał, być może nie miał prawa wpuszczać obcych do środka. Po chwili jednak wzruszył ramionami i powlókł się z powrotem do recepcji.

Czy powinienem zapukać? Jak jakiś uczniak z podręcznikiem pod pachą?

Nie. Powinienem po prostu wejść.

Wyprostowałem się, głośno przełknąłem ślinę. Położyłem dłoń na klamce i nacisnąłem.

Drzwi były zamknięte na klucz. Niech to diabli.

Równocześnie na korytarzu ukazał się jakiś młody człowiek. Gładko wygolony i świeżo wystrzyżony, w swetrze i trampkach. Student.

— Mogę w czymś pomóc? — Chłopak uśmiechał się szeroko. Białe zęby z aparatem korekcyjnym. Wszyscy teraz noszą takie aparaty, mają identyczne uzębienie, zniknął cały wdzięk krzywych zębów.

— Szukam Johna Smitha — odparłem.

— To ja.

— Ty?

Trochę się skuliłem. On naprawdę nie jest taki, jak się spodziewałem. Trudno będzie nakrzyczeć na tego faceta, wygląda tak niewinnie. Po prostu dziecko.

— A ty jesteś…? — Uśmiechał się.

Wyprostowałem kark.

— Jestem ojcem Toma.

— Ach tak. — Nadal się uśmiechał, wyciągnął do mnie rękę. — Bardzo mi miło.

Uścisnąłem ją. Akurat teraz nie mogłem inaczej.

— Mnie też jest miło. Bardzo.

— Możemy wejść? — spytał. — Domyślam się, że coś ci leży na sercu.

— Tego możesz być pewien. — Zabrzmiało to zbyt szorstko.

— Co?

— Nie, nic. — Próbowałem pokryć przykre słowa uśmiechem.

— Nie?

— Owszem, tak. To znaczy… Coś mi leży na sercu.

Otworzył kluczem drzwi i wpuścił mnie do środka. Oślepił nas słoneczny blask wpadający przez okna. Rysował wyraźne pasy w powietrzu, odbijał się od obrazów za szkłem i od ram. W ramach przeważnie były plakaty. Filmowe. *Powrót do przyszłości*, *E.T.*, *Gwiezdne wojny*, pierwszy film: *A long time ago in a galaxy far, far away…* Jezu!

— Bardzo proszę. — Wskazał mi fotel.

Usiadłem, on także. Na biurowym krześle. Byłem teraz niższy od niego, co mi się nie podobało.

— Och, przepraszam.

Wstał i usiadł w drugim fotelu. Teraz byliśmy równi. Siedzieliśmy wygodnie naprzeciwko siebie i brakowało nam tylko drinka.

— No więc? — Smith znowu się uśmiechnął. — W czym mógłbym ci pomóc?

Zacząłem się wiercić. Spoglądałem w bok.

— Piękny plakat. — Pokazałem w stronę *Gwiezdnych wojen.* Próbowałem mówić spokojnie.

— Prawda? To oryginał.

— Coś podobnego?

— Kupiłem go na eBayu, kiedy zacząłem tutaj pracować.

— Musiałem się powstrzymać, żeby nie zapytać, czy byłeś wystarczająco dorosły na ten film.

Roześmiał się.

— Widziałem go na wideo.

— Tak przypuszczałem.

— Ale miałem wszystkie figury. Statek kosmiczny też. Jesteś fanem filmu?

— Możesz być tego pewien.

Znowu te same słowa. Najwyraźniej powinienem popracować nad językiem.

On nagle zaczął nucić melodię otwierającą film, dyrygując przy tym w powietrzu.

Smith przerwał sam sobie.

— Kino nigdy nie będzie już takie samo.

— Masz rację.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu. On mi się po prostu przyglądał. Czekał.

WILLIAM

Uczyniłem tak, jak życzyła sobie Thilda. Jak nakazywał mi jej wzrok, chociaż każdy krok w stronę sklepu bolał. To była moja Canossa. Wyszedłem z domu wcześnie, jeszcze o brzasku, jakiś kogut piał ochryple w jednym z ogrodów. Metaliczny odgłos docierał z warsztatu siodlarza, ale żadnych ludzi nie widziałem. U kołodzieja, zegarmistrza i w sklepie kolonialnym wciąż było zamknięte. Gospoda, brudny i cuchnący lokal, w którym moja noga nigdy nie postała i który znajdował się na końcu ulicy, też była zamknięta. Jakiś pijany gość — rozpoznawałem go jako jednego ze stałych bywalców tego przybytku — najwyraźniej nie odnalazł drogi do własnego łóżka i zasnął, siedząc na dworze pod ścianą. Że też można do tego stopnia utracić kontrolę nad sobą, pozwolić, by alkohol rządził życiem człowieka, przejmował kierowanie. Jedynie piekarnia była otwarta i woń świeżego chleba, bułek i jeszcze jakichś ciast, jak na przykład swammerpai, wydobywał się przez wszystkie szczeliny w budynku, tak że można było to niemal widzieć. Na szczęście piekarz i jego dwaj synowie nadal znajdowali się w głębi budynku przy dużym, rozpalonym piecu, jeszcze nie pora na przerwę, żeby wyjść na ulicę i wypalić fajkę, zanim pierwsi klienci zawitają do sklepu. Albo żeby zauważyć mnie. Ja też nie zamierzałem otwierać jeszcze przez wiele godzin, ale nie byłem w stanie znieść myśli, że ktoś mógłby mnie zobaczyć. Nie ścierpiałbym uwag w rodzaju: Patrz, to ten facet, widzisz go? To on jeszcze żyje? Słyszeliśmy, że był chory. Ale teraz wyzdrowiał? Będzie żył?

Czerwony, niski budynek z cegły był mroczny i pozamykany na głucho, a ulica przed nim pełna ubiegłorocznych liści. Z wysiłkiem wsunąłem klucz

w zamek. Zgrzyt metalu o metal, ten dźwięk sprawił, że zadrżałem. Nie chciałem wchodzić do środka, wiedziałem, co mnie tam czeka. Zakurzone, brudne pomieszczenie, dni pracy, zanim można je będzie zaprezentować klientom.

Pchnąłem jednak drzwi. Zacięły się, trudno je było otworzyć, ale kiedy mocniej naparłem, ustąpiły bezgłośnie, jakby były świeżo naoliwione. Ani śladu dawnego skrzypienia, do którego przywykłem przez lata. Pomyślałem sobie, że dziewczyna, którą w chwili słabości zatrudniłem w sklepie, owa pulchna, głośno chichocząca kuzynka Thildy, mogła nasmarować zawiasy. Alberta była zbędną siłą roboczą w swoim zbyt zasobnym w dzieci domu rodzinnym, znajdowała się w wieku najbardziej odpowiednim do zamążpójścia, może nawet już go trochę przekroczyła, jak nieco zbyt soczysta gruszka, która wkrótce spadnie na ziemię pod własnym ciężarem. Zarówno jej rodzice, jak i ona sama boleśnie zdawali sobie sprawę z sytuacji, chociaż było jasne, że znalezienie jej życiowego przewodnika nie będzie łatwe. Mieli nadzieję na kogoś choćby trochę nadającego się na męża, ale dziewczyna jest bez posagu, nie posiada też nic innego, co by dodawało jej atrakcyjności. Ona bardzo się starała, gdyby było trzeba, mogłaby się nawet pokazywać w oknie wystawowym. Była tak tym przejęta, że zachowywała się, jakby każdy mężczyzna wchodzący do sklepu był kandydatem na męża. Krygowała się przy ladzie, pokazując swoje kobiece kształty oraz spoconą szparę między piersiami każdemu, kto chciał patrzeć.

Nie umiałem sobie też wyobrazić, by — od momentu, kiedy zachorowałem, aż do czasu, kiedy Thilda zmuszona była ją odprawić — mogła robić coś innego, niż tylko przesiadywać w otwartych drzwiach sklepu. Czegokolwiek ta dziewczyna się tknęła, wszędzie wprowadzała bałagan, w głowie mi się kręciło i wpadałem w irytację od jej nieustannej

obecności i ciągłego chichotania, jej pożądania, niepohamowanego do tego stopnia, że wszyscy widzieli…

Sklep pogrążony był w półmroku. Zapaliłem kilka woskowych świec, a potem miedzianą lampę. Musiałem przyznać, że lokal jest zaskakująco czysty i uporządkowany. Duża lada prawie pusta, z wyjątkiem kałamarza, bloczku z pokwitowaniami i ciężkiej miedzianej wagi ustawionej starannie na brzegu. Duża lampa u sufitu wypolerowana do połysku, klosz wyczyszczony, pojemnik wypełniony naftą, wszystko gotowe do użytku. Podłoga, zazwyczaj pokryta ziarnami pieprzu i kryształkami soli, dającymi o sobie znać na każdym kroku, teraz była wyszorowana do tego stopnia, że widziało się wszystkie rysy w deskach, a także jaśniejsze miejsca na drewnie, gdzie podłoga była szczególnie wytarta — ścieżka od lady do ściany z szufladkami, a potem dalej do drzwi wyjściowych. Thilda mówiła, że ostatniego dnia kazała Albercie sklep starannie zamknąć, nie wspomniała jednak, by od tamtej pory ktokolwiek tu przychodził. Czy mimo wszystko ktoś tutaj był?

Podszedłem do okna. Na parapecie nie zauważyłem kurzu, nie znalazłem też nawet jednej zdechłej muchy, czego przy tak długim zamknięciu można by się spodziewać. Pomieszczenie zostało wywietrzone, oddychało się swobodnie, żadnego zaduchu. Zbliżyłem się do regału z małymi szufladkami. Położyłem ręce na klamce, wyciągnąłem szufladę i zajrzałem do środka. Była całkiem czysta.

Sprawdziłem jeszcze jedną. Ta też okazała się czysta.

Ktoś powycierał kurze. Czy to Alberta? O ile mi wiadomo, awansowała na pracownicę działu materiałów u kupca kolonialnego, a nie uwierzę, że miała i czas, i ochotę, by zaniedbywać dla mnie to swoje nowe ważne zajęcie.

Niezależnie od tego, kto posprzątał, odczułem ulgę. Wszystko błyszczało, sklep był nie tylko gotowy do otwarcia, ale też czystszy i bardziej uporządkowany niż kiedykolwiek przedtem.

Poszedłem do magazynku towarów, który okazał się niestety smutniejszym rozdziałem całej historii. Był pusty niemal jak Sahara. Brak nasion, brak ziarna siewnego, a zapasy pieprzu, soli i przypraw zredukowane do połowy. W szufladach przeznaczonych na cebulki kwiatów leżało parę suchych liści i jakieś pojedyncze białe korzonki. Alberta zamknęła magazyn zaraz po pierwszych śniegach. Do tego czasu sprzedała, jak widać, wszystkie jesienne cebulki, nawet te wątpliwej jakości, suche cebulki narcyzów, które leżały tu od kilku lat. Natomiast cebulki wiosenne i sadzonki roślin pozostały. Szczerze mówiąc, ich wybór jest nie najgorszy. Dobrze było brać je do rąk, to tak, jakby witać starego przyjaciela. Niestety w tym roku jest już za późno, by je sadzić. Za późno nawet na rośliny domowe. Gdyby włożyć je teraz do ziemi, to i tak nie zakwitną przed pierwszymi przymrozkami. Mimo wszystko musiałem otworzyć sklep i próbować sprzedać tę resztkę zapasów, jaka nam została, pokazać Thildzie, że przynajmniej próbowałem, i w ten sposób wyciszyć jej nieustanne marudzenie, choćby tylko na kilka dni.

Punktualnie o ósmej otworzyłem drzwi i wpuściłem do sklepu słoneczne światło.

Na zewnątrz ulokowałem dwie donice z georginiami, które wykopałem z grządki domowego ogrodu. Poruszały się lekko na wietrze i ubarwiały tę część ulicy czerwienią, żółcią i różem.

Stanąłem w progu. Za mną znajdował się sklep, jasny i zapraszający. Wyprostowałem kark. Tak się wzbraniałem przed powrotem tutaj, do tego lokalu, który przedtem mnie obciążał, sprawiał, że bolały mnie ramiona i miałem sińce pod oczami. Teraz jednak zaprasza do wejścia, jest czysty

i wyszorowany do połysku, odzwierciedla moje samopoczucie. Sklep został przygotowany, ja też jestem gotowy, by spojrzeć światu w oczy i ponownie spotkać tutejszych mieszkańców. Żeby tylko przyszli.

Ustawiła się kolejka. Widocznie cała okolica dowiedziała się, że wstałem z martwych, i nagle wszyscy chcieli kupować zakurzone przyprawy i wątłe sadzonki kwiatów. Jeszcze wczesnym rankiem zadbałem, by wysłać parę zamówień, ale dzisiaj, dopóki słońce stoi na niebie, nie mogę robić nic innego, jak tylko obsługiwać klientów. Przypuszczalnie wystarczyło parę godzin, by nowina dotarła do wszystkich. Nie pierwszy raz przeżywałem szok z powodu tego, jak szybko w tej małej miejscowości rozchodzą się pogłoski, jakby wiadomość niósł porywisty wiatr. W każdym razie tak się dzieje, kiedy wydarzy się coś naprawdę ważnego. I teraz pewnie tak jest. Sądząc po liczbie przybyłych klientów, mój powrót by można chyba porównać ze zmartwychwstaniem Jezusa.

Słyszałem, że ludzie szeptem o mnie rozmawiają, ale robiło to na mnie zdumiewająco nikłe wrażenie. Bo nikt nie uśmiechał się szyderczo na mój widok, nie było też złośliwych komentarzy, tak jak po odczycie na temat Swammerdama. Napotykałem raczej życzliwe spojrzenia, pochylone głowy, wyciągnięte ręce i pełną szacunku ciekawość.

Rzut oka na własne odbicie w lustrze przypomniał mi, dlaczego tak jest. Mój nowy wygląd najwyraźniej robił wrażenie. Nie przypominałem już nalanego sklepikarza. Otyłość zniknęła. Obecny szczupły pan o wyraźnych rysach budził respekt. Był interesujący, inny, nie był jednym z nich. Bardzo niewielu wiedziało na pewno, co mi dolegało, i jeśli mieli swoje podejrzenia, to raczej odczuwali szacunek niż pogardę. Bo stanąłem twarzą w twarz ze śmiercią, ale walczyłem i udało mi się podźwignąć. Byłem w znakomitym humorze, pieniądze przesuwały się w palcach, liczyłem i sumowałem w niezwykłym tempie, rozmawiając równocześnie z każdym

z osobna i z wszystkimi naraz, pamiętałem, by pytać, jak się temu i owemu powodzi. „Czy małżeństwo twojej córki Victorii zostało pobłogosławione potomstwem? No a gospodarstwo? Ile źrebaków, powiadasz? Fantastycznie! A zbiory? Jak myślisz, będziemy mieć urodzajny rok? A mały Benjamin? Nie, to on ma już dziesięć lat? I wciąż taki bystry? Ten chłopiec osiągnie w życiu wiele, zobaczysz”.

Wieczorem zamykałem drzwi, poruszając się lekko, precyzyjnie. W ręce trzymałem wypełnioną sakiewkę. I chociaż nogi miałem bardzo zmęczone, bez wysiłku pokonałem te pół kilometra drogi do domu. Tam czekały na mnie książki. Będę mógł pracować do północy, bo wcale nie czułem się wyczerpany, raczej przybyło mi sił. Wydawało mi się, że będę musiał wybierać, a jednak widzę, że poradzę sobie i z tym, i z tym — i z życiem, i z pasją.

TAO

Nastała noc i znowu nie śpię. Sen nie nadaje sensu, podobnie zresztą jak wszystko inne. Stoję w pokoju, oparta plecami o ścianę. Pochyliłam głowę i wpatruję się w swoje ręce, złożyłam razem opuszki palców, paznokcie mam za długie, przyciskam je do siebie nawzajem tak mocno, aż pojawia się ból. Zastanawiam się, jak bardzo musiałabym naciskać, żeby ukazała się krew.

Zniosłam to, że mama zniknęła. Była chora, stara. Wydawało się, że trafiła do dobrego miejsca. Na filmie wyglądało ono bardzo ładnie i bezpiecznie. Ale Wei-Wen… Płacz pali mnie w piersi, powoduje, że gardło mi się zaciska, fizyczny ból nie daje mi oddychać. Ale nie pozwoliłam, by szloch wydostał się na zewnątrz.

Nikt nie zażądał, byśmy pracowali. Szef mojej roboczej brygady pojawił się w dzień po naszym powrocie do domu, razem z szefem Kuana. Obaj zostali poinformowani. Przez kogo — nie powiedzieli, a ja zapomniałam zapytać. Stali przed drzwiami, jąkając się, nie chcieli wejść do środka, zapewniali, że dają nam tyle czasu, ile będziemy potrzebować.

Jak długo pozostawią nas w spokoju, nie wiemy.

Pierwszego dnia pod drzwiami pojawiły się dary. Przeważnie jedzenie. W puszkach. Butelka prawdziwego keczupu. A nawet owoc kiwi. Nie wiedziałam, że ktoś jeszcze je hoduje. Ale owoc był bez smaku. Przekazano nam też nasze rzeczy, które ktoś pozbierał pod lasem. Dostaliśmy wszystko, nawet pustą puszkę po śliwkach. Jej zapach wywołał we mnie mdłości.

Początkowo Kuan po prostu leżał w sypialni. Płakał za nas oboje. Jego szloch wypełniał mieszkanie, przetaczał się falami przez ciasne pokoje.

Niestety, nie byłam w stanie do niego pójść.

W końcu jednak wstał. Obchodziliśmy się nawzajem w milczeniu. Dni zlewały się w jedno, żyliśmy w próżni, tak samo cisi i zamknięci jak pokój Wei-Wena. Kuan nadal milczał. Ja też nie mogłam nic powiedzieć, bo nie wiedziałam, dlaczego on się nie odzywa. Może mnie nie oskarża, a może taka myśl nawet nie przyszła mu do głowy?

Chyba jednak przyszła.

To puste spojrzenie, dystans, jaki przez cały czas wobec mnie zachowuje. Dawniej zawsze był taki fizycznie bliski, teraz w ogóle się już nawzajem nie dotykamy. Jest zbyt bierny, by coś mówić. Może nie ma odwagi? A może próbuje mnie w ten sposób chronić? Nie wiedziałam.

Ale to, co zaszło między nami, nieuchronnie się rozrastało. On zachowywał dystans wobec mnie, ale ja też nie byłam w stanie się do niego zbliżyć, rozmawiać z nim, przebywanie w jednym pokoju stawało się nieznośne. Kuan wciąż od nowa budził we mnie te same myśli, te same dwa słowa: moja wina, moja wina, moja wina. Dlatego wszystko w nim było odpychające. Jego ciało wywoływało we mnie mdłości, robiło mi się niedobrze na myśl, że mógłby mnie dotknąć, ale ukrywałam swoje uczucia, jak tylko mogłam. Bawiliśmy się w zabawę mama-tata, ale bez dziecka. Gotowaliśmy jedzenie, sprzątaliśmy, praliśmy ubrania. Jeden dzień podobny do drugiego. Wstawaliśmy, ubieraliśmy się, jedliśmy trochę, piliśmy herbatę. Tę wieczną herbatę. I czekaliśmy.

Wciąż próbowałam telefonować do szpitala. Zawsze ja to robiłam, on nigdy nie przejął inicjatywy. Nie udało mi się porozmawiać z doktor Hio, a po kilku tygodniach wyszło na jaw, że przestała tam pracować. Inni lekarze nie wyjaśnili dlaczego.

Odpowiedzi były zawsze te same, niezależnie od tego, z kim rozmawiałam: „Więcej nie wiemy. Muszą państwo czekać. Oczywiście

zdobędziemy nazwisko. To jasne. Proszę tylko jeszcze trochę poczekać. Zaledwie parę dni. Zbadamy to. Odezwiemy się do państwa. Odezwiemy się do państwa. Musicie tylko czekać”.

Chociaż mogliśmy sami określić, ile czasu potrzebujemy, to któregoś ranka Kuan wyszedł z łazienki w roboczym kombinezonie.

— Równie dobrze może być tak — rzekł cicho.

Byłam zaskoczona, niemal sparaliżowana, ale nie dlatego, że on zamierza wyjść, tylko dlatego, z jaką ulgą to przyjęłam. Możliwość pozbycia się go, spędzenia dnia w samotności przyjęłam jako pierwszy jasny punkt w ostatnich tygodniach.

— Dasz sobie radę? — spytał.

— Tak. Po prostu idź.

— Jeśli uważasz, że trudno ci będzie samej, to mogę przecież zrezygnować.

— Będzie świetnie.

On jednak stał. Ubranie na nim wisiało, był jeszcze szczuplejszy niż dawniej. Patrzył tylko na mnie, może czekał, że coś powiem. Będę zła, zacznę krzyczeć, rzucę się na niego. Ale dlaczego oczekiwał, że miałabym się tak zachować? Czy również to stało się moim obowiązkiem?

Jego wielkie oczy wpatrywały się we mnie błagalnie, miękkie wargi były na wpół otwarte. Nie byłam w stanie na niego patrzeć. Na tego wspaniałego mężczyznę, który wcześniej sprawiał, że zapominałam o sobie. Teraz chciałam tylko, by sobie jak najprędzej poszedł.

— Tao?

— Jeśli chcesz zdążyć, to chyba musisz iść.

Nadal nie patrzyłam na niego. Słyszałam, że wielokrotnie zaczerpnął powietrza. Może chciał coś powiedzieć, ale nie znajdował słów.

Potem zniknął — jego kroki na podłodze, drzwi, które zamknęły się z trzaskiem. I w końcu zostawił mnie samą w pustym mieszkaniu.

Weszłam do sypialni. Na łóżku Wei-Wena leżała jego piżama. Wzięłam ją i siedziałam, trzymając ubranko w ramionach. Nie chciałam jej prać. Wei-Wen używał jej tylko przez dwie noce, teraz leży gotowa w łóżku. Aż on wróci. Materiał wydawał mi się cienki, roześmiane księżyce na niebieskim tle. Nadal pachniało delikatnym dziecięcym potem.

Siedziałam tak cały dzień.

Od tego dnia zaczęłam powoli zmieniać rytm doby. Kiedy Kuan spał swoim ciężkim snem robotnika fizycznego, ja czuwałam w salonie. Chodziłam i przystawałam, znowu chodziłam, kładłam się do łóżka dopiero o brzasku. Nie mogłam odpoczywać, bo gdybym usiadła, gdybym się rozluźniła, gdybym zasnęła, Wei-Wen mógłby odejść na zawsze.

Odwróciłam się do okna. Mieliśmy widok prosto na biały płot zamykający dostęp do pól. Strażnicy stali wyprostowani w odległości stu metrów jeden od drugiego. Widziałam zarys postaci znajdującej się najbliżej mnie. Strażnik patrzył przed siebie w pustkę, nie poruszał się. Zrobiłabym wszystko, by się dowiedzieć, czego on pilnuje.

Płot wystawili tak wysoki, że nie można było zajrzeć na drugą stronę, nawet z dachu domu. Byłam na dachu i próbowałam. Na szczycie płotu została przymocowana siatka, którą nieustannie szarpał wiatr. W ciągu pierwszych tygodni robotnicy wiele razy musieli ją przymocowywać od nowa. Codziennie zjawiali się ciekawscy, by patrzeć, ale natychmiast ich usuwano. Okolica była pilnie strzeżona. Chodziłam wzdłuż płotu, by zobaczyć, czy nie znajdzie się gdzieś otwór, przez który można by się przecisnąć, ale wszędzie stali wartownicy.

Kuan informował, że ludzie gadają. Brygada musiała przejść teraz na inne pole. Musiała chodzić jakieś dziesięć kilometrów, więc ludzie mają

dość czasu na rozmowy. Kuan słuchał, co mówią. Krążyły różne spekulacje. Wszystkie miały coś wspólnego z Wei-Wenem, z tym, co się stało. Płot, wojskowi. Tak musi być, bo jesteśmy ostatnimi, którzy przebywali po tamtej stronie. I Wei-Wen został przewieziony do szpitala. Kiedy jednak ktoś zauważa, że Kuan słucha, rozmowy milkną. Zaczynają się znowu, gdy ludzie się upewnią, że do niego to nie dociera. Gadanie zwracało się coraz bardziej przeciwko nam, ludzie widzieli w tym sensację. Byliśmy przedmiotem uwagi wszystkich i nic na to nie mogłam poradzić.

A my wiedzieliśmy tak samo niewiele jak oni. Nasze spekulacje opierały się na tym samym. Coś się stało Wei-Wenowi pod lasem, a teraz go nie ma z nami. To wszystko, co wiemy.

Nagle zauważyłam strażnika na dole. Oparty o płot, siedział w kucki, głowę oparł na kolanach. I spał.

WILLIAM

Jajeczka mają nie więcej niż półtora milimetra długości. Jedno w każdej komórce, szarawe na tle żółtego wosku. Po trzech dniach wykluje się larwa, ona, bo najczęściej to właśnie jest ona, traktowana jak rozpieszczone dziecko. Potem następują doby wzrostu, zanim komórki zostaną zamknięte warstwą wosku. W środku larwa tworzy kokon, oplata go wokół siebie. Będzie to kostium chroniący przed wszystkim i wszystkimi. Tutaj i tylko tutaj może być sama.

Po dwudziestu jeden dobach pszczoła robotnica wypełza z celi i przenosi się do innych, świeżo narodzonych, ale jeszcze niegotowych wylecieć w świat. Jest noworodkiem, nie umie latać, nie potrafi sama jeść i z trudem utrzymuje się na plastrach. Pełzając, czołgając się, próbując. W tych pierwszych dniach ma zatem w ulu proste zadania. Czyści pomieszczenie dla potomstwa, najpierw własną celę, następnie cele innych i już nigdy nie bywa sama. Wokół kręcą się setki jej podobnych, które o każdej porze znajdują się dokładnie w tej samej fazie rozwoju co ona.

Następnie jest okres pracy w roli karmicielki pszczół, teraz to jej obowiązkiem jest odżywiać nowo narodzone. W tym też czasie podejmuje pierwsze loty, rozprostowuje skrzydełka, popołudniami, w pogodne dni, robi to ostrożnie, z wahaniem. Znajduje drogę do wylotu z ula, potem odbywa krótką wyprawę nad ziemią przed ulem, wreszcie powoli zaczyna zwiększać odległość od domu. Jednak całkiem dojrzała jeszcze nie jest.

Poza tym wciąż ma obowiązki w ulu. Zajmuje się pyłkiem, który przynoszą pszczoły, produkuje wosk i pełni wartę jako pszczoła-

strażniczka. Z każdym dniem wyprawy na zewnątrz są coraz dłuższe. Przygotowuje się pilnie. Wkrótce będzie gotowa. Wkrótce.

No i nareszcie staje się pszczołą-zbieraczką. Wylatuje z ula sama, jest wolna, pozwala, by skrzydła niosły ją od jednej rośliny do drugiej, zbiera z kwiatów słodki nektar, pyłek i wodę. Pokonuje kilometr za kilometrem. Tutaj też jest sama, a mimo to stanowi część wspólnoty. Jedna pszczoła bowiem jest niczym, cząstką tak małą, że całkiem pozbawioną znaczenia, natomiast razem z innymi jest wszystkim. Bo razem stanowią pszczelą rodzinę.

Pomysł narodził się właściwie z niczego, ale rozwijał się na podobieństwo pszczoły. Zacząłem od szkiców, lekkich kresek węglem na papierze, niedokładnych proporcji, niepewnych form. Potem odważyłem się na więcej, zacząłem liczyć, kalkulować, kreska stała się pewniejsza, rozkładałem papier na podłodze. Na koniec sięgnąłem po piórko i atrament. Wtedy ostatecznie na arkuszu przede mną pojawiła się forma, wyraźniejsze, bardziej precyzyjne linie, dokładne pomiary. I w końcu, na dwudziesty pierwszy dzień, projekt był kompletny.

— Czy mógłby pan zbudować coś takiego?

Położyłem szkic na zniszczonym blacie stołu Conolly’ego. Stół miał mnóstwo zaciosów i rys z poprzednich lat, w dodatku nie był całkiem stabilny. Można by pomyśleć, że kto jak kto, ale stolarz powinien posiadać porządne meble, ale w tym wypadku jest chyba tak jak z szewcem… Wiele przedmiotów w jego małej chacie było krzywych i chwiejnych; niezaścielone łóżko w rogu, zniszczone krzesło przy piecu. Może on nie naprawia własnych rzeczy, ciska je po prostu w ogień, kiedy już się do niczego nie nadają?

Podłogę pokrywała warstwa wiórów, jakby przynosił pracę do domu, choć przecież posiada warsztat w izbie obok. Sięgnął po jeden ze szkiców. Papier wydawał się kruchy w jego potężnej dłoni. Uniósł go do światła, podszedł bliżej okna, w którym jedna z szyb była potłuczona, więc otwór zabito deską.

Polecono mi go jako najlepszego stolarza w okolicy, tak mnie zapewniano, ale otoczenie nie wydawało się zbyt przekonujące.

— Skrzynia jest w porządku, ale dlaczego pan żąda pochyłego dachu?

— Nie wiem… To przecież jest dom… Budowla… Pomieszczenie mieszkalne…

— Pomieszczenie mieszkalne? — wahał się. — Pan mówi o pszczołach?

Zamyśliłem się. Nie mogę tłumaczyć mu tego wszystkiego, muszę znaleźć jakiś logiczny powód, mówić jego językiem.

— To ze względu na wodę. Deszcz. Kiedy pada, woda powinna móc spływać.

Skinął głową, to jest argument, który potrafił uznać, bo mowa o konstrukcji, nie o uczuciach.

— To trochę komplikuje sprawę. Ale jest w porządku. — Teraz sięgnął po szkic wnętrza. — A te… ramki?

— Mają zwisać od szczytu. Powinno ich przypadać dziesięć na ul, ale zadowolimy się siedmioma lub ośmioma. Na każdej zostanie przymocowany kawałek wosku.

Stolarz popatrzył na mnie pytająco.

— Pszczelego wosku?

— Tak, żeby pszczoły mogły na nim dalej budować.

— Ach tak.

— Pszczoły ze swej natury budują skośne plastry miodu, ale ja nie chcę pozwolić im, by budowały na dziko, dlatego porządkuję warunki pracy.

— No tak — odparł, drapiąc się w ucho. Wcale nie wyglądał na zainteresowanego.

— W tym ulu ramki pomogą im budować plastry miodu wzdłuż linii. Chcę mieć pełny wgląd w warunki pracy przez drzwiczki i zarazem możność wkładania i wyjmowania plastrów miodu. Dzięki temu łatwiej będzie utrzymać porządek, łatwiej obserwować, a także wybierać miód, nie szkodząc pszczołom.

Patrzył na mnie przez moment, potem znowu zaczął studiować szkic.

— Listwy to ja mam — powiedział. — Ale ściany i dach… nie jestem pewien co do materiałów.

— Te rozważania zostawiam panu — powiedziałem z taką życzliwością, na jaką mogłem się zdobyć. — Pominąwszy wszystko inne, to przecież pańska działka.

— Ma pan rację — potwierdził. — To mogą… ehm… Równoległe plastry mogą być pańskie.

Po raz pierwszy się uśmiechnął, szeroko i serdecznie, wyciągając do mnie potężną pięść. Ja też się uśmiechnąłem i odpowiedziałem uściskiem. Oczyma wyobraźni widziałem już, jak w kolejnych skrzyniach wynoszone są z warsztatu stolarza ule, sprzedawane z bardzo dobrym zyskiem i dla niego, i dla mnie. Tak, tak. To zapowiada naprawdę wyjątkową współpracę.

GEORGE

Samochody Kenny’ego wtoczyły się na dziedziniec, parskając spalinami. Koła wzbijały kurz, który kładł się grubą warstwą na pustych platformach, silniki kompletnie zagłuszały małe ptaki, ćwierkające na powitanie wschodu słońca. W tym roku wynająłem trzy ciężarówki. Mówimy niestety o ciężarówkach starego typu, a nie o nowoczesnych, takich, jakimi posługuje się Gareth. Te tutaj to stare pojazdy, zardzewiałe, nie mają czym imponować, i mieszczą nie więcej niż trzy ule na szerokość i cztery na długość. Pod swoimi pancerzami są to jednak poczciwe kobyły, z silnikami tak prostymi, że jeśli coś się stanie, człowiek sam potrafi to naprawić. A staje się przecież ciągle.

Zaczęliśmy przygotowywać ule o zmroku. Nie można tego robić za dnia, podczas gdy pszczoły są na zewnątrz, należało więc czekać, aż pokładą się spać. Zmierzchało. Silniki chodziły na pustym biegu, latarnie oświetlały łąkę i nas, pracowaliśmy w milczeniu. Byliśmy niczym istoty kosmiczne, w białych skafandrach, kapeluszach z siatkami, poruszaliśmy się w blasku reflektorów samochodowych, jakbyśmy tu przybyli z obcej planety, by w jakichś dziwnych skrzyniach zabrać materiał biologiczny. Musiałem zachichotać sam do siebie. Teraz on powinien nas zobaczyć. Profesor Ciepły Sweter.

Pot ściekał pod kombinezonami. To ciężka robota, każdy ul waży wiele kilogramów.

Ale w przyszłym roku… W przyszłym roku będą nowocześniejsze samochody. Oszczędziłem sporo pieniędzy, mam nadzieję, że wystarczy mi na wkład własny przy nowej pożyczce w banku. Nie rozmawiałem jeszcze

o tym z Emmą. Wiem, co myśli. Ale żeby zarobić pieniądze, trzeba się posługiwać pieniędzmi. Tak już jest.

Bez zwłoki zaczęliśmy ładować nasze ule na samochody. Nie ma na co czekać. Wyprawa zajmie sporo czasu. Dwóch ludzi w każdym samochodzie, zmieniają się za kierownicą. Biorę swoje auto. Tylko ja i Tom…

Może to z powodu *Gwiezdnych wojen*, może dlatego, że Tom sam zaproponował, iż napisze wypracowanie z natury, że to zapewni mu inspirację. W każdym razie przyjechał jeszcze tego samego popołudnia. Z pełną zgodą Johna, profesora. Tom uściskał Emmę, włożył roboczy kombinezon i wyszedł. Resztę czasu spędził u pszczół. Mówił niewiele, nie widziałem jego twarzy. Ukryta była w cieniu za siatką. Ale pracował, robił to, o co prosiliśmy. Szybko i cicho, nawet szybciej niż Jimmy i Rick. Chciałem mu to powiedzieć, pochwalić, ale nie znalazłem właściwej okazji.

W samochodzie też nie było na to szans, bo on po prostu zwinął sweter, oparł głowę o okno i zamknął oczy.

Piękny jest ten mój chłopak. Trochę zbyt szczupły, ale piękny. Dziewczyny muszą go chyba lubić. Czy ma ukochaną? Nie wiem.

Silnik szumiał miarowo, oddech Toma był równie miarowy. Na drodze panował niewielki ruch, tylko czasami spotykaliśmy jakiś samochód. Było sucho, jechaliśmy więc w szybkim tempie, ale nie ryzykownie. Wszystko szło zgodnie z planem.

Prowadziliśmy i spaliśmy na zmiany. Żaden za wiele nie mówił. Nastał ranek. Wokół nas falował krajobraz. Jakaś maszyna mijała nas na polu nieco dalej. Wyglądała jak gigantyczny owad. Ogromne cielsko, pojemnik z trucizną, wielki i okrągły, musiał mieścić tysiące litrów. Maszyna miała długie wirujące skrzydła, które rozpylały na polach jakiś preparat, chmurę złożoną z małych kropli.

Pszczoły trzymam z dala od chemii. Chemia im szkodzi, zawsze prowadzi do strat. Ale w ostatnich latach wielu przeszło na coś nowego. Preparatów przeciwko owadom nie produkuje się już w sprayu, ale w postaci drobnych kuleczek rozrzucanych na ziemi. Mówiono, że te środki są lepsze i bezpieczniejsze. Leżą na ziemi, są wchłaniane przez korzenie roślin, dłużej zachowują trwałość, dłużej też działają. Ale tak czy inaczej to świństwo. Wolałbym, by chłopi radzili sobie jak dawniej, by rośliny na polach musiały walczyć same bez pomocy środków ochrony. To jednak, jak widać, nie jest możliwe. Szkodliwe owady mogą w ciągu jednej nocy kompletnie zniszczyć wielką plantację. Jest nas za dużo, ceny żywności są za niskie, a wszystko inne za drogie, więc niektórzy ryzykują.

Tom się obudził. Otworzył termos, nalał sobie resztkę kawy i nagle zwrócił się do mnie:

— Sorry, może ty byś chciał?

— Nie, pij.

Wypił wszystko dwoma łykami. Nie powiedział nic więcej.

— Tak, tak — bąknąłem po chwili, bardziej po to, by przerwać ciszę.

Nie odpowiadał. Zresztą co tu odpowiadać.

— No — zacząłem znowu. — Tak. — Chrząknąłem. — A są jakieś dziewczyny? Mam na myśli w szkole.

— Nie. Akurat u nas nie — odparł.

— Nie ma żadnych ślicznotek?

— Żadnej, która wydawałaby mi się ślicznotką. — Zachichotał, a ja zauważyłem, że staje się rozmowniejszy.

— Tylko poczekaj — rzekłem.

— Mam nadzieję, że nie będę musiał czekać tak długo jak mama i ty.

Emma i ja wzięliśmy ślub, kiedy mieliśmy po trzydzieści lat. Dopiero wtedy ojciec mi pozwolił.

— Powinieneś się cieszyć — odparłem. — Dzięki temu uniknąłeś hałaśliwego rodzeństwa. Nawet nie wiesz, jakie masz świetne życie jako jedynak.

— Z rodzeństwem też by było dobrze — rzekł Tom.

— Na papierze to owszem. — Skrzywiłem się. — W rzeczywistości jednak to piekło. Wiem, o czym mówię.

Było nas w domu czterech braci. Awantury i bijatyki od rana do wieczora. Ponieważ byłem najstarszy, od szóstego roku życia występowałem jako ktoś w rodzaju zastępcy ojca. Zawsze się bardzo cieszyłem, że Tom jest jedynakiem.

— Ale mimo wszystko… Najpierw musisz poszukać sobie jakiejś pani. No i musisz zacząć płodzić dzieciaki. Przecież wiesz, jak to funkcjonuje. Znasz opowieść o pszczołach i kwiatach, czy może nigdy o tym nie rozmawialiśmy?

— Nie rozmawialiśmy, więc może zrobimy to teraz? — Zachichotał. — Chciałbym posłuchać, tato. Jak to jest z pszczołami i kwiatami.

Roześmiałem się. On także. Poczułem ciepło w sercu.

WILLIAM

Edmund? — Zapukałem do drzwi pokoju syna.

Ostatnie dni, w oczekiwaniu na nowy ul, spędzałem przeważnie z pszczołami, by się ze mną oswoiły. Najpierw zajmowałem się nimi drżącymi rękami, z czasem z coraz większym poczuciem bezpieczeństwa. Znalazłem królową. Była większa niż robotnice i trutnie, odznaczyłem ją małą białą plamką na pancerzu. Obserwowałem odbudowane cele królowych, ale natychmiast potem je zniszczyłem, nie chciałem ryzykować, że pszczoły się wyroją — że stara królowa zabierze ze sobą część rodziny, by zrobić miejsce dla młodej i jej potomstwa. Potem zaglądanie do ula było utrudnione, otwierałem go z wielkim mozołem i ostrożnością, za każdym razem pszczoły były niespokojne. Wciąż nie wiedziałem, jak to się dzieje, że królowa składa dwa rodzaje jaj: z jednych wyjdą robotnice, a z drugich trutnie. Ale warunki do obserwacji nie należały tu do najlepszych. Domyślałem się, że kiedy nowy ul znajdzie się już na miejscu, obserwacje i studia staną się o wiele prostsze. Jedno było mimo wszystko pewne — mam do czynienia z ciężko pracującą pszczelą rodziną. Ul coraz bardziej się wypełniał, pszczoły przynosiły nektar i pyłek, w środku już połyskiwał miód, ciemnozłocisty, słodki niczym cukier, kuszący.

Charlotte często dotrzymywała mi towarzystwa. Obserwowała pszczoły z wielkim zapałem. Unosiła ul i odgadywała, ile jest w nim miodu. Rutynowo sprawdzała cele królowej, odnajdywała ją, brała na dłoń, naprawdę robiła to bez rękawic, i przyglądała się, jak pszczoły krążą wokół i lecą za nią, jak to zawsze robią w takich przypadkach. Charlotte podrosła tego lata, jej dziecięce ciało nabrało kształtów, blade policzki zarumieniły

się, sukienki stały się niemal nieprzyzwoicie krótkie, sięgały najwyżej do połowy łydki. Nowa suknia, myślałem. Zasłużyła sobie na to, ale trzeba jeszcze poczekać, teraz inne rzeczy są ważniejsze.

W niektóre dni musiałem chodzić do sklepu. Wtedy ona pomagała mi również tam, sprzątała, myła, utrzymywała porządek w magazynku towarów, wpisywała cyfry, aż pióro zgrzytało po papierze, sumowała, odejmowała, szacowała zysk. Edmund natomiast nigdy w tym nie uczestniczył. Przygotowania do studiów, które miał rozpocząć jesienią, nie szły tak, jak powinny. Było to wyraźnie widoczne, nawet dla mnie, człowieka, który tak rzadko spędzał czas z rodziną. Książki, które, jak odkryłem, przechowywał w ciemnym kącie w salonie, były niemal tak samo zakurzone jak kiedyś moje. Edmund przez cały czas był taki wyczerpany, często zamykał się u siebie, niepokój został zastąpiony jakąś powolnością i zmęczeniem, które rzadko widuje się u młodych ludzi.

Mimo wszystko miałem nadzieję, że będzie przychodził do mnie, tak bym mógł mu wytłumaczyć, o co chodzi z ulem ze słomy, a następnie pokazać, o ile lepszy jest mój własny wynalazek. Chciałem mu pokazać, co ul we mnie poruszył, i wierzyłem, że zdołam obudzić ten sam żar w jego duszy.

— Edmund? — Znowu zapukałem.

Nie odpowiedział.

— Edmund?

Dalej nic się nie działo.

Wahałem się przez moment, po czym ostrożnie nacisnąłem klamkę.

No, oczywiście. Zamknięte na klucz.

Pochyliłem się, zajrzałem przez dziurkę od klucza i stwierdziłem, że klucz jest w zamku. A więc Edmund po prostu się zamknął.

Zacząłem łomotać do drzwi.

— Edmund!

W końcu rozległy się kroki i drzwi zostały uchylone. Edmund zamrugał na mój widok, raziło go światło. Grzywkę miał jeszcze dłuższą, zapuścił też rzadki wąsik nad górną wargą, miał na sobie pogniecioną koszulę i nic poza tym. Widziałem bose stopy na podłodze, a nad nimi zdumiewająco owłosione łydki.

— Ojciec?

— Przykro mi, że musiałem cię obudzić.

Edmund wzruszył ramionami i zdławił ziewanie.

— Miałem nadzieję, że będziesz mógł ze mną wyjść — powiedziałem. — Jest coś, co chciałbym ci pokazać.

Wpatrywał się we mnie zwężonymi, zaspanymi oczyma. Potarł stopą łydkę drugiej nogi, jakby dla rozgrzewki, ale nie odpowiedział.

— Bardzo bym chciał, byś zapoznał się z ulem ze słomy — mówiłem, próbując panować nad emocjami.

— Ul ze słomy? — spytał wciąż tym samym, trochę sztucznym tonem.

— Tak. Widziałeś go już przecież na końcu ogrodu.

— A, ten. — Zakołysał się i przełknął ślinę.

— Chodzi mi o to, byś zrozumiał różnicę między tym i nowym ulem, kiedy on już tu będzie.

— Oczywiście. — Powiedział to przez zaciśnięte wargi i znowu przełknął ślinę, jakby chciał się pozbyć ucisku w gardle.

— I o ile ten nowy jest lepiej skonstruowany.

— Tak.

Jego oczy były wciąż tak samo zaspane, nie pojawił się w nich nawet cień zainteresowania.

— Może mógłbyś się ubrać?

— A nie możemy odłożyć tego na inny dzień?

— Najbardziej pasuje mi teraz.

Nagle zdałem sobie sprawę, że stoję tu z pochyloną głową, jakbym prosił. Ale on najwyraźniej tego nie zauważył.

— Taki jestem zmęczony — powiedział tylko. — Może później.

Wtedy wyprostowałem plecy, próbowałem przemawiać autorytarnym tonem.

— Jako twój ojciec żądam, żebyś poszedł ze mną teraz.

Nareszcie nasze spojrzenia się spotkały. Jego oczy podeszły krwią, mimo to były dziwnie jasne. Odrzucił grzywkę z czoła, uniósł brodę.

— Bo jak nie, to co?

„Jak nie, to co?”

Nie umiałem odpowiedzieć, zauważyłem tylko, że szybko mrugam powiekami.

— Bo jak nie, to posmakuję pasa? To masz na myśli, ojcze? Bo jak nie, to chwycisz za pas i oćwiczysz mnie tak, że plecy będą krwawić, a ja nie będę mógł zrobić nic innego, tylko się zgodzić?

Sprawa nie poszła tak, jak się spodziewałem. Zupełnie nie tak. On gapił się we mnie, ja gapiłem się w niego. Żaden nic nie mówił. Nagle znalazła się przy nas Thilda. Biegła w moją stronę, zamiatając spódnicą podłogę.

— William?

— Wkrótce wybije druga — rzekłem.

Głos Thildy przybrał na sile.

— On potrzebuje snu. Nie jest w formie. Idź i połóż się, Edmundzie.

Przystanęła obok mnie, położyła rękę na moim łokciu.

— Przecież ty nie robisz nic innego, tylko śpisz — warknąłem do Edmunda. Bardzo głośno, w słowach było zbyt wiele desperacji.

Syn nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami. Thilda próbowała mnie odsunąć, równocześnie spoglądając ciepło na Edmunda.

— Połóż się, mój skarbie. Potrzebujesz odpoczynku.

— Odpoczynku od czego? — spytałem.

— Ty chyba nie masz prawa tak mówić — odparł Edmund nieoczekiwanie.

— Co?

— To przecież ty leżałeś w łóżku przez wiele miesięcy.

— Edmund! — przerwała mu Thilda. — O tym nie będziemy wspominać.

— A to dlaczego? — spytał.

Czułem, że rozczarowanie mnie paraliżuje.

— Przykro mi, Edmundzie. Ale ja to naprawię. Już pracuję, by to naprawić. I właśnie dlatego bardzo chciałbym ci pokazać…

Ale Thilda odsunęła mnie na bok.

— Biedny Edmund — rzekła z westchnieniem. — Tego jest dla niego za wiele. Musi wypoczywać, potrzebuje snu.

Edmund spoglądał na mnie oczyma bez wyrazu, po chwili zamknął drzwi, zostawiając nas oboje na korytarzu.

Thilda nadal ściskała moje ramię, jakby chciała mnie zatrzymać, a jej spojrzenie było tak samo natrętne. Chciałem zaprotestować, gdy nagle przyszła mi do głowy straszna myśl. Czy on jest chory? Czy Edmund jest chory?

— Czy jest coś, o czym mi nie mówisz? — spytałem Thildę.

Jej spojrzenie było teraz twarde, niemal się przestraszyłem.

— Jestem jego matką i widzę, że on potrzebuje odpoczynku — odparła wolno i z naciskiem. Najwyraźniej nie miała zamiaru niczego mi wyjaśniać.

— A ja jestem jego ojcem i widzę, że on potrzebuje świeżego powietrza — oznajmiłem, ale usłyszałem równocześnie, jak beznadziejnie brzmią moje słowa.

Thilda uniosła kąciki ust w szyderczym uśmiechu. Żadne z nas nic więcej nie powiedziało, staliśmy tylko naprzeciwko siebie. Ona ani nie zamierzała mi odpowiedzieć, ani ustąpić. Bo Edmund nie jest chory. Oczywiście, że nie jest, ona tylko go ochrania, przed obowiązkiem szkolnym i przed wszystkim, co mogłoby narzucać mu jakieś reguły. Poza tym ona nawet się nie domyśla, co zaszło między Edmundem i mną, co on we mnie poruszył, jak ważne jest dla mnie, bym mógł się z nim tym dzielić. Nie miałem jednak siły próbować niczego wyjaśniać, wiedziałem, jaka bezsensowna jest walka z moją żoną, wszelkie logiczne argumenty zostaną odrzucone, ona jest jak wiatrak.

Może uda mi się go przyłapać, zanim nadejdzie wieczór i zanim znowu gdzieś zniknie, jak to chętnie czyni. W tym niedefiniowalnym „gdzieś”… Pragnąłem, miałem nadzieję, że Edmund chodzi do lasu, prowadzi własne obserwacje, zainspirowane przeze mnie, tak jak ja robiłem w jego wieku. Cóż, może naprawdę tak jest.

A co się tyczy mnie, to pewnie chciałby poczekać, aż faktycznie będę mógł coś mu pokazać. Tyle że to powoduje we mnie napięcie. On naprawdę powinien zobaczyć. Powinienem dać mu powód do dumy z własnego ojca.

TAO

Okrążyłam narożnik domu — przede mną znajdował się płot. Solidny, wysoki, bielał w blasku księżyca, odbijał się w nim blask księżyca. Ziemia parowała, było ciepło i wilgotno, skraj drogi porastała trawa.

Przemknęłam na palcach obok strażnika. Jego twarz ukryta była w mroku, głowa pochylona, docierał do mnie jego oddech, ciężki i spokojny.

Coś zaszeleściło w powietrzu, słyszałam cichy odgłos, może dziesięć metrów nade mną.

Jakiś owad? Nie, na owada to zbyt głośne. Ale dźwięk szybko się oddalił i znowu zaległa cisza. Ostrożnie wyciągnęłam przed siebie jedną rękę i dotknęłam ogrodzenia. Stałam tak po prostu, absolutnie bez ruchu. Spodziewałam się alarmu, wycia syren, ale nic się nie stało.

Przeszłam kilka metrów, przeciągając ręką po gładkiej grubej tkaninie. I oto wyczułam nagle jakąś fałdę, tkanina była mocno naciągnięta, mimo to zdołałam wsunąć palce między dwa jej fragmenty. Lekko szarpnęłam. Obie części rozłączyły się z cichym szelestem. Wkrótce zdołałam zrobić otwór tak duży, że mogłam przez niego przejść na drugą stronę.

Rzuciłam ostatnie spojrzenie w kierunku żołnierza, który nadal spał głęboko. Potem się przecisnęłam.

Po tamtej stronie było ciemniej. Wiedziałam, że są tu reflektory, niekiedy wieczorami widywaliśmy pełgające światło, ale teraz wszystkie zostały wyłączone.

Czy po wewnętrznej stronie też są strażnicy? Nie miałam pojęcia. Stałam, próbowałam przyzwyczaić oczy do ciemności. Powoli wyłaniały

się przede mną zarysy drzew. Teraz już przekwitły, ale były ciężkie od liści.

Wszędzie panowała cisza, jedynie lekki wiatr poruszał gałęziami i trawą, ale i tak trzęsłam się z podniecenia. To, co zrobiłam, jest zakazane. Co się stanie, jeśli mnie przyłapią?

Powoli posuwałam się naprzód. Nieco dalej zauważyłam koleiny, którymi szliśmy na wzgórze. Teraz też tam poszłam. Nigdy w życiu nie odczuwałam tutaj lęku. Różne inne uczucia, podniecenie, nudę, także radość, natomiast lęku nigdy. Teraz poruszałam się tak cicho, jak tylko mogłam, ale odgłos mojego serca brzmiał mi w uszach, a plecy były mokre od potu.

Koleiny wprowadziły mnie między drzewa. Nagle kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Cień. Czy ktoś tu jest? Rozejrzałam się pośpiesznie, ale niczego nie zauważyłam. Niczego. Świat dookoła był pusty i milczący. Tylko strach podsuwał mi takie obrazy.

Zrobiłam znowu kilka kroków. „Raz, dwa, trzy — hop. Raz, dwa, trzy — hop”.

Tędy szliśmy. Wei-Wen między nami. Zdrowy, wesoły, ciepły, delikatny. Moje dziecko. Moje dziecko.

Musiałam przystanąć, pochylić się prawie do ziemi, fizyczny ból brzucha był tak straszny, że nie byłam w stanie się poruszyć. Oddychać spokojnie. Odepchnąć od siebie złe myśli. Wyprostować się. Działać racjonalnie. Rozejrzeć się. Jak daleko jeszcze? Do wzniesienia, tam gdzie zjedliśmy lunch.

Ruszyłam naprzód. Nie uszłam daleko, gdy to zauważyłam. Światło. Kawałek dalej nad ziemią unosiła się żółta poświata.

Podeszłam bliżej. Poruszałam się teraz wolniej. Ostrożniej stawiałam stopy.

Naprzeciwko mnie stał namiot. Znajdował się na granicy lasu, osłonięty od tyłu przez dziko rosnące krzewy i drzewa. Okrągły, rozmiarów niewielkiego domu, ze stromym dachem, oświetlony ze wszystkich stron. Wykonany z tej samej tkaniny co płot. Ta sama sterylna biel. Na zewnątrz dostrzegłam sylwetki licznych patrolujących teren żołnierzy. Namiot był o wiele pilniej strzeżony niż ogrodzenie. Żołnierze chodzili spokojnie tam i z powrotem, ich wyraźne kontury padały na białą tkaninę, dziwny teatr cieni w cyrkowym namiocie, który ktoś zapomniał pomalować. Czy to zagrożenie, czy ochrona?

Nie widziałam żadnego wejścia. Nie było też okien. Nie odważyłam się bardziej zbliżyć, szłam tylko naprzód, mijając namiot w odległości jakichś stu metrów. I nagle przyszło mi do głowy, że namiot znajduje się dokładnie w tym samym miejscu, w którym Kuan musiał znaleźć Wei-Wena. Kiedy to do mnie dotarło, opanował mnie jeszcze większy strach. Nogi trzęsły mi się tak, że ledwo byłam w stanie się poruszać. Zdałam sobie sprawę, że dotychczas liczyłam, iż to wszystko w ogóle nie jest powiązane, że ogrodzenie i wojskowi nie mają nic wspólnego z Wei-Wenem.

Ale teraz. Ten telefon, na który tak czekam, wiadomość, że Wei-Wen po prostu z czegoś spadł i uderzył się w głowę, że doznał całkiem zwyczajnego wstrząśnienia mózgu i teraz mu się poprawia, że będziemy mogli go odwiedzić i wkrótce zabrać do domu, te myśli wydały mi się w jeszcze większym stopniu tym, czym w istocie były: beznadziejnymi, desperackimi fantazjami.

Pośrodku między mną a namiotem majaczył stos kartonowych pudeł. Zakradłam się bliżej, kartony ukryły mnie przed strażnikami.

Niektóre z nich były poskładane, inne rozłożone. Obejrzałam jeden, przesunęłam dłoń po dnie, wyjęłam zawartość. Ziemia z resztkami korzeni

roślin. Na boku pudełka znajdował się jakiś nadruk — numer pocztowy i nazwa miasta: Pekin.

Odłożyłam pudło i wolno ruszyłam dalej. Bałam się, że właściwa mi niezdarność mnie zdradzi, że znowu złamię jakąś gałąź, napinałam więc mięśnie i starałam się poruszać bezszelestnie.

Zobaczyłam teraz frontową stronę namiotu, tak samo białą i nieprzejrzystą, ale z otworem z boku, zamykanym na szeroki błyskawiczny zamek. Skuliłam się. Czekałam. Prędzej czy później ktoś musi tu przyjść lub stamtąd wyjść. Siedziałam w kucki, dopóki nogi mi nie zdrętwiały i musiałam zmienić pozycję. Ziemia była wilgotna, mimo to usiadłam na niej, wilgoć przesiąkała przez ubranie. Dopiero teraz zauważyłam nieopodal stos gałęzi. Najwyraźniej wycięto wiele drzew owocowych, by zrobić miejsce dla tej bazy.

Nic się nie działo. Czasami ze środka dochodziły przyciszone głosy, ale nie potrafiłam rozróżnić słów. Długo tak siedziałam pogrążona w mroku. Minuty mijały, stawały się godzinami. Stojące bez ruchu powietrze usypiało mnie.

I nagle: chrobot zamka błyskawicznego. Namiot został otwarty i wyszły stamtąd dwie postaci, obie w białych ochronnych kombinezonach, z pochylonymi głowami, dyskutujące nad czymś cicho, ale z zapałem. Pochyliłam się do przodu, mrużyłam oczy, by lepiej widzieć. Namiot został otwarty tylko raz, mimo to zdążyłam zauważyć coś z tego, co się tam kryło. Przeźroczysty wewnętrzny namiot pełen roślin. Szklane ściany, kwiaty. Czy to oranżeria? Lśniące zielone liście, różowe, pomarańczowe, białe i czerwone kwiaty zalane złocistym światłem. Niczym bajeczny krajobraz na ilustracji, barwny i ciepły, jakiś inny świat, żywe rośliny, kwitnące rośliny, rośliny, jakich nigdy przedtem nie widziałam, jakie nie istnieją pośród jednorodnych szeregów drzew owocowych.

Nieoczekiwanie jedna z postaci ruszyła w moją stronę. Siedziałam bez ruchu. Postać podeszła bliżej.

Podniosłam się i cicho wycofałam.

Postać przystanęła. Nasłuchiwała, jakby mnie zwietrzyła. Nie miałam już odwagi się poruszyć, stałam tylko w nadziei, że zlewam się w jedno z pniami drzew.

On, bo to był mężczyzna, stał jeszcze przez chwilę bez ruchu, potem się odwrócił i ruszył z powrotem do namiotu. Wtedy uciekłam.

Przyśpieszyłam kroku, biegłam tak cicho, jak mogłam, wracałam w stronę ogrodzenia. Coś widziałam, nie wiedziałam jednak, co to takiego. Płot, kartony, namiot. Nie było w tym żadnego sensu. Ani tu, ani w szpitalu nikt nie chciał dać mi tego, czego potrzebowałam. Nikt nie chciał dać mi odpowiedzi. I nie chcieli oddać mi mojego dziecka.

Dotarłam do płotu, prześlizgnęłam się na drugą stronę w tym samym miejscu, co przedtem, minęłam strażnika. Ten nadal chrapał na swoim stanowisku. Stałam pośród łagodnej nocy. Płot górował nade mną. Ale Wei-Wena tu nie było. I nie ma go nawet w tej części kraju. On jest tam, skąd przyjechały rośliny. W Pekinie.

GEORGE

Kwitnące borówki to niezwykły widok. Zapomniałem o tym w zimie, ale za każdym razem, kiedy w maju Maine wita mnie swoimi białymi i różowymi wzniesieniami, muszę się po prostu zatrzymać i patrzeć.

Rzeczywiście jest tak pięknie, że powinno się o tym pisać książki. Ale bez pszczół kwiaty pozostałyby jedynie kwiatami. Nie zmieniłyby się w jagody, nie stały źródłem utrzymania. To chyba dlatego Lee oddycha z ulgą za każdym razem, kiedy się pojawiamy. Z pewnością przedtem chodzi i pilnuje swoich jagodników, przygląda się kwiatom i pragnie, by mogły zapylać się same, by nie był tak cholernie zależny od jakiegoś spoconego farmera z innego stanu i jego co najmniej tak samo spoconych ludzi.

Trzy tygodnie, tyle czasu mamy tutaj spędzić. Lee płaci osiemdziesiąt dolarów za ul. Ciężkie pieniądze, ale znam wielu, którzy żądają więcej. Gareth na przykład. W porównaniu z Garethem ja jestem tani.

Poza tym Lee dostaje za te pieniądze naprawdę dobry towar. W każdym ulu pracuje pięćdziesiąt tysięcy pszczół, od wschodu słońca do zmroku. Radosne pszczoły. Każdy ul brzęczy wesoło. Lee nigdy nie miał się na co skarżyć. Przyjeżdżam do niego każdej wiosny, odkąd przejął farmę, a dzięki pszczołom zbiera co roku mnóstwo jagód.

Kiedy wysiadłem z samochodu, Lee dosłownie rzucił się na mnie, wielkie buty, trochę za krótkie spodnie i brudny kapelusz na głowie, wyciągnął szczupłą dłoń i chwycił moją, długo nią potrząsał, nie puszczał,

jakby chciał mnie przytrzymać i upewnić się, że nie odjadę, zanim pszczoły nie wykonają zadania.

Ręka była szczuplejsza, niż zapamiętałem. Włosy przerzedzone. Uśmiechałem się do jego długiej końskiej twarzy.

— Niech no ci się przyjrzę. Jeszcze więcej zmarszczek.

Odpowiedział ze śmiechem:

— Ale nie aż tyle co u ciebie.

Maine, szczerze mówiąc, leży za daleko od nas, powinienem znaleźć sobie coś bliżej domu. Lee jednak przez te wszystkie lata stał się swego rodzaju przyjacielem. Podejmuję tę coroczną wyprawę również z jego powodu. W czasie moich pobytów u niego wiele rozmawiamy. On pyta i drąży. Na temat pszczół, na temat hodowli. Nigdy mu się to nie nudzi. Dowiedziałem się, że Lee jest człowiekiem po uniwersytecie, ma za sobą wieloletnie wykształcenie i w latach dziewięćdziesiątych kupił zrujnowaną farmę. Zaczynał, kierując się wielkimi teoriami. Gospodarstwo miało być ekologiczne. No cóż. Od tamtego czasu popełnił z pewnością wszystkie błędy opisane w książkach, jakie tylko mógł popełnić jako farmer. Praktyka bowiem okazała się czymś zupełnie różnym od teorii.

W ostatnich latach całkowicie zmienił profil. Teraz prowadzi standardową farmę, również tutaj po polach jeżdżą wielkie maszyny do oprysków. Pewnie zrobiłbym to samo, gdybym był na jego miejscu.

Skinąłem głową w stronę Toma stojącego parę metrów za mną.

— Pamiętasz Toma?

Tom podszedł, posłusznie wyciągnął rękę.

— Patrzcie, patrzcie. — Lee się roześmiał. — Od ostatniego razu powiększyłeś się chyba dwukrotnie.

Tom roześmiał się uprzejmie.

— Więc w tym roku ty też przyjechałeś?

— Na to wygląda.

— A co ze szkołą?

— Dostałem zwolnienie.

— Tutaj też będzie się uczył — wtrąciłem.

Samochody Kenny’ego odjechały. Zapanowała cisza. Skończyliśmy ustawiać ule. Teraz zostaliśmy sami, Lee, Tom i ja. Tom siedział w samochodzie. Czyta, a może śpi. W ciągu ostatnich godzin niewiele udało mi się z niego wyciągnąć. Ale pracował ciężko, dziś także robił wszystko, o co go poproszono.

Lee zdjął rękawice, podniósł zasłonę i zapalił papierosa.

— No to tyle. Teraz trzeba tylko czekać. Sprawdzałem pogodę. Wygląda dobrze — oznajmił.

— Świetnie.

— Tylko trochę opadów w długoterminowej prognozie, ale niewiele.

— Trochę opadów jakoś zniesiemy.

— I postawiłem nowe ogrodzenie.

— Wspaniale.

— To powinno je powstrzymać.

— Zakładam, że tak będzie.

Znowu umilkliśmy. Nie byłem w stanie uwolnić się od obrazu potężnych niedźwiedzich łap rozrywających ule na kawałki.

— Pomijając wszystko inne, to są twoje koszty — powiedziałem.

— Dziękuję. Wiem o tym. — Zaciągnął się głęboko dymem. — Więc on szykuje się do przejęcia gospodarstwa? — Wskazał głową Toma siedzącego w samochodzie.

— Taki jest zamiar.

— A on chce?

— Waha się.

— To na co w takim razie potrzebny mu college? Nie mógłby zacząć od razu?

— Ty chodziłeś do college’u?

— To właśnie mam na myśli.

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się krzywo.

Przez pierwsze dni w nowym miejscu pszczoły są spokojne. Przeważnie zostają w ulu, w domu. Potem zaczynają krótkie wyprawy na zewnątrz, sprawdzają warunki, poznają teren. Z czasem wyprawy stają się coraz dłuższe.

Już trzeciego dnia naprawdę zaczęły pracować. Ze wszystkich stron słychać było przyjemne brzęczenie. Lee siedział w jagodniku, jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów od uli. Pochylił głowę. Liczył, nie widział mnie. Zakradłem się do niego.

— Bach!

Aż podskoczył.

— O, do diabła!

Wybuchnąłem śmiechem.

On, urażony, machnął ręką.

— Przeszkodziłeś mi.

— Mogę ci pomóc.

— Nie polegam na twoich obliczeniach, nie jesteś obiektywny.

Ukucnąłem obok niego.

— Ty przecież je odpędzasz. — Uśmiechnął się. — Kiedy tu siedzimy, nie ma miejsca dla pszczół.

— W porządku, w porządku.

Podniosłem się, odszedłem jakieś dziesięć metrów dalej, próbowałem znaleźć miejsce o powierzchni mniej więcej metra kwadratowego. Szukałem wzrokiem.

O, są! Były tu.

Jedna pszczoła uniosła się właśnie i zniknęła. Inna tymczasem przysiadła. Trzecia się nie pojawiła.

— Wszystko w porządku? — Spojrzałem w górę.

— W porządku. Tutaj zauważyłem dwie. A ty?

— Trzy.

— Jesteś pewien? Ty zawsze dodajesz.

— To ty masz kłopoty z liczeniem — odparłem.

Siedział jeszcze przez chwilę.

— W porządku. Tutaj przyleciało więcej.

Wstałem, uśmiechnąłem się do niego. Dwie i pół pszczoły na metr kwadratowy gwarantuje dobre zapylanie. Dlatego Lee często tak siedzi i liczy, niemal jak opętany. Bo liczba pszczół na metr kwadratowy określa liczbę kilogramów borówek, które będzie mógł zebrać pod koniec lata.

Dwie u niego, trzy u mnie. Będzie dobrze. Ale oto zaczyna padać.

WILLIAM

Nareszcie przybył. Conolly zeskoczył z kozła i przeszedł na tył wozu, gdzie stał on, nowy, jaśniejący na tle zabłoconej, zniszczonej podłogi. Wdrapałem się do niego, wyciągnąłem rękę i dotknąłem. Dotknąłem ula. Drewniana obudowa była pod palcami delikatna i gładka, wyszlifowana według wszelkich reguł sztuki, dach wycięty z trzech desek, połączonych ze sobą niemal niedostrzegalnie, drzwiczki otrzymały maleńkie klamki, pogłaskałem je dłonią, nie napotkałem nawet śladu drzazgi. Otworzyłem jedno skrzydło, odsunęło się bezgłośnie. Zajrzałem do środka. Wewnątrz wisiały w rzędach ramy, gotowe do wypełnienia. Intensywnie pachniało świeżością, ten zapach mnie otoczył, sprawił, że niemal zakręciło mi się w głowie. Obszedłem ul dookoła. Wszystkie detale zostały wykonane imponująco, każdy narożnik starannie zaokrąglony, a z jednej strony stolarz zafundował nawet piękne rzeźbienia. Tak, tak, wszystkie pochwały, jakie słyszałem o Conollym, były prawdziwe. Rzeczywiście wykonał kawał bajecznej roboty.

— No? — Stolarz uśmiechał się niczym dziecko. — Zadowolony?

Nawet nie byłem w stanie odpowiedzieć, skinąłem tylko głową w nadziei, że widzi moją uradowaną minę.

Wspólnymi siłami zestawiliśmy ul na pokryty kurzem dziedziniec. Był taki jasny i czysty, że wydawało się niemal bluźnierstwem stawiać go na tym brudnym podłożu.

— Gdzie chciałby go pan ulokować? — spytał Conolly.

— Tam. — Wyciągnąłem rękę w stronę osiki.

— A ma pan już pszczoły?

— Powinny się tu wkrótce przenieść, a rozmnożymy je, kiedy zbudujemy więcej uli.

Stolarz mierzył mnie wzrokiem.

— Kiedy pan zbuduje więcej — poprawiłem się z przepraszającym uśmiechem.

— Jest to jedyna rzecz, która sprawi mi przyjemność. — Wyszczerzył zęby i zachichotał. Potem odwrócił się w stronę słomianego ula stojącego niżej. Uwijały się nad nim pszczoły. Tysiące pszczół zajętych swoją pracą. Nagle jedna z nich nas wyczuła. Conolly odskoczył w bok.

— Myślę, że powinien pan sam zanieść ul na miejsce.

— One nie są niebezpieczne.

— Musiałby pan mnie o tym przekonać. — Cofnął się jeszcze o krok, jakby chciał podkreślić swoje słowa.

Posłałem mu przelotny uśmiech, próbowałem wyglądać na pełnego wyrozumiałości i zarazem pewnego swoich racji.

— Nie będę pana zmuszał — rzekłem.

Wspólnie ustawiliśmy ul na wózku i pożegnaliśmy się. Przewidywaliśmy jednak obaj, że wkrótce znowu się zobaczymy.

A na mnie czekał ul. Był gotowy.

Z niezwykłą powagą przebierałem się dzisiaj w biały kombinezon, wkładałem kapelusz, rękawice, siatkę; przejęty niczym panna młoda przesłoniłem nią twarz, zanim ruszyłem z wózkiem przez ogród. Do ula prowadziła ścieżka, wydeptana w trawie, nagle przyszło mi do głowy, że przypomina wąską nawę kościoła. Musiałem zachichotać na myśl, że jestem narzeczoną w drodze do ołtarza, zarumienioną z podniecenia. Tak wielki był dla mnie ten dzień, który miał przypieczętować mój los.

Odsunąłem stary ul nieco dalej i na jego miejscu postawiłem nowy. Potem stałem i patrzyłem. Złociste drewno mieniło się w słońcu. Tamten

słomiany w porównaniu z nim wydawał się nędzny i obszarpany.

Ostrożnie, powolnymi ruchami rozpocząłem pracę nad przeniesieniem pszczół. Znalazłem królową i ulokowałem ją w nowym pomieszczeniu, gdzie bardzo szybko się zadomowiła, a inne podążyły za nią.

Udzielał im się mój spokój. Też czułem się całkiem bezpieczny, tak bezpieczny, że zdjąłem rękawice i pracowałem gołymi rękami. Pszczoły to akceptowały, pozwalały mi się kontrolować, oswajać. Nie mogłem się doczekać tych wszystkich godzin, które będę mógł spędzać tutaj, tylko ja i one w niezakłóconej ciszy, we wspólnej kontemplacji, w coraz to większym wzajemnym zaufaniu.

Ale nagle coś się stało. Najpierw poczułem łaskotanie w łydkę, pospieszne ruchy skrzydełek, a potem piekący ból.

Podskoczyłem, z mojego gardła wyrwał się piskliwy, niemal kobiecy krzyk. Na szczęście nikt mnie nie słyszał. Ręka skierowała się instynktownie ku łydce, by zabić to, co się tam znalazło.

Potrząsnąłem nogawką spodni, pszczoła wypadła na zewnątrz i leżała w trawie, na plecach, z włochatym torsem i połyskującą tylną częścią ciała, bezradnie wymachując cienkimi owadzimi nóżkami.

Łydka piekła mnie boleśnie. Że też coś tak niewielkiego może być przyczyną tak gwałtownego bólu. Zdeptać ją, chciałem ją zadeptać, zmiażdżyć, chociaż i tak jej los był przesądzony. Ale spojrzenie w stronę ula na jej siostry powstrzymało mnie. Nigdy nic nie wiadomo.

Pośpiesznie wsunąłem nogawki w buty, włożyłem rękawice, postarałem się zlikwidować wszelkie otwory w ubraniu, a potem sprawnymi rękami, napinając barki, pracowałem dalej. Chyba jeszcze nie mogę na nich do końca polegać. Zresztą sam też nie zrobiłem wiele, by mi zaufały. Ale to przyjdzie z czasem, jestem przekonany. Nie dam im powodów do żądlenia, a pewnego dnia staniemy się jednością.

W końcu, po wielu pełnych napięcia minutach, pszczoły znalazły się na miejscu.

Cofnąłem się o krok i patrzyłem, co się teraz stanie. To one są sędziami, w ostatecznej instancji to one zdecydują, czy ul może być ich domem. Sporo nadal latało wokół dawnego miejsca, bezdomne poszukiwały królowej. Przeniosłem stary ul na wózek, trzeba go stąd zabrać i spalić, i wtedy nareszcie się okaże, czy mi się udało.

TAO

Swetry. Spodnie. Bielizna. Ile to będzie dni? Tydzień? Dwa?

Pakowałam wszystko, na co znalazło się miejsce. Wyjęłam zniszczoną torbę po moim ojcu, wrzucałam do niej ubrania. Szybko, z pośpiechem człowieka, który czekał już zbyt długo.

Kiedy wróciłam do domu po wyprawie za białe ogrodzenie, nie byłam w stanie się położyć. Chodziłam po pokoju tam i z powrotem. Nie dlatego jednak, że ogarnął mnie niepokój, ale dlatego, że nareszcie zaczęłam działać. Nie mogłam czekać tutaj, czekać i karmić się nadzieją na tę jedną rozmowę telefoniczną, która wyjaśni wszystko, czekać i obracać w ustach to jedno krótkie słowo, którego nigdy nie powiedziałam Kuanowi. To jedno krótkie słowo „przepraszam”. Nie byłam w stanie. Bo gdybym powiedziała przepraszam, stałoby się to prawdą. Wtedy wina byłaby moja.

To jedyne, co mogłabym zrobić.

Zamknęłam torbę. Zamek błyskawiczny głośno zazgrzytał. Ten hałas musiał stłumić odgłos jego kroków, bo kiedy się odwróciłam, Kuan stał za mną. Mrugał niepewnie, potargany, dopiero co obudzony.

— Jadę do Pekinu.

— Co?

Patrzył na mnie z otwartymi ustami. Może ze względu na to, co powiedziałam, a może dlatego, że nie prosiłam, by mi towarzyszył. W tej chwili przyszło mi do głowy, że powinnam powiedzieć „my”. My jedziemy. Jakoś jednak nie pomyślałam, że on mógłby się zgodzić.

— Ale jak to?

— Muszę go odnaleźć.

— Przecież nie masz pojęcia, gdzie on jest. W jakim szpitalu się znajduje.

— Muszę…

— Ale Pekin… Od czego zamierzasz zacząć?

Był taki chudy, szczuplejszy niż kiedykolwiek.

— Znalazłam adresy. Muszę szukać po szpitalach.

— Sama? Przecież miasto jest… — mówił teraz głośniej. — Myślisz, że to bezpieczne?

— On jest naszym synem.

Zabrzmiało to niepotrzebnie ostro.

Podniosłam torbę z podłogi, nie patrząc już na męża. Zauważyłam tylko, jak stoi niespokojny za mną, jak tłumi w sobie słowa. Może zastanawia się, czy nie pojechać ze mną…

— Ale jak zamierzasz płacić? Bilety, hotel…

Moje ręce zatrzymały się w powietrzu. Wiedziałam, że to musi nastąpić. Pytanie o pieniądze.

— Biorę tylko trochę — odparłam cicho.

On podszedł do kuchennej szafki, otworzył ją i szukał wzrokiem. Twarz mu stężała. Odwrócił się ku mnie. Nieoczekiwanie w jego wzroku pojawiło się coś zimnego. Gwałtownym ruchem wyrwał mi z rąk torbę, otworzył ją i spojrzał na ołowianą puszkę leżącą na samej górze.

— Nie! — powiedział to głośno, z taką siłą, jaką rzadko u niego dostrzegałam.

Wypuścił torbę, która z łoskotem upadła na podłogę, i zrobił krok w moją stronę.

— Ty go nie odnajdziesz, Tao — powiedział. — Wydasz wszystko, co mamy, ale jego nie znajdziesz.

— Nie wydam wszystkiego. Powiedziałam, że wszystkiego nie wydam.

Wyjęłam jeszcze jeden sweter, choć właściwie go nie potrzebowałam. Zaczęłam składać. Próbowałam pracować spokojnie. Syntetyczny materiał trzaskał pod palcami.

— Muszę spróbować. — Wpatrywałam się w podłogę. Starałam się nie patrzeć na torbę, którą najchętniej przysunęłabym do siebie. Wpiłam wzrok w jakiś kawałek drewna. Może ze starej zabawki Wei-Wena? Stracił ją ostatniej zimy. Był to żółty drewniany konik. Wpadłam w złość, że tak się stało, bo nie mieliśmy wielu zabawek. Wei-Wen płakał, bo koń rozpadł się na kawałki, jedna noga się złamała.

— Ale jeśli pieniądze przepadną… Oszczędzaliśmy przez trzy lata… Będziemy za starzy… Jeśli wydamy pieniądze… — Nie dokończył, stał po prostu i patrzył. Torba między nami, ołowiana puszka na wierzchu. — To nic nie pomoże — rzekł w końcu. — Ten wyjazd nie pomoże.

— Tak jakby siedzenie tutaj miało pomóc.

Nie odpowiedział, może nie chciał prowokować moich protestów. Stał po prostu, gotowy wyznać, co mu leży na sercu. Nie tylko to, że Wei-Wena nie ma, że zniknął, ale też że to moja wina, a teraz chcę mu odebrać szansę na kolejne dziecko.

Odwróciłam wzrok, nie mogłam na niego patrzeć. Nie mogłam o tym myśleć. Moja wina, moja wina. Nie. Nie chcę przecież, żeby tak było. Wina jest tak samo jego. Tamtego dnia mogliśmy przecież po prostu zostać w domu. W domu, z książkami, z rachunkami. To on chciał wyjść. Wina jest tak samo jego. Jesteśmy winni oboje.

Jesteśmy winni oboje.

— Jedź ze mną.

Nie odpowiedział.

— Możesz jechać ze mną. Możemy jechać razem.

Odważyłam się na niego spojrzeć. Czy jest wściekły? Napotkał mój wzrok. Nie, tylko nieskończenie smutny.

Potem lekko pokręcił głową.

— Będzie lepiej, jeśli zostanę tutaj. Dostępny. Poza tym jeśli pojedziemy oboje, będzie drożej.

— Nie wykorzystam wszystkiego — powtórzyłam cicho. — Obiecuję, że tego nie zrobię.

Szybko przyciągnęłam do siebie torbę. Wrzuciłam do niej sweter, który przykrył puszkę. Potem ponownie zaciągnęłam zamek. Kuan mnie nie zatrzymywał.

Wyszłam z torbą do przedpokoju i sięgnęłam po płaszcz. Kuan szedł za mną.

— Musisz wyruszyć natychmiast?

— Pociąg odchodzi tylko raz dziennie.

Staliśmy przez chwilę. Jego spojrzenie spoczywało na mnie. Czy on oczekuje, że powiem to teraz? Czy to by wszystko uprościło? Gdybym to wykrzyczała? Wyszlochała?

Ale nie mogłam. Bo w tym momencie, kiedy poproszę o wybaczenie, musiałabym zaakceptować to całym sercem. Że gdyby on postawił na swoim, teraz byśmy tu nie stali. Nie wyszlibyśmy z domu tamtego dnia i Wei-Wen byłby nadal…

Włożyłam płaszcz, buty. Potem wzięłam torbę i ruszyłam ku drzwiom.

— Wszystkiego dobrego.

Zrobił krok naprzód. Czy zamierza wyrwać mi torbę? Nie. Chciał mnie uściskać.

Odwróciłam się, położyłam dłoń na klamce, teraz nie byłabym w stanie znieść jego ciała przy swoim. Jego policzka przy moim. Jego ust na mojej szyi. Ani tego, że być może wzbudziłby takie uczucia jak niegdyś, wbrew

mojej woli. A może to wszystko wywołałoby tylko we mnie mdłości? I co więcej… mogłoby wzbudzić to samo uczucie u niego. Czy nadal by mnie pragnął? Nie wiedziałam i nie chciałam wiedzieć.

Nie odzyskałam spokojnego oddechu, dopóki nie znalazłam swojego miejsca, nie usiadłam i nie poczułam, że zapadam się w fotelu. Kręgosłup oparł się o wytarty plastik. Odchyliłam głowę do tyłu, znalazłam oparcie dla karku. I tak siedziałam, patrzyłam na domy, ludzi, drzewa i pola na zewnątrz. To wszystko mnie nie dotyczyło. Pociąg sunął tak szybko, że mijane drzewa były jedynie cieniami. Owe tysiąc osiemset kilometrów zostawimy za sobą, nim nastanie wieczór. Zgodnie z rozkładem jazdy, ale to zależy od liczby kontroli po drodze.

Mój własny świat znikał za mną. Natura zmieniała się stopniowo, w miarę jak posuwaliśmy się dalej na północ. Z łagodnych sadów w moich rodzinnych stronach, z porośniętych drzewami wzgórz, tarasowych ogrodów przenosiliśmy się na szerokie równiny z polami ryżowymi i dalej, gdy pociąg wdrapywał się na zbocza gór, do uboższych, pozbawionych roślinności okolic. Kiedy potem znowu zjeżdżaliśmy w dół, wyłaniał się na spotkanie z nami krajobraz zupełnie wymarły. Sucho, pusto, niemal żadnych drzew. Mila za milą to samo. Odwróciłam twarz od okna. Nie było nic do oglądania.

W Pekinie byłam tylko raz, w dzieciństwie. Moi rodzice mieli tam przyjaciół, pojechaliśmy ich odwiedzić. Zostało mi w pamięci jedynie kilka obrazów — szeroka, pełna życia ulica, zakurzona, ruchliwa. Ogłuszający hałas i gdziekolwiek się obrócić, wszędzie ludzie, o wiele więcej ludzi, niż widziałam kiedykolwiek przedtem. I jazda pociągiem. Pamiętam ją dobrze, dokładnie ta sama droga co teraz. Pociąg też. Technologia nie zmieniła się przez całe moje życie. Nikt nie ma już czasu na innowacje.

Zdrzemnęłam się. Miałam różne sny, podobne do siebie. Przyjeżdżałam w nich do Pekinu i zaczynałam szukać kogoś, kto by mnie doprowadził do syna. Raz był to jakiś pracownik hotelu. Pokazał mi, gdzie znajduje się Wei-Wen, i poprowadził mnie przez ciasne zaułki oraz zatłoczone ulice. Biegliśmy, on przodem, ja za nim. Wciąż przebiegaliśmy w tłumie, wiele razy o mało nie straciłam go z oczu. Chciałam się go przytrzymać, ale mi się wyrwał. Obudziłam się zdyszana. Kiedy następnym razem zasnęłam, przyśniła mi się kobieta ze sklepu. I znowu działo się to samo. Kobieta powiedziała, że zabierze mnie do mojego syna. Szłyśmy przez plątaninę ulic, gdzie drapacze chmur przesłaniały słońce, a uliczni sprzedawcy wciąż próbowali nas zaczepiać. Kobieta biegła tak szybko, że straciłam ją z oczu i z płaczem musiałam przyjąć do wiadomości, że moja jedyna szansa, by zobaczyć dziecko, przepadła.

Nagle znalazłam się w innym miejscu. Na przyjęciu w ogrodzie. Czy to sen, czy wspomnienie? Miałam na sobie letnią sukienkę. Było ciepło. To znowu przyśniło mi się, że jestem dzieckiem i uczestniczę w zabawie. Jedliśmy ciastka, suche ciastka z odrobiną tłuszczu i sztucznych jaj. Piliśmy wodnisty sok, sztuczny, ale i tak dobry. Byłam spocona, lody spływały mi po brodzie. Jakieś dziewczynki bawiły się w kręgu tanecznym, piosenka unosiła się nad drzewami, była coraz głośniejsza, wyróżniały się pojedyncze głosy, jasne i czyste, inne, trochę nierytmiczne, jak to dzieci zwykle śpiewają. Stałam bez ruchu w cieniu i obserwowałam je.

Stół z ciastem powoli pustoszał. Niektóre z dzieci jeszcze się częstowały. Jednym z nich była Dai-Yu. Dziewczynka z mojej klasy, z trochę zbyt głęboko osadzonymi oczyma. Miała na sobie jasnoniebieskie spodenki i bluzkę, włosy upięte wysoko, podtrzymywane spinkami. Buty lśniły w słońcu, wyglądały na ciepłe. Dziewczynka podeszła do stołu i wzięła

kawałek ciasta, jeden z największych, położyła go na talerzu. Potem znalazła sobie widelczyk i odeszła, by usiąść z rodzicami.

Przy stole pojawiło się inne dziecko. Chłopiec. Wei-Wen. Mój Wei-Wen. Co tu robi?

On też wziął kawałek ciasta. Duży kawałek, jeszcze większy niż Dai-Yu.

I także sobie poszedł.

Nie, pomyślałam, nie bierz go.

Ale on zniknął, przez cały czas trzymając smakołyk, przepadał gdzieś między ludźmi, to znowu się pojawiał. Muszę go upomnieć za to, co zrobił. Nie wolno mu jeść ciastek. Nie powinien. Teraz byłam już dorosła, byłam sobą, podążałam za synem, czasem biegłam, torowałam sobie drogę, raz znowu mi mignął, ale zaraz potem zniknął. I tak wciąż, to znikał, to się pojawiał. Towarzystwo wokół mnie się powiększało, wciąż przybywało ludzi.

Czerwona chusta Wei-Wena w tłumie ludzi, daleko, daleko stąd.

Jeszcze raz mi się zapodział.

Obudziłam się, bo pociąg wjeżdżał na wielki, ciemny, zniszczony dworzec. Pekin.

GEORGE

Siedzieliśmy w motelu, w niewielkim pokoju. Jasnożółte ściany i poplamiona wykładzina na podłodze, otaczał nas zapach naftaliny i stęchlizny. Po tamtej stronie okna widzieliśmy ścianę wody. Nie żaden lekki sympatyczny deszczyk, który pozostawia po sobie przyjemny zapach i świergot ptaków. Nie. To był deszcz biblijnych rozmiarów, jak to się mówi. Na dodatek padał już piąty dzień. Zaczynałem się zastanawiać, czy nie ma tu kogoś, kto popatrzył na mnie złym okiem i czy może nie powinienem zacząć budować arki.

Tom miał wracać następnego dnia. Siedział z nosem w książce, neonowo żółtym tuszem rysował jakieś kreski. Jedyne, co słyszałem, to skrzypienie flamastra. Powtarzało się często. Można by pomyśleć, że syn musi podkreślić w książce każde słowo.

Nie było dokąd pójść. Kiedy tu przyjechaliśmy, pokój wydawał się spory — pytałem o dwa obok siebie, skoro mieliśmy tu mieszkać razem — ale w ostatnich dniach bardzo się skurczył. Tylko jedno okno z widokiem na boczną uliczkę. Dwa małżeńskie łóżka zajmowały za dużo miejsca. Siedziałem na jednym z nich, tym pod ścianą, na zwiniętej kołdrze w kwiecisty wzór. Dwa obrazy na ścianach już mi obrzydły, jeden przedstawiał kwitnącą łąkę i jakąś panią, na drugim była łódź. Szkła brudne, z odciskami palców, zwłaszcza na twarzy kobiety. Tom okupował komplet wypoczynkowy pod oknem. Jego książki zajmowały cały stolik, obok stała torba, również wypełniona przyborami szkolnymi.

Szczerze mówiąc, siedział tak przez większość czasu. Co prawda nie bardzo miał się czym zająć, ale mimo wszystko. Nie było w nim śladu

zainteresowania czymkolwiek innym. Ani pszczołami, ani deszczem. Mógł przecież się irytować, złościć, ale on nic, tylko czytał. Czytał i podkreślał słowa tymi grubymi flamastrami. Różowym, żółtym, zielonym. Miałem wrażenie, że wypracował jakiś system, bo flamastry układał starannie w rządku na stole i używał ich po kolei.

Podskoczyłem, kiedy zadzwonił telefon. Wstałem. Wyświetlił się numer Lee.

— Tak?

— Jest coś nowego?

— W ciągu ostatniej półgodziny nic się nie zdarzyło.

— Sprawdzałem inną prognozę pogody — oznajmił Lee. — Zapowiadają zmianę na pojutrze.

— A tych pięć pozostałych też sprawdzałeś?

— W dalszym ciągu deszcz. — Głos brzmiał niepewnie.

— Są sprawy, na które nie możemy mieć wpływu — odparłem.

— Czy jest… — zawahał się. — Czy jest jakaś możliwość, byś ewentualnie mógł zostać parę dni dłużej?

Rozmawialiśmy już o tym, ale nigdy nie zapytał mnie tak wprost.

— Już zamówiłem samochody na powrotną drogę. I ludzi.

— Tak.

Nie dodał nic więcej, przecież wiedział, że to niemożliwe.

— Pewnie pogoda wkrótce się zmieni — rzekłem, próbując mówić takim tonem jak moja matka.

— Oczywiście.

— A dwa dni w tę czy w tę nie ma wielkiego znaczenia.

— No nie.

Umilkliśmy. Słychać było tylko deszcz lejący na dworze i chlupot rozbryzgiwanych przez samochody kałuż.

— Myślę, że zaraz tam pojadę — rzekł nagle.

— Okay.

— Tylko po to, żeby sprawdzić.

— Sprawdzałem wczoraj. Pszczoły są w środku, nic się nie dzieje.

— Nie, ale mimo to…

— Zrobisz, jak zechcesz. To są teraz twoje pszczoły, chcę powiedzieć.

Roześmiał się cicho, ale nie było w tym śmiechu ani śladu radości.

Rozłączyliśmy się.

Tom popatrzył na mnie znad książki.

— Dlaczego nie mówisz mu, jak naprawdę jest?

— O co ci chodzi?

— To przecież oczywiste, że pogoda zniszczy jego zbiory.

— No tak.

— Jest dorosłym człowiekiem, potrafi znieść prawdę. — Stanowczym ruchem zamknął flamaster. Sposób, w jaki to zrobił, wzbudził we mnie irytację. I te jego słowa, mówi jak jakiś cholerny pięćdziesięcioletni profesor.

— Myślałem, że czytasz — burknąłem.

— Właśnie skończyłem.

— Nie przypuszczałem, że słuchasz moich rozmów.

— Rany boskie, tato! Siedzimy trzy metry od siebie.

— I dlaczego nagle masz tyle do powiedzenia?

— Przepraszam.

Irytacja narastała. Nie byłem w stanie spokojnie ustać.

— Przepraszam? — zacząłem go przedrzeźniać. — Po tygodniu włóczenia się w kółko zaczynasz się nagle angażować?

Tom wstał. Był wyższy niż ja.

— Nie włóczyłem się w kółko. Pracowałem. Za każdym razem, kiedy miałem okazję, męczyłem się i pociłem bardziej niż ty. I dobrze o tym wiesz.

— Ale ochoty na to nie miałeś?

Zrobiłem krok w jego stronę. Cofnął się automatycznie, ale chyba sam to zauważył, bo zaraz się zmitygował i stanął wyprostowany.

— Nigdy nie twierdziłem, że jestem jakoś specjalnie zainteresowany. To ty prosiłeś mnie, żebym tu z tobą przyjechał, nie pamiętasz?

— Potrzeba czegoś więcej, by o tym zapomnieć.

Tom milczał. Tylko na mnie patrzył. Dałbym dolara za to, by poznać jego myśli.

I nagle poprosił:

— Czy mógłbyś mi opisać Jimmy’ego i Ricka, tato?

— Hę?

— No jacy oni są. Opisz mi ich.

— Jimmy i Rick? Od kiedy się tak nimi interesujesz?

— Nie interesuję się nimi. Proszę cię, byś mi ich opisał, bo chyba masz o nich wiele do powiedzenia.

Przyglądałem mu się bez słowa, nie bardzo pojmując.

— Ja też wiem o nich sporo, tylko dlatego, że słyszałem, jak o nich opowiadasz — mówił dalej. — I o Lee także. Wiem, co lubią, co robią w czasie wolnym, wiem nawet, czego się boją. Ponieważ ty mi to opowiedziałeś. — Jego głos był teraz łagodniejszy, cichszy. — Że Rick chciałby mieć dziewczynę, na przykład. A Jimmy… słyszałem o nim wystarczająco dużo, by wiedzieć, że zastanawiasz się, czy nie pracuje też dla kogoś innego.

Chciałem spełnić jego prośbę, opowiedzieć coś o Jimmym, ale tak do końca nie byłem pewien co. Bo, szczerze mówiąc, wiedziałem, że ta

rozmowa nie dotyczy ani Jimmy’ego, ani Ricka. Domyślałem się, że Tom do czegoś zmierza, ale nie wiedziałem do czego. Czułem się, jakby wepchnął mój mózg do puszki i gwałtownie potrząsał.

— No to w takim razie jak opisałbyś mnie? — spytał Tom.

— Ciebie?

— Tak. Co ja lubię? W czym jestem dobry? Czego się boję?

— Ty jesteś moim synem — rzekłem.

Tom westchnął. Uśmiechnął się blado, niemal szyderczo.

Staliśmy i patrzyliśmy na siebie. Irytacja wciąż narastała.

W końcu Tom odwrócił wzrok. Podszedł do torby z książkami.

— Skoro i tak nie będziemy nic robić, to biorę się za historię. — Wyjął grubą książkę w granatowej okładce. Mignął mi wizerunek Big-Bena.

Tom usiadł, odwrócił krzesło tak, by siedzieć plecami do mnie.

Też chciałbym mieć naprawdę grubą książkę, którą mógłbym czytać. I krzesło, żeby je odwrócić. A najchętniej jakiś rozsądny komentarz pod ręką. Ale on mnie zablokował. Brakowało mi słów. Odczuwałem tylko tę okropną irytację.

Minęła godzina albo półtorej, zanim deszcz ustał. Niebo rozbłysło może nie błękitem, ale w każdym razie zniknęła owa intensywna szarość, którą oglądaliśmy w ostatnich dniach. Siódma prognoza pogody Lee najwyraźniej zaczynała się sprawdzać.

Tom w końcu odłożył książkę. Wstał i włożył kurtkę.

— Wyjdę się przejść.

— Ale nie możesz wziąć samochodu.

— Oczywiście, że nie.

— Mogę go potrzebować.

— Wiem o tym. Nie wezmę samochodu.

— Świetnie.

Właśnie miał otworzyć drzwi, gdy znowu zadzwonił telefon.
To Lee. Prosi, żebyśmy natychmiast przyjechali.

TAO

Tuż przy stacji kolejowej znalazłam otwarty hotel, zniszczony i pusty, ale tani. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się restauracja serwująca porządne, choć proste jedzenie. Poszłam tam, pozwoliłam sobie dzisiaj na ciepły posiłek, wiedziałam, że nie będzie mnie na to stać codziennie, w każdym razie jeśli pieniądze mają mi wystarczyć na dłużej niż tydzień. A zupełnie nie wiedziałam, jak długo będę musiała tu zostać. W każdym razie dopóki go nie odnajdę. Nie wyjadę, dopóki nie odnajdę syna.

Młody chłopak postawił przede mną talerz. Pieczony ryż, tylko to mieli w tej rodzinnej jadłodajni. Ojciec przygotowuje jedzenie, opowiadał chłopiec, nakrywając do stołu. Pracują tu tylko oni dwaj.

Byłam w tym dużym lokalu jedynym gościem. Po drodze też nie widziałam wielu ludzi. Wszystko w Pekinie wyglądało inaczej, niż zapamiętałam. Hałaśliwe, intensywnie żyjące miasto zniknęło. Teraz większość domów została opuszczona, ulice były pogrążone w ciszy. Nie ma tu już warunków do życia. Wiedziałam, że wielu zmuszono do przeprowadzki w inne rejony kraju, gdzie rolnictwo potrzebowało więcej rąk do pracy, ale ta całkowita cisza mimo wszystko mnie zaskakiwała.

Miasto rosło i rozwijało się do pewnego momentu, potem wszystko się zatrzymało, a teraz stolica popada w ruinę. Jest jak stary człowiek zbliżający się do śmierci. Coraz bardziej samotny, coraz cichszy, żyje z dnia na dzień w coraz powolniejszym tempie. Jedyne oświetlone miejsce w okolicy to ta mała restauracyjka naprzeciwko hotelu. Poza tym ulica jakby całkiem wymarła.

Przysunęłam krzesło bliżej stołu. Głucho stuknęło w podłogę, hałas długo odbijał się echem w pustym lokalu. Podczas gdy jadłam, kelner stał i czekał. Młody chłopak, miał nie więcej niż osiemnaście lat. Był wychudzony, nosił półdługie włosy, wyglądało na to, że od dawna ich nie strzygł, miał na sobie uniform włożony z młodzieńczą niedbałością, poruszał się lekko i swobodnie. Na szkolnym dziedzińcu byłby jednym z najbardziej lubianych. Kimś, kto nie potrzebuje się starać, kto z natury ma w sobie coś wyjątkowego. Należy do tych, którzy zawsze znajdują się w otoczeniu grupy.

Zauważył, że go obserwuję. Nagle nie wiedział, co zrobić z rękami. Pośpiesznie splótł je za plecami.

— Smakuje? — zapytał.

— Owszem. Dziękuję.

— Przykro mi, że nie mamy w karcie niczego innego.

— Tak jest dobrze. Zresztą nie byłoby mnie na nic innego stać. — Uśmiechnęłam się.

On też odpowiedział uśmiechem, z wyraźną ulgą. Pewnie pojął, że znajdujemy się w podobnej sytuacji.

— Czy tu zawsze tak pusto? — spytałam.

Chłopak przytaknął.

— W ostatnich latach tak się porobiło.

— To z czego żyjecie?

Wzruszył ramionami.

— Od czasu do czasu ktoś jednak przychodzi, a poza tym sprzedaliśmy część wyposażenia. — Wskazał głową w stronę kuchni, gdzie ojciec zajęty był zmywaniem. — Wszystkie najlepsze noże, chłodnie do mięsa, garnki, duży piec. To na jakiś czas wystarczy. Wyliczyliśmy, że damy sobie radę… aż do listopada.

Umilkł, pewnie myślał to samo, co ja: co zrobią potem?

— Dlaczego nadal tu jesteście? — spytałam.

Chłopak zaczął wycierać ze stołu niewidoczny kurz.

— Kiedy wszyscy nasi znajomi zostali zmuszeni do wyjazdu, nam pozwolono zostać, ponieważ prowadzimy restaurację z długą historią. Tata miesiącami starał się o zezwolenie. — Zwijał ścierkę, ściskał ją w dłoniach. — Pamiętam, jaki był zadowolony, kiedy wrócił do domu w dniu, gdy dostał ostateczne potwierdzenie, że nie musimy się wyprowadzać. I nie musimy opuszczać naszego domu.

— No a teraz?

Spojrzał w bok.

— Teraz jest za późno. Jesteśmy tu i już.

Odsunął lekko niesforne włosy. Przypomniał mi nagle Wei-Wena. Jest taki młody, może jeszcze młodszy, niż początkowo myślałam. Ma jakieś czternaście – piętnaście lat. Wiek dojrzewania.

Przesunęłam talerz w jego stronę.

— Zjedz resztę. Ja już się najadłam.

— Nie. — Patrzył na mnie zakłopotany. — Zapłaciłaś za to.

— Nie jestem głodna. — Podałam mu pałeczki do ryżu. — Proszę, siadaj.

Rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę ojca pracującego w kuchni, ale tamten nie zwracał na nas uwagi. Chłopiec pośpiesznie przysunął sobie krzesło, usiadł i chwycił pałeczki. Jadł ryż szybko, niczym pies, i tak łapczywie jak Wei-Wen zajadający śliwki. Ale nagle przestał, podniósł wzrok, jakby krępowało go moje zainteresowanie.

Uśmiechnęłam się zachęcająco. Chłopiec wrócił do jedzenia, najwyraźniej koncentrował się na tym, by robić to spokojnie.

Wstałam, żeby wyjść, chciałam zostawić go w spokoju.

Ale on też zerwał się z miejsca.

— Nie wstawaj — powiedziałam, ruszając ku drzwiom.

— Tak. — Wahał się. — Nie. — Podszedł do mnie.

Położyłam rękę na klamce i chciałam otworzyć. Spojrzałam na niego, nie rozumiałam, o co mu chodzi.

— Gdzie mieszkasz? — spytał.

— Tam. — Pokazałam hotel po drugiej stronie ulicy.

Podszedł całkiem blisko, wyjrzał na zewnątrz. Nigdzie żadnego pojazdu, ani jednego człowieka. Nigdzie oznak życia.

— Będę tu stał, dopóki nie wejdziesz do środka.

— Co?

— Będę tu stał przez cały czas.

Powiedział to z pełną powagą i poczuciem odpowiedzialności na młodej twarzy.

— Dziękuję. — Otworzyłam drzwi i wyszłam. Nad wymarłą ulicą unosił się zapach wilgotnych murów, kurzu i zgnilizny. Oskalpowane miasto, zniszczone fasady, na popękanym ekranie wyświetlano w kółko tę samą sekwencję z jakiegoś filmu: Li Xiara, szefowa komitetu, mówiła chyba o wspólnocie i zachowaniu umiaru. Ale przesłanie do nikogo nie docierało, bo ścieżka dźwiękowa od dawna nie działała. Pozamykane sklepy z kratami na drzwiach. Powybijane okna. Tylko szarobure cienie, nigdzie żadnych kolorów, jakby wszystko zostało przesłonięte mgłą. I ta wszechobecna, przytłaczająca cisza.

Kiedy byłam już po drugiej stronie ulicy, odwróciłam się. Rzeczywiście chłopak nadal stał przed restauracją. Pokazywał ręką hotel, jakby chciał, żebym jak najszybciej weszła do środka.

GEORGE

Lee pochylał się nad ulami i próbował sprzątać. Choć ukryty był pod kombinezonem, kapeluszem i siatką, zauważyłem, że jest zrozpaczony. Trzy ule na ziemi, wywrócone do góry nogami. Pszczoły zbite w wielki rój. Zdezorientowane, bezdomne, wściekłe, w mokrym od deszczu powietrzu.

— Auuu! — wrzasnął nagle i chwycił się za kark.

— Musisz uważać na otwory — powiedziałem i przesunąłem mu siatkę na miejsce. Martwą pszczołę wyrzuci później.

Lee przeklinał, widziałem w jego oczach łzy. Może wywołało je użądlenie, a może płakał przez cały czas.

— Wierzyłem, że ogrodzenie wystarczy — rzekł cicho.

— Jeśli raz poczują zapach miodu, to niewiele może je powstrzymać.

Dopiero teraz zauważyłem, że Tom się we mnie wpatruje.

— Czy nie mówiłeś, że niedźwiedzi już tu nie ma?

Nie byłem w stanie spojrzeć mu w oczy, wolałbym, żeby to pytanie nie padło. Uniosłem jeden z uli. Obejrzałem go.

— Podaj mi to, tam. — Wskazałem na ramkę leżącą kawałek dalej.

Syn wciąż na mnie patrzył. Wziął ramkę i podał mi. Dostrzegłem, że ręka mu drży. Spojrzałem w górę. Oczy były równie wielkie jak tamtym razem. Nic nie zostało z profesora, przede mną stał mały chłopiec.

— Czy on jest tu gdzieś blisko? — spytał cicho.

Wziąłem ramkę, patrzyłem mu w oczy.

— Nie, on natychmiast ucieka.

Tom stał, nie spuszczał ze mnie wzroku, nie dowierzał mi. Położyłem mu rękę na ramieniu, rzadko to robię.

— Tom. To nie jest tak jak tamtym razem. Taka wizyta jak dzisiaj zdarza się każdego roku, a ja nigdy, ani razu nie widziałem niedźwiedzia. Jego interesują tylko pszczoły, nie my. Najgorzej ma Lee, on musi za to zapłacić.

Przytakiwał, nie cofając ręki.

— To dlatego mieszkamy w motelu, a nie w namiocie — mówiłem dalej.

Tom znowu przytaknął. Objąłem go, miałem straszną ochotę przytulić, wydawało mi się, że tego potrzebuje. Tak, nadal mnie potrzebuje. Ale w tym samym momencie podszedł do nas Lee.

— Trzy ule — oznajmił. — To będzie chyba… Dwieście czterdzieści dolarów?

Puściłem Toma i skinąłem głową Lee. Ale znieruchomiałem, kiedy zobaczyłem zza siatki to jego zrozpaczone spojrzenie.

— Dwieście czterdzieści? Nie. Powiedzmy dwieście.

— Ale, George…

— Nie ma już o czym gadać. Zresztą możesz to potraktować jako pożyczkę.

Lee odwrócił się, głośno przełknął ślinę. Tom nadal mi się przyglądał. Nic nie powiedział, ale jego oczy wyrażały wszystko. I pamiętały wszystko.

Tamte wydarzenia nastąpiły, kiedy pierwszy raz byłem u Lee, kiedy w ogóle po raz pierwszy wyjechałem z pszczołami. Wzięliśmy ze sobą niewiele uli, tylko te, dla których znalazło się miejsce w pikapie. Uznałem to za eksperyment. Jeśli wszystko zadziała, będę mógł zająć się zapylaniem na niewielką skalę, rozwijać przedsięwzięcie, a wyjazdy traktować bardziej jako wakacje. Bo Tom, wówczas pięcioletni, miał ze mną jechać. Tylko my dwaj i natura. Daleko od ludzi. Będziemy łowić ryby, pić wodę ze strumienia, palić ogniska. Rozmawialiśmy o tym tygodniami.

Znaleźliśmy sobie wzniesienie dość daleko od uli. Rozciągał się stąd wspaniały widok. Rozbijałem namiot, nie śpiesząc się, zadbałem, by wszystkie śledzie znalazły się w ziemi, a płótno zostało odpowiednio naciągnięte. To przez najbliższe trzy tygodnie miał być nasz dom, ważne, by zbudować go porządnie.

Zadaniem Toma było przygotować śpiwory. Zrobił to bardzo starannie, zgodnie z wszystkimi prawidłami sztuki, chyba widywał, jak Emma ścieli w domu łóżka. Był pełen zapału, gadał bez przerwy, nie zdążył nawet jeszcze pokazać, że tęskni za mamą. Ale i z tym sobie poradzimy, myślałem. Będzie nam tu fenomenalnie, na tym wzniesieniu, trzy tygodnie miną jak z bicza trzasł, a on zachowa to wspomnienie do końca życia.

Rozpaliliśmy ognisko. Usiedliśmy przytuleni i grillowaliśmy ryby. Tom drżał lekko, więc go objąłem. Drobne barki zniknęły w moich ramionach. Przyglądaliśmy się niebu, pokazywałem gwiazdozbiory, które znam. Nie ma ich dużo, zaledwie Wielki Wóz i Orion. Później znalazłem jeszcze kilka.

— Patrz, tam jest Wąż.

— Gdzie?

— Tam.

Oczy syna śledziły mój palec, którym pokazywałem odpowiednie gwiazdy w migoczącym szeregu.

— Dlaczego nazywa się Wąż?

— On się nie nazywa Wąż. To jest Wąż.

I opowiedziałem mu o wężu. Zwykle niełatwo znajduję historie do opowiadania, ale wtedy to po prostu ze mnie wypływało. Może dlatego, że Tom siedział wtulony w zagięciu mojego łokcia, a może dlatego, że byliśmy tak daleko od wszystkiego, co nazywa się telewizją i rozrywką, że jakiś pierwotny człowiek tkwiący we mnie nagle wydostał się na zewnątrz.

Albo dlatego, że sił dodawała mi świadomość, iż tak będzie przez trzy najbliższe tygodnie.

— Wąż mieszkał w skalnej rozpadlinie w pobliżu niewielkiej wioski — zacząłem opowiadać. — Był to straszny drań, bardziej zły niż najgorsze bestie, bardziej żarłoczny niż najżarłoczniejsi. Zjadał wszystko, absolutnie wszystko, na co natrafił. Najpierw pożarł las, a potem zbiory. Następnie zabrał się za przydomowe ogrody, owoce, warzywa, jagody i przez cały czas rósł, powiększał się i powiększał. Kiedy pochłonął już każdy najmniejszy krzaczek, połknął wszystkie ziemniaki, każde najmarniejsze źdźbło na łące, dobrał się do ludzi. Małe dzieci na śniadanie, babcie na lunch. Rozrastał się i rozrastał, w końcu był taki długi i taki gruby, że położył się i otoczył swoim cielskiem całą wieś. Leżał tak i wciąż pożerał jednego człowieka za drugim. Ludzie uciekali do domów, kryli się w szafach, pod łóżkami i w piwnicach. Ale wąż ich znajdował, wślizgiwał się do pomieszczeń, do każdego kąta i nie przepuścił nikomu.

Zauważyłem, że Tom drży w moich objęciach i że dzieje się tak nie tylko z zimna.

Objąłem go mocniej, on wtulał się we mnie, przerażony, ale i uradowany.

— Nikt nie wiedział, co robić, ludzie byli bezradni. Teraz pomrzemy, myśleli, zostaniemy pożarci. Wszyscy chowali się najlepiej, jak mogli. Wszyscy z wyjątkiem pewnego małego chłopca.

— Kto to był? — Tom spytał cicho, z napięciem.

— To był… Nie jakiś tam zwyczajny chłopak.

— Nie?

— Trzeba ci wiedzieć, że był to hodowca pszczół.

— O! — jęknął Tom, jakby nie był w stanie wykrztusić nic więcej, w obawie, że przestanę opowiadać.

— Ten chłopiec miał piękny, duży ul. I najlepszą pszczelą rodzinę, jaką widziałeś. Wszystkie pszczoły były wierne, bardzo pracowite, nigdy się nie roiły. Królowa żyła już trzeci rok i składała takie jajeczka jak nigdy przedtem. Teraz chłopiec podszedł do ula i go otworzył. Szeptem zwrócił się do pszczół, prosząc je o pomoc. — Tu zrobiłem teatralną pauzę. Znałem zakończenie i byłem z niego bardzo zadowolony.

Tom czekał. Pozwalałem na to, nie śpieszyłem się. Zauważyłem jego oczy, kiedy na mnie patrzył, wielkie, okrągłe z niecierpliwości. Chciałem, żeby to uczucie trwało w nim przez jakiś czas.

W końcu nie był w stanie dłużej czekać.

— No a potem?

Wolno mówiłem dalej:

— Pszczoły słuchały i myślały, a tymczasem wąż, szeleszcząc w trawie, zbliżał się do chłopca.

Tom patrzył na mnie z otwartą buzią.

— I dokładnie w momencie, kiedy potwór szykował się, żeby go pożreć, nadleciały pszczoły! Gigantyczny rój spadł prosto na gada. Żądliły go jak oszalałe, w ogon, w głowę, w oczy. Żądliły wszędzie, aż wąż nie był w stanie dłużej tego znosić i rzucił się do ucieczki, najszybciej, jak mógł.

Tom napinał wszystkie mięśnie, siedział cichutko w moich objęciach.

— I wszyscy zostali uratowani? — spytał niemal niedosłyszalnie. Może bał się odpowiedzi.

Znowu zwlekałem, czułem, jak on przy mnie drży.

— Tak — potwierdziłem w końcu.

Tom odetchnął.

— Ale pszczoły nie były z tego zadowolone — mówiłem dalej.

— Nie były? — Roześmiał się.

— Odganiały węża coraz dalej.

— Odgoniły go raz na zawsze?

— Tak, raz na zawsze.

Nareszcie Tom się rozluźnił, małe ciałko przy mnie zwiotczało.

— Odegnały go aż na niebo — rzekłem. — I tam widzisz węża. Do dzisiaj.

Tom przytakiwał, czułem, jak jego głowa unosi się i opada przy moim ramieniu.

— On jest tam — powiedziałem. — A tam. — Wskazałem kawałek dalej. — Tam masz ule.

— Tam?

— Tak, przecież widzisz. Ten i ten, i ten. — Narysowałem na tle nieba trzy prostokąty.

— No a pszczoły?

— Pszczoły? — Pomyślałem chwilę i wtedy przyszła odpowiedź, a ja poczułem się geniuszem: — One zmieniły się w gwiazdy. To te pozostałe.

Tak będziemy tutaj żyć, pomyślałem. Tak będzie przez trzy tygodnie.

Położyliśmy się i Tom natychmiast zasnął. Leżałem i słuchałem jego oddechu w ciemności. Lekko pochrapywał, miał trochę zatkany nos. Wiercił się przez jakiś czas w śpiworze, aż znalazł odpowiednią pozycję. W końcu mnie też zmorzył sen.

No i wtedy przyszedł niedźwiedź. Obudziły nas już pierwsze hałasy, głuchy łoskot, kiedy zawieszony nad ogniskiem saganek upadł na ziemię. Mroczny cień na tle „pszczół” migoczących na niebie. Stąpanie ciężkich łap w jagodniku, tak blisko nas, że mogliśmy słyszeć, jak futro ociera się o krzewinki.

Trzymałem Toma w objęciach, ale teraz moje ramię nie dawało mu chyba żadnego wsparcia. Oczy miał wytrzeszczone, wpatrywał się w ciemność. Słyszeliśmy, jak niedźwiedź pustoszy obozowisko, plastikowa torba

z zapasami została porwana na strzępy. Stos drewna, który tak starannie ułożyłem, przewrócił się z donośnym trzaskiem, kiedy łapy zwierza trafiły w lodówkę turystyczną.

Potem zaległa cisza.

My po prostu siedzieliśmy bez ruchu. Długo. Głaskałem Toma po włosach, miałem nadzieję, że zwróci ku mnie twarz, popatrzy na mnie, ale on wciąż wpatrywał się przed siebie, w nicość. Co powinienem powiedzieć? Co powiedziałaby Emma? Nie miałem pojęcia, wolałem więc nie otwierać ust. Przycisnąłem go do siebie jeszcze mocniej, ale ciało Toma było sztywne.

W końcu odważyłem się wyjść. Plac był splądrowany. Resztki jedzenia pożarte, ale niedźwiedź zniknął.

Dopiero wtedy mogłem naprawdę odetchnąć.

Zajrzałem do namiotu.

— Już jest bezpiecznie.

Ale Tom nie odpowiedział. Siedział tylko z tym swoim mrocznym spojrzeniem, zaciśniętymi ustami, nieruchomy. Wziąłem go na ręce i zaniosłem do samochodu. Następnego dnia wsadziłem do autobusu i odesłałem do domu. Nic innego nie można było zrobić. Emma miała na niego czekać na stacji. Nawet nie zaprotestował, że musi całą tę długą podróż odbyć sam. Dawniej nie byłoby to możliwe.

Słyszałem napięcie w głosie Emmy, kiedy opowiadałem jej, co się stało. Wiedziałem, co sobie myśli, choć ona mówiła niewiele ponad „tak” i „aha”. Powinieneś był lepiej sprawdzić, myślała na pewno. Powinieneś był dokładnie wypytać ludzi. Powinieneś wiedzieć, że w pobliżu jest niedźwiedź. Tylko płótno namiotu dzieliło was od śmierci. Miałeś więcej szczęścia niż rozumu.

Kiedy autobus odjeżdżał, widziałem w tylnym oknie bladą twarz synka. Malowała się na niej ulga, ale oczy nadal były wielkie i przestraszone.

Nigdy więcej nie pojechał ze mną do Maine. Dopiero teraz.

Kiedy wsiadaliśmy do samochodu, już nie padało. Lee pojechał do domu, zapowiedział, że wyśle skargę do producenta elektrycznych pastuchów.

W drodze powrotnej Tom nie odezwał się ani słowem. Może rozglądał się za niedźwiedziem, czekał, czy nie wybiegnie na drogę, nie położy łap na masce samochodu i nie rozedrze karoserii na dwoje. A potem wyciągnie nas z wnętrza, jakbyśmy byli myszami w dziurze.

Kiedy wróciliśmy do motelu, Tom zaczął pośpiesznie pakować swoje rzeczy, pozbierał flamastry, wrzucił książkę z Big Benem do torby. Obserwowałem go.

— Nie musisz się tak śpieszyć.

— Lepiej być gotowym — mruknął, znowu odwrócony do mnie plecami.

Spojrzał na mnie dopiero, kiedy zamknął torbę. Usiadłem, udawałem, że czytam gazetę.

Tom stał wyprostowany, z rękami zwisającymi wzdłuż ciała. Potem wsunął dłonie do kieszeni spodni, ale niczego nie wyjął. Było w jego oczach coś, czego nie mogłem pojąć.

— Tak? — spytałem w końcu.

Nie odpowiadał. Nad czymś się zastanawiał, co do tego nie miałem wątpliwości.

— No to nie. — Pochyliłem się znowu nad gazetą, lekko przekrzywiałem głowę, robiłem taką minę, jakby to, co przeczytałem, było szczególnie interesujące.

— Dlaczego to robisz? — spytał nagle.

Uniosłem wzrok.

— Co? Co takiego?

— Dlaczego ciągasz je tak w kółko ze sobą?

— Hę?

— No, pszczoły. — Zaczerpnął powietrza. — Teraz straciłeś trzy ule. Trzy pszczele rodziny zostały bez domu. — Głos przybierał na sile, oczy rozszerzały się, skrzyżował ręce na piersi, jakby sam siebie musiał mocno trzymać. — Już samo to, że trzeba je wciąż ładować na ciężarówki i wyładowywać. Czy ty właściwie wiesz, jak one to znoszą?

Taka wielka powaga w takim młodym człowieku. Tego było za wiele. Można się uśmiać. I właśnie to zrobiłem. Z moich ust wyrwał się chichot, charczący dźwięk wydostał się z gardła, ale śmiech nie był taki szczery, jak na to liczyłem.

— Czy ty nie lubisz borówek? — spytałem.

Zawahał się na moment.

— Borówek?

Próbowałem trzymać wysoko głowę, zachować ten uśmiech, skryć się za nim.

— Bez pszczół w Maine nie byłoby ich wiele.

Tom przełknął ślinę.

— Ja to wiem, tato. Ale dlaczego trwasz w tym całym… systemie? Rolnictwie, takim, jakie teraz jest…

Z rozmachem złożyłem gazetę i odsunąłem od siebie. Próbowałem mówić spokojnie, nie wrzeszczeć.

— Gdybyś był synem Garetha, mógłbym zrozumieć, co wygadujesz. Ale przecież ja nie działam tak jak on.

— Myślałem, że chcesz taki być.

— Jak Gareth?

— Przecież wiem, że chcesz rozwijać farmę.

Powiedział to wprost, to nie było pytanie, nie było też oskarżenie, choć w gruncie rzeczy miało nim być.

Znowu się roześmiałem. Tym razem śmiech zabrzmiał głucho.

— I teraz zgłosiłem nas do klubu golfowego. Zainwestowałem też w fabrykę mosiądzu.

— Co?

— Nie. Nic.

Tom westchnął głęboko. Potem odwrócił ode mnie wzrok, spojrzał w okno. Deszcz na dobre przestał padać.

— Myślę, że teraz odbędę ten mój spacer — powiedział, nie patrząc na mnie.

I wyszedł.

Przez odrapane drzwi motelowego pokoju wyszedł cały mój życiowy plan.

WILLIAM

Ale gdzie on jest?

Thilda i dziewczynki stały przede mną w kuchni, przejęte. Teraz w końcu zobaczą, nad czym pracowałem przez tyle czasu. Postanowiłem, że zaprowadzę je do ula, ale będą stały na tyle daleko, by nie zostały pożądlone. Dlatego musiałem otwierać ul ostrożnie i wszystko dokładnie tłumaczyć. Tak aby dziewczynki, podobnie jak Edmund, mogły zrozumieć, co zmieni nasze życie. Co przyniesie nam szacunek ludzi i wprowadzi nasze nazwisko do książek historycznych.

Słońce wisiało nad polami za ogrodem, schodziło nad horyzont, walczyło z ciemnymi chmurami zbierającymi się od zachodu. Wkrótce nieodwołalnie zajdzie, a w nocy może się rozpadać. Pragnąłem pokazać rodzinie ul właśnie teraz, w chwili zachodu słońca, bo wtedy pszczoły gromadzą się wewnątrz.

— Edmund zostawił wiadomość, że nie wróci do domu przed kolacją — oznajmiła Thilda.

— No dobrze, a dlaczego nie?

— Nie pytałam go o to.

— Ale chyba mówiłaś mu, że zamierzam wam dzisiaj coś pokazać?

— Jest młodym mężczyzną i ma własne życie. Skąd mam wiedzieć, gdzie się teraz podziewa?

— Powinien być tutaj!

— On jest wyczerpany — odparła Thilda. Mówiła o synu łagodnym, płaczliwym głosem, tak jakby nadal był noworodkiem.

— No to jak będzie z nim jesienią, skoro nie wypełnia obowiązków?

Thilda długo zwlekała z odpowiedzią. Zastanawiała się, pociągała nosem.

— A czy on naprawdę tego potrzebuje?

— Czego, przepraszam?

— Uważam, że rozsądnie byłoby, gdyby poczekał jeszcze rok. Niech mieszka w domu, porządnie wypocznie.

Kiedy mówiła, skrzydełka jej nosa się poruszały. Ogarnęły mnie mdłości i odwróciłem głowę.

— Znajdź go — syknąłem, nie patrząc na żonę.

Osiem par oczu gapiło się na mnie, ale ani żona, ani żadna z moich córek nawet się nie poruszyły.

— Znajdź go, powiedziałem!

Nareszcie ktoś zrozumiał, kim w ogóle jest ojciec rodziny. Zrobiła krok w tył, ku drzwiom, i chwyciła klamkę.

— Już idę.

Charlotte.

Siedzieliśmy w kuchni i czekaliśmy. Tymczasem mrok wypełzał z kątów i otaczał nas coraz szczelniej. Nikt nie zapalał lamp, za każdym razem, kiedy któraś z mniejszych dziewczynek coś mówiła, Thilda ją uciszała. Widziałem przez okno ciemniejące niebo. Chmury już dawno przesłoniły słońce, ale wkrótce ich też nie będzie widać, bo ciemność rozmaże kontury. Wkrótce noc uczyni nas ślepymi, jest już za późno, by cokolwiek pokazywać.

Gdzie on się podziewa? Wyszedłem na dwór, stanąłem na ganku. Poczułem, że nad ziemią panuje ciepły niż. Powietrze było wilgotne i gęste, ani jednego podmuchu wiatru. Trwała absolutna cisza. Pszczoły wróciły już do ula, nie docierało do mnie ich brzęczenie.

Gdzie on się podziewał przez cały czas? Czy mogło być coś ważniejszego od tego, co chciałem mu pokazać?

Kiedy wróciłem do kuchni, Thilda stłumiła ziewanie. Georgiana zasnęła z głową na kolanach Dorothei, bliźniaczki opierały się o siebie nawzajem, obie przymykały oczy. Zrobiło się dla nich stanowczo za późno. Od dawna powinny być w łóżkach. Nagle straciłem pewność siebie, nie wiedziałem, co począć, zrobiłem parę kroków w bok. Na stole stał dzbanek, wziąłem go i nalałem sobie wody. Usłyszałem, że bulgocze mi w brzuchu. Pośpiesznie odsunąłem krzesło od stołu, w nadziei, że jego szuranie odwróci uwagę od mojego żołądka. Potem usiadłem, przyłożyłem ręce do brzucha, pochyliłem się lekko w przód i burczenie ustąpiło.

Nagle drzwi się otworzyły. Zerwałem się z miejsca. Pierwsza weszła Charlotte, wpatrywała się w podłogę. A za nią podążała mroczna postać. Edmund. Znalazła go.

— Och, kochanie! — Thilda zerwała się z miejsca.

Edmund ociekał wodą. Zrobił kilka chwiejnych kroków. Miał mokre włosy i ubranie, ale spodnie dość suche, co wyglądało, jakby ktoś wylał na niego wodę.

— Charlotte? — spytała Thilda.

— Edmund… On…

— Wpadłem do strumienia — rzekł Edmund wolno. Potem przeszedł obok nas.

Podszedłem bliżej i położyłem mu rękę na barku, chciałem zabrać go ze sobą, bo może nadal nie jest za późno, żebyśmy tam poszli, żebym mu pokazał i wytłumaczył.

Ale poczułem, jak on drży pod mokrym ubraniem, zauważyłem, że szczęka zębami.

— Edmund?

— Ja… muszę się przespać — rzekł, nie odwracając się.

Potem wyrwał mi się i powłócząc nogami, wszedł po schodach na górę.

Thilda pobiegła za nim, jej buty stukały niczym kurze pazury. Przez cały czas coś mówiła, wydawała z siebie jakieś nerwowe gdakanie.

— Mój drogi chłopcze… Chodź, pomogę ci… Spójrz tutaj… Idź ostrożnie… łóżko jest rozścielone… Trzymaj mnie za ramię, tak, no właśnie tak…

Jego szerokie plecy zniknęły na górze. Spoglądałem na swoją dłoń, była nadal wilgotna. Energicznie wytarłem ją o nogawkę spodni.

Czy melancholia, ta choroba, która atakowała mnie tak gwałtownie, może również tkwić w moim synu? Czy przeniosła się z mojej krwi do jego? Czy ją odziedziczył? Może to dlatego syn nigdy nie chciał mnie do siebie dopuścić?

Poczułem ucisk w piersi. Nie, nie on. Nie Edmund.

Nagle zdałem sobie sprawę z obecności dzieci. Dziewczynki otaczały mnie kręgiem. Milczące, chwiały się ze zmęczenia. Wpatrywały się we mnie, czekały na kolejny ruch z mojej strony. Wszystkie z wyjątkiem Charlotte. Nie patrzyła mi w oczy, ale również była blada i śpiąca.

Zaczerpnąłem powietrza.

— Jutro — powiedziałem cicho do dziewczynek. — To może poczekać do jutra.

TAO

A nie wiesz, jak mogłabym się tam dostać?

Stałam w zniszczonym, pozbawionym charakteru foyer hotelu i pokazywałam na mapie, którą rozłożyłam przed sobą. Szpital był ostatni na liście. Doszłam do jej końca, wykreślałam, podkreślałam.

— Kiedyś metro chodziło stąd dotąd — powiedziała recepcjonistka, pokazując palcem. — Tutaj mogłabyś się przesiąść. — Przesunęła palec w stronę zniszczonego brzegu mapy.

Była wysoką, wyprostowaną kobietą, śmiejącą się zaskakująco głośno i długo za każdym razem, kiedy nadarzyła się okazja. Dyżurowała tu bez przerwy, tłumaczyła, że inni pracownicy zostali przeniesieni. Teraz uczepiła się posady w płacącym coraz mniej hotelu, by zdobyć jedzenie dla siebie i córki. Dziesięciolatka przychodziła do niej codziennie po szkole i odrabiała lekcje w foyer. To jedyny sposób, by matka i córka mogły się widywać.

— Ale z tej części linii metra Komitet Miejski już nie radzi korzystać — mówiła dalej.

Spojrzałam na nią pytająco.

— Tamte okolice są niebezpieczne. Okupowane. Nie, okupowane to niewłaściwe słowo. Ale ci, co tam nadal mieszkają, nie mają dosłownie nic. I nikt ich już nie kontroluje — rzekła.

— A jakiego rodzaju to ludzie?

— Tacy, co nie chcieli się przeprowadzić. Ci, których porzucono. I ci, którzy się ukryli. Wszystko dokonało się tak szybko i jeśli ktoś potem zaczął żałować, dowiadywał się, że jest za późno.

Przełknęła ślinę i spojrzała w bok. Może była w tym samym położeniu, co chłopiec z restauracji i jego ojciec. Nie byłam jednak w stanie pytać, nie zniosłabym jeszcze jednej takiej historii.

Chciałam po prostu wyjść, szukać, tak jak to robię każdego dnia, odkąd tu przybyłam. W jakimś miejscu on musi przecież być. Każdego ranka wychodziłam o brzasku, z pieniędzmi i kilkoma zawiniętymi w papier herbatnikami w torebce. Każdego dnia inna dzielnica, inny szpital. Z większością z nich kontaktowałam się zawczasu, dzwoniłam do nich z domu i z hotelu. Miałam nazwy oddziałów, nazwiska lekarzy. Teraz je odwiedzałam, myślałam, że jeśli coś wiedzą, trudniej im będzie mnie odprawić, kiedy się pojawię, zobaczą mnie, będą widzieć matkę, twarzą w twarz. Niektórzy z nich mnie pamiętali, współczuli mi. Niektórzy nawet odważyli się spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że rozumieją moją desperację.

Informacja jednak była wszędzie taka sama. Nie znaleźli go w żadnych archiwach, nigdy nie słyszeli o chłopcu imieniem Wei-Wen. Nieustannie byłam odsyłana dalej, do innego szpitala. „A próbowałaś w Fengtai, byłaś w centralnym szpitalu Chaoyang? Pytałaś w Centrum Leczenia Dróg Oddechowych w Haidian?”

Zawsze prosiłam o rozmowę z ordynatorem, rzadko kończyłam na pierwszej osobie, z którą mnie skontaktowano. No i czekałam, całymi dniami, siedząc, chodząc, stojąc, przy oknach, w mrocznych pokojach, na zimnych kamiennych posadzkach, w salach oświetlonych mdłym światłem, ze szklanką wody w ręce, filiżanką herbaty z automatu, najczęściej sama, niekiedy w poczekalniach. Nigdy nie było tu tłoczno, nigdy nie zauważyłam pośpiechu, a mimo to miałam wrażenie, że wciąż jestem przesuwana na koniec jakiejś listy, nigdy nie trafiałam na właściwą osobę. Czasami widziałam, jak rozmówcy przewracają oczami: „Czy ona nie może

dać sobie spokoju?” — zdawali się myśleć. „Tylu jest zdesperowanych ludzi, tylu chorych, wychudzonych, a tu chodzi o jedno dziecko, czy ona nie rozumie, że nie mamy czasu?”.

Ale ja trwałam. Byłam na miejscu i zachowywałam się tak, by mnie widzieli, dopóki nie uzyskam, czego chcę.

Wielokrotnie upór doprowadzał mnie aż do dyrektorskiego gabinetu. Przestronne pokoje z ciężkimi meblami, pokoje, które kiedyś były piękne, ale teraz naznaczone upadkiem. Przedstawiałam moją sprawę, pozwalałam, by mówili, by okazywali mi sympatię. Niektórzy zaczynali sprawdzać, dzwonili do innych. Naprawdę próbowali, ale nikt nie mógł mi pomóc. Wei-Wen zniknął.

Na początku co wieczór telefonowałam do Kuana. Ale słów między nami wiele nie padało. Przekazywałam informacje, że nie dowiedziałam się niczego istotnego. On mówił, że też nic ważnego nie słyszał. Urzędowo i co wieczór krócej. Kuan pytał o pieniądze, ile już wydałam, ile jeszcze zostało. Kłamałam mu, nie mogłam powiedzieć, że sam bilet kolejowy kosztował pięć i pół tysiąca juanów. Pewnego wieczora nie zadzwoniłam. On do mnie też nie. Oboje wiedzieliśmy, że żadne nie ma nic do zakomunikowania. Milcząca zgoda na to, że jako pierwsze kontakt nawiąże to z nas, które się czegoś dowie.

Nocami sypiałam głęboko, bez snów, jakby ktoś rozpościerał czarną narzutę na mojej świadomości, zanim jeszcze głowa dotknęła poduszki. Przekonanie, że nie mogłam nic więcej zrobić, dawało mi poczucie równowagi. Byłam pewna, że w końcu go odnajdę. Tylko nie wolno się poddawać.

W miarę jednak jak dni mijały, trudniej mi było zachować tę wiarę. Im bliżej końca listy, tym bardziej się niepokoiłam. Bo wciąż nie odnalazłam Wei-Wena, nie natrafiłam na żaden jego ślad. A pieniądze znikały szybciej,

niż planowałam, ołowiana puszka zrobiła się bardzo lekka. Zostało mi nie więcej niż siedem tysięcy juanów. To nadal mogłoby wystarczyć, gdybyśmy w ciągu ostatnich dwóch lat przed granicą wieku byli naprawdę oszczędni. Tymczasem jednak nawet nie kupiłam jeszcze powrotnego biletu kolejowego.

— Od bardzo dawna nie miałam już stamtąd żadnych wiadomości — powiedziała recepcjonistka spokojnie, składając mapę. — Może to teraz tereny całkiem wymarłe. W każdym razie zaleca się, byśmy trzymali się z daleka.

— No a szpital?

— Szpital leży na granicy. — Pokazała. — Tereny niekontrolowane zaczynają się tutaj. Na południe od granicy możesz nadal jeździć, ale… jesteś pewna, że musisz to zrobić?

Przytaknęłam.

Spojrzała mi w oczy i zrozumiała. Wiedziała, że szukam syna, ale nic więcej jej nie powiedziałam. Choć i to wystarczy. Wszyscy, którzy sami mają dzieci, z pewnością zrozumieją, że to wystarczy. Wystarczy, by nie zwracać uwagi na ewentualne zagrożenia, jakie możesz na siebie ściągnąć.

Pochyliłam głowę, by zobaczyć dach. Czerwone dachówki, zniszczone przez wiatry i deszcze, niegdyś były pewnie lśniące, lakierowane niczym dach świątyni.

Ściany poszarzały, poodpadała z nich farba. Moją uwagę zwrócił jakiś lekki szum na niebie, coś poruszało się w powietrzu. Mrużyłam oczy, by lepiej widzieć, ale to coś zniknęło.

Nade mną wisiały szare, nieprzeniknione chmury. Kiedy wychodziłam z hotelu, świeciło słońce, ale tutaj zalegała mgła. Jakby już zaczynało zmierzchać.

Wyprawa zajęła mi cztery godziny. Obejmowała trzy przesiadki i jeden duży objazd, ale prowadziła przez tereny, które recepcjonistka określiła jako bezpieczne. Mimo to wszędzie panowała cisza, widać było zniszczenia, a ja wciąż przyłapywałam się na tym, że podejrzewam o złe zamiary nielicznych napotykanych ludzi i rzucam im przez ramię płochliwe spojrzenia.

Wielokrotnie próbowałam nawiązać kontakt z tym szpitalem, ale odpowiedź była taka sama jak wszędzie. Nigdy nie słyszeli imienia Wei-Wena, nie mogą mi pomóc, a kiedy ostatnio dzwoniłam, w ogóle nie odpowiadali. Po drugiej stronie witała mnie tylko automatyczna sekretarka, co do niczego nie prowadziło.

Pierwsze, co tutaj zobaczyłam, to wielka donica ze zwiędłymi roślinami. Przytłumione światło lampy świadczyło, że szpital wciąż ma prąd. W wielkim holu było pusto. Kontuar z ciemnego drewna jakby gapił się w moją stronę. Znalazłam stary aparat wydający numerki dla odwiedzających. Musiał pochodzić z czasów przed Zapaścią, zamigotał pod dotknięciem moich palców, ale zaraz zgasł. Ruszyłam przed siebie bez jakiegokolwiek planu.

Najpierw poszłam w prawo, ale napotkałam zamknięte drzwi. Po lewej znalazłam windę. Próbowałam przyciskać różne guziki, jednak bez skutku. Szłam więc dalej. Ciągnęły się przede mną niekończące się, pogrążone w mroku korytarze.

Próbowałam otwierać różne drzwi, ale wszystkie były pozamykane na klucz. W końcu znalazłam jedne otwarte, skąd droga wiodła na ciemne schody. Weszłam piętro wyżej. I znowu pozamykane drzwi. Dopiero na trzecim piętrze natrafiłam na jeszcze jedne otwarte. Wyszłam na korytarz równie wymarły jak poprzednie. Przeszłam parę metrów. Moje kroki odbijały się głucho od kamiennej podłogi.

Stanęłam przy oknie i odkryłam, że w jednym bocznym skrzydle szpitala jest jasno. Podążyłam zatem w stronę światła. Miałam nadzieję, że korytarz, którym idę, łączy skrzydła budynku, dzięki czemu dojdę do celu.

Nagle usłyszałam hałas, coś metalowego przesuwano po linoleum.

— Halo? — zawołałam niezbyt głośno.

Nieco dalej zobaczyłam przed sobą podwójne przeszklone drzwi. Otwarte. Pokoju za nimi nie widziałam.

W tym momencie poczułam gwałtowne bicie serca. Coś się tu nie zgadzało. Może jednak powinnam uciekać, dotrzeć do światła w bocznym skrzydle? Ale tak czy tak drzwi musiałam minąć. Przyśpieszyłam kroku.

Znowu hałas. Coś jakby szuranie.

I wtedy ukazała mi się jakaś postać. Pierwsze, co zobaczyłam, to bose stopy. Nieobcięte paznokcie i pomarszczona skóra na palcach. Ona, bo była to kobieta, szła przed siebie z wielkim wysiłkiem, opierała się na statywie, na którym wisiał woreczek z lekarstwem. To ten statyw szurał po podłodze. Ale woreczek był pusty. Siwe włosy rosły na głowie kobiety kępami, widać było duże połacie gołej skóry. Staruszka miała na sobie tylko szpitalny szlafrok, poplamiony, a pod spodem zauważyłam kontury pieluchy. Dopiero teraz poczułam ostrą woń.

Kobieta gapiła się na mnie, jakby zapomniała języka w gębie. Cofnęłam się, pragnęłam znaleźć się jak najdalej stąd. Ona syknęła, raz, potem znowu, chciała coś powiedzieć.

Próbowałam się opanować, zaczerpnęłam powietrza. Nie mogłam jej tak zostawić. Podeszłam bliżej. Kobieta zachwiała się lekko, jakby miała upaść.

— Pp… Pa… — powiedziała cicho. — Patrz.

Znowu się zachwiała, chwyciłam jej łokieć. Smród buchnął mi w nos, ramię kobiety było chudziutkie jak u dziecka. Chciała zabrać mnie do pokoju, z którego wyszła.

Pchnęłam drzwi. Odsunęły się bezgłośnie. Przekroczyłyśmy próg, przez cały czas próbowałam ją wspierać. Dostałam mdłości, smród był niczym gęsta masa, nieprzenikniony. Uderzał we mnie, zapierał dech w piersi.

Szpitalna sala. Wzdłuż ścian stały łóżka, błyszczące szpitalne łóżka ze stalowych rurek, jedno przy drugim, wszystkie zaścielone bielizną, która niegdyś była biała. Nie zdążyłam policzyć, ale musiało ich być ze sto.

W łóżkach leżeli ludzie. Niektórzy starsi, wielu naprawdę starych, po prostu sędziwych. Czuwający, postękujący, jedni kurczowo trzymali się łóżek, inni wymachiwali rękami w powietrzu. Jeszcze inni leżeli z zamkniętymi oczyma, jakby spali. Moje wejście sprawiło, że wielu zaczęło się podnosić. Wszyscy byli strasznie wychudzeni i tak samo zaniedbani jak kobieta, która mnie tu przyprowadziła. Teraz z trudem stawali na nogach, potem ruszali ku mnie. Chyba ze dwudziestu starców walczyło z własnymi ciałami, walczyło z siłą ciążenia i posuwało się wolno naprzód, niektórzy mieli tak słabe nogi, że musieli się czołgać. Wszyscy powtarzali te same słowa: „Pomóż. Pomóż mi. Pomóż nam”. Raz za razem.

Ci jednak, którzy spali, leżeli nadal mimo hałasu, mimo krzyku tamtych. Dopiero po chwili zrozumiałam, że to nie sen przykuwa ich do łóżek. To śmierć. Wtedy odwróciłam się i zaczęłam biec.

Krzyczałam. Krzyczałam bez słów. Próbowałam zwrócić na siebie czyjąś uwagę, ale nikt nie odpowiadał.

Biegłam w ciemności, do tego drugiego skrzydła, gdzie paliło się światło. Moje kroki na linoleum. Mój oddech — prócz tego żadnych innych dźwięków.

Okrążyłam jakiś narożnik i nareszcie zobaczyłam oświetlone pokoje. Otworzyłam gwałtownie drzwi jednego z nich. Ubrana na biało kobieta, lekarka czy pielęgniarka, spojrzała na mnie przestraszona. Zajęta była pakowaniem pościeli do skrzyni.

— Kim jesteś?

Dopiero wtedy zauważyłam, że płaczę. Tarłam oczy, próbowałam wyjaśnić, ale słowa więzły mi w gardle.

— Proszę, usiądź. — Kobieta chciała mi pomóc.

— Nie, nie… ci starzy… Oni potrzebują pomocy.

Kobieta odwróciła wzrok, znowu zajęła się składaniem pościeli.

Szarpnęłam ją za ramię.

— Muszę ci to pokazać. Chodź!

Ostrożnie wydobyła się z uścisku. Nie patrzyła na mnie.

— Wiemy o nich — rzekła spokojnie.

Znowu położyłam rękę na jej ramieniu.

— Ale oni są chorzy. Niektórzy z nich… Myślę, że nie żyją.

Kobieta się cofnęła.

— Nie możemy ich ze sobą zabrać.

— Zabrać ze sobą?

— Opróżniamy szpital. Tutaj nie jest już bezpiecznie. Zabieramy pacjentów do szpitala na południu, w Fangshan. Jest nas bardzo mało, dłużej sobie nie poradzimy. Zaopatrzenie do nas nie dociera, nikt nie chce tu pracować.

— Ale ci starzy…

— Oni nie żyją.

— Nie. Widziałam ich. Żyją.

— To wkrótce umrą. — Spojrzała mi w oczy, wyprostowała kark, jakby chciała wyglądać na stanowczą.

Nadal nie ruszałam się z miejsca.

— Nie!

Teraz ona położyła rękę na moim ramieniu.

— Usiądź. — Podeszła do zlewu, chciała nalać szklankę wody, ale kran zaniósł się kaszlem. Zrezygnowała i wyszła na korytarz.

— Zaczekaj tutaj.

Wkrótce wróciła ze szklanką letniej wody.

Przyjęłam ją. Szklankę można trzymać w ręce. Przywarłam do niej.

Kobieta usiadła obok.

— Jesteś krewną? — spytała łagodnie.

— Tak. Nie. Nie wiem. Myślę… Chyba nie jestem spokrewniona z żadnym z nich.

Popatrzyła na mnie zdumiona.

— Szukam mojego syna — odparłam.

Kobieta skinęła głową.

— W takim razie masz rację. Jego tutaj nie ma. Ostatni pacjenci zostali przeniesieni wcześnie rano. Teraz zostało tylko wyposażenie.

— A ci starzy?

Nie odpowiedziała, nagle zerwała się z miejsca.

— Ci starzy! — powtórzyłam.

— Im nie możemy pomóc. — Głos był bezbarwny. Kobieta, nie patrząc na mnie, wróciła do pracy. — Chyba muszę prosić, żebyś sobie poszła.

Żołądek znowu mi się skurczył.

— Czy oni mają tu po prostu zostać?

Kobieta odwróciła głowę.

— Idź już.

— Nie!

W końcu uniosła wzrok. Było w nim błaganie.

— Idź i zapomnij, co tu widziałaś.

Chciałam chwycić wózek, zatrzymać tę kobietę, ale ona mi go wyrwała. Uderzył z trzaskiem w futrynę drzwi, kobieta nie trafiła w otwór, musiała

powtórzyć cały manewr. W końcu jednak udało jej się wypchnąć wózek. Oddalające się kółka stukały o podłogę. Ich dźwięk ranił uszy.

Stałam na ulicy, nie wiedząc, jak się tu znalazłam. Opuściłam ich, odeszłam od nich tak jak wszyscy inni, jestem jedną z obojętnych. Taki teraz jest świat. Składamy w ofierze naszych starców. Czy to samo stało się z moją matką? Została gdzieś odesłana. Wszystko stało się bardzo szybko. Zginęła bez śladu. A ja nie zrobiłam nic, by jej pomóc. Po prostu pozwoliłam, by tak się stało.

Mama.

Pochyliłam się, opadłam na kolana, poczułam skurcz w brzuchu, żołądek wywracał mi się na nice.

Wymiotowałam, dopóki nic już we mnie nie zostało. Potem wstałam. Powinnam wrócić, dać im jeść, napoić. Wydobyć ich stamtąd. Albo znaleźć kogoś, kto mógłby pomóc. Powinnam działać jak człowiek. Ktoś musi być w stanie to zrobić. Może właśnie ja jestem tym kimś. Może kierownictwo nie wie o decyzji, żeby ich tam zostawić. Może członkowie Komitetu nie mają pojęcia.

Ale… przecież nie po to się tu znalazłam. Wei-Wen…

Za tych ludzi tam, wewnątrz, nie jestem odpowiedzialna. To rola szpitala. I rodzin. Ktoś ich opuścił. Tym razem nie byłam to ja.

Mama. Zdradziłam ją. Nie mogę zdradzić Wei-Wena. A ci tam, wewnątrz… Nie mogę nic zrobić. Muszę skoncentrować się na moim dziecku.

Znowu zaczęłam wymiotować, jakby ciało protestowało przeciwko takim myślom, strzępy śluzu lepiły mi się do warg. Cierpkie w smaku, piekły w nosie i w przełyku. Zasłużyłam na to.

Długo siedziałam, wyczerpana, bliska omdlenia. Jakiś czas potem podniosłam się mozolnie i powlokłam przed siebie. Nie miałam pojęcia,

dokąd zmierzam, wiedziałam tylko, że muszę stąd odejść najdalej, jak to możliwe.

Zasychało mi w ustach, próbowałam oddychać nosem, zwilżałam wargi śliną. Wszystko na nic. Sięgnęłam do torebki, gdzie miałam butelkę z wodą. Była do połowy pełna, opróżniłam ją kilkoma głębokimi haustami.

Potem poszłam dalej. Straciłam poczucie czasu. Jedna część nieba była jaśniejsza, ciągnęło mnie w tamtą stronę. Może tam jest słońce, może mogłabym wydostać się z tej szarości? Ale punkt na niebie stawał się coraz mniejszy, lekka zasłona przed słońcem się rozwiewała.

Dopiero kiedy było za późno, zdałam sobie sprawę, że zabłądziłam.

GEORGE

Ule znalazły się z powrotem na łące, w zagajniku i na skraju jaru, gdzie Tom najwyraźniej chciał je poustawiać. Jeśli oczywiście pominąć to, że właściwie on w ogóle nie chce mieć z tym wszystkim do czynienia.

Było wczesne przedpołudnie i znajdowałem się na łące nad Alabast River. Słońce piekło mnie przez biały kapelusz, przez kombinezon ochronny i siatkę. Pod spodem nie miałem nic. Krople potu spływały po plecach, łaskotały na brzegu bokserek. Na Florydzie to dopiero musi być piekło. Boże, jak się cieszę, że nie dokonaliśmy takiego wyboru.

Przecież tu, u nas, lato jest dostatecznie gorące. W ostatnich tygodniach pogodę mieliśmy fenomenalną, mało opadów, pszczoły wylatują i wracają, wylatują i wracają. Zbierają nektar od wschodu słońca do wieczora, gdy przestaje ono oświetlać łąkę tuż za farmą Garetha.

Jest to najlepszy okres. Spędzam teraz wśród pszczół mnóstwo czasu. Nie śpieszę się. Bywa, że stoję i przyglądam się, jak tańczą. Poruszają się tam i z powrotem, nie udało mi się zaobserwować w tym żadnego systemu, ale wiem, że w ten sposób informują się nawzajem, gdzie znaleźć najlepszy nektar.

„Teraz macham trochę skrzydełkami, poruszam się w prawo, następnie dwa kroki w lewo i wtedy oglądam się wokół, a to oznacza, że wy musicie przelecieć obok tego wielkiego dębu, aż nad nieduże wzniesienie, ponad strumieniem, i tam, gdzie mieszkają ludzie, tam rosną najlepsze porzeczki, jakie możecie sobie wyobrazić!”

I tym się zajmują całymi dniami. Wlatują do ula i wylatują, tańczą przed innymi, lekkie, zwinne, szukają, znajdują, przynoszą. A ule są coraz cięższe. Od czasu do czasu przystaję i dotykam uli, sprawdzam wagę, oglądam spływający kroplami miód. Złote, płynne pieniądze. Pieniądze na wkład własny, pieniądze na zabezpieczenie kredytu.

W ulach już dawno zostały zamocowane dodatkowe ramki, czyli nadstawki. Teraz mamy mnóstwo zajęcia, by nie dopuścić do rojenia się, uniknąć sytuacji, w której stara królowa zabierze część swojej rodziny, by zrobić miejsce dla nowej matki i jej potomstwa.

Łąka nad Alabast River położona jest z dala od ludzi, a mimo to nieraz wzywano mnie, bym zdjął rój z drzewa owocowego. Rozzłoszczone baby i przerażone dzieciaki czekały w domach z nosami przylepionymi do szyb, podczas gdy ja strząsałem i lokowałem rój w nowym ulu. Ściągało to na nas złą sławę, toteż pracowałem ciężko, by tego uniknąć. Pszczoły natomiast, kiedy chcą sobie odpocząć, mają wyjątkową zdolność do wynajdowania drzew w sadach, nie tylko w wolnej naturze Pana Boga. Zwiadowczynie tymczasem szukają nowego domu.

Dlatego często wsuwałem głowę do któregoś z uli i obserwowałem komórki. Jeśli tylko zauważyłem najmniejszy znak, że mogą się wyroić, natychmiast je zamykałem. Ale jeśli odkryłem larwy, nie było wyjścia: rodzina musiała zostać podzielona.

W niektórych ulach pszczoły roją się częściej niż w innych. Nigdy nie udało mi się ustalić dlaczego. Chodzi o to, by zmienić królową, tak by młode rodziły się z tych najlepszych. Tłumiłem pokusę, by nadal rozmnażać pszczoły z większymi skłonnościami do rojenia się. W tym roku wymieniłem już większość królowych, ale niektórym pozwoliłem żyć. Zdarzają się bowiem takie wierne i pracowite królowe, że potrafią składać

jaja nawet przez trzy lata. To wzorcowe okazy. Najchętniej rozmnażam właśnie takie.

Teraz stałem przy jednej z nich. Różowy ul zamieszkany przez pszczelą rodzinę o wielkim poczuciu obowiązku. Jedną z tych, które przynoszą najwięcej nektaru. Na tych pszczołach mogę polegać. Gdyby wszystkie tak produkowały, to ramki wypełniałyby się dwa razy do roku. Nie zaglądałem tu od tygodnia, koncentrowałem się na ulach stojących gdzie indziej.

Moje myśli wciąż krążyły wokół Toma. Nie przyjrzałem się uważnie otworowi wylotowemu, dopóki nie uniosłem wieka. Nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. Nic na temat stypendium, nic o tym, jak widzi swoją przyszłość. A może jednak telefonował i rozmawiał z Emmą pod moją nieobecność, tylko że ona mi o tym nie wspomniała. Ja po prostu czekam. Może on rozważa różne opcje, brak wiadomości jest w jakimś sensie dobrą wiadomością. I wie, gdzie jestem, przecież od ostatniego naszego spotkania farma nie dostała skrzydeł i nie poleciała swoją drogą.

Czy już go straciłem? Położyłem dach ula na ziemi i dopiero teraz zebrałem myśli. Bo odgłos nie był taki jak zwykle, nie taki, jak powinien. W ulu było za cicho.

Odsunąłem izolację. Teraz powinienem je chyba słyszeć?

Zerknąłem na wylot z ula, na otwór.

Żadnych pszczół. Spojrzałem więc w głąb. Zapasy jedzenia były w porządku. Dużo miodu. Ale gdzie są one?

Może w dalszych ramkach? Tak, tam muszą być. Uniosłem kolejną. Zabolały mnie plecy. „Pamiętaj, podnosić ciężary «z kolan»”. Próbowałem działać spokojnie. Odłożyłem starannie ramkę na trawę, wyprostowałem się i popatrzyłem w dół na następną.

Nic.

Pomieszczenie dla larw. Muszą być w pomieszczeniu dla larw. Pośpiesznie odłożyłem siatkę królowej. Słońce stało tuż nad moją głową, oświetlało ramkę poniżej.

Pusta. Ta też pusta.

Larw było mnóstwo, ale na tym koniec. Tylko kilka nowo narodzonych pszczół pełzało wokół, ale nikt się nimi nie zajmował. Osierocone dzieciaki.

Na samym dole znalazłem królową, była ciemna, tak jak wszystkie królowe, z turkusową kropką na grzbiecie. Wokół niej zgromadziło się wiele młodych pszczół, dzieci. Ale nie tańczyły, były apatyczne. Samotne. Opuszczone. Matka i dzieci opuszczone przez brygadę roboczą. Porzucone przez te, które powinny się nimi opiekować. Pozostawione, by umrzeć.

Przeszukiwałem wzrokiem ziemię wokół. Tam też niestety nie było pszczół. Po prostu zniknęły.

Ostrożnie umieściłem na miejscu wszystkie elementy ula. Zauważyłem, że mrugam bardzo szybko. Ręce mi się trzęsły, zrobiły się nagle zimne jak wietrzny jesienny dzień.

Odwróciłem się do ula obok. Wlot do niego znajdował się z drugiej strony, stąd go nie widziałem, ale też nie musiałem patrzeć, by wiedzieć, co mnie tam czeka, bo cisza była zbyt wyraźna.

Ani śladu pająków. Nie widać oznak choroby. Żadnego cmentarzyska, żadnej masakry, żadnych zwłok. Tylko pustka.

O, tutaj też na dole królowa, niemal samotna.

Poczułem ucisk w piersi, pośpiesznie zamknąłem wieko.

Otworzyć kolejny ul.

Kiedy niecierpliwie chwytałem wieko, moimi dłońmi kierowała nadzieja.

Ale nie. To samo.

Otworzyć następny.

To samo.

Następny.

Następny.

Następny.

Unieść wzrok.

Popatrzeć na nie wszystkie razem, jak stoją w nierównych od siebie odstępach. Moje ule. Moje pszczoły.

Dwadzieścia sześć uli. Dwadzieścia sześć pszczelich rodzin.

WILLIAM

Czekając, aż Edmund porządnie się wyśpi, pracowałem przy ulu. Znowu świeciło słońce, tutaj, na zewnątrz, miałem lepszy humor. Oczywiście Edmund nie jest chory. Jest tylko wyczerpany. Pod tym względem Thilda ma chyba rację. Jeden dzień w tę czy w tę nie ma znaczenia, a kiedy zobaczy już, co osiągnąłem, wtedy naprawdę się ocknie.

Warunki obserwacji były znakomite. Ulokowałem ul wysoko, tak że prawie nie musiałem pochylać pleców, by wszystko widzieć. Pszczoły zadomowiły się w nim zaskakująco szybko, wnosiły teraz do środka pyłek i nektar i nieprzerwanie sprowadzały na świat młode. Wszystko było tak, jak powinno. Jedno mnie mimo wszystko dziwiło: ich ciągła potrzeba, by na czymś mocować ramki z woskiem. Rozważałem różne strategie — kiedy ramki znajdują się zbyt blisko ścianek ula, pszczoły produkują mieszankę wosku i propolisu, owego kleistego materiału, który tworzą z żywicy, a jeśli są za daleko, to je rozbudowują, dodając plastry wosku w poprzek. Ten fakt, że ramki wciąż muszą być przymocowane, utrudnia wybieranie miodu. Coś w tym jest, muszę nad tym dalej pracować.

Któregoś dnia, gdy stałem przy ulu, przyszedł on. Ja zauważyłem go pierwszy. Jego widok wprawił mnie w drżenie; przekrzywiony kapelusz kładł cień na twarzy, luźna koszula wokół żylastego ciała, worek, ten sam zniszczony worek z żaglowego płótna, który zawsze nosił na ramieniu, pełen szklanych pojemników, pincet, skalpeli i żywych stworzeń.

Pochyliłem się nad ulem. To może być okazja, na jaką czekałem, ale nie powinienem pokazywać, jak bardzo mi zależy. Moje ręce wciąż były aktywne, choć chyba nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię.

Odwrócony tyłem do drogi, udawałem, że jestem absolutnie pochłonięty, pochłonięty czymś wielkim, co należy tylko do mnie, jest pierwszą sprawą tak całkiem moją. Słyszałem, że jego kroki się zbliżają, są coraz powolniejsze, w końcu całkiem ucichły. Przystanął.

I chrząknął.

— Patrzcie, patrzcie.

Odwróciłem się, zrobiłem zaskoczoną minę.

— Rahm.

Uśmiechnął się przelotnie.

— A więc to prawda, co ludzie mówią?

— A co mówią?

— Że jest się znowu na nogach.

Wyprostowałem się.

— Nie tylko na nogach. Czuję się lepiej niż kiedykolwiek. — Zabrzmiało to dość dziecinnie.

— Cieszę się — odparł. Już się nie uśmiechał.

Miałem nadzieję, że zechce zadać mi mnóstwo pytań. Będzie chciał wiedzieć, dlaczego wypowiadam takie wielkie słowa. Ale on milczał, stał lekko odwrócony, jakby miał zamiar za chwilę mnie opuścić.

Podszedłem do płotu, zdjąłem kapelusz i siatkę. Chciałem go tam zatrzymać. Wyciągnąć rękę na powitanie i poczuć jego dłoń w swojej. Równocześnie zdawałem sobie sprawę, że twarz mam spoconą, prawdopodobnie czerwoną i błyszczącą. Dyskretnie otarłem czoło, ale on zdążył już to zauważyć.

— W tym stroju może być gorąco — rzekł.

Skinąłem, potakując.

— Ale okrywanie się jest z pewnością rozsądne.

— Tak — odparłem, nie do końca rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Może być naprawdę kiepsko, gdyby się człowiek nie okrył.

Przybrał ów tak dobrze mi znany przemądrzały ton, jakby to, co mówi, było dla mnie nowiną.

— Zdaję sobie z tego sprawę — rzekłem tylko i zapragnąłem powiedzieć coś odkrywczego, mądrego, coś, co skłoniłoby go do uśmiechu, ale jedyne, na co było mnie stać, to banały.

— To dlatego ja nigdy nie zachwycałem się pszczołami. Człowiek nie ma z nimi bezpośredniego kontaktu — rzekł.

— To zależy trochę od tego, czy zachowuje się zasady bezpieczeństwa.

Nie słuchał, mówił dalej:

— A już na pewno, kiedy nie jest się Wildmanem. — Na jego wargach znowu zagościł przelotny uśmiech.

— Wildmanem?

Jak wielokrotnie przedtem, zaskoczył mnie jeszcze jednym nieznanym mi nazwiskiem. Jego wiedza zdawała się niewyczerpana.

— No nie, nie czytało się o Wildmanie?

— Nie… Nie wiem… Nazwisko brzmi znajomo.

— To artysta cyrkowy, szarlatan. I kuglarz. Pozwalał, by pszczoły po nim pełzały, a nie miał żadnej ochrony. Był sławny z powodu swojego zarostu z pszczół. — Pociągnął dłonią po twarzy, by pokazać. — Miał pszczoły na policzkach, na brodzie i szyi. Dotarł nawet do króla Jerzego III. Mogło to być w roku… 1772?

Popatrzył na mnie, jakbym znał odpowiedź.

— No, mniejsza z tym. Ów Wildman rozsławił swoje nazwisko, to, co robił, przypominało rosyjską ruletkę. Umieszczał wszystkie pszczoły na sobie i zachowywał się, jakby miał nad nimi pełną kontrolę. To rodzaj magii. Ale w rzeczywistości jedynie sztucznie wywoływał rojenie. Karmił

je syropem, zabierał królową i sprawiał, by za nią podążały. Bo tam, gdzie jest królowa, są też pszczoły.

Przemądrzały ton Rahma nie wskazywał, że dopuszcza do siebie myśl, iż akurat to nie jest dla mnie nowiną.

— Jego ojciec też robił podobne rzeczy. Thomas Wildman. Z czasem jednak stał się szanowanym pszczelarzem, pracował między innymi dla osób szlachetnie urodzonych, kierował się rozsądkiem. Syn zaś, przeciwnie, do końca życia uprawiał szarlatanerię. Ciekawe, co chciał udowodnić?

— Tak, ciekawe — przytaknąłem.

— No dobrze — rzekł Rahm i w geście pozdrowienia dotknął dłonią kapelusza. — Pan nie jest żadnym Wildmanem, panie Savage. Obaj dobrze o tym wiemy. Ale mimo wszystko powodzenia. — Odgonił ręką pszczołę. — One żądlą — powiedział i odszedł.

— Rahm. — Zrobiłem krok w jego stronę.

— Tak? — Odwrócił się.

— Gdyby pan miał czas… Jest coś, co bardzo chciałbym panu pokazać…

Kiedy prezentowałem ul, nie odezwał się ani słowem. Był osłonięty kapeluszem i siatką Charlotte, nie widziałem jego oczu. Mówiłem coraz szybciej, ogarniał mnie zapał, bo teraz demonstrowałem mu coś własnego, po raz pierwszy. I było tyle do powiedzenia, tyle do przedstawienia. Pokazałem mu, jakie proste jest wybieranie miodu, jak lekko można wyjąć ramki, tłumaczyłem, że nietrudno utrzymać ul w czystości. Wyjawiłem też, że mój ul jest inspirowany ulem Hubera, ale ten model jest dużo prostszy w obsłudze, a przy okazji panuje w nim temperatura bardziej odpowiednia dla pszczół. Nie zrezygnowałem z pokazania, jak łatwo zaglądać do środka, jakie możliwości ten model stwarza dla dalszych studiów nad życiem pszczół.

W końcu nie miałem już nic więcej do dodania, byłem zdyszany po tym nieprzerwanym potoku słów.

Nareszcie.

Czekałem na jego odpowiedź, ale ta nie nadchodziła. W miarę jak rozrastała się między nami cisza, powiększał się też mój lęk.

— Bardzo bym się cieszył, gdybym mógł usłyszeć pańską opinię — rzekłem w końcu.

Rahm okrążył ul. Przyglądał mu się ze wszystkich stron. Otworzył go. Potem zamknął.

Splotłem dłonie na plecach. Rękawice lepiły się do skóry bardziej niż kiedykolwiek. I wtedy padły te słowa:

— Zbudował pan ul Dzierzona.

Gapiłem się na Rahma, nie rozumiałem, o co mu chodzi. Wolno powtórzył słowa:

— Zbudował pan ul Dzierzona.

— Co?

— Johann Dzierzon. Pastor i pszczelarz. Polak, teraz osiadły w Niemczech. To jego ul pan zbudował.

— Nie. To jest moje… To znaczy… Ja nigdy nie słyszałem o tym… Dzi…

— On się nazywa Dzierzon.

Rahm odwrócił się plecami do ula. Odszedł parę kroków w bok, zdjął kapelusz. Twarz miał czerwoną. Czy jest wściekły?

— Po raz pierwszy czytałem o jego ulu jakieś dziesięć lat temu. Opublikował na ten temat wiele artykułów w „Bienenzeitung”.

Mierzył mnie pozbawionym wyrazu wzrokiem.

— Przecież wiem, że pan nie czyta tego magazynu, a artykuły nie są znane poza środowiskiem badaczy. Więc oczywiście rozumiem, że pan

o nim nie słyszał. — Ton jego głosu był wyniosły. — Ale ten ul, który pan stworzył, daje panu dobry ogląd, jak pan słusznie twierdzi. Będzie panu teraz łatwiej badać pszczoły *in vivo*. Mimo wszystko coś z tej pracy może wyniknąć.

Teraz się uśmiechnął, a ja zrozumiałem, że czerwony kolor jego twarzy nie był rezultatem gniewu, lecz rozbawienia; powstrzymywanego śmiechu, tego krótkiego, urywanego śmiechu bez radości, bo raz jeszcze go zawiodłem, i on nie może postąpić inaczej, jak tylko się roześmiać. Tego jednak nie zrobił, stał wciąż i patrzył na mnie, najwyraźniej oczekując odpowiedzi. Nie byłem w stanie nic wykrztusić. To nie może być prawda. Czyżby cała moja praca poszła na marne? Gardło mi się zaciskało, krew uderzała do głowy. Ponieważ nie potrafiłem nic powiedzieć, Rahm kontynuował:

— Chciałbym panu radzić, by zorientował się pan nieco bardziej w dziedzinie, którą chce się pan zajmować, zanim rozpocznie pan swój kolejny projekt. W ostatnich latach nastąpił znaczny postęp. Dzierzon twierdzi na przykład, że i królowe pszczół, i robotnice są produktem zapłodnienia, gdy tymczasem trutnie rozwijają się z niezapłodnionych jaj. To kontrowersyjna teoria, ale bardzo aktualna i powszechnie omawiana. Z pewnością zainspirowała pewnego młodego mnicha nazwiskiem Gregor Mendel do podjęcia pracy badawczej nad dziedziczeniem. Czegoś podobnego dotychczas nie widziano. W tej materii jest wiele kwestii do poruszenia, jak pan widzi. — Oddał mi kapelusz. — Ale w każdym razie dobrze widzieć, że znowu stanął pan na nogi. I dziękuję, że chciał mi pan pokazać rezultaty swoich drobnych prac.

Stałem, trzymając kapelusz, dlatego nienaturalne byłoby podanie mu ręki. Nie umiałem nic powiedzieć, obawiałem się, że pożegnanie zostanie poprzedzone szlochem.

Rahm pewnym ruchem włożył na głowę swój kapelusz, ukłonił się, dotykając ręką ronda, po czym odwrócił się i odszedł.

A ja stałem dalej, uczniak ze swoją drobną pracą.

GEORGE

Szedłem szybko przez łąkę, w stronę rzeki. Minąłem dąb. Żołądek mi się zaciskał. One gdzieś przecież muszą być.

Sięgnąłem po telefon komórkowy, sprawdziłem, czy nikt nie dzwonił, może ktoś odkrył rój w swoim ogrodzie. Ale nie. Zresztą słyszałbym dzwonek.

Bo to nie było rojenie. Oczywiście, że nie. Przecież wiem. Żaden ul nie wygląda tak podczas wyroju. Żaden rój nie opuści starej królowej.

Starannie przeczesywałem wzrokiem okolicę, tam i z powrotem.

Nic.

Znowu wyjąłem telefon. Muszę wyjaśnić tę sprawę, odzyskać kontrolę, potrzebowałem więc pomocy.

Wybrałem numer Ricka. Odpowiedział natychmiast, w tle słychać było hałasy, najwyraźniej siedzi w pubie.

— Rick, do usług! — przywitał się ze śmiechem.

Nie byłem w stanie odpowiedzieć, słowa więzły mi w gardle.

— Halo? George?

— Tak. Cześć. Przepraszam.

— Stało się coś złego? Poczekaj chwilkę.

Po tamtej stronie zrobiło się ciszej, widocznie Rick wyszedł z lokalu.

— Cześć, no to teraz cię słucham.

— W porządku. Rick… Zastanawiam się po prostu, czy mógłbyś przyjść. Na łąkę nad rzeką.

Rozbawienie w jego głosie znikło, widocznie w moim słyszał powagę.

— Co masz na myśli? Teraz?

— Tak. Tak…

— George, co się dzieje?

Głos mi się łamał:

— Jest… tyle, tak strasznie, strasznie dużo do sprzątania.

Emma płakała. Stała pośrodku łąki pod drzewem i szlochała. Liście rzucały na jej twarz cienie, które poruszały się na mokrych policzkach. Może próbowała się ukryć pod tym drzewem, ukryć to, że się załamała. Ale ja ją znalazłem, objąłem mocno i trzymałem, tak jak to robię zawsze, kiedy dopada ją płacz. Pomogło, Emma powoli się uspokajała. A ja uspokajałem się razem z nią.

Wokół nas leżały powywracane ule, landrynkowe kolory mieniły się ostro w słońcu. Wyglądały jak małe domki porozrzucane przez wściekłego olbrzyma. A tym olbrzymem byłem ja. Nie miałem siły sprzątać. Biegałem po łące, sprawdzałem jeden ul po drugim, krew buzowała mi w żyłach, a oddech świszczał.

Nie utraciłem wszystkich. Kilka uli pozostało w dawnym stanie, pszczoły latały wokół i pracowały na łące jakby nigdy nic, ale tych zdrowych uli było zbyt mało. Nie miałem siły, żeby je liczyć. Biegłem dalej. Dalej.

Rick przyszedł z Jimmym. Zatrzymali się kawałek od nas. Rick chodził wolno tam i z powrotem i tym razem nic nie mówił. Chwiał się lekko, jakby nie wiedział, w którym miejscu zacząć. Jimmy natomiast już się wziął do pracy. Podnosił puste ule, zestawiał je porządnie razem.

— To nie może się przecież wydarzyć. — Emma szlochała w mój sweter.

Na to nie miałem odpowiedzi.

— Coś musiało zostać zrobione… źle.

Wypuściłem ją z objęć.

— Myślisz, że czegoś nie dopatrzyłem?

— Och, nie. — Płacz ucichł. — Ale… jak jest z pokarmem? — Wyprostowała się, twarz miała ukrytą w cieniu, nasze spojrzenia się nie spotykały.

— Wszystko w porządku. Rany boskie, spójrz na kalendarz. Przecież wiesz, że teraz mają pokarmu pod dostatkiem.

— Oczywiście, oczywiście.

Ocierała oczy. Stałem z opuszczonymi rękami i nie wiedziałem, co z nimi zrobić.

Ukryta w cieniu drzewa Emma patrzyła na łąkę i światło.

— Jest bardzo gorąco. Wiele pszczół pracuje w słońcu przez cały dzień.

— Ale przecież tak robią każdego lata od wielu pokoleń.

— No jasne. Wybacz… Ale nie potrafię uwierzyć, że tak po prostu zniknęły. Bez żadnego powodu.

Zaciskałem szczęki. Emma odwróciła się do mnie plecami.

— Rozumiem. Nie potrafisz uwierzyć. Ale to teraz nie ma żadnego znaczenia.

Obok nas przeleciała jakaś samotna pszczoła.

— Wybacz mi — powiedziała Emma cicho. — Chodź do mnie.

Znowu uniosła ramiona. Tuliła się do mnie, ciepła i bezpieczna. Pozwalałem jej się obejmować, wsunąłem twarz w jej bluzkę. Chętnie bym się rozpłakał tak jak ona, ale oczy miałem całkowicie suche. Brakowało mi tylko powietrza. Gardło było zaciśnięte, z trudem oddychałem, ubranie mnie dławiło, gorąca skóra Emmy grzała przez materiał. Cofnąłem się o krok. Zacząłem zbierać jakieś ramki, ale nie miałem gdzie ich położyć, w końcu ustawiłem duży stos na ziemi. Sprzątanie bez ładu i składu. Emma podeszła bliżej, znowu wyciągnęła ramiona.

— George…

Zostałem zdradzony niczym Kupidyn przez matkę. Ale nie miałem matki, żeby wyrazić swoje pretensje. Zresztą żadna matka mnie też nie oskarżała. Nie miałem pojęcia, kto mnie zdradził…

I nie mogłem płakać niczym użądlony przez pszczołę dzieciak.

Na widok otwartych ramion Emmy stanowczo pokręciłem głową.

— Muszę pracować.

Wziąłem kilka kolejnych ramek i położyłem je na poprzednich, stos groził zawaleniem.

— W porządku. — Emma opuściła ręce wzdłuż ciała. — Zrobię wam coś do jedzenia.

Odwróciła się i poszła.

Przedwieczorne słońce świeciło na horyzoncie niczym ognista kula. Rzucało na ziemię długie cienie.

Bolały mnie wszystkie kości, ale nadal pracowałem. Ule były rozstawione w siedmiu różnych punktach. I wszędzie spotykał mnie ten sam widok.

Teraz dotarliśmy do ostatniego miejsca, do zagajnika za farmą McKenziego. To taki niewielki zagajnik pośród pól. Ule stały w półcieniu. Zwykle pszczoły brzęczały na wyścigi z ptaszkami ćwierkającymi w koronach drzew i muchami latającymi w prawo i w lewo. Teraz wszędzie panowała cisza. Nagle stanął tam Jimmy z trzema krzesełkami turystycznymi.

— Teraz musimy usiąść — rzekł.

Znalazł odpowiednie miejsce kawałek od uli. Rick i ja powlekliśmy się za nim. Rick przez całe popołudnie nie powiedział ani słowa, uświadomiłem sobie, że tęsknię za jakąś jego opowieścią. Zawsze kiedy na niego spoglądałem, odwracał głowę w bok, być może chciał ukryć łzy w oczach.

Jimmy wyjął termos i paczkę herbatników. Naprawdę przyniósł to ze sobą? A może dostał od Emmy? Nie wiedziałem.

Rozerwał plastikowe opakowanie i położył herbatniki pośrodku, potem zaczął nalewać kawę. Każdy dostał swoją filiżankę, tym razem nie wznosiliśmy toastu.

Krzesełka skrzypiały. Próbowałem siedzieć spokojnie, wcale się nie poruszać, bo ten dźwięk był okropny. Przypominał inny czas.

Jimmy siorbał kawę. Również ten dźwięk mnie drażnił. Dlatego, że taki zwyczajny. Jimmy pewnie trzymał filiżankę w dłoni. Nagle naszła mnie ochota, by chwycić tę pewną dłoń, wychlusnąć mu kawę w twarz, żeby zaległa cisza. Nie, co też przychodzi mi do głowy. Biedny Jimmy, przecież to nie jego wina.

My trzej mogliśmy rozmawiać o wszystkim. O hodowli pszczół. O rolnictwie, narzędziach, rzemiośle, obróbce drewna. I o wsi, o plotkach, o ludziach. O Garecie na przykład mogliśmy gadać długo. I o paniach również. Przynajmniej Rick i ja. Z reguły rozmowa toczyła się swobodnie. Zazwyczaj znajdowaliśmy jakiś temat i coś, z czego można się było pośmiać. Jimmy i ja przerzucaliśmy się zdaniami, nasza rozmowa była niczym ping-pong. Rick natomiast wygłaszał dłuższe przemówienia.

Ale dzisiaj żaden z nas nie był w stanie rozmawiać. Za każdym razem, kiedy chciałem coś powiedzieć, słowa więzły mi w gardle. I sądzę, że tamci dwaj zmagali się z tym samym, bo Jimmy nieustannie chrząkał, a Rick spoglądał to na jednego, to na drugiego z nas i w równych odstępach czasu głęboko nabierał powietrza. Ale nadal milczał.

No więc piliśmy kawę i jedliśmy herbatniki. I próbowaliśmy siedzieć jak najspokojniej, żeby skrzypienie krzesełek nie przypominało nam, że nic nie mówimy. Kawa była letnia, bez smaku. Herbatniki trafiały do żołądka,

trochę łagodziły skurcz, aż w końcu zdałem sobie sprawę, że ssanie w żołądku wzięło się z głodu.

I tak siedzieliśmy, powoli zapadał zmierzch, nad nami, wokół nas. Pogrążaliśmy się w nim bez reszty, a on przenikał nas do szpiku kości.

TAO

Nie znalazłam żadnej tabliczki z nazwą ulicy, mapa nie wyjaśniała niczego. Nie spotkałam nikogo, kogo mogłabym zapytać. Lecz przekonanie, że znalazłam się w miejscu, gdzie nie powinno mnie być, narastało. Dotarłam do terenu wskazanego przez recepcjonistkę, czyli tego, nad którym władze nie mają już kontroli. Tutaj znajdują się tylko ci, którzy nie chcieli wyjechać. Ci, którzy zostali porzuceni. Ci, którzy się ukryli.

Okrążyłam jakiś narożnik. Przede mną rozciągała się jeszcze jedna wymarła ulica. Mrok gęstniał, cienie się wydłużały, a wokół panowała martwa cisza. Kątem oka zauważyłam jakiś ruch. Odwróciłam się gwałtownie, zobaczyłam szeroko otwartą bramę, prowadzącą na jakieś podwórze. Czy ktoś tam może być?

Szłam dalej przed siebie, minęłam bramę. Do tej pory nie pomyślałam, że mogłabym się bać, chciałam tylko stąd odejść. Teraz nagle zauważyłam, że wszystkie mięśnie w moim ciele się napinają. Czy powinnam zawrócić?

Robiłam jednak kolejne kroki naprzód. Poczułam się trochę bezpieczniej, bo nic się nie działo. Może sobie tylko coś wyobraziłam, a może to jakieś zwierzę: kot, szczur? Coś, co na próżno próbowało dalej żyć w tym opuszczonym zakątku, gdzie nie ma jedzenia nawet dla kilkorga żywych ludzi i gdzie prawie nie ma chwastów, tylko mdłe rośliny przeciskające się w szczelinach popękanego asfaltu.

Uniosłam głowę. Na końcu ulicy zamajaczyło mi coś niebiesko-białego. Przyśpieszyłam kroku. Teraz widziałam wyraźniej biały rysunek na niebieskim tle. Całość migotała, widocznie dopływ prądu jest niestabilny.

W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że na końcu ulicy znajduje się stacja metra.

Zaczęłam biec. Nie miałam pewności, czy stacja funkcjonuje, ale przypuszczałam, że znajdują się tam jakieś plany miasta. I może mogłabym pójść wzdłuż torów w stronę bardziej zamieszkanych dzielnic. Tutaj stacja znajdowała się pod gołym niebem, a nie pod ziemią jak w centrum. Ale nie biegłam wystarczająco szybko. Ktoś wyszedł z bramy za mną. Zdążyłam zobaczyć, że jakaś wysoka postać posuwa się w moją stronę. Powietrze przeszył krótki gwizd. Wtedy pojawiło się jeszcze dwoje ludzi, tuż za mną, z obu stron, nie miałam pojęcia, skąd się wzięli.

Znajdowali się jakieś dwadzieścia metrów ode mnie, ale poruszali się szybko. Biegli ku mnie, byli coraz bliżej. Wysoka, chuda dziewczyna i dwóch chłopaków. Nie dzieci, ale i nie dorośli. O gładkiej skórze i oczach starców. Wszyscy byli chudzi, na granicy wyniszczenia. Wyglądało jednak na to, że spotkanie mnie dodało im sił.

Nie czekałam, wiedziałam, czego chcą, ich spojrzenia mówiły, że gotowi są na wszystko, byle tylko zaspokoić głód. Miałam wrażenie, że jest w nich cała desperacja tamtych starców ze szpitala, ale też rozpacz daje im energię i fizyczną zdolność do działania.

Znowu zaczęłam biec. Tym razem było inaczej. Opuszczając starców, uciekałam od własnego obrzydzenia, teraz biegłam, by zachować życie.

A oni biegli za mną. Nie odważyłam się obejrzeć, ale ich słyszałam. Odgłos kroków na asfalcie. Trzy pary stóp, które uderzały w podłoże w nierównym rytmie. Stawało się to coraz głośniejsze.

A przede mną powiększał się ów niebieski szyld. Jeśli uda mi się tam dobiec, jeśli uda mi się dotrzeć do stacji, jeśli przyjedzie pociąg…

Wiedziałam jednak, że to oszukiwanie samej siebie. Żaden pociąg nie przyjedzie. Nie tutaj. Tutaj jestem tylko ja. Ja i oni. Troje zdesperowanych,

wygłodniałych młodych ludzi, bez nadziei na życie. A mimo to pchanych przyrodzonym człowiekowi instynktem samozachowawczym. Oni też są częścią naszego świata.

Teraz dzieliło nas już tylko parę metrów. Mogłam słyszeć ich oddechy. Wkrótce się na mnie rzucą. Chwycą mnie za ramiona, popchną na ziemię.

Nie miałam wyboru.

Odwróciłam się gwałtownie, bez słów uniosłam ręce nad głową, na znak, że się poddaję.

Tamci przystanęli. Wszyscy troje. Cień zaskoczenia pojawił się na ich twarzach, zastąpił na moment dzikość. Wbiłam spojrzenie w dziewczynę. Dlaczego akurat w nią? Pewnie dlatego, że to kobieta, jak ja. Może ją będzie najłatwiej przekonać. Starałam się, by moje spojrzenie wyrażało wszystko, co wiem o miłości bliźniego. Gapiłam się, zmuszałam jej oczy, by patrzyły prosto w moje. Gdybym zrobiła to później, nasze spojrzenia pewnie nigdy by się nie spotkały. Ale dwa pośpieszne mrugnięcia powiedziały mi, że zapanowałam nad nią. Bo dziewczyna stanęła, spoglądała to na mnie, to na tamtych dwóch. I tak trwaliśmy, wszyscy czworo. Teraz odważyłam się przesunąć wzrok. Spoglądałam na nich po kolei, na moment zatrzymywałam spojrzenie na każdym z nich, chciałam, żeby mnie zobaczyli, zobaczyli naprawdę, mieli czas pomyśleć. Żebym stała się dla nich czymś innym, nie tylko plecami w ucieczce, zdobyczą. Żebym stała się dla nich człowiekiem.

— Jesteście tutaj sami? — spytałam cicho.

Żadne nie odpowiedziało.

Postąpiłam o krok do przodu.

— Potrzebujecie pomocy?

Dziewczyna wydała cichy dźwięk, coś jak jęknięcie, jakby mówiła „tak”. Potem pośpiesznie się odwróciła, by spojrzeć na jednego z chłopców, tego

najwyższego. Pewnie on jest tu wodzem. Zaryzykowałam i zwróciłam się do niego:

— Mogę wam pomóc. Możemy opuścić to miejsce. Razem.

Po jego wargach przemknął krzywy uśmiech.

— Ty się boisz — powiedział podniesionym głosem, cieńszym, niż się spodziewałam.

Wolno skinęłam głową, nie przestawałam patrzeć mu w oczy.

— Masz rację, boję się.

— A wtedy człowiek mówi, co mu ślina na język przyniesie — odparł.

Zrezygnowałam z odpowiedzi.

— Czy metro tutaj działa? — spytałam zamiast tego.

— O co ci chodzi?

— Czy próbowaliście przenieść się do innej części miasta?

Chłopak się roześmiał. Ostro i nieprzyjemnie.

— Próbowaliśmy większości rzeczy.

Zrobiłam krok w jego stronę.

— Tam, gdzie ja mieszkam, jest jedzenie. Mogę wam kupić.

— Jakiego rodzaju jedzenie?

— Jakiego rodzaju? — Pytanie sprawiło, że się zawahałam. — No, zwyczajne. Ryż.

— Zwyczajne — przedrzeźniał mnie. — Chcesz, żebyśmy opuścili nasz dom dla porcji ryżu.

Patrzyłam na ulicę za nim. Opuszczoną. Zakurzoną. Nie widziałam niczego, co przypominałoby dom.

Chłopak dał znak temu drugiemu i dziewczynie. Teraz oni podeszli o krok. Czyżby szykowali się do ataku?

— Nie. Poczekajcie. — Wsunęłam rękę do torebki. — Mam pieniądze.

Szukałam po omacku. Dotykałam palcami szeleszczącego papieru.

— I jedzenie. Herbatniki.

Wyjęłam paczkę i wyciągnęłam ku nim.

Dziewczyna dopadła do mnie w tej samej chwili, wyrwała mi ciastka z ręki i próbowała rozerwać papier. Ja tymczasem odskoczyłam kilka metrów w bok.

— Hej! — Wysoki chłopak rzucił się naprzód, dziewczyna zacisnęła dłoń, usłyszałam chrzęst łamanych herbatników.

Tamta chciała uciekać, ale chłopak ją dopadł. Siłą otworzył jej pięść i odebrał opakowanie z ciastkami. Dziewczyna nie powiedziała nic, ale w jej oczach pojawiły się łzy.

Chłopak stał, trzymając opakowanie. Logo producenta ciastek było proste, czarno-białe. Litery trochę się rozmazały, pewnie od spoconych rąk dziewczyny.

— Musimy się dzielić — powiedział chłopak, spoglądając na nią. — Musimy się dzielić.

Cała trójka była teraz zajęta sobą. Czy mogłabym próbować uciec? Nie. Muszę oddać im wszystko, co posiadam, działać rozsądnie. Nie uciekać. Bo i tak by mnie dopadli. Nie miałam wyboru.

Znowu wsunęłam rękę do torebki. Przełykałam ślinę, wahałam się, ale musiałam to zrobić.

— Proszę. Pieniądze.

Nie odważyłam się podejść bliżej i położyłam na ziemi kilka zniszczonych banknotów. Moich ostatnich. Teraz w ołowianej puszce w pokoju hotelowym zostało jedynie kilka drobnych monet.

Chłopak wpatrywał się w banknoty.

Cofnęłam się o krok. Płacz zaczynał dławić mnie w gardle.

— Dostaliście to, co miałam.

Tamten nadal wpatrywał się w pieniądze.

— I teraz sobie pójdę.

Zrobiłam jeszcze jeden krok w tył, potem się odwróciłam. Spokojnie ruszyłam przed siebie, w kierunku metra.

Jeden krok.

Dwa. Trzy.

Nogi chciały biec, ale zmuszałam się, by iść wolno. Żeby nadal być dla nich człowiekiem, nie prowokować znowu polowania. Nie stać się zdobyczą. Trzymać głowę wysoko, nie odwracać się.

Słyszałam, że oni wolno poruszają się za mną. Któreś chrząknęło, zaszeleścił materiał kurtki. W tej ciszy słychać było każdy najmniejszy dźwięk. Ale żadnych kroków po asfalcie.

Siedem. Osiem. Dziewięć. Dziesięć.

Cisza nadal trwała.

Jedenaście. Dwanaście. Trzynaście.

Odważyłam się przyśpieszyć kroku. Podeszłam bliżej stacji, która była zamknięta na łańcuch i kłódkę. Dopiero wtedy się odwróciłam.

Oni wciąż stali tam, w tym samym miejscu, i patrzyli w ślad za mną. Wszystkie trzy twarze tak samo bez wyrazu. Żadnej zapowiedzi, że ruszą. Przeszłam jeszcze kilka metrów, przez cały czas nie spuszczałam z nich wzroku.

W końcu okrążyłam narożnik budynku. Nie mogłam ich już słyszeć. Przede mną rozciągała się jeszcze jedna wymarła ulica. Po prawej ręce miałam tory metra, po lewej szereg opuszczonych domów. Nigdzie ani śladu człowieka. Wtedy zaczęłam biec.

WILLIAM

Po dziesięciu dniach pocztą przyszła paczka. Pisma Dzierzona. Wziąłem ją na górę i zamknąłem drzwi pokoju na piętrze, który całkowicie należy do mnie. Thilda już tam nie sypia, nawet teraz, kiedy znów jestem zdrowy. Może pragnie, bym prosił ją o powrót do małżeńskiego łoża, może zechciałaby przyjść, gdybym ją błagał, ale do tego nigdy nie dojdzie.

Łóżko stało przede mną, duże, miękkie i bezpieczne. Jakie to byłoby proste, położyć się tam, otulić kołdrą, pogrążyć w cieple i ciemności.

A jednak nie. Wolałem usiąść przy oknie z paczką na kolanach. Na dole w ogrodzie mignęła mi sylwetka ubranej na biało Charlotte, pochylonej nad ulem. Ona spędza tam całe godziny, przyniosła sobie stolik i krzesło, siedzi nad papierami i kałamarzem, widzę, że nieustannie prowadzi obserwacje i notuje w małym oprawionym w skórę zeszycie, z entuzjazmem i lekkością. Charlotte jest taka jak ja, pracuje tak, jak sam kiedyś pracowałem, choć wydaje mi się, że to było bardzo dawno temu. Osobiście nie poszedłem do ula od czasu rozmowy z Rahmem. Nie chcę już ula, najchętniej potłukłbym go na kawałki, skakał po nim, patrzył, jak fragmenty desek rozlatują się na wszystkie strony, połamane, zniszczone. Ale nie zdobyłem się na to — powstrzymywały mnie pszczoły. Myśl, że tysiące zdesperowanych i bezdomnych pszczół mogłoby wzbić się w górę i mnie zaatakować.

Poluzowałem sznurki, złamałem pieczęcie i usunąłem papier. Zaopatrzony w słownik niemieckiego, zacząłem czytać. Do ostatniej chwili miałem nadzieję, że twierdzenia Rahma są błędne, że on coś źle zrozumiał,

że ów Dzierzon wcale nie stworzył tak nowoczesnego ula. Ale choć mój niemiecki był kulawy i rozumiałem tylko fragmenty tekstu, jedna sprawa stała się jasna: jego ul jest zaskakująco podobny do mojego. Wprawdzie drzwiczki zostały inaczej ulokowane, a dach jest mniej skośny, ale zasady i sposób użytkowania są takie same. W dalszej części Dzierzon zamieścił szereg dogłębnych obserwacji pszczół w swoich ulach i opisy dotyczących tego tematu badań. Podstawy są więc solidne i świadczą o nieskończonej cierpliwości badacza, wszystko szczegółowo udokumentowano, a argumentacja została przeprowadzona wzorcowo. Praca Dzierzona reprezentuje światowy poziom.

Odłożyłem pisma na bok i znowu zacząłem wyglądać przez okno. Charlotte zamknęła wieko ula, odeszła parę metrów dalej i zdjęła kapelusz. Uśmiechając się do siebie, ruszyła ku domowi.

Uchyliłem drzwi. Słyszałem z dołu jej kroki. Podszedłem do schodów, skąd mogłem ją widzieć.

Weszła do holu, usiadła przy konsolce, wyjęła zeszyt z notatkami i otworzyła. Przez chwilę patrzyła przed siebie, zamyślona, potem pochyliła się i zaczęła pisać.

Kiedy zszedłem na dół, uniosła głowę i uśmiechnęła się do mnie.

— Ojcze, jak dobrze, że jesteś — powiedziała. — Chodź tutaj. Musisz to zobaczyć.

Chciała pokazać mi zeszyt, trzymała go przede mną. Ale nawet na niego nie spojrzałem, podszedłem do wieszaka, znalazłem płaszcz i kapelusz, ubrałem się szybko.

— Ojcze?

Patrzyła na mnie rozpromieniona, ja jednak odwróciłem wzrok.

— Nie teraz — odparłem.

Ten płomienny zapał w jej oczach, nie byłem w stanie siedzieć w tym samym pokoju. Pośpiesznie podszedłem do drzwi.

— Ale to nie zabierze ci dużo czasu. Musisz się dowiedzieć, co wymyśliłam.

— Później.

Nie odezwała się więcej, patrzyła tylko na mnie tym swoim wzrokiem, takim stanowczym i natarczywym, jakby nie akceptowała odmowy.

Ale mnie nie stać było na okazywanie zaciekawienia. Charlotte nie wynalazła ani nie wymyśliła niczego, co by już nie zostało odkryte i wynalezione. Nie potrafiłem jej tego tłumaczyć, budzić w niej rozczarowania, mówić jej, że cały czas, który strawiła tam na dole przy ulu, owocuje jedynie oczywistościami, że wszystkie jej myśli zostały już pomyślane tysiąc razy przedtem.

Wolno otworzyłem drzwi, poczułem, jak moje ciało znowu ogarnia słabość, z gardła wyrwało mi się głębokie westchnienie, przygotowywałem się na wiele takich sytuacji w nadchodzącym czasie.

W dłoni ściskałem klucz do sklepu, mojego prostego, wiejskiego sklepu nasiennego. Tam jest moje miejsce.

Swammerdamka zostawiała warstwę tłuszczu na podniebieniu, ale mimo to nie mogłem przestać jeść. Tego przedpołudnia zjadłem już dwie. Ich zapach płynął do mnie z piekarni i był irytująco obecny również w moim sklepie, przeciskał się przez wszystkie szczeliny, nawet kiedy zamknąłem drzwi, i przypominał mi, jakie to proste kupić jeszcze jedną, a najlepiej kilka. Piekarz udzieliłby mi rabatu. Uważa, że jestem zbyt chudy, ale to chyba długo nie potrwa. Czuję, że moje ciało już zaczęło się rozrastać, jakby było na najlepszej drodze do odzyskania dawnej postury.

Żadnych zimnych podmuchów na ulicach, żadnego przepychania się klientów do sklepu, bo powab nowości definitywnie zblakł. Minęło pół

dnia, a nikt do sklepu nie zaszedł. Wielkie zamówienia nasion dawno zostały wyprzedane, teraz najlepiej idą przyprawy i nasiona szybko rosnących warzyw, jak sałata i rzodkiewki.

Zjadłem jeszcze parę kęsów, choć ciasto było przesolone. Popiłem letnią wodą z czerpaka, by spłukać smak, ale niewiele to pomogło.

Potem podszedłem do drzwi. Obok sklepu przejechał popołudniowy dyliżans z Londynu. Zatrzymał się na końcu ulicy i podróżni zaczęli rozchodzić się w różne strony, jednak nikt w moim kierunku.

Skinąłem głową siodlarzowi stojącemu w słońcu przed swoim warsztatem, smarującemu tłuszczem siodło, uśmiechnąłem się uprzejmie do kołodzieja, który wytaczał z warsztatu nowe koło, pozdrowiłem krótko moją byłą pracownicę Albertę, która wnosiła dwie duże bele materiału do sklepu kolonialnego — wszystkie pracowite mrówki z rękami pełnymi roboty. Nawet Alberta, jak widać, była w stanie do czegoś się przydać, kołysząc biodrami, kłaniała się na prawo i lewo.

— Panie Savage. — Uśmiechnęła się do mnie. Zawahała się na moment, najwyraźniej nad czymś się zastanawiała. — Mam coś, czego powinien pan spróbować. Proszę chwilkę zaczekać.

Szybko zniknęła wewnątrz sklepu razem z tym, co niosła. Potem wyszła z jakimś zawiniątkiem. Zatrzymała się przede mną, czułem zapach jej ciała, od którego robiło mi się niedobrze.

— O co chodzi? Jestem bardzo zajęty.

— Słyszałam, że pan znowu zaczął z pszczołami — rzekła, pokazując w uśmiechu krzywe zęby za wilgotnymi wargami.

Nagle przypomniałem sobie potwora morskiego Swammerdama, ale odepchnąłem od siebie tę wizję.

— Mój ojciec też hoduje pszczoły. Ma pięć uli, proszę. — Uniosła zawiniątko. — Niech pan spróbuje. Ten jest najlepszy ze wszystkich. —

Nie czekając na zaproszenie, weszła do sklepu, położyła zawiniątko na ladzie i rozwiązała. Zobaczyłem chleb i maleńki garnuszek miodu. Wyjęła go i przyglądała mu się, głośno cmokając. — Proszę bliżej — przywoływała mnie gestem.

Skórę miała szorstką, zanieczyszczoną, na brodzie wyrastały dwa pryszcze. Ile ona może mieć lat? W każdym razie dobrze po dwudziestce. Zarówno ręce, jak i twarz świadczyły, że ma za sobą wiele godzin pracy w słońcu.

Podała mi kromkę. Miód, matowy, nieokreślonego koloru, spływał po łyżce i kapał na chleb.

— Proszę spróbować!

Sama też ugryzła duży kęs.

Zapach miodu, tej kobiety oraz niedojedzonej swammerdamki na ladzie, wszystko to wywoływało we mnie mdłości. Jednak, ograniczany wychowaniem oraz beznadziejną uprzejmością, przyjąłem poczęstunek.

Kiwałem głową, choć jedzenie rosło mi w ustach.

— Naprawdę dobre.

Przeżuwałem, próbując jednocześnie nie myśleć o jajkach i larwach, które znajdują się w miodzie, wydobytym ze słomianego ula.

Kiedy jadła, nie spuszczała ze mnie wzroku. W końcu zlizała miód z palców, z przesadą i śmieszną pewnością siebie.

— Pyszne. To teraz będzie można jeszcze trochę popracować.

Nareszcie sobie poszła, chociaż poszła… ona sunęła niczym żaglowiec, kołysząc biodrami. Nie mogłem przestać na nie patrzeć, stałem po prostu i się gapiłem.

No, w końcu zniknęła. Obróciłem się dwa razy w kółko, oddech miałem przyśpieszony. Na ladzie została kropla miodu. Wytarłem ją pośpiesznie, usunąłem razem z tą Albertą, jej wilgotnymi wargami, pryszczami, tym

niemal nieprzyzwoitym kołysaniem bioder, które pojawiało się przy każdym najmniejszym jej ruchu, bioder, z którymi mógłbym się zderzyć. Ale się opanowałem. Odzyskałem kontrolę. Chociaż wymagało to zmobilizowania wszystkich sił.

Przyciągnęło mnie do siebie jedyne w tym pomieszczeniu krzesło. Powlokłem się w jego stronę, ulokowałem na nim swoje nabrzmiałe lędźwie. Skrzyżowałem ręce na brzuchu, jakbym chciał samego siebie przytrzymać na miejscu.

I tak siedziałem, wciągając głęboko powietrze. Minęło wiele minut, rozgorączkowanie we mnie ostygło, mdłości ustąpiły.

Owszem, potrafię nad sobą zapanować.

Było gorąco, wiązka słonecznych promieni ujawniała drobiny kurzu tańczące w powietrzu tuż przede mną. Poruszały się wolno, zdawały się nic nie ważyć.

Dmuchnąłem na nie, odskoczyły w bok, ale zdumiewająco szybko odzyskały równowagę.

Dmuchnąłem znowu, tym razem mocniej. Również teraz odskoczyły, ale niemal natychmiast powróciły do swojej starej, pozbawionej formy egzystencji z taką łatwością, że nic nie byłoby w stanie ich powstrzymać.

Próbowałem koncentrować się na pojedynczych pyłkach, ale oczy zaczęły mnie piec, było tych pyłków zbyt dużo.

Zacząłem więc znowu obserwować całość. Ale tu nie było żadnej całości, tylko nieskończone mnóstwo niepoddających się kontroli drobinek.

To nie pomogło. Nawet to. Kurz zwyciężył. Tego też nie jestem w stanie kontrolować. I tak siedziałem, kompletnie pokonany. Znowu bezsilne dziecko.

Miałem dziesięć lat. W lesie promienie słońca przenikały przez listowie, rzucały wokół złociste plamy, złote było wszystko.

Siedziałem na ziemi. Była ciepła i wilgotna, czułem to przez spodnie. Siedziałem nieruchomo, bardzo skoncentrowany, obserwowałem mrowisko. Na pierwszy rzut oka kompletny chaos. Każda pojedyncza istota, taka maleńka i pozbawiona znaczenia, to niepojęte, że one mogą zbudować siedzibę niemal wyższą ode mnie. Ale z czasem zaczynałem rozumieć coraz więcej. Bo nigdy nie byłem tym znudzony. Mogłem siedzieć godzinami i na nie patrzeć. Mrówki poruszały się według wyraźnych wzorów. Coś dźwigały, odkładały to i podnosiły co innego. Była to pożyteczna i spokojna praca, systematyczna, instynktowna, jej reguły przekazywane z pokolenia na pokolenie. I praca, w której nie chodzi o jednostkę, lecz o wspólnotę. Każda mrówka z osobna jest niczym, ale wspólnie stanowią mrowisko, jakby to ono było jednostką, żyjącą istotą.

Kiedy to pojąłem, coś się we mnie obudziło. Jakieś ciepło niepodobne do niczego innego, radość. Codziennie próbowałem nakłonić ojca, by przyszedł ze mną tutaj, do tego złocistego lasu. Tak bardzo chciałem mu pokazać, co osiągnęły mrówki. Co potrafią zrobić wspólnie takie małe istoty.

Ale on się tylko śmiał.

„Mrowisko? Zostaw ty je w spokoju. Rób coś pożytecznego, weź się za coś, pokaż nam, co w tobie siedzi”.

Tak było również tego dnia. Ojciec mnie wykpił i znowu przyszedłem tu sam.

Nagle coś się zaczęło dziać, jakieś zakłócenie w systemie. Duży chrząszcz pełzł po wschodniej części mrowiska, tej oświetlonej przez słońce. W porównaniu z mrówkami rozmiary chrząszcza były gigantyczne. Słońce zeszło między drzewa i jeden z promieni padał na grzbiet intruza. Ten trwał teraz zupełnie spokojnie. Wokół niego powstał pusty plac, nikt

tędy nie chodził, mrówki jakby go nie widziały, kontynuowały swoją celową pracę.

Nagle jednak stwierdziłem, że jedna z mrówek zbliża się do chrząszcza, złamała wszystkie ustalone wzorce, nie była już częścią całości.

I coś ze sobą niosła. Zmrużyłem oczy. Co to jest? Co ona ma?

Larwy. Larwy mrówek.

Teraz pojawiło się więcej takich, które łamały wzorce, i wszystkie one dźwigały to samo. Wszystkie niosły własne dzieci.

Pochyliłem się bliżej, by lepiej widzieć. Mrówki rzucały larwy przed chrząszczem. Ten obserwował je przez moment, po czym potarł o siebie przednie odnóża, w końcu zaczął jeść.

Szczęki owada pracowały z wysiłkiem. Pochyliłem się prawie tuż nad nim. Larwy, jedna po drugiej, znikały w paszczy. Mrówki stały w długim szeregu, gotowe serwować intruzowi własne potomstwo. Pragnąłem przerwać obserwacje, ale nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko patrzeć.

Kolejna larwa wsunięta do paszczy. A mrówki czekały. Złamały odwieczne zasady, wydzieliły się ze wspólnoty, by uczestniczyć w tej farsie.

Odnosiłem wrażenie, że pełzają po mnie, we mnie. Policzki miałem rozpalone, byłem cały czerwony, krew pulsowała w moich członkach. Nie chciałem tego widzieć, było mi niedobrze, ale nie mogłem przestać. Ku swojemu zdumieniu poczułem pulsowanie wewnątrz rozporka. Uczucie, którego istnienia dawniej tylko się domyślałem, a które teraz ogarnęło mnie bez reszty. Zaciskałem uda, zaciskałem je wokół tego, co robiło się twarde. Kolejna larwa została zmiażdżona w paszczy chrząszcza. Osadzone daleko od siebie oczy błyszczały, czułki poruszały się. Położyłem się na brzuchu, płasko na ziemi, wciśnięty w nią, pomyślałem, że niszczę spodnie, ale nie potrafiłem się powstrzymać. Równocześnie ogarniały mnie mdłości, bo

larwy wciąż były miażdżone i ginęły we wnętrznościach potwora. Było to niepodobne do niczego, co kiedykolwiek widziałem. A we mnie narastało podniecenie.

Leżałem tak, rytmicznie unosiłem dolną część ciała, a potem opadałem na ziemię. Usłyszałem za sobą kroki. Kroki ojca. Mimo wszystko przyszedł, teraz przystanął, obserwował, ale nic z tego, co tak bardzo chciałem mu pokazać, nie widział. Widział tylko mnie, dziecko, którym byłem, i mój bezgranicznie wielki wstyd.

Ten moment… Ja twardo uderzający w ziemię. Najpierw zdumienie ojca, a następnie jego śmiech. Krótki i zimny, pozbawiony radości, pełen obrzydzenia, szyderstwa.

„Popatrz na siebie. Jesteś żałosny. Prymitywny. Wstydź się”.

To było najgorsze ze wszystkiego, gorsze nawet niż pas, którego posmakowałem wieczorem, i potworny ból pleców w nocy. A chciałem mu tylko pokazać, wytłumaczyć, chciałem, żeby podzielał mój entuzjazm. Ale jedyne, co zobaczył, to wstyd.

GEORGE

Pojechałem samochodem do centrum Autumn. A centrum Autumn to w gruncie rzeczy tylko jedna krzyżówka. Droga krajowa wiodąca na północ spotyka się tu z inną, prowadzącą na południe, a przy nich znajduje się niewielkie skupisko domów. Miałem mało benzyny, ale zrezygnowałem z tankowania. Nigdy więcej niż pół baku, to moja nowa zasada. I owo pół baku wypalałem do samego końca. Jakby napełnianie połowy baku obniżało cenę za litr.

Masowe ginięcie pszczół otrzymało teraz nazwę: *Colony Collapse Disorder*. Sprawa była na ustach wszystkich. Też wciąż smakowałem ten termin. Słowa tłukły mi się w głowie. Był w nich jakiś rytm i wiele powtarzających się liter, takich jak C, O, L, S. Powstawały rymy, *Colony Collapse Disorder*. Dilony Collapse Collorder, Cillono Dollips Cylarder, jest w tym wszystkim coś medycznego, jakby sprawa miała związek z pomieszczeniem, w którym ludzie noszą białe kitle i pracują maszyny kontrolujące funkcje życiowe, a nie z moją łąką i pszczołami. Mimo wszystko nigdy tych słów nie wypowiadałem, nie są moje. Mówiłem raczej „zniknięcie” lub „problemy”. Albo — kiedy byłem szczególnie wzburzony, a to zdarzało się dość często — „te przeklęte kłopoty”.

Była tylko wąska luka między zielonym pikapem a czarną furgonetką z banku. Rozejrzałem się wokół, na całej ulicy żadnego innego miejsca. Zatrzymałem samochód przy zielonym pikapie i próbowałem wjechać tyłem. Nigdy nie lubiłem parkowania w takiej ciasnocie. Jeśli o to chodzi, nie jestem wielkim specjalistą, unikam tego typu sytuacji, jak tylko się da. Mam nadzieję, że nawet Emma nie wie, jak się tego boję. Ale musiałem

pójść do banku. Dzisiaj. Już i tak zwlekałem za długo. Z każdym mijającym dniem traciłem pieniądze, z każdym dniem bez uli na polach między skąpanymi w słońcu kwiatami.

Skręciłem kierownicę gwałtownie w bok i cofając się, minąłem pikapa. Potem wyprostowałem kierownicę i cofałem dalej. Skosem. Prawie po chodniku. Znowu do przodu.

Minęła mnie jakaś kobieta. Gapiła się na mnie. Nagle poczułem się jak nastolatek, świeżo upieczony kierowca. Spróbowałem jeszcze raz, zaczerpnąłem powietrza. Działałem spokojnie, skręciłem kierownicę do oporu, wolno zacząłem się cofać, do połowy drogi, i znowu wyprostowałem.

Cholera!

Luka była za wąska, na tym polegał problem. Wyjechałem na ulicę i wziąłem kurs na leżący kawałek dalej parking kasy oszczędnościowej. To lenistwo parkować w ten sposób tuż przed bankiem. My w tym kraju jesteśmy zbyt leniwi. Ja świetnie sobie radzę, chodząc.

W tylnym lusterku zobaczyłem, że nadjeżdża wielki chevrolet. Jednym jedynym ruchem wślizgnął się w tę zbyt ciasną lukę.

Kiedy otworzyłem drzwi do banku, klimatyzowane powietrze wydało mi się ścianą, którą muszę przebić. Trochę jeszcze drżałem po tym kryzysie z parkowaniem, ale wsunąłem ręce w kieszenie spodni.

Allison siedziała przy swoim biurku, jak zwykle trzaskała w klawiaturę. Robiła wrażenie damy — kwiecista bluzka świeżo wyprasowana, młoda piegowata cera, całkiem zielone oczy. Wyglądała świeżo, pachniała czystością. Uniosła wzrok i uśmiechnęła się, pokazując zęby jak z reklamy.

— George. Cześć. Jak leci?

Allison zawsze wywoływała we mnie szczególne uczucie. Jakbym był jej ulubionym klientem. Innymi słowy, zna się na swojej robocie.

Opadłem na krzesło przed biurkiem. Przysiadłem dłonie, chciałem ukryć drżenie, ale turkusowe wełniane obicie krzesła drapało mnie. Położyłem więc ręce na kolanach, gdzie też mogłem nad nimi panować.

— Dawno cię nie widziałam. — Znowu błysnęły jej zęby.

— Rzeczywiście, dawno.

— U was wszystko dobrze?

— Nie tak dobrze, jak powinno.

— O tak, niestety, przykro mi. Już o tym słyszałam. — Rząd perłowych zębów zniknął nagle za miękkimi młodymi wargami.

— Ale mam nadzieję, że będziesz mogła nam pomóc wyjść z najgorszych kłopotów — rzekłem, uśmiechając się.

Najmniejszego znaku tego, że jeszcze raz pokaże wspaniałość swoich zębów, niestety. Allison patrzyła na mnie z powagą.

— Oczywiście, zrobię, co tylko będę mogła.

— Co będziesz mogła. O więcej nie mam odwagi prosić. — Roześmiałem się. Nagle zdałem sobie sprawę, że zachowuję się bezczelnie.

— Okay. — Odwróciła się do ekranu. — No to zobaczymy. Tutaj mamy ciebie. — Pracowała w milczeniu, sprawdzała konto, ale to, co zobaczyła, nie wprawiło jej chyba w entuzjazm. — Powiedz, czego oczekujesz?

— No nie wiem, w tej sytuacji musi chyba być jakaś pożyczka.

— Tak. A ile?

Podałem sumę.

Piegi drgnęły na nosie Allison. Odpowiedź padła bez zastanowienia.

— Tego nie mogę, George.

— Jezu! Ale mogłabyś przynajmniej policzyć.

— Nie. Mogę ci to powiedzieć od razu. Nie mam podstaw.

— Okay. A czy mogłabyś w takim razie porozmawiać z Martinem?

Martin to jej szef. Boi się konfliktów, nie należy do takich, którzy, że tak powiem, wdają się w bójki po barach. Przeważnie przesiaduje w swoim gabinecie. Wychodzi rzadko, kiedy trzeba policzyć większe sumy, o czym wiem od Jimmy'ego, który niedawno brał kredyt na dom. Martin za każdym razem, kiedy go widzę, ma na głowie mniej włosów. Zerknąłem na niego, jak siedzi za tą swoją szklaną ścianą. Kolista łysina lśniła w świetle lampy wiszącej u sufitu.

— To nie ma sensu, zaufaj mi — powiedziała Allison.

Poczułem, że gardło mi się zaciska. Mam tu siedzieć i błagać? Czy tego właśnie ona chce? Jest ode mnie ponad dwadzieścia lat młodsza. Emma od czasu do czasu pilnuje jej dzieci. Krucha niczym elf, kto by pomyślał, że wyrośnie na taką jędzę.

— Szczerze mówiąc, Allison…

— Ale, George, czy ty naprawdę potrzebujesz aż tyle?

Nie byłem w stanie spojrzeć w te zielone oczy nad biurkiem.

— Cała pasieka padła — odparłem cicho, patrząc w podłogę.

— Ale… — Milczała przez chwilę, zastanawiała się. — A może zastanowimy się nad tym, jak mógłbyś ją odbudować bez tak wielkich inwestycji?

Miałem ochotę ryknąć, ale milczałem. Ona gówno wie o hodowli pszczół.

— Jak myślisz, co w twoich wydatkach jest najpoważniejsze?

— Siła robocza, rzecz jasna. Opłacam dwóch pracowników, wiesz o tym?

— Oczywiście.

— Następne są takie wydatki, jak pokarm, benzyna…

— A teraz? Jakie inwestycje musisz poczynić?

— Nowe ule. Wiele musieliśmy spalić.

Allison zagryzała długopis.

— Okay. Ile pieniędzy potrzeba na jeden ul?

— Trudno powiedzieć. Przede wszystkim koszt materiałów. Ule muszą zostać zbudowane.

— Zbudowane?

— Tak. Buduję je sam, od podstaw. Każdy jeden. Z wyjątkiem ramki królowej, oczywiście.

— Ramki królowej?

— Tak. Ona jest między… Zapomnij o tym.

Allison wyjęła długopis z ust. Na górnej części zostały ślady jej zębów. Gdyby zagryzała mocniej, zmiażdżyłaby plastik i tusz wyciekłby na szkliwo. To by dopiero było coś. Niebieski tusz na białych zębach, na świeżo wyprasowanej bluzce, na miękkich wargach, niczym szminka na Halloween.

— Ale… — Allison się zamyśliła. — Przecież widziałam Garetha… Garetha Greena, który kupił ule. To znaczy widziałam, jak mu je przywieźli na ciężarówce. Po prostu gotowe.

— To dlatego, że Gareth je zamawia — powiedziałem wyraźnie, tak jak się mówi do dziecka.

— A to drożej, niż budować samemu? — Odłożyła długopis. Najwyraźniej nie chciała sprawić mi tej przyjemności, bym widział, jak kala swój czysty wizerunek.

Ucisk w gardle był coraz silniejszy. Wkrótce osiągnie stan, w którym nie będę już mógł go ukrywać.

— Myślę tylko — mówiła dalej Allison, znowu odsłaniając białe zęby, jakby to naprawdę było takie zabawne — że być może, zamawiając gotowe, mógłbyś oszczędzić trochę pieniędzy. I czasu. Czas to też pieniądz. Nie buduj już więcej uli sam.

— Zrozumiałem — powiedziałem cicho. — Zrozumiałem, że to właśnie miałaś na myśli.

WILLIAM

Kiedy w końcu byłem w stanie znowu się poruszać, zrobiło się już całkiem ciemno. Na ulicy przed sklepem panował spokój, z wyjątkiem hałasów dobiegających z położonej dalej gospody. To ponure, ciasne i duszne miejsce, w którym miejscowi pijaczkowie zbierają się wieczorami i upijają do nieprzytomności. Jacyś ludzie przebiegli obok sklepu, w drodze stamtąd, przez okna widać było cienie, słychać śpiewy i krzyki, ordynarny śmiech. Wszystko cichło powoli, w miarę jak się oddalali.

Marzłem. W pokoju było chłodno, wieczorne powietrze wdzierało się przez drzwi, których nie zdążyłem zamknąć przed zaśnięciem. Kark mi zesztywniał, z ust na koszulę spływała ślina.

Wstałem, obolały i zdrętwiały, pośpieszyłem do drzwi i szybko je zamknąłem.

Pomyśleć, że ktoś mógłby mnie zauważyć, że jacyś klienci mogli zajrzeć do środka i zobaczyć mnie śpiącego w godzinach pracy. Rozeszłoby się jeszcze więcej plotek na mój temat, w końcu mógłbym się dorobić opinii miejscowego błazna. Ale może — taką mam nadzieję — popołudnie było równie nieudane, czy raczej: udane jak przedpołudnie, czyli nikt tu nie zachodził.

Żołądek domagał się jedzenia, a w papierze leżał ostatni kawałek swammerdamki. Wyschnięty i zimny, tłuszcz zastygł po brzegach. Ale i tak go zjadłem, choć przysięgałem sobie równocześnie, że nigdy więcej nie skuszę się na kupno tego paskudztwa. Może nawet żadnego ciasta w ogóle. Chociaż jakie to ma znaczenie?

Zamknąłem, przekręciłem klucz w zamku i skierowałem się ku domowi.

Hałasy z gospody przybierały na sile.

Okna w ciemnościach wyglądały jak ciepłe żółte kwadraty. Teraz, po raz pierwszy w życiu, coś mnie do nich ciągnęło. Kieliszek czerwonego wina, tylko tyle. To by chyba nie zaszkodziło. Zatrzymałem się z wahaniem. Gdyby mnie widziano tam, wewnątrz, że stałem się jednym z nich, czy to by coś zmieniło?

Przed gospodą wszystko było jak zwykle. Dzisiaj wieczorem rozgrywały się takie same sceny, jak we wszystkie inne wieczory; dwóch robotników kłóciło się ordynarnie, jeden szturchał drugiego, popychał go, wkrótce zaczną się bić. Jakiś pijak wrzeszczał sam do siebie, chwiejnie podążając ulicą. W pewnym momencie przez drzwi wytoczyła się wysoka postać, okrążyła narożnik i zwymiotowała w miejscu, gdzie nikt nie mógł tego widzieć. Ale dźwięki wydalanej kolacji i zbyt wielkich ilości alkoholu, które ów człowiek w siebie wlał, nie pozostawiały wątpliwości.

No nie. Zawróciłem do domu. Mimo wszystko tak nisko jeszcze nie upadłem.

Kiedy przechodziłem obok budynku, zwróciłem uwagę, że na dworze w ten jasny letni wieczór jest jeszcze więcej osób. Usłyszałem wulgarny pisk młodej dziewczyny:

— Przestań, no! Zabieraj łapy!

Mówiła „nie”, ale w taki sposób, że oznaczało to „tak”. I chichotała nieustannie.

Dopiero teraz rozpoznałem głos. To Alberta. Nawet nie musiałem jej oglądać, by wiedzieć, że jej wielkie piersi z całą pewnością wydostają się z dekoltu, niemal czułem przenikliwą woń jej skóry.

Ktoś się do niej dobierał, obłapiał wszystkie jej krągłości, mamrotał coś bez sensu pijackim szeptem, z ustami przy jej szyi, pochłonięty swoimi

pragnieniami, alkoholowym zamroczeniem, pożądaniem. Zbliżał się i oddalał od tego przejrzałego owocu, zaczynającego gnić, który wkrótce może spuchnąć nie do poznania, w ciągu dziewięciu miesięcy nabrać kształtu nadmuchanej piłki. Jakiś młody chłopak, sądząc po wyrośniętej sylwetce, chyba nie starszy niż jakieś piętnaście – szesnaście lat, głos nadal ochrypły, niedawno odmieniony. Jest o wiele młodszy od niej, powinien być teraz w domu, w łóżku, spać, a może czytać, studiować, planować przyszłość, przygotowywać się, by dokonać czegoś wielkiego, by wyrobić sobie nazwisko. Znowu otworzyły się drzwi, światło wypłynęło na zewnątrz, ujawniając, z kim Alberta na stojąco odbywa swój akt. Kim jest ten młody człowiek, który zbyt wcześnie zainicjował proces własnego zepsucia, oszołomiony tym, co wydawało mu się namiętnością, i który akurat w tym momencie kładzie na szali całe swoje istnienie, a który mnie nie widzi, nie widzi ojca. Ojca, który sądził, że jego życie dawno temu osiągnęło dno, ale który w tym momencie naprawdę miał powód, by poczuć, że ziemia usuwa mu się spod stóp.

Edmund.

TAO

Szłam dalej wzdłuż torów metra. Minęłam wiele stacji, ale nie widziałam ani jednego człowieka, żadnego znaku życia. Kilometr po kilometrze, prawie biegłam, paliło mnie w płucach, w ustach czułam smak krwi. Każda stacja, do której się zbliżałam, budziła nadzieję. Ale wszelkie próby otwarcia drzwi czy wyjścia na peron kończyły się tym samym rozczarowaniem. Bo stacje nie działały. Znajdowałam się na ziemi niczyjej.

Nie wiedziałam, ile metrów pokonały moje nogi, nie wiedziałam też, że stać mnie na aż taki wysiłek. Ale teraz nie mogłam już więcej.

Osunęłam się na ziemię wzdłuż ściany jakiegoś domu. Z braku tlenu czułam ból w piersi. Ciemność gęstniała wokół mnie, wokół miasta czy raczej wokół tego, co niegdyś nim było. Dokładnie naprzeciwko znajdowały się ruiny zburzonego budynku. Prawdopodobnie była to ostatnia rzecz, jaką zrobili dawni mieszkańcy, kiedy stąd odchodzili. Jakby nie chcieli, żeby coś po nich zostało. Wszędzie jednak widziałam ślady ludzi. Stare plakaty reklamowe, zniszczony rower, postrzępione firanki wystawione na deszcz i wiatr z rozbitego okna, tabliczki z nazwiskami przy drzwiach wejściowych, niektóre zapisane ręcznie, inne grawerowane. Gdzie są teraz oni wszyscy, ci, którzy tutaj żyli? Jakoś nie pomyślałam o tym przedtem, ale śmieci zostały usunięte. Pojemniki stały puste, starannie uszeregowane przy chodniku wzdłuż całej ulicy. Może rzeczywiście to ostatnia rzecz, jaka się tutaj wydarzyła. Śmieciarka przetoczyła się przez opustoszałe ulice i wysprzątała, by powstrzymać szczury. Albo może po to, by zebrać ostatnie resztki pożywienia, odpadów organicznych, które można przetworzyć i znowu serwować. Najlepiej zrobić z nich paszę dla zwierząt,

ale można też przeznaczyć na pokarm dla ludzi, w postaci farszu do kiełbas czy do wyrobu konserw. Jeśli doda się sztuczne komponenty smakowe, wyroby mogą nadawać się do jedzenia.

Moje usta napełniły się śliną. Opakowanie herbatników zostawiałam sobie na drogę powrotną. Teraz nie miałam nic.

Próbowałam stanąć na nogach, ale się pode mną ugięły. Piekły mnie mięśnie. Spróbowałam znowu, przytrzymywałam się ściany i tym razem się udało. Krok po kroku poszłam w stronę najbliższej bramy, popchnęłam ją ostrożnie. Poruszony metal przenikliwie zazgrzytał.

Za bramą znajdowało się puste podwórze. Przy narożnikach wiatr usypał nieduże kupki liści. W obu dłuższych ścianach budynku widziałam drzwi. Spróbowałam otworzyć jedne z nich, weszłam. W głębi zobaczyłam korytarz, dalej ciasne, wąskie schody. Na dworze dzień się kończył i tylko przez kilka małych otworów w ścianie do pomieszczenia wpadało mdłe światło wieczoru.

Potykając się, wchodziłam po schodach. Każdy krok sprawiał mi ból, ale oddech nie był już taki ciężki. Dotarłam na piętro. Znowu drzwi po każdej stronie. Najbliższe były zamknięte na klucz. Przeszłam przez dwumetrowy podest przy schodach i zatrzymałam się. Potem spróbowałam jeszcze raz. Nacisnęłam klamkę. Oczekiwanie, że ręka napotka taki sam opór jak przedtem, musiało wciąż we mnie tkwić, bo drgnęłam, kiedy drzwi ustąpiły.

Stałam w progu. Poczułam zapach mieszkania. Nie było w nim nic szczególnego, ale każdy dom ma własną woń. Zapach ludzi, którzy go zamieszkują. Jedzenia, którym się żywią. Ubrań, które uprali, butów, których używają, potu, który wydzielają. Powietrza wydychanego podczas snu. Pościeli, która być może powinna zostać zmieniona. Patelni, którą należałoby umyć, ale czeka do następnego dnia, więc resztki jedzenia zaschły i zaczął się wczesny etap gnicia.

Ale teraz pozostały ledwie cienie tych wszystkich zapachów, jakby ukryte w ciężkiej woni ogólnego zaduchu, rezultatu zamknięcia.

Przekroczyłam próg. Mieszkanie było niewielkie, tylko dwa pokoje. Jak u mnie i Kuana. Może ono również mieściło niewielką, trzyosobową rodzinę? Sypialnia od podwórza i salonik połączony z kuchnią od ulicy. Zamknęłam za sobą drzwi na klucz i weszłam do salonu. Był właściwie pusty, porzucony, chociaż największe meble pozostawiono.

Trochę zbyt duża, zniszczona narożna kanapa w szarym obiciu zajmowała niemal pół pomieszczenia. Stara, niezgrabna komoda polakierowana na czarno stała pod przeciwległą ścianą.

Przeszukałam pośpiesznie szafki kuchenne, nie mogłam z tego zrezygnować, choć wiedziałam przecież, że będą puste. Jedynie duży zniszczony garnek stał na dolnej półce szafy. Poza tym nic więcej.

Komoda też była pusta, jeśli nie brać pod uwagę jakichś starych przewodów i telefonu z popękaną tarczą w najniższej szufladzie.

Poszłam do sypialni. Drzwi szaf pootwierane, jakby ktoś zdążył już sprawdzić, że nic w nich nie zostało. W ścianach tkwiły gwoździe, pod nimi widniały ślady po obrazach, które tu niegdyś wisiały. Podwójne łóżko, dość wąskie, ustawiono pod jedną ze ścian. Usunięto natomiast materac, pierzyny i poduszki. Tutaj ci ludzie spali, czytali, kłócili się, cierpieli, kochali się. Gdzie są teraz? Czy nadal razem?

Pod drugą ścianą zobaczyłam łóżeczko dziecięce. Mogło należeć do dziecka w wieku przedszkolnym, mogłoby to być łóżeczko Wei-Wena. Została w nim mała poduszka, wgnieciona pośrodku, tam gdzie spoczywała główka.

Nagle nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Opadłam przy dziecięcym łóżeczku i trwałam tak przez kilka sekund. W promieniu dziesiątków

kilometrów ani jednego człowieka, tylko ja. Wszystko zostało opuszczone. Puste. A ja jestem tak samo opuszczona jak to mieszkanie.

Poczułam ucisk w piersi. Czy to tęsknota? Prawie nie myślałam o Kuanie, unikałam tego, trzymałam go na dystans. Za każdym razem, kiedy w mózgu pojawiała się jego twarz, odpychałam ją. Pilnowałem się, by myśleć tylko o Wei-Wenie, o tym, że muszę odnaleźć moje dziecko.

Podniosłam się, wróciłam do salonu, wyjęłam telefon z szafy i się rozejrzałam.

Przy kanapie zauważyłam gniazdko. Chyba nie może być sygnału, nie tutaj, tak daleko od wszystkiego. Podeszłam jednak i wsunęłam wtyczkę. Potem przyłożyłam słuchawkę do ucha. Usłyszałam słaby szum.

Na popękanej tarczy pośpiesznie wybrałam numer do domu.

Najpierw tylko trzeszczenie, głuche sygnały przesyłane kilometr za kilometrem przez stare, niemal zmurszałe kable.

I oto odezwał się dzwonek.

Jeden.

Wkrótce usłyszę głos, głos Kuana. Nie miałam żadnego planu, co mu powiedzieć, muszę go tylko usłyszeć.

Drugi.

Bo może „my” nadal jeszcze istniejemy. Może teraz się to stanie, kiedy odległość między nami jest taka wielka.

Trzeci.

Czy jego tam nie ma? Sekundy mijały.

Czwarty.

No i…

— Halo?

Jego głos w moim uchu.

Z poczucia ulgi zaniosłam się szlochem.

— Cześć.

— Tao!

Nie byłam w stanie odpowiedzieć, próbowałam opanować szloch, ale on wyrywał się na zewnątrz.

— Co się dzieje? Stało się coś?

— Jestem… Nie wiem, gdzie jestem…

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ja… Tutaj nikogo nie ma…

Rozległo się skrzypienie, sygnały umilkły.

— Kuan? Nie!

Telefon szumiał cicho. Potem całkiem zamarł.

Spróbowałam znowu, wybrałam numer. Czekałam. Nic. Wyjęłam wtyczkę z kontaktu, włożyłam ją znowu. Telefon pozostał głuchy.

Odłożyłam słuchawkę na miejsce, postawiłam aparat na podłodze. Wstałam i zaczęłam się mu przyglądać.

Nagle uniosłam nogę i kopnęłam go z całej siły. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Stare elektroniczne części rozleciały się na wszystkie strony razem z popękanymi kawałkami plastiku.

W końcu wróciłam do sypialni, pokonałam dwa kroki dzielące mnie od dziecięcego łóżeczka.

Tam siedziałam, a tymczasem w pokoju robiło się coraz ciemniej. Poczucie samotności było tak dojmujące, że aż jęknęłam. Moment jest wszystkim. Moment stał się wiecznością. Ja, sama w opuszczonym mieszkaniu. Nie ma nic innego. Straciłam wszystko. Nawet pieniądze.

Nasze nowe dziecko. Kim ono by było? Jeszcze jednym chłopcem? Dziewczynką? Czy byłoby podobne do mnie? Nigdy nie poznam tego dziecka, złożyłam je w ofierze i nie zostało mi już nic. Życie zatrzymało się tutaj.

Położyłam się na boku, podciągnęłam nogi pod brodę. Po omacku odnalazłam tę małą poduszeczkę, chwyciłam ją, przysunęłam, obejmowałam, tuliłam do ciała, do piersi.

I tak zasnęłam.

Włosy Wei-Wena pachniały dziecięcym potem i czymś suchym jak piasek. Przyciskałam do nich wargi, chwytałam pojedyncze włoski i pociągałam.

— Auu, mama. Zjadasz moje włosy!

Wypuściłam je ze śmiechem, odnalazłam jego policzek i teraz do niego przysunęłam usta. Jaki miękki, jak zaskakująco miękki, jakie mięciutkie policzki mają dzieci. Miałam wrażenie, że mogłabym przyłożyć wargi do policzka syna i nigdy, niezależnie, jak mocno bym przyciskała, nie napotkać oporu. Po prostu leżeć przy nim, nie musząc się spieszyć.

— Syneczku mój, jaki ty jesteś słodki.

On prychnął mocno w odpowiedzi. Wpatrywał się w sufit, na którym kilkanaście samoprzylepnych, błyszczących gwiazd reprezentowało Układ Słoneczny. Te gwiazdy należały do mnie, kiedy byłam mała. Wybłagałam je sobie, bo rodzice woleliby kupić mi lalkę. A kiedy już byłam dorosła i zamieszkałam sama, odkleiłam je ostrożnie od sufitu dziecięcego pokoju. Włożyłam do torebki, a potem do walizki, wraz z innymi pamiątkami z dzieciństwa. Kiedy urodził się Wei-Wen, znowu przykleiłam je do sufitu. To tak, jakbym cieniutką nicią połączyła jego dzieciństwo ze swoim, nas oboje ze światem, a świat z kosmosem.

Nauczyłam go recytować nazwy wszystkich planet, chciałam, by zrozumiał, jacy jesteśmy maleńcy. Ale że stanowimy też część czegoś większego. Na razie był jeszcze za mały, aby to pojąć. Gwiazdy i planety nadal pozostawały tylko samoprzylepnymi znaczkami na suficie. Wiedział jedynie, że naprawdę istnieją Księżyc i Słońce, bo mógł je na własne oczy

widywać na niebie. Zresztą księżyc nie miał własnego znaku na suficie, ale to przecież bez znaczenia. Tego jednak mój syn nie mógł rozumieć. On widział, że księżyc jest niemal tak duży jak słońce.

— To jest Jowisz. — Wei-Wen pokazał.

— Mhm. — Wchłaniałam jego zapach, nie mogłam przestać. Ale on udawał, że nie robi to na nim wrażenia.

— On jest ze wszystkich największy.

— Tak, on jest największy.

— I Satum. To jest ten z pierścieniami.

— Saturn — poprawiłam.

— Saturm.

— Tak. To ten z pierścieniami.

— On jest najładniejszy. — Zamyślił się na moment. — Dlaczego Ziemia nie ma pierścieni?

— Tego nie wiem.

— Uważam, że powinna je sobie znaleźć. Tak jest najładniej.

Wtuliłam nos w jego policzek. Lekko zaprotestował, odwrócił ode mnie buzię.

— Teraz możesz iść, mamo.

— A mogę poleżeć jeszcze trochę?

— Nie.

— Dopóki nie zaśniesz.

— Nie. Teraz możesz iść.

Był gotowy, łóżko bezpieczne przed nocą. Moje matczyne zadanie zostało wypełnione.

Pocałowałam go w policzek ostatni raz. Wei-Wen nie miał cierpliwości, by zaczekać, mocnym szarpnięciem naciągnął na siebie pierzynę.

— Idź już. Chcę spać.

— Dobrze. Idę. No to dobranoc. Zobaczymy się rano.

— Do jutra, do jutra.

Chciałam po prostu tam zostać, pod tym układem słonecznym, pod pierścieniami Saturna z lśniącego neonowozielonego plastiku, ale ocknęłam się o brzasku. W oknie nie było zasłon, szare światło powoli rozjaśniało pokój. Leżałam w tej samej pozycji, próbowałam odnaleźć drogę z powrotem, do innego pokoju, do innego dziecięcego łóżeczka, ale nie byłam w stanie.

Ten poranek w obcym łóżku, pierwsze, co pomyślałam, to to samo, co we wszystkie pozostałe poranki: imię syna.

Wei-Wen. Wei-Wen.

Moje dziecko. Miękkość. Jego buzia.

Nie pragnęłam niczego innego, jak tylko trzymać ją w dłoniach. Ale wyłaniała się przede mną inna twarz. Twarz z tego świata. Chłopiec, ten wysoki, wyrośnięty chłopiec z opakowaniem herbatników w rękach. Jego wzrok skierowany na mnie. Gotowość do ataku.

I tamci starzy ludzie. Wielu z nich nie jest w stanie nawet pojąć swojej sytuacji, nie potrafią zrozumieć, że zostali porzuceni, by umrzeć. Ale tamta kobieta, która szła ku mnie, bo to musiała być kobieta, ona wiedziała. Moje przybycie sprawiło, że się ocknęła, obudziłam w niej nadzieję.

Co się z nią stanie? Co się stanie z tym wyrośniętym chłopakiem? I co z kelnerem z restauracji? Z jego ojcem?

A co się stało z Wei-Wenem?

Co mu się przytrafiło?

Ogrodzenie w lesie, wojsko, namioty, tajemnicze wydarzenia.

Coś, co dotyczy nas wszystkich.

Pośpiesznie usiadłam na łóżku.

Teraz to zrozumiałam.

Zaczęłam nie od tego końca. Wyruszyłam w tę podróż, bo chciałam odnaleźć Wei-Wena.

Ale nie odnajdę go nigdy, dopóki nie będę wiedziała, co mu się stało. I jakie to ma znaczenie.

Znowu wyłoniła się przede mną twarz synka. Ale nie jego zwyczajna, miękka dziecięca buzia. To była twarz z tamtego dnia. Wei-Wen w ramionach Kuana. Skóra, która z każdą sekundą robiła się bledsza. Ciężki oddech. Obrazy były teraz wyraźniejsze. Obrazy, o których próbowałam nie myśleć, z którymi nie byłam w stanie się zmierzyć. Osunęłam się na podłogę, podciągnęłam kolana pod brodę, gapiłam się przed siebie.

To był on. Blada, wilgotna twarz. Krople potu spływające z czoła. Jego oczy. Był przytomny, kiedy Kuan przybiegł z nim w ramionach. Całe to małe ciałko walczyło z dusznością, która rozrywała płuca, dławiła. I te śmiertelnie przerażone oczy. Patrzył prosto na mnie, nie mógł nawet prosić o pomoc.

I wtedy, w połowie drogi między wzniesieniem a osiedlem, jego głowa opadła w tył. Stracił przytomność. Wiedziałam, że do tego doszło, oczy mu się zapadły, kontakt się urwał.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, ze światem wiązał go jedynie słaby oddech.

Oparłam głowę na kolanach. Zmusiłam się, by raz jeszcze przeżyć tamte minuty, patrzeć na twarz syna, widzieć to wszystko. Co takiego zatrzymało jego oddech? Co takiego się wydarzyło?

Bladość, wilgotna skóra. To przypominało coś, co widziałam już przedtem. Nagle pamięć podsunęła mi inny obraz. Jeszcze jedną twarz. Dai-Yu. Przyjęcie w ogrodzie. Dai-Yu leżała na ziemi w jasnoniebieskim kostiumie. Czarne buty błyszczały w słońcu. Ona też miała wilgotną skórę, pot perlił się na czole. Próbowała zaczerpnąć powietrza, tak samo rzęziła,

miała takie samo błagalne spojrzenie. „Pomóżcie mi”, mówiły jej oczy. Staliśmy wokół niej kołem, przedtem bawiliśmy się na tyłach ogrodu. Dorośli siedzieli przy stole. Dai-Yu odsunęła w bok rękę, coś w niej trzymała. Kawałek ciasta. Ciasta, które wzięła chwilę przedtem. Trzymała je w ręce i jedząc, chodziła koło nas, a my się bawiliśmy.

— Dai-Yu nie może oddychać. Ona nie oddycha!

Natychmiast zjawiła się jej matka. Przepuściliśmy ją do córki, a ona krzyczała:

— Moja torebka! Dajcie mi ją! Dajcie mi moją torebkę!

Potem otworzyła dłoń Dai-Yu, wyjęła z niej kawałek ciasta i zapytała:

— Czy w tym są orzechy?

— Orzechy? — Żadne z nas nie wiedziało.

Wyraz jej twarzy był taki stanowczy, że poczułam się odpowiedzialna. Jakbym to ja powinna wiedzieć, czy w cieście były orzechy.

Ktoś przybiegł z torebką. Mama Dai-Yu chwilę w niej grzebała, nie znalazła tego, o co jej chodziło, wywróciła ją do góry nogami. Zawartość wypadła na ziemię. Widziałam, że są tam szminka, jednorazowe chusteczki, szczotka do włosów. Ona coś chwyciła, małą białą paczuszkę z zielonymi napisami. Rozerwała ją i wyjęła strzykawkę.

Wtedy pojawiła się też moja mama. Przytuliła moją głowę do siebie, nie chciała, żebym nadal patrzyła. Ostrożnie odprowadziła mnie stamtąd.

— Co to jest? Co się stało Dai-Yu? — pytałam. — Co z nią?

WILLIAM

Był ranek. Liście filtrowały światło. Wszystko nade mną się poruszało — drzewa na wietrze, chmury płynące po niebie, nic nie trwało w spokoju. Zakręciło mi się w głowie i zamknąłem oczy. Pragnąłem tylko leżeć i pozwalać, by otaczało mnie to złociste światło. Leżeć na plecach, całkiem bez ruchu, na świeżej, wilgotnej ziemi. Bo nie ma nic innego, nie istnieje już taka siła, która mogłaby mnie stąd ruszyć. Nie praca badawcza — moja pasja — nie Edmund, on jest stracony, zresztą tak było przez cały czas. Nawet nie pożądanie, bo ono zniknęło. Nie chciałem już więcej wykonywać erotycznych ruchów na ziemi, euforycznie, aż do kulminacji. Chciałem, żeby ta ziemia mnie pochłonęła, bym sam stał się glebą.

Nic nie jadłem, ale to bez znaczenia, ciasto wciąż tkwiło mi w żołądku, czułem je na podniebieniu, ścierałem z kącików ust.

Wieś, praca tutaj, mój dom, wszystko mogło być tysiąc mil stąd, szedłem w ciemności, aż rozbolały mnie nogi, ale żaden dźwięk nigdy do mnie nie dotarł. W niektórych miejscach las był zniszczony, podążałem ścieżką, ale potem z niej zboczyłem, chciałem znaleźć się jak najdalej od wszelkich wspomnień o ludziach. W końcu po prostu przewróciłem się, upadłem na trawę.

Czy oni za mną tęsknią? Czy mnie szukają? Może wkrótce coś usłyszę, ich wołania, głosy dziewcząt, każdy inny, od cieniutkiego, piskliwego, znajdującego się na najwyższym miejscu skali głosiku Georgiany do najgłębszego z nich, głosu samej Thildy, brzmiącego fałszywie.

A może nikt za mną nie tęskni? Może dziewczynki przywykły do tego, że wychodzę, znikam, może nawet nie zauważyły, że mnie nie ma. Albo są

zajęte Edmundem. On dzisiaj jest chory, musi być. Dzisiaj tak samo jak wiele razy przedtem. Przypuszczalnie spał do momentu, gdy słońce minęło zenit, jest blady od tego, że nigdy nie pokazuje się za dnia. Ale to nie jest choroba. O ile dobrze zrozumiałem… o nie, one nie są zajęte jego chorobą. Dzień jest taki jak wszystkie inne, bo przecież nie po raz pierwszy on tak leżał. Edmund trwoni wszystkie dni, sypiając, dopóki alkohol nie wywietrzeje z ciała. To nie żadna odziedziczona melancholia, on sam sobie szkodzi i ściąga na siebie słabość. Nie jest lepszy niż prostaccy robotnicy, którzy topią życie w kuflach piwa. Jest pijaczkiem.

Śledziłem wędrówkę słońca po niebie. Wkrótce znajdzie się tuż nade mną, wyssie ze mnie resztki płynów. Skórę miałem pokrytą potem. Oddychałem z otwartymi ustami, mój język był niczym zaschnięta lawa. Chciałem unieść rękę, zetrzeć krople potu, ale ramię okazało się zbyt ciężkie.

Dzień mijał. Słońce znowu zniknęło za drzewami, cienie się wydłużały, ochłodziło się. Moje ciało osiągnęło teraz tę samą temperaturę co ziemia pode mną. Pod powiekami czaiła się ciemność. Czy już mnie całkiem pochłonęła?

— Ojcze?

Znowu wołanie. Czysty ton. Środek skali.

— Ojcze? — Głos był teraz wyższy, wkrótce usłyszę spokojne kroki po mchu i wrzosie.

Uniosłem powieki i spojrzałem prosto w jej czyste oczy, w oczy Charlotte.

— Dzień dobry — powiedziała. Nie wyczuwałem w niej ani odrobiny zaskoczenia. Może one rzeczywiście nie szukały, nawet nie zauważyły, że mnie nie ma.

Charlotte stała i patrzyła na mnie, studiowała moje oblicze, jakbym był owadem, wyciągniętym jak długi w trawie. Nagle poczułem, że krew napływa mi do twarzy.

— Tak. Tu mnie masz. — Pośpiesznie usiadłem, otrzepałem koszulę, przeczesałem ręką włosy, usuwając igliwie i liście. — Trudno było mnie znaleźć?

— O co ci chodzi?

— Długo mnie szukałaś?

— Nie, nie bardzo. Jest przecież ścieżka. — Wskazała za siebie i wtedy ją odkryłem, ścieżkę prowadzącą do ogrodu. Nie mogłem też nie zauważyć wysokich, dobrze znanych drzew. Wcale nie zaginąłem w głębi lasu. W swoim zabłąkaniu nie zaszedłem daleko. Znajdowałem się tuż obok naszego domu.

Charlotte usiadła przy mnie i dopiero teraz zauważyłem, że trzyma coś w ręce. Notatnik, ten, nad którym wciąż przesiaduje, ten, którego strony z takim przejęciem zapełnia.

— Bardzo chciałam ci coś pokazać. Mogę? — Otworzyła notatnik, nie czekając na odpowiedź. — Jest to coś, nad czym długo pracowałam.

Próbowałem się skoncentrować, ale atramentowe kreski zdawały się pełzać po papierze niczym robaki.

— Poczekaj. — Zdjęła mi okulary, pochuchała na nie i wyczyściła brzegiem sukni, po czym z powrotem włożyła mi je na nos. Były czystsze, ale nie tylko z tego powodu starałem się dojrzeć to, co chciała, żebym zobaczył. Ten jej drobny gest spowodował, że zacisnęło mi się gardło. Byłem tak wdzięczny, że to akurat ona przyszła, że akurat ona mnie znalazła, że widziała mnie w tym stanie ona, a nie ktoś inny. Przełknąłem ślinę i skierowałem uwagę na to, co chciała mi pokazać.

To był rysunek. Rysunek ula. Ale zupełnie inny niż mój.

— Pomyślałam, że jeśli odwrócimy go do góry nogami, to wszystko się zmieni — zaczęła Charlotte. — Jeśli przesuniemy ramki w dół, zamiast wieszać je pod daszkiem, jeśli otworzymy ul od góry, będziemy mieć o wiele lepszą kontrolę.

Gapiłem się na szkice, które mi pokazywała i które wolno materializowały się na papierze.

— Nie — odparłem, chrząkając. — Nie… To nie będzie funkcjonować. — Szukałem odpowiednich słów. — Ramki będą się opierać o boki skrzyni. — Wyprostowałem się, mimo wszystko jestem autorytetem. — Pszczoły natychmiast przylepią je mocno propolisem i woskiem, nie będzie można ich oderwać.

Na to Charlotte się uśmiechnęła.

— Jeśli będą zbyt blisko siebie, to tak. Pięć milimetrów lub mniej.

— Ale jeśli znajdą się zbyt daleko, to pszczoły zbudują dzikie połączenie — odparłem. — Niezależnie od wszystkiego to funkcjonować nie będzie. Już rozważałem taką możliwość.

Ostatnie, co zobaczyłem, to pobłażliwy uśmiech.

— Ja o tym wiem, ale nie próbowałeś różnych wariantów. Chodzi tylko o to, by znaleźć właściwą odległość.

— Nie rozumiem.

Charlotte znowu wskazała na rysunki.

— Musi istnieć pewien punkt pomiędzy, ojcze. Bo kiedy pszczoły przestaną produkować wosk i propolis? Kiedy zaczną produkować na dziko? A co, jeśli znajdziemy punkt zerowy? Z odpowiednią odległością między zewnętrzną krawędzią listwy a wewnętrzną ścianą. Wówczas pszczoły nie będą ani produkować wosku, ani budować na dziko.

Musiałem tylko na nią patrzeć. Patrzeć uważnie. Siedziała całkiem spokojnie, ale oczy lśniły, ujawniając jej zapał. Co to ona powiedziała?

Wosk. Dzikie budowanie. Czy istnieje coś między nimi?

Poczułem, że wracają mi siły, podniosłem się.

Punkt zerowy!

GEORGE

Po spotkaniu w tym zasranym banku poszedłem na łąkę nad Alabast River. Teraz była pusta. Tylko kilka uli stało na samym końcu. Niczym się nie różniły od tamtych pozostałych. Nie ma żadnych podstaw, by sądzić, że pszczoły w nich mogły przeżyć.

Obszedłem je łukiem. Wszędzie na trawie widać było ślady po ulach. Była wydeptana, martwa. Ale pomiędzy uschłymi źdźbłami zaczynają kiełkować nowe. Wkrótce wszystkie znaki znikną, nie pozostanie nawet wspomnienie po pszczelich rodzinach, które tu żyły.

Szedłem w stronę, z której dochodziło brzęczenie. Nagle zatęskniłem za użądleniem. Za piekącym bólem. Za opuchlizną. Za tym, by móc przeklinać głośno i z głębi serca.

Raz, tylko jeden raz zostałem dotkliwie pożądlony. Miałem osiem lat. Pamiętam, że siedziałem w kuchni. Mama wróciła ze sklepu. Nie wiem dlaczego, ale akurat tego dnia kupiła mi prezent. Zresztą wiem, to było po to, by mnie udobruchać. Bo po raz trzeci miałem zostać starszym bratem, a ona dobrze wiedziała, że taka informacja nie padnie na podatny grunt. Zabawek nie dostawałem nigdy, z wyjątkiem urodzin i świąt Bożego Narodzenia, ale dzisiaj mama mimo to coś mi kupiła. Samochód zabawkę.

I to nie byle jaki. Hot Wheels. Całą wieczność o takim marzyłem. Nie posiadałem się z radości. Chwyciłem samochód i pobiegłem na łąkę, zanim mama zdążyła cokolwiek powiedzieć na temat swojego brzucha.

Na łące był tata. Stał pochylony, z głową w ulu. Nie zastanawiałem się nad niczym, biegłem prosto na niego.

„Patrz! Zobacz, co dostałem. Spójrz, tato!”

Wtedy dostrzegłem jego spojrzenie za siatką.

„Nie podchodź tu. Uciekaj!”

Ale było za późno.

Przez wiele dni leżałem w łóżku. Nikt nie policzył, ale musiałem mieć ponad sto użądleń. Dostałem wysokiej gorączki. Przyszedł doktor. Dał mi jakieś tabletki, takie mocne, że mogłyby niedźwiedzia zwalić z nóg. A o dziecku w brzuchu dowiedziałem się o wiele później.

Po tym wydarzeniu unikałem użądleń za wszelką cenę. Traktowałem użądlenie jak karę, jakby to był znak, że nie wykonałem porządnie swojej roboty. Nie osłoniłem się. Nie byłem dość ostrożny. Moim celem był sezon bez użądlenia, ale zawsze jakieś się przytrafiło, żaden pszczelarz nie uniknie przez całe lato choćby jednego. Z wyjątkiem bieżącego roku. Do tej pory nie zostałem użądlony ani razu, ale z całkiem innych powodów, niż bym sobie życzył.

Okrążałem ul, byłem coraz bliżej. Pszczoły brzęczały leniwie. Przystanąłem. Starałem się określić zagęszczenie. Nie było ich zbyt dużo. W każdym razie na pewno nie przypadało dwa i pół owada na metr kwadratowy.

Z całej siły tupnąłem w ziemię. Jakaś samotna pszczoła wzbiła się w powietrze.

Użądlij mnie. Użądlij mnie!

Pszczoła żeglowała w powietrzu, odlatywała, daleko ode mnie. Nie chciała oddać mi przysługi.

Odwróciłem się i poszedłem do szopy.

Nie zakupiłem nowych materiałów. Wiosenne zamówienie wciąż leżało ułożone w pachnący świeżością stos. To mnie przeraziło. Między mną a tym stosem płynął czas. Godzina po godzinie. Cała porzucona praca, którą trzeba by było wykonać, aby odtworzyć wszystkie zniszczone ule.

A potem zbudować nowe. Wystarczy tylko zamówić materiał. Bo ule powinienem zbudować własnoręcznie.

Wziąłem jedną deskę, ważyłem w dłoni. Czułem na skórze szorstkie drewno. Wciąż wilgotne. Odpowiednio miękkie. Żywe.

Włożyłem więc rękawice. Pod nimi drewno było tylko martwym materiałem. Wyjąłem ochraniacze na uszy. Ustawiłem piłę. Z uchylonych drzwi na podłogę padało światło. Smuga światła zrobiła się większa, potem wypełnił ją cień. W końcu zniknął.

Odwróciłem się.

Przy drzwiach stała Emma.

Popatrzyła na stos desek, na mnie. Lekko pokręciła głową.

— Co zamierzasz? — pytała, choć znała odpowiedź. Podeszła parę kroków bliżej. — To czyste szaleństwo. — Wskazała głową deski. — Przecież musiałbyś zbudować ich wiele. Potrzebujemy mnóstwa uli.

Jakbym tego nie wiedział. Nie był w pełni świadomy.

Wzruszyłem ramionami, zamierzałem włożyć ochraniacze na uszy, gdy powstrzymał mnie nowy błysk w jej oczach.

— Powinniśmy byli sprzedać — rzekła.

Wypuściłem ochraniacz z ręki. Spadł na podłogę z głośnym trzaskiem.

— Powinniśmy byli sprzedać zimą. Przeprowadzić się. Być teraz na Południu.

Nie dodała nic więcej, nie powiedziała wszystkiego, co myśli. Że powinniśmy byli to zrobić, kiedy mieliśmy szansę, kiedy nasza farma była jeszcze coś warta.

Pochyliłem się, sięgnąłem po ochraniacz, uniosłem go oburącz, jakby jedna ręka nie wystarczyła, jakbym był dzieckiem. Włożyłem ochraniacze na głowę i się odwróciłem.

Nie słyszałem, jak wychodziła. Widziałem tylko plamę światła na podłodze, widziałem, jak robi się większa, jak cień Emmy ją wypełnia, a potem maleje i znika.

Więcej o tym nie rozmawialiśmy. Ona nic więcej nie mówiła. Dni mijały. Pracowałem tak, że na rękach porobiły mi się odciski, plecy bolały, a pokaleczone palce krwawiły. Nie wiem, co robiła Emma. W każdym razie nie wspomniała o tym więcej. Spoglądała tylko na mnie czasami błyszczącymi oczami, a w jej wzroku czytałem: T o t w o j a w i n a.

Próbowaliśmy żyć jak dawniej. Robić te same rzeczy. Codziennie wspólny obiad. Wieczorami telewizja. Emma oglądała wiele seriali, śmiała się i martwiła przed telewizorem, dyskutowała ze mną: „No widziałeś? Nie, tak nie może być. Ale on przecież na to nie zasłużył. No a ona, ta taka ładna… Nie, nie, na Boga”.

I siadywaliśmy na kanapie razem, nigdy każde w swoim fotelu. Emma lubiła, kiedy głaskałem ją po włosach, czochrałem je lekko. Teraz jednak moje dłonie spoczywały na kolanach. Były zbyt obolałe, zbyt pokaleczone.

Pewnego wieczora, kiedy tak siedzieliśmy, zadzwonił telefon. Emma nawet się nie poruszyła, ja też nie.

— Odbierz — powiedziała. Wpatrywała się w telewizor, czekając na zwrot akcji. Napięcie narastało, nie wiadomo, czy wyjdzie blondynka, czy brunetka.

— A może to Tom? — powiedziałem.

— Tak, no i co?

— Lepiej, żebyś to ty z nim porozmawiała.

Popatrzyła na mnie zaskoczona.

— Szczerze mówiąc, George…

— Tak?

— Przecież nie możesz z nim nie rozmawiać.

Nie odpowiedziałem.

Telefon nadal dzwonił.

— Ja nie odbiorę — oznajmiła Emma, zadzierając nos.

— W porządku. W takim razie nie odbieramy — rzekłem.

Ale Emma wygrała, to oczywiste. Wyszedłem do przedpokoju i podniosłem słuchawkę.

To był Lee. Dzwonił, żeby powiedzieć, co tam z jego zbiorami.

— Chodzę na plantację codziennie — oznajmił z radością. — I wszystko rośnie. Mnóstwo dojrzewających owoców.

— Jezu! — jęknąłem. — I to mimo deszczu w czasie kwitnienia?

— Musiały zrobić, co trzeba, kiedy pojawiło się słońce. To naprawdę będzie świetny rok, mimo wszystko. Lepszy, niż sądziłem.

— No to dobrze.

— No tak. Chciałem tylko, żebyś wiedział. Masz dobre pszczoły.

— Miałem — odparłem.

— Co?

— Miałem. Miałem dobre pszczoły.

Po tamtej stronie zaległa cisza. Gęsta, przeciągła.

— Nie. U ciebie też do tego doszło? Pszczoły zniknęły?

— Tak.

— Nie przypuszczałem, że to się rozprzestrzeni tak daleko na północ. Sądziłem, że to tylko na Florydzie i w Kalifornii.

— Jak widać nie. — Próbowałem panować nad głosem, ale on i tak się załamał.

— George, Boże kochany. Co mam powiedzieć?

— Tu nie ma wiele do gadania.

— Nie… Jesteś ubezpieczony.

— Nie od czegoś takiego.

— Ale… Co robisz? Co robisz teraz?

Owijałem sznur telefonu wokół palca wskazującego. Rozdrapał mi miejsce, w które skaleczyłem się przed południem. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Nic.

— George — Lee mówił teraz głośniej. — Gdybym mógł jakoś ci pomóc, to powiedz.

— Dziękuję.

— Mówię szczerze. Naprawdę.

— Wiem o tym.

— Chętnie bym ci pożyczył pieniędzy, ale…

— Ale nie pożyczysz. — Zachichotałem.

On też się roześmiał. Pomyślał pewnie, że dobrze jest zażartować.

— Bo też nie mam pieniędzy. Aż takie dobre to te zbiory nie będą.

— Mimo że dostałeś rabat?

— Tak, mimo że dostałem rabat.

Lee zamilkł na moment.

— Nie powinienem był się na to zgodzić.

— Co masz na myśli?

— No to, że dałeś mi rabat.

— Lee?

— Gdybym wtedy wiedział…

— Lee, zapomnij o tym.

Wyplątałem palec ze sznura. Został mi na ręce spiralny ślad.

— Wiesz co? — rzekł nagle Lee spokojnie. — Bo właściwie to zadzwoniłem, żeby powiedzieć ci coś odwrotnego. Zbiory się nie udały, to były nędzne pszczoły.

Musiałem się roześmiać.

— Dobrze to słyszeć.

— Dobrze, że one zniknęły — stwierdził Lee.

— Tak. Dobrze, że zniknęły.

Znowu zaległa cisza.

— Ale, George, tak między nami. Co zamierzasz zrobić?

— Nie wiem. Może przejdę na kupne ule.

— Kupne? Nie. To przecież twoje dziedzictwo. Te ule to twoje dziedzictwo.

— Akurat teraz nic nie są warte.

— No nie…

Lee głośno przełknął ślinę.

— Ale wiesz, mimo wszystko to… Nie poddawaj się.

— Tak, masz rację.

Nie byłem w stanie powiedzieć nic więcej. Ciepło w jego głosie odebrało mi mowę.

— George? Jesteś tam?

— Tak… — Zaczerpnąłem powietrza, wyprężyłem się. — Jestem tutaj.

Nigdzie się nie wybieram.

TAO

Jakieś dwa kilometry od mieszkania, w którym nocowałam, znalazłam w końcu otwartą stację metra. Wczoraj wieczorem byłam w jej pobliżu, nie wiedząc o tym, szłam w stronę zamieszkanej części miasta. Dwoje ludzi czekało razem ze mną, zataczająca się stara kobieta, chuda, na granicy wyniszczenia, która wlokła się w stronę ławki, oraz mężczyzna, mniej więcej pięćdziesięcioletni, o czujnych oczach, dźwigający ciężką, bezkształtną siatkę. Może plądrował opuszczone domy.

Czekaliśmy pół godziny, aż w końcu wagon ze zgrzytem wjechał na stację. To wszystko trwało zbyt długo. Teraz muszę wracać, muszę znaleźć bibliotekę, muszę znaleźć odpowiedź. Wślizgnęłam się bez biletu, ledwie zauważyłam, że tamta stara kobieta próbuje wsiąść w ostatniej chwili. Dostrzegłam jej spojrzenie i podbiegłam, by pomóc. Dziękowała mi i najwyraźniej chciała o coś zapytać, ale nie byłam w stanie z nią rozmawiać.

W wagonie byłam sama. Najchętniej bym wstała, nie mogłam usiedzieć w spokoju, ale pociąg szarpał tak, że się nie odważyłam. Wagon nie był naprawiany ani czyszczony od bardzo dawna, może od dziesięciu lat. Panował smród, okna pokrywała gruba warstwa tłuszczu, z odciskami tysięcy palców, które otwierały je, kiedy słońce przypiekało, a zamykały w chłodne dni. Po zewnętrznej stronie były pokryte kurzem i błotem. Ogłuszający łoskot, kiedy pociąg przetaczał się przez miejski krajobraz, niemal uniemożliwiał myślenie. Mimo to czułam się niczym zwierzę na tropie, dyszące, świadome celu. W głowie wirowały mi dwie wciąż te same twarze: Wei-Wen i Dai-Yu. Ta sama bladość, ten sam urywany oddech.

Musiałam się przesiadać. Najpierw raz, potem jeszcze dwa razy. Rozkłady jazdy były pozrywane, elektroniczne tablice informacyjne dawno przestały działać. Musiałam długo czekać, za pierwszym razem dokładnie dwadzieścia trzy minuty, następnie czternaście, a potem dwadzieścia sześć.

Po trzech przesiadkach w końcu dotarłam na miejsce. Czułam się niemal, jakbym wróciła do domu. Znajoma okolica, w której znalazłam się po nieobecności dłuższej niż jedna doba. Odczuwałam głód całym ciałem, ale nie miałam czasu, by usiąść i się pożywić, zjadłam tylko paczkę herbatników, którą miałam odłożoną — jeszcze jedną — i spytałam recepcjonistkę, gdzie jest najbliższa biblioteka.

Była tylko jedna. Tylko jedna jedyna otwarta biblioteka w całym Pekinie. Znajdowała się w Xicheng, w prostej linii od hotelu. Po drodze musiałam minąć stary ogród zoologiczny. Ornamenty nad wejściem zostały prawie całkiem zniszczone przez deszcze i wiatry. Rośliny powoli przejmowały władanie nad ogrodem, zarastały płot.

A co się stało ze zwierzętami? Na przykład z gatunkami zagrożonymi wyginięciem? Z ostatnimi misiami koala? Może krążą teraz samotnie po ulicach, może znalazły schronienie w opuszczonych domach. Była to pocieszająca myśl, że nadal mogą żyć tutaj, na ziemi, choć nas, ludzi, zostało tak niewielu.

Plac przed biblioteką był wymarły. Przebiegłam go pośpiesznie, nie miałam czasu się bać. Drzwi wejściowe okazały się tak ciężkie, że przestraszyłam się, czy nie są zamknięte na klucz. Ale kiedy zmobilizowałam wszystkie siły, udało mi się je otworzyć.

Trafiłam do ogromnego pomieszczenia — ściany od podłogi do sufitu założone książkami, tysiącami książek. Na podłodze, w równych szeregach, stało więcej stołów do pracy i krzeseł, niż mogłabym policzyć. Panował półmrok, światło wpływało tylko przez okna w dachu. Wszystkie lampy

zostały zgaszone, wewnątrz nie było nikogo, jakby biblioteka w gruncie rzeczy nie działała.

Podeszłam jeszcze bliżej.

— Halo?

Nikt nie odpowiedział. Podniosłam więc głos:

— Halo!

Nareszcie w drugim końcu lokalu dały się słyszeć kroki. Ukazała się młoda pracownica.

— Dzień dobry.

Miała na sobie uniform, który niegdyś musiał być całkiem czarny, ale od prania i noszenia stał się jasnoszary. Spoglądała na mnie zdumiona. Może jestem tu pierwszym gościem od bardzo dawna?

Kobieta opanowała się szybko, wskazała ręką morze książek.

— Domyślam się, że chcesz coś wypożyczyć. Proszę, obsłuż się.

— A nie muszę się rejestrować? Nie chcesz zapisać mojego nazwiska?

Przyglądała mi się zaskoczona, jakbym powiedziała coś, o czym nie pomyślała. Potem się uśmiechnęła.

— Będzie dobrze.

I zostawiła mnie samą.

Po raz pierwszy od wielu lat znalazłam się w otoczeniu książek, w otoczeniu słów. Mogłabym tu spędzać całe dnie. Tao w czerwonej chuście. Ta, która się wyróżniała. Ale to było inne życie.

Zaczęłam od działu nauk przyrodniczych. Wei-Wen zetknął się z czymś, czego nie toleruje, tam, na polach, przeżył wstrząs alergiczny. Może to ukąszenie węża? Znalazłam jakąś starą książkę o wężach w Chinach. Była wielka i ciężka. Położyłam ją przed sobą na stole i przebiegałam wzrokiem tekst. Wiedziałam, że dawniej w tamtych okolicach żyły kobry, ale teraz już ich nie ma, tak przynajmniej nam mówiono — kobry zjadały traszki, a te

z kolei żywiły się owadami. Gdy liczne gatunki owadów wyginęły, przestał też istnieć powód, dla którego żyły kobry.

Znalazłam pewną fotografię, ciemny wąż ze skórą na szyi wywiniętą niczym kołnierz, spięty, gotowy do ataku, z charakterystycznym zygzakiem na głowie. Czyżby mimo wszystko jeszcze jakieś tam zostały?

Czytałam o ukąszeniach, o występujących symptomach. Pęcherze, bóle, duszności, gorączka, zaczerwienione gardło, problemy z oddychaniem. To trochę przypomina reakcję Wei-Wena.

Nekroza, czytałam dalej, atak kobry chińskiej zawsze prowadzi do nekrozy, martwicy tkanek wokół miejsca ukąszenia, przypominającej zgorzel. Nie widzieliśmy żadnego ukąszenia. Czy nie powinniśmy byli go odkryć? A nawet jeśli nie zauważyliśmy, chociaż to był wąż, kobra, która zaatakowała naszego syna, to przecież coś takiego nie stanowi powodu do utrzymywania całego zajścia w głębokiej tajemnicy, do stawiania namiotów i ogrodzeń, do tego, że odebrano nam dziecko.

Kontynuowałam poszukiwania w dziale medycznym. Jeśli to nie było ukąszenie, to w takim razie co? Gdy przeglądałam leksykony medyczne i podręczniki dla lekarzy, nagle doznałam olśnienia. Może wiedziałam o tym przez cały czas, ale nie byłam w stanie tego zaakceptować, ponieważ to zbyt wielka sprawa, zbyt ważna.

Telefon zadzwonił tylko raz i on od razu odezwał się po drugiej stronie.

— Tao, co się dzieje? Przerwano nam. Gdzie byłaś?

Poprosiłam dyżurną bibliotekarkę, żeby pozwoliła mi zadzwonić. Telefon znajdował się w gabinecie w głębi budynku. Aparat był zakurzony, widocznie od miesięcy nikt go nie używał.

— Nic się nie stało — odparłam, niemal zapomniałam o wczorajszej rozmowie. — Wszystko idzie dobrze.

— Ale… co się dzieje? Sprawiałaś wrażenie takiej… — W jego głosie słyszałam troskę, która zazwyczaj zarezerwowana była dla Wei-Wena.

— Zabłądziłam. Ale odnalazłam drogę — tłumaczyłam pośpiesznie. Musiałam dać mu jakieś wyjaśnienie, by móc posuwać się dalej.

— Myślałem o tobie przez cały dzień.

Jego zmartwienie. Nie byłam w stanie tego słuchać, nie po to telefonowałam. Wczoraj przyjęłabym je z wdzięcznością, teraz tylko mi przeszkadza.

— Zapomnij o tym — powiedziałam. — Zdaje mi się, że odkryłam, co się stało z Wei-Wenem.

— Co?

— Wstrząs anafilaktyczny.

— Anafi…

— To oznacza reakcję alergiczną — odparłam i zdałam sobie sprawę, że mówię powoli, nauczycielskim tonem. Próbowałam to zmienić, nie chciałam go pouczać. — Wei-Wen przeżył szok alergiczny na coś, co znalazł w lesie.

— Dlaczego…? Co cię skłoniło do takich wniosków? — spytał.

— Posłuchaj — powiedziałam. Potem pośpiesznie odczytałam mu tekst o objawach i leczeniu. Recytowałam informacje o trudnościach w oddychaniu, spadku ciśnienia krwi, utracie przytomności, adrenalinie. — Wszystko się zgadza — zakończyłam. — On tak właśnie reagował.

— Czy Wei-Wen dostał adrenalinę? — spytał Kuan.

— Co masz na myśli?

— Czy dostał adrenalinę, kiedy po niego przyjechali? Powiedziałaś, że trzeba dać adrenalinę, kiedy stan zagraża życiu.

— Nie wiem. Nie widziałam, żeby coś mu dawali.

— Ja też nie.

— Ale mogli to zrobić w karetce.

Kuan umilkł, słyszałam tylko jego cichy oddech.

— To brzmi rozsądnie — rzekł w końcu.

— Bo naprawdę tak jest. Tak musi być — odparłam.

Kuan nie odpowiadał. Myślał. Wiedziałam o czym. O tym samym, o czym ja myślałam po przebudzeniu w tamtym opuszczonym mieszkaniu. Nareszcie przyszły właściwe słowa.

— Ale czy on miał na coś alergię?

— To mogło być coś, co zjadł — powiedziałam.

— Tak… Ale co takiego? Śliwki? A może znalazł coś w lesie?

— Sądzę, że to było coś, co tam znalazł, ale tego nie zjadł.

Kuan milczał, być może nie rozumiał.

— Nie wierzę, że to było jedzenie — mówiłam dalej. — Myślę, że to pochodziło z zewnątrz.

— Tak?

— Najpierw myślałam, że to było ukąszenie węża. Ale to się nie zgadza, objawy są inne.

Kuan nie odpowiadał, po prostu czekał. Jego oddech w słuchawce telefonicznej był przyśpieszony.

— Nie sądzę, że to było ukąszenie. To było użądlenie!

WILLIAM

Hertfordshire, 4 sierpnia 1852

Szanowny Panie Dzierzon,

Piszę do Pana jako do kolegi, choć Pan prawdopodobnie nie zna mojego nazwiska. Niemniej my dwaj mamy ze sobą wiele wspólnego i dlatego uważam za absolutną konieczność nawiązanie kontaktu. Niżej podpisany od dłuższego czasu śledził Pańską działalność, a moje zainteresowanie wzbudziły szczególnie Pańskie dokonania w zakresie nowych standardów budowy pszczelich uli. Nie mogę zrobić nic innego, jak tylko wyrazić swój bezgraniczny podziw dla Pańskiej wybitnej pracy, badań, które Pan podjął, i w końcu dla ula jako takiego, który został przedstawiony w „Eichstadt Bienenzeitung”.

Również niżej podpisany pracował nad udoskonaleniem ula opartego częściowo na tych samych zasadach co Pańskie, czym teraz, z całą nieśmiałością, chciałbym się z Panem podzielić w nadziei, że być może zechce Pan poświęcić odrobinę swojego drogocennego czasu i przekazać mi uwagi na temat mojej pracy. Wynalazek Hubera wcześnie przekonał mnie o tym, że należy stworzyć ul, który umożliwi wyjmowanie ramek bez uśmiercania pszczół, a nawet wywoływania u nich lęku. Lektura jego notatek dała mi też poczucie, że w znacznie większym stopniu niż pierwotnie sądzono jesteśmy w stanie oswajać te bajeczne istoty. Zrozumienie tego było kluczowe dla mojej dalszej pracy.

Najpierw zbudowałem ul podobny do Pańskiego, z wejściem z boku i podnoszonym dachem. To posunięcie nie stanowiło jednak rozwiązania dla

wszystkich pozostałych wyzwań. Jak Pan z pewnością sam doświadczył, w tym modelu wyjmowanie ramek nie jest łatwą operacją, raczej wymaga czasu i poświęcenia, poza tym musi to być wykonywane niestety zarówno kosztem pszczół, jak i ich urobku.

Ale czasami człowiek doznaje olśnienia, które zmienia wszystko. U mnie ten moment nastał w pewne letnie popołudnie, kiedy leżałem na ziemi w lesie, pogrążony w akademickiej kontemplacji. Przez cały czas wyobrażałem sobie ul jako dom z oknami i drzwiami, taki jakim jest również Pański ul. To dom. Ale dlaczego nie potraktować tego całkiem inaczej? Bo pszczoły nie muszą przecież być takie jak my, jak ludzie — mogą zostać przez nas oswojone, być nam podporządkowane. Tak, niebo spojrzało na mnie łaskawie i może jeszcze Bóg Ojciec, wierzę, że naprawdę tego letniego popołudnia musiał dotknąć mnie palec Boży, i tak też my powinniśmy postrzegać pszczoły. Powinniśmy nad nimi panować.

Wszystko się zmieniło, kiedy zacząłem myśleć w ten sposób. I uznałem, że wejście do ula powinno się znajdować u góry. To zaś doprowadziło mnie do idei, w której to sprawie obecnie zwracam się do Pana: moje przenośne ramki, które wkrótce zostaną opatentowane. W nich umieszcza się plastry tak, że nie mają kontaktu ze ściankami ula, ani od góry, ani od dołu, ani po bokach. Dzięki tej poprawce jestem w stanie wyjmować lub przesuwać plastry według własnego uznania, nie kalecząc ich, ani nie czyniąc szkody pszczołom. Mam w ten sposób również swobodę przenoszenia pszczół do innych uli i zachowuję w wyższym niż przedtem stopniu kontrolę nad nimi.

A jak, spyta Pan z pewnością, zapobiega się temu, by pszczoły nie przymocowywały plastrów za pomocą wosku i propolisu do boków lub do innych plastrów, ani nie budowały na dziko? Proszę bardzo, już to wyjaśniam. Poprzez wyliczenia i eksperymenty prowadzone przez dłuższy czas ustaliłem rozstrzygającą cyfrę. I to, mój dobry Przyjacielu, jeśli

pozwoli Pan, że będę go tak nazywał, jest dziewiątka. Między plastrami musi być dziewięć milimetrów. Dziewięć milimetrów musi dzielić plastry od boków, od dna i od dachu, ani mniej, ani więcej.

Mam nadzieję i wierzę, że „standardowy ul Savage'a" wkrótce będzie można znaleźć w całej Europie, a może nawet poza granicami kontynentu. Podczas mojej pracy naczelną zasadą była prostota, ważną rolę odgrywają też aspekty praktyczne, tak by ul mógł być używany przez wszystkich, od początkujących pszczelarzy po tych najbardziej doświadczonych, posiadających setki uli. Ale co najważniejsze, jak mam nadzieję, ten ul uprości badania obserwacyjne, prowadzone przez nas, przyrodników, tak, byśmy nadal mogli się zagłębiać w temat i dokonywać nowych odkryć związanych z tymi istotami, tak bezgranicznie fascynującymi i równie ważnymi dla nas, ludzi.

Wystąpiłem już o patent dla mojego wynalazku, ale jak Pan z pewnością rozumie, czas załatwiania takich próśb bywa długi. Tymczasem bardzo jestem ciekaw Pańskiej oceny mojej pracy. Co więcej, może Pan sam zechciałby spróbować stworzyć ul według moich zasad? To by było dla mnie zaszczytem większym, niż może sobie Pan to wyobrazić.

Z największą pokorą
William Atticus Savage

Pierwszy powóz zajechał na dziedziniec. Serce mi podskoczyło, bo teraz to się naprawdę zaczyna. Włożyłem swoje najlepsze ubranie, starannie wyprasowane, byłem umyty i świeżo ogolony, sczyściłem kurz z filcowego kapelusza. Oto przybyli goście, a ja jestem gotów.

Ule stały w dwóch szeregach na skraju posiadłości. Tak, teraz jestem właścicielem wielu, Conolly naprawdę miał ręce pełne roboty. Połączone brzęczenie tysięcy pszczół jest takie głośne, że słychać je nawet w domu.

Moje pszczoły; udomowione przeze mnie, moje podpory, które naprawdę reagują posłusznie na moje najlżejsze skinienie, kiedy dzień po dniu wszystkie, co do jednej, wypracowują maleńki wkład, by wypełniać ul mieniącym się żółtym miodem, i pracują, jak mogą, by ule rozrastały się, rozwijały i mieściły coraz więcej podwładnych.

W ciągu ostatnich tygodni wysłałem wiele zaproszeń na moją pierwszą prezentację „standardowego ula Savage'a". Zaproszenia zostały przekazane miejscowym gospodarzom, ale także przesłane przyrodnikom w stolicy. I do Rahma. Wielu mi odpowiedziało, ale on nie. Z pewnością jednak przybędzie. Musi przyjechać.

Edmund też był gotowy. Odniosłem wrażenie, że zrozumiał powagę wydarzenia. Tak, chociaż Thilda na pewno z nim rozmawiała. Bo nie jest jeszcze za późno, chłopak jest młody, w tej fazie życia, w której łatwo ulega się wpływom, łatwo dać się uwieść prostym radościom. Podążać za własną pasją, jak on to określił, a ja przyjąłem ten argument z najwyższym szacunkiem. Teraz należało się postarać, by znalazł coś możliwie najbardziej wartościowego. Miałem nadzieję, że uzyska inspirację w bezpośrednim zetknięciu z naturą, w udziale w badaniach. Że duma, jaką mogę w nim wzbudzić, duma z tego, że jest częścią naszej rodziny, że ma obowiązek przekazać dalej nazwisko, naprowadzi go na tę ścieżkę.

Kobiety z naszej rodziny wspólnie przeniosły krzesła i ławy w pobliże uli. Tam publiczność będzie siedzieć podczas prezentacji. Dziewczęta i Thilda kroiły, smażyły, gotowały i piekły w kuchni przez wiele dni. Należało przygotować poczęstunek, to oczywiste, że należało, nawet gdyby trzeba było wydać nasze ostatnie pieniądze, ba, również pieniądze przeznaczone na kształcenie. Chodziło bowiem wyłącznie o krótkotrwałą inwestycję, bo po tym dniu wszystko się rozwiąże, o tym byłem przekonany.

Charlotte przez cały czas była u mojego boku. Od tamtego spotkania w lesie wszystko robiliśmy razem. Udzielał mi się jej spokój, jej zapał przechodził na mnie. To był także jej dzień. Ale za naszym milczącym porozumieniem jej biały pszczelarski strój został w szafie na ubrania w pokoju dziewcząt. Charlotte znalazła się wśród swoich sióstr i wyglądało na to, że świetnie sobie radzi zarówno z tacą pełną kanapek, jak i z zarumienionymi policzkami.

Od czasu do czasu jednak posyłała mi zadowolony przelotny uśmiech, który mówił, że czeka na rezultaty z taką samą niecierpliwością jak ja.

Pierwszy powóz zatrzymał się przede mną, byłem gotów do powitania. Najpierw jednak zobaczyłem, kto przyjechał. Conolly. Tylko Conolly.

Wyciągnąłem do niego rękę, ale on jej nie przyjął, poklepał mnie tylko po ramieniu.

— Cieszyłem się na przyjazd tutaj przez cały tydzień — rzekł z uśmiechem. — Nigdy przedtem nie uczestniczyłem w czymś takim.

Odpowiedziałem mu także uśmiechem, próbowałem być trochę wyniosły, nie chciałem przyznać, że też nie uczestniczyłem w niczym podobnym. Ujął mój łokieć.

— Widzę, jak się cieszysz.

W końcu stanęliśmy tam, jak dwaj mali chłopcy w pierwszy dzień szkoły i przestępowaliśmy z nogi na nogę.

Najpierw przyjechali miejscowi gospodarze — dwaj, którzy już hodują pszczoły, i jeden rozważający taką możliwość. Schodzili spacerem w dół do uli, gdzie na nich czekaliśmy.

Trochę później przybyli konno dwaj nieznani mi panowie. Obaj mieli na sobie ubrania do konnej jazdy i filcowe kapelusze pokryte kurzem, jakby jechali z daleka. Zeskoczyli z siodeł, podeszli do mnie i dopiero wtedy rozpoznałem swoich dawnych kolegów ze studiów. Obaj mieli spore łysiny,

duże brzuchy i twarze poryte porowatą skórą oraz zmarszczkami. Jak oni się postarzeli; nie, nie oni — my. Jacy zrobiliśmy się starzy.

Przywitali się, podziękowali za zaproszenie, rozejrzeli się wokół, kiwając głowami z uznaniem. Zastanawiali się, jakie możliwości daje mieszkanie tutaj, w jedności z naturą, w porównaniu do takiego życia, jakie oni wybrali dla siebie, w miejskiej dżungli, gdzie zamiast drzew stoją budynki z cegły, urodzajna ziemia pokryta jest brukiem, a wszystko, co się widzi, kiedy uniesie się głowę ku niebu, to kolejne piętra domów, dachy i kominy.

Ludzi wciąż przybywało; kolejni gospodarze, niektórzy tylko z ciekawości, a w dodatku trzech zoologów ze stolicy, którzy przyjechali przedpołudniowym dyliżansem i zostali wysadzeni na drodze poniżej posiadłości.

Ale Rahma wśród nich nie było.

Wszedłem pośpiesznie do domu, sprawdziłem na kominkowym zegarze, która godzina. Chciałem zacząć punktualnie. Dopiero wtedy, kiedy goście będą na miejscach, miałem zejść na dół i stanąć przed nimi. A Edmund, mój pierworodny, miał pozostać wśród zgromadzonych, miał mnie widzieć, kiedy tak stoję przed wszystkimi.

Zegar wskazywał wpół do drugiej. Ludzie zaczynali się trochę niecierpliwić, niektórzy dyskretnie wyjmowali zegarki z kamizelek, zerkali na nie ukradkiem. Dość długo częstowali się jedzeniem i napojami, które serwowały Thilda z dziewczętami, byli prawdopodobnie syci. Zrobiło się gorąco, wielu zdjęło kapelusze i ocierało chusteczkami spocone karki. Mój kapelusz też parzył i uciskał mnie w głowę, utrudniając myślenie. Zacząłem żałować, że tak się ubrałem. Coraz więcej gości spoglądało na ule, a potem przenosiło pytający wzrok na mnie. Rozmowy toczyły się beznamiętnie, sam też prawie się nie odzywałem, nie byłem w stanie skupić uwagi na

słuchaczach, stale wyglądałem Rahma. Wciąż go nie ma. Dlaczego nie przyjechał?

Mimo wszystko trzeba zaczynać. Musiałem to zrobić.

— Przyprowadź dzieci — powiedziałem do Thildy.

Skinęła głową. Mówiąc cicho, zaczęła gromadzić przy sobie dziewczynki, Charlotte poszła po Edmunda.

Spokojnie ruszyłem w stronę uli, goście zauważyli, że w końcu coś się dzieje. Tłumione rozmowy ucichły, wszyscy podążali za mną.

— Drodzy panowie, bądźcie uprzejmi zająć miejsca — rzekłem, wskazując krzesła.

Nie trzeba było dwa razy prosić. Krzesła znajdowały się w cieniu, ludzie już od dawna do nich tęsknili.

Kiedy większość usiadła, stwierdziłem, że przesadziliśmy. Nie przyszło aż tylu gości, ilu się spodziewaliśmy. Ale były moje córki, był też Edmund. Świetnie wypełnili puste miejsca. Rozproszyli się, jak to tylko dzieci potrafią, i zasłonili największe dziury.

— No dobrze. Wygląda na to, że wszyscy są na miejscach — zacząłem. Ale miałem wielką ochotę wykrzyczeć coś dokładnie przeciwnego. Bo jego brakuje! Bez niego ten dzień nie ma sensu.

Ale wtedy spojrzałem w oczy siedzącego Edmunda. Owszem, ma sens. Przecież zrobiłem to wszystko dla mego syna.

— Teraz muszą mi państwo wybaczyć, bo powinienem włożyć kostium ochronny. — Próbowałem się uśmiechać. — Zwłaszcza jeśli nie jest się Wildmanem. — Wszyscy, nawet gospodarze, roześmiali się głośno i długo. A mnie się wydawało, że opowiedziałem żart zrozumiały dla niewielu, powiedziałem coś, co powinno odróżnić „ich” od „nas”. Ale to bez znaczenia. To, co liczy się teraz, to ul, a wiedziałem bardzo dobrze, że takiego oni nigdy nie widzieli.

Pośpiesznie się przebrałem, zdjąłem ciężkie wełniane ubranie i włożyłem biały kostium. Cienki materiał przyjemnie chłodził ciało, to, że mogłem zdjąć czarny filcowy kapelusz, sprawiło mi wielką ulgę. Zastąpiłem go białym lekkim kapeluszem pszczelarza z cieniutką siatką zasłaniającą twarz.

Wyjrzałem przez okno. Wszyscy siedzieli spokojnie na krzesłach i ławach. Teraz muszę to zrobić, z nim lub bez niego. Niech diabli wezmą Rahma. Oczywiście, że dam sobie radę bez jego marudzenia i obnoszenia się z wiedzą!

Wyszedłem z domu i ścieżką ruszyłem w stronę uli. Nie była szeroka, stary powóz Conolly'ego zostawił głębokie ślady, gdzieniegdzie nawet dziury, kiedy przewoziłem ule. Conolly nie odważył się podejść bliżej, a ja z wielkim trudem zdołałem wyprowadzić powóz z powrotem na górę.

Twarze zgromadzonych uśmiechały się do mnie, wszystkie w przyjaznym oczekiwaniu. To mnie uspokoiło. Stanąłem więc przed nimi i zacząłem mówić. Nareszcie, po raz pierwszy mogłem podzielić się ze światem swoim wynalazkiem. Nareszcie mogłem opowiedzieć o standardowym ulu Savage'a.

Potem wszyscy do mnie podchodzili, jeden po drugim ściskali mi rękę. „Fascynujące, zaskakujące, imponujące". Pochwały spadały na mnie jak deszcz, nie byłem w stanie rozróżniać, co kto mówi, wszystko zlewało się w jedno. Ale co najważniejsze, Edmund tam był i wszystko widział. Spojrzenie miał jasne i żywe, ciało tym razem nie wyrażało niepokoju ani słabości. Jego uwaga skupiona była na mnie przez cały czas.

Widział wszystko, wszystkie dłonie, nawet te ostatnie, które się do mnie wyciągały.

Zdjąłem rękawicę i czyjeś chłodne palce dotknęły moich. Drgnąłem.

— Gratuluję, Williamie Savage'u.

Uśmiechnął się, nie tylko przelotnie, uśmiech pozostał na jego wargach długo, rozjaśniał jego twarz, naprawdę był na miejscu.

— Rahm.

Tamten trzymał moją rękę i drugą wskazywał ule.

— To było coś innego.

Ledwo mogłem mówić.

— Ale… Kiedy pan przyjechał?

— Wystarczająco wcześnie, by usłyszeć to, co najważniejsze.

— Nie… Nie widziałem pana.

— Ale ja widziałem ciebie, Williamie. A poza tym…

Pogłaskał lewą ręką moje ramię. Poczułem, że włosy stają mi dęba, ogarnęło mnie cudowne drżenie.

— …wiesz, że nie mam odwagi zbliżać się do pszczół bez odpowiedniego ubioru. Dlatego zostałem tutaj, całkiem z tyłu.

— A ja… Nie sądziłem…

— Rozumiem. A jednak tu jestem.

Położył mi obie ręce na ramionach. Ich ciepło mnie przeniknęło, pobudziło krążenie krwi. Kątem oka zauważyłem Edmunda. Był tam nadal, nie spuszczał z nas oczu, ze mnie, był wciąż tak samo uważny i trzeźwy. On to widział.

TAO

Spędziłam w bibliotece cały dzień. Czytałam książki, stare artykuły poświęcone badaniom, piętro niżej oglądałam filmy na zniszczonych odtwarzaczach. Musiałam nabrać pewności.

Wiele tych materiałów było na poziomie szkolnym. Czułam się, jakbym znowu znalazła się na lekcjach przyrody, podczas których nauczyciel wykładał takim głosem, jakby wieszczył nadejście sądnego dnia, tak nudnych, że szybko ochrzciliśmy je mianem lekcji historii snu. Byliśmy zbyt mali, by rozumieć rozmiary tego, co próbował nam wyjaśnić. Kiedy nauczyciel wpatrywał się w nas swoimi otoczonymi siatką zmarszczek oczyma, odwracaliśmy się ku światłu słonecznemu wpadającemu przez okno i doszukiwaliśmy się kształtów w płynących po niebie chmurach lub spoglądaliśmy na ścienny zegar, by sprawdzić, ile czasu zostało jeszcze do przerwy.

Teraz odnajdowałam wszystkie fakty, które wtedy nauczyciel wbijał nam do głów. Niektóre daty nadal miałam w pamięci. 2007. W tym roku Zapaść otrzymała nazwę. CCD — *Colony Collapse Disorder.*

Ale to zaczęło się dużo wcześniej. Znalazłam film o rozwoju pszczelarstwa w minionym stuleciu. Po drugiej wojnie światowej hodowla pszczół stała się kwitnącą gałęzią gospodarki, obejmującą swoim zasięgiem cały świat. Tylko w USA znajdowało się 5,8 miliona pasiek. Ale liczby zaczęły spadać — zarówno tam, jak i w pozostałych częściach globu. W 1988 roku liczba uli zmniejszyła się o połowę. Śmierć pszczół dawała się we znaki w wielu regionach, w Syczuanie na przykład już w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Ale dopiero gdy dotarła do USA

— gdzie w latach 2006 – 2007 hodowcy w ciągu zaledwie kilku tygodni stracili wszystko — zapaść otrzymała tę nazwę. Może dlatego, że stało się to w USA, bo w tamtych czasach nic nie było naprawdę wielkie, dopóki nie wydarzyło się w Stanach. Masowe ginięcie pszczół w Chinach nie zasłużyło na ogólnoświatową diagnozę. Tak było wtenczas. Później wszystko się odwróciło.

O CCD napisano mnóstwo książek. Przeglądałam je, ale nie znalazłam jednoznacznej odpowiedzi. Badacze nie byli zgodni co do przyczyny Zapaści, bo nie istniała jedna określona. Było ich wiele. Za pierwszą uznano trujące środki do oprysku roślin. W Europie zakazano wtedy, aż do roku 2013, stosowania pewnych rodzajów pestycydów, później zakazem objęto resztę świata. Tylko w USA stosowano je nadal. Niektórzy badacze uważali, że trucizna działa na wewnętrzny system nawigacyjny pszczół i nie pozwala im odnaleźć powrotnej drogi do ula. Środki trujące działały na system nerwowy małych owadów i wielu wierzyło, że jedną z przyczyn śmierci pszczół są właśnie te substancje. Mówiono, że zakaz wprowadzano zgodnie z zasadą ostrożności. Ale wyniki badań nie były wystarczająco jasne. Z drugiej strony konsekwencje zakazu stosowania trucizn były znaczne. Całe zbiory ulegały zniszczeniu przez szkodniki, co z kolei powodowało dotkliwe niedobory jedzenia. Nowoczesne rolnictwo nie jest w stanie obejść się bez środków ochrony roślin. W porównaniu z tym pozytywne skutki zakazu okazały się zbyt nikłe. Pszczoły ginęły i tak. W 2014 roku w Europie stwierdzono brak siedmiu miliardów pszczół. Niektórzy twierdzili, że trucizny odkładają się w ziemi, pszczoły giną więc, ponieważ trucizny nadal działają.

Ale mało kto tego słuchał. Po pewnym okresie próby zakaz zniesiono. Opryski nie stanowiły wszak jedynego powodu. Innym był *Varroa destructor* — maleńki pasożyt, rodzaj roztocza, atakujący pszczoły. Osadza

się on na ich ciałach w postaci dużych bąbli, wysysa hemolimfę, a ponadto rozsiewa wirusy, które wykrywa się często dopiero po dłuższym czasie.

Mówiło się też o ekstremalnych stanach pogodowych. Świat powoli wchodził w nowy klimat. Od roku 2000 proces ten systematycznie przyśpieszał. Suche, upalne lata bez kwiatów i nektaru zabijały pszczoły. Surowe zimy robiły to samo. Do tego jeszcze opady. Podczas deszczu pszczoły, podobnie jak ludzie, chronią się pod dachem. Mokre lata oznaczają dla nich powolną śmierć.

Kolejnym problemem stało się monokulturowe rolnictwo. Dla pszczół świat stawał się zieloną pustynią. Mila po mili pola, na których uprawiano tę samą roślinę, brak wolnych obszarów. Rozwój ludzkości nabierał tempa, pszczoły za nim nie nadążały. No i ginęły.

Bez pszczół tysiące hektarów uprawnej ziemi leżały odłogiem. Kwitnące pola bez jagód, drzewa bez owoców. Nagle produkty rolne, które dawniej stanowiły codzienne pożywienie, stały się deficytowe: jabłka, pomarańcze, cebula, brokuły, marchew, borówki, orzechy i ziarno kawowe.

Produkcja mięsa zmniejszała się od lat trzydziestych XXI wieku, bo podstawowej paszy dla zwierząt domowych nie można było już produkować. Ludzie musieli radzić sobie także bez mleka i sera, również z tego samego powodu — zwierzęta nie miały dość pokarmu. O produkcji biopaliw, które miały zastąpić ropę naftową, trzeba było zapomnieć, bo ona także uzależniona była od zapylania roślin. Powrócono do energii ze źródeł nieodnawialnych, co z kolei pogłębiało globalne ocieplenie.

Równocześnie wyhamował wzrost populacji ludzi. Najpierw się zatrzymał, potem wskaźniki zaczęły spadać. Po raz pierwszy w historii ludzkości przestało nas przybywać. Gatunek wymierał.

Śmierć pszczół dotykała różne kontynenty w różnym stopniu. Rolnictwo amerykańskie pierwsze doświadczyło kryzysu, Amerykanie nie radzili

sobie z ręcznym zapylaniem tak dobrze jak Chińczycy. Nie mieli dość siły roboczej. Była to praca żmudna, ciężka i kosztowna. Import siły roboczej także nie rozwiązywał problemów, tych ludzi też trzeba było karmić, choć byli bardziej pracowici i wytrzymali niż Amerykanie, produkowali niewiele więcej jedzenia, niż sami zjadali. Zapaść w USA doprowadziła do światowego kryzysu żywnościowego. W tym czasie pszczoły ginęły również w Europie i Azji. Ostatnim kontynentem dotkniętym nieszczęściem była Australia. Dokumentacja z roku 2028 wyjaśniła mi dlaczego. Australia była nadzieją wszystkich, tam nie dotarł jeszcze *Varroa destructor*. Poza tym wydawało się, że tamtejsze pszczoły nie reagują na trujące środki w tym samym stopniu, co w pozostałych częściach świata. Z Australii sprowadzano zdrowe pszczoły, ich hodowla stała się z czasem wielką gałęzią gospodarki. Australijczycy natomiast wyrośli na główną nację badaczy pszczół.

Nikt nie wiedział, jak to się stało, ale pewnego wiosennego dnia w roku 2027 pszczelarz w Avon Valley zauważył, że w jego ulach dzieje się coś niedobrego. Mark Arkadieff prowadził ekologiczną pasiekę. Wszystko wykonywał, jak należy. Zapylanie w niedużej skali, tylko kilka uli przenoszono za jednym razem, oszczędnie i ostrożnie, i tylko do gospodarstw, które mogły zagwarantować, że nie stosują pestycydów. Zajmował się swoimi pszczołami bez zarzutu, zmieniał podkładki, gdy były zabrudzone, dbał, by pszczoły zawsze miały pod dostatkiem pokarmu. Arkadieff mawiał, że to pszczoły są jego właścicielkami, a nie odwrotnie. Był ich pokornym sługą, to one kierowały jego życiem, decydowały o rytmie jego roku, o tym, kiedy wstaje i kiedy się kładzie. Swojej żonie, Iris, oświadczył się w czasie, kiedy ostrożnie próbowali skierować rojącą się pszczelą rodzinę do nowego ula. Fakt, że to akurat pasieka Arkadieffa, Happy Bees Honey Farm, była pierwszym miejscem na kontynencie

australijskim, w którym pojawiła się zaraza, wydawał się niczym niezawiniony. Przypuszczalnie stało się to za sprawą jego siostry. Kobieta mieszkała w Kalifornii i dopiero co spędziła dwa tygodnie na farmie. Zarazki musiała przywieźć ze sobą w bagażu. Przyczyną mogły też być robocze ubrania, które zamówili w Korei Południowej. Kiedy otworzyli paczkę zawiniętą w szary papier i wyjęli dwa praktyczne kombinezony do pracy w gospodarstwie, nikt niczego nie zauważył. Niewykluczone zresztą, że coś mogło być w nawozie, który właśnie sprowadził sąsiad, w wielkich workach produkowanych w Norwegii. Mark nie wiedział, jego żona też nie. Wiedzieli jedynie, że tej wiosny ich pszczoły zachorowały, a oni tego nie zauważyli, dopóki nie było za późno. Mark wszystkim opowiadał swoją historię — że nie był w stanie ukryć łez, kiedy otwierał puste ule z kilkoma zaledwie konającymi pszczołami na dnie.

Od tej chwili już żaden kraj nie był bezpieczny. Świat stanął wobec największego wyzwania w historii ludzkości. Podjęto ostatni wysiłek: *Varroa destructor* został pokonany. W niektórych miejscach próbowano przekształcić monokulturowe dotychczas rolnictwo. Między polami zakładano rabaty kwiatowe. Ponownie zakazano używania środków owadobójczych. Ale w rezultacie większość zbiorów bywała zjadana przez szkodniki.

Angielscy badacze wprowadzili eksperymenty z roślinami modyfikowanymi genetycznie, roślinami, które wytwarzają te same feromony co owady — *E-beta-farnesene*. Owady wydzielają te substancje, by sygnalizować innym, że w pobliżu czai się niebezpieczeństwo. Teraz te zmodyfikowane genetycznie rośliny zaczęto uprawiać w coraz większym zakresie. Po nowe standardy jako pierwsze sięgnęły Chiny, bo desperacko potrzebowały żywności. Mówiono, że feromony nie będą działać na pszczoły, one ich nawet nie zauważą. Obrońcy środowiska protestowali

głośno, twierdzili, że pszczoły zareagują na feromony tak samo jak szkodniki. Ale ich nie słuchano. Twierdzono, że jest to sytuacja, w której racja jest po obu stronach. Ludzie mogą dalej prowadzić działalność rolniczą na skalę przemysłową — nie znano już wówczas innej produkcji — a pszczoły unikną kontaktu z trującymi pestycydami.

Wobec tego pola zapełniły się genetycznie modyfikowanymi roślinami, efekty były dobre. Tak dobre, że zaryzykowano ich uprawę na całym świecie. Od tej pory rośliny te zaczęły się rozprzestrzeniać w szalonym tempie. Zastąpiły wszystko. Ale pszczoły umierały nadal i zjawisko wciąż przybierało na sile. W 2029 roku w Chinach brakowało stu miliardów pszczół. Nigdy stanowczo nie stwierdzono, że pszczoły rzeczywiście reagują na feromony. Zresztą było na to za późno. Rośliny bowiem pleniły się też dziko. Wzdłuż rowów rosły również te, które odstraszały owady.

Świat wstrzymał oddech.

W bibliotece znalazłam wywiady z pszczelarzami ze wszystkich części świata. Byli bezradni. O kryzysie wypowiadali się głównie przedstawiciele hodowców. Niektórzy, wściekli, przysięgali, że będą walczyć, ale w miarę upływu czasu w ich wypowiedziach coraz częściej pojawiała się rezygnacja. Gdybym oglądała te filmy wcześniej, nie zwróciłabym na nie uwagi. To były świadectwa z innego czasu. Wycieńczeni ludzie w zniszczonych ubraniach, ostre rysy, ogorzała skóra, banalny język, ze mną nie mieli oni nic wspólnego. Teraz patrzyłam na każdego pojedynczego człowieka, przejmowałam się każdą osobistą katastrofą. Każdy z tych ludzi zostawiał ślad.

GEORGE

Pewnego dnia zjawił się Tom. Może Emma do niego zadzwoniła. Dotarł do mnie jego głos, kiedy otworzyłem drzwi. Pracowałem w szopie, w ochraniaczach na uszach, nie słyszałem, żeby jakiś samochód przyjechał lub odjeżdżał, żadnych rozmów na dziedzińcu, żadnego wołania Emmy, nic.

Głos dorosłego mężczyzny. Najpierw nie zorientowałem się, kto to może być. W końcu zrozumiałem, że to on. Ma teraz właśnie taki głos. Pobiegłem przez dziedziniec. Tom przyjechał! Emma widocznie powiedziała mu, jaka jest nasza sytuacja. Pewnie stale ze sobą rozmawiają, no i on przyjechał, żeby pomóc. Z nim wszystko będzie łatwiejsze. Z nim dam radę. Będę heblował i przycinał po dwadzieścia godzin na dobę. Będę pracował ciężej niż kiedykolwiek przedtem.

Ale zaraz usłyszałem, o czym mówi. Opowiadał o swojej pracy w lecie, z przejęciem. Zatrzymałem się. Stałem. Nie mogłem się zmusić do wejścia.

— To było o pomidorach, ale to nic — mówił Tom. — Wszystko jest na swój sposób interesujące, kiedy dowiesz się o tym więcej. Nigdy przedtem nie widziałem takich ogromnych pomidorów. A gospodarz, który wygrał konkurs, był strasznie dumny. Mój tekst poszedł na pierwszą stronę, wyobraź sobie! To pierwsza rzecz, jaką napisałem, wydrukowana na pierwszej stronie.

Położyłem rękę na klamce. Emma śmiała się i wychwalała go bezwstydnie, jakby był pięciolatkiem, który właśnie nauczył się jeździć na rowerze.

Nacisnąłem klamkę i otworzyłem drzwi. Wtedy nagle zrobiło się cicho.

— Cześć! Nie wiedziałem, że przyjechałeś.

— O, jesteś — zwróciła się do mnie Emma.

— Chciałem zrobić mamie niespodziankę — wyjaśnił Tom.

— Pokonał tę całą długą drogę, chociaż w niedzielę musi wracać — cieszyła się Emma.

— Miało to jakiś sens? — spytałem.

— To przecież urodziny mamy — odparł Tom.

O tym zapomniałem. Policzyłem szybko i wyszło mi, że urodziny będą dopiero jutro.

— No i chciałem zobaczyć, jak wam idzie — dodał cicho.

— A jaki to ma sens?

— George! — skarciła mnie Emma.

— Tutaj idzie dobrze — odpowiedziałem Tomowi. — Ale świetnie, że przyjechałeś na urodziny mamy.

Następny dzień uczciliśmy rybą. Nie jedliśmy ryby od ostatniego pobytu Toma w domu. Opowiadał historię lokalnej gazety, w której pracuje. Nie powiedział tego wprost, ale domyśliłem się, że bardzo go tam chwalą. Redaktor uważa, że Tom ma dryg do tej roboty, cokolwiek to znaczy. Emma śmiała się przez cały czas. Mój Boże, już prawie zapomniałem, jak brzmi ten śmiech.

Pojechałem do miasta i kupiłem dla Emmy w prezencie drogie rajstopy oraz krem do rąk.

— O! W tym roku niczego nie potrzebowałam — skwitowała Emma, kiedy otworzyła paczkę.

— To oczywiste, że musisz dostać prezent — odparłem. — Poza tym to są pożyteczne rzeczy, przydadzą ci się.

Emma pokiwała głową, mruknęła „dziękuję”, ale zauważyłem, że jej wzrok wędruje w stronę na pół zdartej nalepki z ceną, zastanawiała się

pewnie, ile wydałem pieniędzy.

Tom dał jej grubą książkę z obrazem chłopskiej zagrody we mgle na okładce. Emma lubi książki, które może długo czytać.

— Kupiłem za pierwszą wypłatę — poinformował z uśmiechem.

Za ten prezent Emma dziękowała długo, uradowana. Potem nagle zrobiło się cicho. Tom zjadł kawałek ryby. Przeżuwał wolno.

Zauważył, że na niego patrzę.

— No to opowiadaj, tato — rzekł nieoczekiwanie.

Czy ma na myśli pszczoły? Pewnie chce po prostu być uprzejmy.

— Oczywiście. Słuchaj teraz. Był sobie pewnego razu… — zacząłem.

— George! — krzyknęła Emma.

Tom nadal mi się przyglądał tym samym zdziwionym wzrokiem.

— O pszczołach rozmawialiśmy trochę z mamą, ale ona uważa, że ty zrobisz to lepiej, bo to ty jesteś ekspertem.

Powiedział to jak dorosły człowiek. Jakby był dorosły. Poruszyłem się. Krzesło mnie uwierało, zdrętwiał kręgosłup.

— Skąd to zainteresowanie? — burknąłem.

Tom odłożył sztućce, starannie wytarł usta serwetką.

— Ostatnio sporo czytałem o CCD. Ale to wszystko tylko spekulacje. Pomyślałem, że może ty, który oglądasz pszczoły każdego dnia, masz inne pomysły, dlaczego…

— Jak widzę, przyjechał do nas z wizytą dziennikarz. Zamierzasz napisać o tym artykuł?

Tom zamrugał, twarz mu się wykrzywiła. Trafiłem.

— Nie, tato. Nie. To nie dlatego.

I znowu zamilkł.

Nagle nie byłem w stanie znieść dłużej zapachu ryby. Kręcił mi w nosie, wciskał się we włosy i ubranie. Wstałem gwałtownie.

— Mamy coś jeszcze?

— Jest jeszcze więcej ryby — oznajmiła Emma, odkładając książkę, którą do tej pory trzymała w rękach.

Podszedłem do lodówki.

— Miałem na myśli coś innego niż ryba.

— Będzie deser. — Jej głos brzmiał tak samo łagodnie.

— Nie najem się deserem.

Odwróciłem się, spojrzałem na nią, potem na Toma. Oboje nie spuszczali ze mnie oczu. Siedzieli po prostu przy stole i patrzyli na mnie, jakby łagodnie, choć z pewnością uważali, że jestem idiotą.

Tom zwrócił się do Emmy:

— Nie musiałaś przygotowywać ryby ze względu na mnie. Przecież to twoje urodziny i w ogóle. Powinnaś zrobić raczej coś, co ty lubisz.

— Też bardzo lubię rybę — odparła.

Zabrzmiało to tak, jakby czytała na głos z książki.

— Jutro musicie zjeść to, co zwykle jadacie na obiad — ciągnął Tom, wciąż cholernie uprzejmy. Ta sytuacja chyba nie będzie miała końca.

— A ty nie zamierzasz jutro wyjeżdżać? — spytałem.

— Właściwie tak — odparł cicho.

— Ale zdąży zjeść wczesny obiad — wtrąciła Emma. — Prawda, Tom?

— Oczywiście — potwierdził.

— Jak wczesny? — spytałem. — Chciałbym porządnie wykonać swoją robotę, zanim usiądę do jedzenia. — Mój głos brzmiał ochryple, ordynarnie w porównaniu z ich radosnym ćwierkaniem.

— O drugiej. Czy nie tak ustalaliśmy? — zwróciła się Emma do Toma.

— Może nawet być jeszcze trochę później — odparł Tom.

Zlekceważyłem to.

— O drugiej? Ja to nazywam lunchem — powiedziałem do Emmy.

— Nie róbcie sobie kłopotu z mojego powodu — zaprotestował Tom.

— To nie żaden kłopot, tylko zwyczajny obiad — zaświergotała znowu Emma.

— Ale tutaj w ciągu dnia wciąż jest mnóstwo roboty, jak być może zauważyłaś — odparłem. Ktoś w końcu musi być szczery.

— Chętnie pomogę, dopóki jestem — wtrącił pośpiesznie Tom.

— Pół dnia wysiłku studenckich mięśni to nie jest akurat to, czego potrzebujemy.

Emma nic mi na to nie odpowiedziała, wciąż zwracała się tym pieszczotliwym głosem do Toma:

— Byłoby wspaniale, gdybyś mógł tacie trochę pomóc, to prawda.

— Wspaniale — przedrzeźniałem ją.

Oboje milczeli. Na szczęście. Zrzygałbym się, gdybym znowu usłyszał te słodkie głosiki.

Tom ponownie sięgnął po sztućce, stukał w talerz. Usunął widelcem kilka rybich ości i kawałek szarej, mieniącej się skóry.

— Chętnie zostałbym trochę dłużej.

Zostałby. Jakby coś się już stało. Coś, z czym on nic nie może zrobić.

— Może mógłbyś zadzwonić i poprosić, by wolno ci było wrócić później? — zapytała Emma.

— Byłem jednym z trzydziestu ośmiu kandydatów do tej pracy — odparł Tom cicho.

Ruszyłem w stronę drzwi. Nie chciało mi się wysłuchiwać kolejnych wymówek.

Byłem już na dziedzińcu, kiedy Tom mnie dogonił.

— Tato… Poczekaj!

Nie odwróciłem się. Szedłem po prostu w stronę szopy.

— Muszę pracować.

— A mogę iść z tobą?

— Jest wiele rzeczy, którymi trzeba się zająć, ale to wymaga czasu.

— Ale ja chcę. Chcę.

Jezu. Ten upór to coś nowego. Słowa wpadały mi do uszu, poczułem przykry skurcz w gardle. On naprawdę tak myśli? Musiałem się odwrócić i popatrzeć na niego.

— Zrobi się tylko bałagan — powiedziałem.

— Tato. To nie dlatego, że jestem dziennikarzem. To dlatego… że się przejmuję sytuacją. Naprawdę.

Tom mi się przyglądał. Wielkimi, szeroko otwartymi oczyma.

— To jest też moja farma.

Potem umilkł. Stał po prostu. Chyba nie miał nic więcej do powiedzenia. Tylko patrzył, miażdżąc mnie wzrokiem. Nie byłem w stanie znieść tego spojrzenia, tych pięknych oczu mojego dziecka. Dziecka i równocześnie dorosłego człowieka.

On naprawdę tak myślał.

— W porządku. — Skinąłem. Głos mi drżał. — W porządku.

Odchrząknąłem, ale nie powiedziałem nic więcej.

Razem weszliśmy do szopy.

WILLIAM

List przywiózł popołudniowy dyliżans. Wciąż byłem w euforii po wczorajszym dniu, kiedy wszystko poszło tak, jak pragnąłem, a nawet jeszcze lepiej, kiedy zaczęło się moje nowe życie. Wciąż miałem w pamięci tę chwilę, chwilę, którą spędziliśmy razem: Edmund, Rahm i ja. Chwilę, w której wszystko było dokładnie tak, jak zostało zaplanowane, gdzie Idea Chwili i sama Chwila zlały się w jedną, nadrzędną całość.

Zadrżałem, spojrzawszy na stempel pocztowy. Karls Markt. To od niego — uznanie — nie może być inaczej. Minęły tygodnie, od kiedy wysłałem mój list, jego odpowiedź mogłaby przyjść w jakikolwiek inny dzień, ale pomyśleć, że przyszła akurat teraz, akurat dzisiaj.

Dygotałem. Tego było już za wiele. Czy jestem Ikarem? Czy moje skrzydła rozpadną się w promieniach słońca? Nie, to nie jest hybris, to rezultat ciężkiej pracy, zasłużyłem na to.

Zabrałem list do swojego pokoju, gdzie wygodnie usiadłem i w pozycji tak pełnej szacunku, jakbym miał spotkać samego świętego Piotra, złamałem pieczęć.

Karls Markt, 29 sierpnia 1852

Szanowny Williamie Savage'u,

Przeczytałem Pański list z wielkim entuzjazmem. Wykonał Pan niezwykle interesującą pracę. Wierzę, że miejscowi pszczelarze w dystrykcie będą mieć wiele pożytku z Pańskich uli. Podsumowując: przypuszczam, że wiele się zmieniło od czasu, kiedy Pan napisał do mnie list, i teraz zna Pan już dokonania pastora Lorenza Langstrotha. Może nawet otrzymał Pan już

odpowiedź na swój wniosek o przyznanie patentu. Proszę mi więc wybaczyć, jeśli będę podawał informacje, które są już Panu znane.

Wydaje mi się, jakby Pan myślał dokładnie tak samo jak pewien pszczelarz po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego. Muszę przyznać, że z zaskoczeniem czytałem opis Pańskiego ula, bo jest on bardzo podobny do ula pastora. Sam miałem przyjemność w ostatnich latach korespondować z pastorem Langstrothem i wiem z całą pewnością, że posiada on już patent na ramki dokładnie takie same, jak opisane w Pańskim liście. Również on wyliczył złotą miarę odstępu między ścianami ula i ramkami oraz odległość między poszczególnymi ramkami, chociaż określił to na dziewięć i pół milimetra.

Mam nadzieję, że kontynuuje Pan swoje niesłychanie owocne badania i jestem całkowicie przekonany, że jeśli chodzi o wiedzę o życiu pszczół, to poruszamy się wciąż jedynie po powierzchni. Chętnie dowiem się czegoś nowego od Pana i mam nadzieję, że możemy nawiązać korespondencję, ponieważ uważam, iż jesteśmy sobie równymi w obszarze naszych badań.

Z wyrazami szacunku
Johann Dzierzon

Kurczowo trzymałem list w obu dłoniach, mimo to arkusz drżał, litery rozmazywały mi się w oczach. W uszach dzwonił śmiech.

„Korespondencja”. „Równi sobie w obszarze naszych badań”.

Powtarzałem sobie te słowa, ale nie mogłem doszukać się w nich żadnego sensu.

Jest za późno. Nie jestem nikomu równy. To mnie powinno się umieścić w skrzyni z wiekiem, tak bym mógł być obserwowany i kontrolowany z góry. Teraz zostałem oswojony. Życie mnie oswoiło.

Odrzuciłem list i wstałem. Muszę coś przewrócić, zniszczyć, rozerwać na kawałki. Cokolwiek, by powstrzymać huragan w duszy. Wyciągałem ręce,

chwytałem książki, kałamarz i rysunki leżące na biurku. Ciskałem je na podłogę, atrament rozprysnął się, tworząc na deskach plamy, których nie da się zmyć, które pozostaną na zawsze niczym bolesne przypomnienie mojego upadku. Jakby jeszcze to było potrzebne. Bo całe moje ciało, wszystkie moje członki będą takim przypomnieniem.

Półka na książki poszła w ślady kałamarza, krzesło do pracy za nimi. Plansze wiszące na ścianach podarłem na kawałki. Potwór morski Swammerdama został rozszarpany, nigdy więcej nie zatrzymam na nim wzroku, nie spojrzę na najmniejszą część dzieła boskiego stworzenia.

Następnie wziąłem się za tapety, owe przeklęte złote tapety. Zdzierałem je ze ścian, pas za pasem, zwisały potem żałośnie, odsłaniając wielkie rany surowego muru.

W końcu stanąłem, trzymając w rękach moje szkice ula. Bezwartościowe. Trzeba je unicestwić na zawsze. Mięśnie w rękach mi się napinały, chciałem zgniatać szkice, a potem rozrywać i drzeć, ale nie byłem w stanie. Bo nie ja powinienem to zrobić. Nie moje szkice należało zniszczyć, ale jego. To wszystko jego wina. Więc także jego odpowiedzialność.

Wybiegłem na korytarz.

— Edmund!

Nie zapukałem, wpadłem po prostu do środka, bo nie zadał sobie trudu, by zamknąć drzwi na klucz.

Zerwał się z łóżka, włosy mu sterczały, oczy podeszły krwią. Cuchnęło alkoholem. Odwróciłem się od tego smrodu, nie zastanawiając się, tak jak to chyba robiłem wcześniej, oszukiwałem samego siebie, udawałem, że to nie istnieje.

Nie. Nie dzisiaj i nigdy więcej. On powinien zostać ukarany, oćwiczony pasem ze sprzączką, aż skóra popęka i tryśnie krew.

Ale najpierw to.

— Spójrz tutaj! — Cisnąłem szkice na jego łóżko. — Oto one.

— Co?

— To ty skłoniłeś mnie do działania. A oto one! Co mam teraz z nimi zrobić?

— Ojcze… Ja śpię.

— One nie są nic warte, rozumiesz to?

Oczy mu pojaśniały, zbierał myśli. Wziął jeden z rysunków.

— Co to jest?

— Są niewarte papieru, na którym zostały narysowane. Niewarte są nic.

Edmund spoglądał na bezsensowne atramentowe plamy.

— O, ul. To jest ul — rzekł cicho.

Dyszałem ciężko, próbowałem się opanować.

— Teraz to są twoje szkice. To ty chciałeś, bym zaczął się tym zajmować. I ty możesz teraz z nimi zrobić, co ci się podoba.

— Chciałem, żebyś zaczął… O co ci chodzi?

— To ty obudziłeś we mnie chęć do pracy. Teraz możesz zniszczyć jej rezultaty. Spal je, podrzyj na kawałki. Rób, co chcesz.

Edmund podniósł się wolno i napił wody ze szklanki, którą uniósł zdumiewająco pewną ręką.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi, ojcze.

— To twoje dzieło. Stworzyłem je dla ciebie.

— Ale dlaczego?

Wciąż się na mnie gapił. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz patrzyłem mu w oczy. Teraz te oczy zrobiły się wąskie, Edmund wyglądał na więcej niż szesnaście lat.

— Książka! — wrzasnąłem.

— Jaka książka? O czym ty mówisz?

— Książka Hubera. François Hubera! Ślepego pszczelarza.

— Ojcze, nic nie rozumiem. — Wpatrywał się we mnie, jakbym był chory psychicznie, jakbym powinien znaleźć się w domu wariatów.

Opuściłem ramiona. On tego nawet nie pamięta. Tamtej chwili, która tak nieskończenie wiele dla mnie znaczyła.

— Ta, którą zostawiłeś u mnie… tamtej niedzieli, kiedy inni byli w kościele.

Nagle jakby coś się w nim ocknęło.

— Tamtego dnia, tak. Ostatniej wiosny…

Skinąłem głową.

— To jest coś, czego nigdy nie zapomnę. Że wtedy przyszedłeś do mnie sam z własnej woli.

Odwrócił wzrok, ręce się poruszały, jakby próbował coś chwycić, ale nie znajdował nic poza pyłkami kurzu w powietrzu.

— To mama prosiła, żebym do ciebie poszedł — rzekł w końcu. — Wierzyła, że mógłbym pomóc.

Thilda! Edmund jest jej, wciąż i na zawsze.

GEORGE

Heblowaliśmy i cięliśmy deski do końca dnia. Aż do zmroku. Tom pracował ciężko, ale nie było już w nim tej niechęci co dawniej. Teraz chciał. Wypytywał i ustalał, uczył się szybko, był dokładny i skuteczny. Dźwięk młotka uderzającego w gwoździe, rytmiczny. Świszcząca piła, muzyka. I czasami cisza. Wiatr i ptaki na dworze.

Słońce piekło w dach szopy, spływał z nas pot. Tom wsuwał głowę pod kran, by się ochłodzić, potem potrząsał nią niczym pies i się śmiał. Tysiące zimnych kropli spadały na mnie, także mnie chłodziły, a ja odpowiadałem synowi śmiechem, nie mogłem sobie tego odmówić.

Niedziela minęła w taki sam sposób. Pracowaliśmy, rozmawialiśmy o innych sprawach niż ule. Wyglądało na to, że Tom czuje się dobrze. Nie widziałem go takim od czasu, kiedy był mały. Jadł też sporo, na lunch zjadł nawet kawałek szynki.

Zerknąłem na zegar. Siedzieliśmy na dworze z kawą. Zbliżała się druga. Wkrótce odjeżdża autobus. Nie wspomniałem o tym. Może Tom zapomniał? Może się rozmyślił?

On też spojrzał na zegarek. Potem zdjął go z ręki i schował do kieszeni.

— Tato. Jak to było za pierwszym razem?

Patrzył na mnie. Znowu powróciła ta jego wielka powaga.

— Co masz na myśli?

— Jak to było, kiedy otworzyłeś pierwszy ul?

— A jak sądzisz? Po prostu okropnie.

— Ale… co było inaczej? Jak to w takiej sytuacji wygląda?

Pociągnąłem łyk kawy, ale trudno mi było ją przełknąć.

— Nie, nie wiem… Po prostu ich nie ma. Zostaje tylko kilka na samym dole. To straszne. Żyją tylko królowa i larwy. Całkiem same. — Odwróciłem się, nie chciałem, żeby zobaczył łzy w moich oczach. — I dzieje się to tak szybko. Jednego dnia są zdrowe, a następnego po prostu ich nie ma.

— To jest coś innego niż śmierć zimowa — stwierdził Tom.

Skinąłem potakująco.

— Tego nie można porównywać. Przy zimowej śmierci zna się przecież przyczyny. Albo to pogoda, albo za mało jedzenia, albo i jedno, i drugie.

Tom siedział bez ruchu, trzymał oburącz filiżankę. Myślał.

— Ale zimowa śmierć pszczół też może ci się znowu przytrafić.

Znowu skinąłem.

— Oczywiście. Czasami zdarzają się paskudne zimy.

— I będą coraz gorsze — ciągnął Tom. — Bo zimy staną się mroźniejsze, nastaną wichury i niepogody.

Powinienem był coś powiedzieć, coś dodać, ale nie wiedziałem co.

— No i śmierć letnia — mówił Tom. — Możesz przeżywać również kolejne przypadki letniej śmierci. Bo lata będą bardziej mokre, niestabilne.

— No tak — bąknąłem. — Ale przecież tego nie wiemy.

Nie patrzył na mnie, mówił nadal z uporem.

— I możesz znowu przeżyć zapaść. To się może powtórzyć. — Teraz mówił głośno. — Pszczoły giną, tato. Tylko my jesteśmy w stanie coś z tym zrobić.

Odwróciłem się ku niemu. Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby tak mówił. Próbowałem się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego tylko grymas.

— Ty i ja?

Tom się nie uśmiechał, ale z pewnością też się nie złościł. Był tylko niebywale poważny.

— My, ludzie. Musimy to zmienić. O tym mówiłem wtedy, kiedy byliśmy w Maine. Pamiętasz? Nie możemy uczestniczyć w systemie. Trzeba to zmienić, zanim będzie za późno.

Przełknąłem ślinę. Skąd się to wzięło? To jego zaangażowanie? Nigdy dotychczas taki nie był. Nagle ogarnęła mnie wielka duma. Musiałem po prostu na niego patrzeć. On jednak szybko przeniósł uwagę na filiżankę z kawą.

— Wracamy do pracy? — spytał cicho.

Przytaknąłem.

Nadszedł wieczór. Potem noc. Siedzieliśmy wszyscy troje na werandzie, niebo było pogodne.

— Pamiętasz węża? — spytałem.

— I pszczoły — odparł Tom.

— Węża? — zdziwiła się Emma.

Tom i ja popatrzyliśmy na siebie porozumiewawczo.

Następnego dnia spałem długo. Ocknąłem się z uśmiechem na ustach, gotowy do produkowania nowych uli.

Kiedy wszedłem do kuchni, Emma siedziała przy stole. Zaczęła czytać tę grubą książkę. Przed nią stał samotny talerzyk. Rozejrzałem się wokół.

— Gdzie on jest?

Emma odłożyła książkę, kąciki ust jej opadły, zrobiła smutną minę.

— Och, George.

— Tak?

— Tom wyjechał wcześnie rano. Przed śniadaniem.

— I nawet nie powiedział mi „cześć”?

— Mówił, że nie chce cię budzić.

— Ale myślałem…

— Tak. Wiem. — Znowu sięgnęła po książkę, niemal się w nią wczepiła, ale więcej się nie odezwała.

Też nie miałem siły gadać.

Odniosłem wrażenie, jakby Bóg ze mnie zakpił. Wywiesił z nieba drabinę i pozwolił mi się wspiąć, bym mógł trochę popatrzeć, pozwolił mi przyglądać się aniołom na łąkach z waty cukrowej, a potem nagle zepchnął mnie z chmury, żebym spadł z powrotem na ziemię. Na ziemię po deszczowym dniu. Szarą. Błotnistą. Nędzną.

A tymczasem słońce świeciło nieprzerwanie. Wypalało planetę do cna.

Straciłem pszczoły.

I najwyraźniej straciłem również Toma. Zresztą to się stało dawno temu. Tylko że myślałem zbyt wolno, by to pojąć.

TAO

Halo? Już zamykamy. — Dyżurna stanęła nade mną, podzwaniając ciężkim pękiem kluczy, który trzymała w ręce. — Możesz przyjść znowu jutro albo pożyczyć coś do domu.

Wyprostowałam się.

— Dziękuję.

Przede mną leżał dłuższy artykuł o wymieraniu trzmieli. Trzmiele i dzikie pszczoły zaczęły ginąć równocześnie z pszczołami hodowlanymi, ale ich śmierć nie była ani tak zauważalna, ani taka złowieszcza. Liczebność tych gatunków spadała od dawna, tyle że nikt nie podnosił alarmu. Tymczasem dawniej dzikie pszczoły zapylały dwie trzecie wszystkich roślin. W USA większość tej pracy wykonywały pszczoły miodne, ale w krajach położonych na innych kontynentach absolutnie najważniejsze były gatunki dzikie. Tu jednak następował stały spadek i liczbę owadów trudno było określić. W dodatku dzikie pszczoły były wyniszczane przez pajęczaki, wirusy i niestabilną pogodę. No i nie należy zapominać o pestycydach. Odkładały się one w ziemi w ilościach wystarczających do wytrucia przyszłych pokoleń, zarówno pszczół, jak i ludzi.

Prowadzono intensywne badania innych owadów, które mogłyby podjąć efektywne zapylanie. Jako pierwsze sprawdzano właśnie dzikie pszczoły, jednak wielkich rezultatów to nie przyniosło.

Następnie próbowano przystosować do pracy różne gatunki zapylających much: *Ceriana conopsoides*, *Chrysotoxum octomaculatum* i *Cheilosia reniformis*, ale też bez sukcesu. Równocześnie zmiany klimatu czyniły

świat miejscem coraz mniej gościnnym. Podniesienie się poziomu mórz i ekstremalne zjawiska pogodowe powodowały migracje wielkich mas ludzi, a także dokuczliwe braki żywności. O ile dawniej ludzie prowadzili wojny o władzę, o tyle teraz walczono o jedzenie.

Również ten artykuł opisywał sytuację do roku 2045. Sto lat po zakończeniu drugiej wojny światowej ziemia, którą ówcześni ludzie uważali za swój dom, przestała być miejscem, które mogły zamieszkiwać miliardy. W roku 2045 na kuli ziemskiej nie było już ani jednej pszczoły.

Wróciłam do półek, na których znalazłam wiele śmiałych książek o Zapaści, chciałam jedną z nich odstawić na miejsce. Już miałam wsunąć ją między inne woluminy, kiedy nieco dalej zauważyłam zielony, wystający z szeregu grzbiet. Książka nie była ani szczególnie gruba, ani wysoka, nic wielkiego, ale zielony kolor przyciągał wzrok. I złote litery tytułu: *Ślepy pszczelarz*.

Chwyciłam ją, chciałam wyciągnąć, ale stawiała opór, plastikowe okładki przykleiły się do książek stojących obok i kiedy je rozdzielałam, wydały z siebie coś jakby westchnienie.

Otworzyłam książkę, okładki były sztywne, ale stronice przewracały się swobodnie, zdawały się zapraszać do lektury. Kiedy poprzednim razem czytałam tę pozycję, należała do skromnej biblioteki szkolnej, zresztą mieliśmy do użytku postrzępiony wydruk, kopię. Tym razem trzymałam w rękach całkiem nieużywany egzemplarz. Zerknęłam na stronę tytułową: 2037, wydanie pierwsze.

Odszukałam pierwszy rozdział i znowu natknęłam się na zdjęcia. Królowa i dzieci, które były jedynie larwami w komórkach, otoczone złocistym miodem. Pszczoły na ramkach w ulu, jedna blisko drugiej, każda podobna do pozostałych, trudno je od siebie odróżnić. Pasiaste ciała, czarne oczy, tęczowe, błyszczące skrzydła.

Dalej przewracałam kartki, dotarłam do fragmentów, które czytałam jako dziecko. Te same zdania, ale teraz słowa robiły jeszcze większe wrażenie: „By móc żyć w naturze, z naturą, musimy stłumić naturę w nas samych… Wykształcenie jest po to, byśmy nie przywiązywali zbyt dużej wagi do samych siebie, do naszej natury, do instynktów”.

Przerwały mi kroki, dyżurna okrążyła regał i podeszła do mnie. Nie powiedziała nic, ale znowu zadzwoniła kluczami. Tym razem ostentacyjnie.

Skinęłam jej pośpiesznie głową, by pokazać, że już idę do wyjścia.

— Chętnie pożyczyłabym tę. — Uniosłam książkę.

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Bardzo proszę.

Odłożyłam *Ślepego pszczelarza* na łóżko obok stosu innych książek. Wypożyczyłam z biblioteki tyle, ile byłam w stanie udźwignąć. Później będę czytać dalej. Najpierw wezmę prysznic.

Zrzuciłam ubranie pośrodku pokoju. Ściągnęłam wszystko za jednym zamachem, skarpetki zaklinowały się w nogawkach spodni, i zostawiłam na podłodze.

Brałam prysznic, dopóki nie skończyła się gorąca woda. Trzy razy umyłam włosy, drapałam skórę głowy paznokciami, by usunąć kurz tego wymarłego miasta. Potem długo się wycierałam, woda nie dawała się do końca usunąć ze skóry, w łazience panowała wilgoć. Potem bardzo długo szczotkowałam zęby, czułam, jak osad i bakterie znikają, wreszcie owinęłam się ręcznikiem i wróciłam do pokoju.

Pierwsze, co zobaczyłam, to to, że moje ubrania zostały uprzątnięte. Na podłodze nie było nic.

Odwróciłam się w stronę łóżka. Siedziała tam jakaś kobieta. Była młodsza ode mnie. Skórę miała delikatną, żadnej żałoby pod paznokciami. Ubranie czyste i wyprasowane, dopasowane niczym mundur. Oto kobieta,

która nie zajmuje się zapylaniem kwitnących drzew, robi coś zupełnie innego. Teraz trzymała w rękach jedną z moich książek, ale nie mogłam dostrzec którą.

Uniosła głowę i patrzyła na mnie poważnie, obojętnie. Nie byłam w stanie nic powiedzieć, mój mózg pracował intensywnie, żeby jakoś się zorientować w sytuacji. Czy powinnam ją znać?

Kobieta podniosła się spokojnie, odłożyła książkę, po czym podała mi moje ubranie, teraz starannie poskładane i ułożone w stos.

— Byłoby dobrze, gdybyś się ubrała.

Zachowywała się tak, jakby jej obecność tutaj była czymś normalnym. I możliwe, że tak jest. Przyglądałam się jej. Wpatrywałam się w jej twarz, by wywołać wspomnienia. Ale w mojej pamięci nic się nie pojawiało. Zauważyłam, że ręcznik zaczyna się rozwiązywać, zsuwać w dół, że stoję naga i, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej podatna na ciosy. Byłam zmuszona cofnąć rękę. Podciągnęłam ręcznik niemal do pachy, by utrzymać go na sobie, czułam się niezdarna, wiedziałam, że zostałam przejrzana.

— Jak tu weszłaś? — spytałam, zdumiona, że potrafię wydobyć z siebie głos.

— Pożyczyłam klucz. — Powiedziała to z mdłym uśmiechem, jakby to była największa oczywistość.

— Czego chcesz? Kim jesteś? — pytałam pośpiesznie.

— Musisz się ubrać i pójść ze mną.

To nie była odpowiedź, to był rozkaz.

— A to dlaczego? Kim jesteś?

— Masz. — Ponownie podała mi ubrania.

— Chcesz pieniędzy? Mam bardzo mało. — Podeszłam do szuflady nocnego stolika, w której wciąż przechowywałam parę monet, odwróciłam się i podałam je kobiecie.

— Jestem wysłanniczką Komitetu — odparła. — Musisz iść ze mną.

WILLIAM

Szkice leżały na moich kolanach. Siedziałem na ławce w ogrodzie, z dala od uli, jednak na tyle blisko, bym je dobrze widział i słyszał brzęczenie, oraz wystarczająco daleko, bym nie został użądlony. Siedziałem spokojnie niczym warujące zwierzę, a może zdobycz, która wkrótce zostanie zaatakowana.

Ale atak miałem już za sobą. Teraz jestem padliną.

Pszczoła umiera, kiedy jej skrzydełka zostaną zniszczone, postrzępione od intensywnego używania, niczym żagle na Latającym Holendrze. Umiera w skoku, kiedy potrzebuje pomocy, a ma zbyt ciężkie brzemię, może niesie więcej niż zwykle, jest napęczniała od nektaru i pyłku, i tym razem jest tego za dużo, skrzydła odmawiają posłuszeństwa. Nigdy już nie wróci do ula, runie po prostu na ziemię z całym swoim brzemieniem. Gdyby miała ludzkie uczucia, byłaby w tym momencie szczęśliwa, przekraczałaby bramy niebios, dobrze wiedząc, że wprowadziła w czyn ideę samej siebie. Ideę pszczoły, jak by to pewnie mógł sformułować Platon. Zniszczenie skrzydełek, w ogóle jej śmierć, jest wyrazem tego, co zrobiła, oraz tego, po co została stworzona na ziemi, dowodem, że dokonała niezwykłych czynów jak na tak małe ciało.

Ja takiej śmierci nigdy nie dostąpię. Nie ma żadnych wyraźnych znaków, że zrobiłem to, do czego zostałem stworzony. Nie dokonałem w ogóle niczego. Zestarzeję się, skurczę, a następnie zniknę, nie zostawiając po sobie śladu, nic po mnie nie zostanie. Może tylko słone ciasto, które wytwarza tłusty osad na podniebieniu. Nic prócz swammerdamki.

W takim razie równie dobrze koniec może nastąpić zaraz. Grzyb wciąż leży na swoim miejscu, w sklepie, w górnej szufladzie, w głębi na lewo, starannie zamknięty na klucz, do którego tylko ja mam dostęp. Działanie trucizny jest szybkie, za kilka godzin zrobię się słaby i bezwładny, następnie stracę przytomność. Doktor zapewne zdiagnozuje to jako zapaść, nikt nie będzie wiedział, że to było samobójstwo. A ja zyskam wolność.

Ale tego nie potrafię, bo nie mogę ruszyć się z ławki, nie byłem w stanie nawet zniszczyć szkiców, moje ręce odmawiają wykonania najprostszego gestu. Mięśnie palców przestały działać, jestem jak sparaliżowany.

Nie wiem, jak długo byłem sam.

Nie zauważyłem jej, kiedy przyszła. Nagle usiadła na ławce obok mnie. Bezgłośnie, nawet jej oddech do mnie nie docierał. Jej blisko osadzone oczy, moje własne oczy, wpatrywały się w pszczoły brzęczące wokół nas, a może po prostu nie widziały nic.

W ręce trzymała list od Dzierzona. Musiała go znaleźć w tym chaosie, jaki zostawiłem w pokoju, znalazła go i przeczytała. Zresztą przedtem również szukała czegoś w moich rzeczach. Bo to przez cały czas była ona, to ona wysprzątała sklep, ona położyła książkę na biurku. Tylko że ja tego nie widziałem, nie chciałem widzieć.

Bliskość drugiego człowieka sprawiła, że odrętwienie zaczęło ustępować. Albo może ustąpiło dlatego, że to była ona. Jest bowiem jedyną istotą, jaką teraz mam.

Położyłem szkice na jej podołku.

— Zniszcz je w moim imieniu — rzekłem cicho. — Ja nie jestem w stanie.

Ona po prostu siedziała. Próbowałem napotkać jej wzrok, ale odwróciła głowę.

— Pomóż mi — błagałem.

Trzymała szkice w rękach, przez chwilę milczała.

— Nie — odparła w końcu.

— Ale przecież to są tylko śmieci, nie rozumiesz tego?

Głos mi się załamał, ale jej to nie wzruszyło. Wolno pokręciła głową.

— Jest na to za wcześnie, ojcze. Może one nadal są coś warte.

Wstrzymałem oddech, byłem w stanie mówić spokojnie, próbowałem, by brzmiało to racjonalnie.

— Nie będzie z nich żadnego pożytku. Naprawdę chcę tylko, byś je zniszczyła, sam tego nie potrafię. Zabierz je ode mnie, schowaj w jakimś miejscu, żebym ich nie widział i nie mógł cię powstrzymać. Spal je! Rozpal wielkie ognisko, z płomieniami aż do nieba.

Pragnąłem, by słowa ją poruszyły, sprawiły, że wstanie i spełni moją najgorętszą prośbę tak, jak zazwyczaj spełnia wszystkie moje polecenia.

Ale ona nadal siedziała, przeglądała arkusze, lekko przesuwała palcem po śladach ołówka, które robiłem, chcąc dojść do prawdy, po detalach, z którymi się w ten sposób zmagałem.

— Nie, ojcze. Nie.

— Ale ja tylko tego chcę!

Nagle znowu zacisnęło mi się gardło, poczułem na karku rękę mego ojca, usłyszałem jego szyderczy śmiech, poczułem ziemię na kolanach, a także razy czekającego na mnie pasa. Teraz ona jest osobą dorosłą, a ja dzieckiem, znowu mam dziesięć lat i na barkach brzemię wstydu, bo jeszcze raz zawiodłem.

— Spal je, bardzo cię proszę…

Dopiero teraz odkryłem łzy w jej oczach. Jej łzy. Kiedy widziałem je po raz ostatni? Przecież nie wtedy, gdy przesiadywała u mnie zimą, całymi godzinami, nie wtedy, kiedy przyprowadziła do domu pijanego do nieprzytomności Edmunda, nie latem, kiedy znalazła mnie w lesie.

I wtedy zrozumiałem. To są przecież także jej szkice, jej dzieło. Była przy mnie przez cały czas, ale ja dostrzegałem tylko siebie. Moje badania, moje szkice, moje pszczoły. Dopiero teraz naprawdę zdałem sobie sprawę, że od pierwszego dnia było nas dwoje. Szkice należą także do niej. Pszczoły są też jej.

— Charlotte. — Przełknąłem ślinę. — O, Charlotte. Kim ja właściwie dla ciebie byłem?

Spojrzała na mnie zdumiona.

— Co masz na myśli?

— Mam na myśli… Powinnaś była dostać… coś więcej.

Przetarła ręką oczy, w jej spojrzeniu widziałem tylko zdziwienie.

— Coś więcej?

— Nie…

Chciałem jej dać tak wiele, zasłużyła na lepszego ojca, na takiego, który myślałby też i o niej, ale ja byłem idiotą, zajętym tylko swoimi problemami, podczas gdy jej wsparcie było nieocenione, niezależnie od tego, co robiłem. Słowa jednak stawały się zbyt wielkie, nie byłem w stanie ich wypowiedzieć.

Wszystko, na co było mnie stać, to ująć jej rękę. Pozwoliła mi to zrobić, ale pośpiesznie drugą położyła na szkicach, by ochronić je przed wiatrem.

Siedzieliśmy w milczeniu. Charlotte wiele razy głęboko wciągała powietrze, jakby chciała coś powiedzieć, ale żadne słowo nie padło.

— Nie możesz tak myśleć — rzekła w końcu. Potem odwróciła głowę i popatrzyła na mnie jasnymi, szarymi oczyma. — Otrzymałam więcej, niż jakakolwiek dziewczyna mogłaby oczekiwać. Więcej niż jakakolwiek dziewczyna, którą znam. Wszystko, co mi pokazałeś, co mi opowiedziałeś, wszystko, w czym mogłam z tobą uczestniczyć… Cały czas, który spędziliśmy razem… Nasze rozmowy… Wszystko, czego mnie nauczyłeś.

Dla mnie ty jesteś… Ja… — Nie dokończyła zdania, siedziała tylko, a po chwili oznajmiła: — Nie mogłam mieć lepszego ojca.

Szloch wyrwał mi się z piersi, wpatrywałem się przed siebie, w powietrze. Na niczym się nie koncentrowałem, walcząc przez cały czas z płaczem.

Siedzieliśmy, czas płynął, otaczała nas przyroda ze wszystkimi swoimi dźwiękami, śpiewem ptaków, szumem wiatru, żabim rechotem. I pszczołami. Ich stłumione brzęczenie mnie uspokajało. Charlotte ostrożnie wysunęła swoją dłoń z mojej i lekko skinęła głową.

— Więcej nie będziesz musiał ich oglądać.

Wstała, wzięła ze sobą szkice, niosła je w rękach, jakby nadal były coś warte, i odeszła w stronę domu.

Westchnąłem ciężko, z wdzięczności oraz z ulgi, ale również ze świadomością, że teraz naprawdę jest po wszystkim.

Nadal siedziałem, siedziałem i przyglądałem się pszczołom, ich wytrwałości, tam i z powrotem, nigdy chwili odpoczynku. Dopóki skrzydła nie odpadną.

GEORGE

Znowu leżałem, nie śpiąc. Wszystko było tak jak trzeba, by zapewnić mi dobry nocny sen. Pokój wystarczająco chłodny, panowała w nim cisza. I ciemność. Jak ciemno teraz bywa? Dużo ciemniej niż kiedyś. Spojrzałem na lampę. To dlatego. Nigdy jej nie zreperowałem. Przewody nadal zwisały ze ściany, niczym robaki z główkami z elektrycznej izolacji. Przechodziłem obok codziennie, spoglądałem na nie za każdym razem, co zawsze psuło mi humor. Jedna z tych licznych rzeczy, które nigdy nie zostały zrobione. To nie takie ważne, wiem o tym. Nie potrzebowałem tego światła, nikt z nas go nie potrzebował. Emma zresztą też o tym nie wspominała. Sądzę, że nawet nie zwróciła uwagi na ten brak. Ale owe zwisające przewody stały się częścią wszystkiego, co nie jest w takim stanie, w jakim powinno, wszystkiego, co nie działa.

Potrzebuję siedmiu godzin snu. Co najmniej. Zawsze zazdrościłem tym, którzy mogą spać mniej. Tym, którzy budzą się po pięciu godzinach, gotowi do działania. To oni naprawdę osiągają wiele w tym życiu, tak przynajmniej słyszałem.

Odwróciłem się i spojrzałem na budzik. 00.32. Leżę tak od 23.08. Emma zasnęła natychmiast, ja też dość szybko przysnąłem. Wkrótce się jednak obudziłem, całkiem przytomny, z jasnym umysłem. Moje ciało było w ciągłym ruchu, nie leżało spokojnie, nie miało pełnego kontaktu z materacem. Ale jakkolwiek bym się położył, było źle. Niewygodnie, wszystko mnie uwierało.

Muszę spać. Jeśli teraz nie zasnę, jutro będę do niczego. Może drink mógłby pomóc. Nie mieliśmy wódki, rzadko ją pijemy. W ogóle innych

alkoholi też dużo nie pijemy. Ale w lodówce znalazłem piwo. A w szafie szklankę. Potrzebny tylko otwieracz. Nie wisiał na ścianie, na swoim stałym miejscu, w kącie nad zlewem, czwarty wieszak od prawej, między nożyczkami i łopatką do smażenia. Gdzie on się podział? Otworzyłem szufladę ze sztućcami. Wewnątrz znalazłem korkociąg do wina razem z jakimiś zmurszałymi gumkami. Ale otwieracza do piwa nie było.

Wysunąłem kolejną szufladę. Też nic. Czyżby Emma zmieniła system? Czy różne rzeczy otrzymały nowe miejsca? A gdyby otrzymały, nie byłoby to pierwszy raz. Szukałem dalej, szuflada po szufladzie. Musiałem odstawić piwo, potrzebowałem obu rąk, nie dbałem już o to, by zachowywać się cicho. Jeśli ona wszystko pozmieniała, to tyle będzie musiała znieść. Do diabła, ile szuflad jest w tej kuchni! I ile różnych gratów. Tak zwane pożyteczne narzędzia, które leżą nieruszane i pokrywają się kurzem. Jajowary, elektryczne młynki do pieprzu, specjalne urządzenie, które dzieli jabłko na sześć części. Zbierały się przez połowę naszego życia, a większość z nich kupiła Emma. Miałem ochotę sięgnąć po worek na śmieci i zacząć wszystko wyrzucać. Posprzątać.

Ale wtedy ukazał się otwieracz. Leżał w dużej szufladzie razem z warząchwiami, łyżkami wazowymi i ubijaczkami. Całkiem z tyłu, na samym spodzie. Widocznie wyznaczono mu nowe miejsce. Szybko otworzyłem piwo. Miałem ochotę pójść i obudzić Emmę, powiedzieć, że powinna, do cholery, przestać przekładać rzeczy. Ale zamiast tego pociągnąłem solidny łyk. Chłodna strużka spłynęła mi w gardło. Burczało mi w brzuchu, ale nie mogłem znaleźć nic do jedzenia. Nic mnie nie kusiło. Piwo też jest pożywne. Nie byłem ani trochę zmęczony, tylko niespokojny. Chodziłem po izbie tam i z powrotem, potem wszedłem do salonu i sięgnąłem po pilota. Zatrzymałem się jednak, bo nagle odkryłem coś na ścianie w jadalni. Poszedłem tam. Stanąłem naprzeciwko. Szkice.

Standardowy ul Williama Savage’a. Ul, który, szczerze powiedziawszy, nie stał się standardem dla nikogo prócz rodziny Savage’ów. Szkice wisiały na ścianie, do której nigdy nie dociera światło słoneczne. W grubych złoconych ramach, za lśniącym szkłem, bez jednego pyłku kurzu. Emma o to dbała. Czarny tusz na pożółkłym papierze. Liczby, wymiary. Proste opisy. Nic więcej. Ale za tym kryła się historia, w której moja rodzina uczestniczyła od chwili, gdy te szkice zostały stworzone w 1852 roku. Standardowy ul miał się stać wielkim przełomem w życiu Williama Savage’a. Dzięki niemu jego twórca miał przejść do historii. Nie przewidział jednak działalności pewnego bystrego Amerykanina, Lorenza Langstrotha. Tamten wygrał, bo określił wymiary ula, które później stały się standardem. A na Savage’a nikt nie zwrócił uwagi. Po prostu zjawił się za późno. Tak pewnie musi być, kiedy każdy siedzi na swoim kontynencie i pracuje nad tym samym co inni, bez telefonu, faksu czy e-maila.

Za każdym wielkim wynalazkiem stoją tuziny pokonanych osobników, którzy zbyt późno próbowali zaistnieć. I Savage był jednym z nich. Toteż nie doczekał się ani bogactwa, ani honoru dla siebie i rodziny.

Żona na szczęście zdołała powydawać za mąż większość córek. Z synem Edmundem było jednak gorzej. Nic mu nie pasowało. Niespokojny, dandys, wcześnie spróbował alkoholu i w końcu przepadł w londyńskich rynsztokach.

Tylko jedna córka nigdy nie wyszła za mąż. Charlotte, ta najbardziej uzdolniona. Pierwsza dama naszej rodziny. Kupiła bilet w jedną stronę przez Atlantyk. Jej skrzynia stoi na strychu. To z nią przyjechała. Z tą skrzynią i dzieckiem. Kim był ojciec, nikt nie wiedział. Charlotte, chłopiec i ich skrzynia przyjechali do Ameryki całkiem sami. Miała w niej wszystko, co posiadała. Teraz skrzynia pachnie starociami, zatęchłym powietrzem. Nie używamy jej, ale też nie miałem serca jej wyrzucić. W tej skrzyni

zawiera się całe życie Charlotte. W tym szkice standardowego ula wykonane przez ojca. I z tym wystartowała. Charlotte zaczęła hodować pszczoły. Początkowo nie w pełnym wymiarze, łączyła to z pracą nauczycielki i dyrektorki szkoły. Miała tylko trzy ule, ale one wystarczyły, by dziecko, mały chłopiec, z czasem zaczął interesować się pszczelarstwem i powiększył pasiekę o kilka kolejnych. Potem to samo zrobił jego syn. I syn tego syna. A w końcu mój dziadek ze strony ojca, który zajął się wyłącznie hodowlą pszczół, zdobywając dzięki temu solidne podstawy do życia.

Przeklęte szkice! Nagle uderzyłem pięścią w szkło. Rozległ się trzask, ból przeszył rękę, obejmował całe ciało. Obraz się zakołysał, ale nadal wisiał jak przedtem.

Trzeba je usunąć. Wszystkie trzy szkice muszą zniknąć.

Zdjąłem je z haczyków i wyniosłem na korytarz. Tam znalazłem moje największe buty, ciężkie, zimowe obuwie na grubych podeszwach. Włożyłem je i wyszedłem na dziedziniec.

Chciałem skończyć z tymi szkicami, kopać je, deptać długo i zawzięcie. Ale w tym momencie przypomniałem sobie Emmę, wyobraziłem sobie, jaką awanturę urządzi. Spojrzałem w okna sypialni. Żadnego światła, Emma nadal śpi. Pozbierałem obrazy i poszedłem dalej, otworzyłem drzwi szopy i cisnąłem szkice na podłogę. Mogłem, rzecz jasna, wyjąć je z ram, ale tak naprawdę chciałem słyszeć brzęk tłuczonego szkła, trzeszczenie pod butem.

Deptałem i deptałem, skakałem po nich. Szkło się tłukło, ramy łamały. Dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem. Potem podniosłem szkice z ziemi. Miałem nadzieję, że odłamki szkła je zniszczyły, ale one wciąż były całe. Zaskakująco sztywny i mocny papier. Ułożyłem jeden na drugim, w sumie sześć, w jeden plik. Stałem nad nimi. Mógłbym je spalić, przyłożyć z boku

zapałkę i pozwolić, by płomienie strawiły najważniejsze dzieło całego rodu. Nie.

Przeniosłem wszystko na roboczy blat, przyglądałem się przez chwilę. Nieszczęsne szkice. Nie przysłużyły się niczemu na świecie. Należy im się zatem jedynie nędzny los. Nie ognisko, to zbyt dramatyczne, zbyt godne. Tu trzeba czegoś innego.

I nagle mnie olśniło! Sięgnąłem po szkice, ręce odmawiały posłuszeństwa, ale je zmuszałem. Zacząłem drzeć. Długie pasy. Starałem się, by były możliwie jak najrówniejsze. Ale nie dało się tego osiągnąć z wszystkimi sześcioma rysunkami łącznie, plik był za gruby. Trudno było zrobić to dokładnie tak, jak chciałem. Musiałem podzielić plik na dwoje, trzy arkusze za jednym razem. Ale to z kolei trwałoby za krótko. A ja chciałem pastwić się nad nimi długo. Darłem więc arkusze pojedynczo.

Podobał mi się dźwięk. Jakby papier krzyczał: Litości, litości!

Było mi z tym bardzo dobrze. Czułem się fenomenalnie, nareszcie coś zrobiłem — dokonałem czegoś właściwego. Mógłbym zajmować się tym przez całą noc.

W końcu jednak musiałem przestać. Nie miało sensu drzeć szkiców na małe kawałki, bo to nie służyłoby celowi.

Pozbierałem paski papieru i wziąłem je ze sobą. Nie byłem w stanie uprzątnąć ram ani szkła, niech leżą do rana. Wyszedłem po prostu w noc, przeciąłem dziedziniec i wszedłem do domu.

Minąłem sień, potem korytarz. Tam otworzyłem pierwsze drzwi po prawej. Zrobiłem dwa kroki w ciemność. Cichy plusk informował, że znowu zepsuła się spłuczka. Prawdopodobnie trzeba będzie ją wymienić. Nie chciałem teraz zapalać światła i sprawdzać. Ułożyłem tylko szkice na podłodze, gotowe do użycia. Tutaj jest ich miejsce, w wychodku.

TAO

Siedziałyśmy w starym samochodzie z napędem elektrycznym. Wyprodukowano takich wiele w latach dwudziestych, kiedy ogniwa słoneczne weszły do powszechnego użytku. Tamtym razem, kiedy odwiedziłam stolicę z rodzicami, na ulicach było ich pełno, większość stara i zniszczona. Ten samochód był bardziej zadbany niż inne, wyprodukowany dla wybredniejszych klientów, duży, czarny i błyszczący. Nigdy jeszcze nie widziałam takiego pojazdu w prywatnym posiadaniu, ani też używanego przez ludzi poniżej pewnej rangi.

Samochody, które mieliśmy w naszych stronach, należały zawsze do policji i służby zdrowia, jak ten, którym został zabrany Wei-Wen. Były to proste konstrukcje z lekkich materiałów, zaprojektowane tak, by zużywały możliwie jak najmniej prądu. Ten jest większy, bardziej okazały. Tylko z rzadka taki samochód pokazuje się w naszym małym mieście, sunie po ulicach z przyciemnionymi szybami, a my zawsze się dziwimy, co robi w tym zakątku świata.

Po raz pierwszy w życiu postawiłam stopę wewnątrz tak wspaniałego pojazdu. Położyłam rękę na pokrytym imitacją skóry siedzeniu. Niegdyś obicie musiało być gładkie, teraz jednak znajdowały się na nim liczne spękania. Bo samochód jest stary. Ujawniają to siedzenia, ujawnia zapach — środki czyszczące służą tylko stłumieniu woni starości tkwiącej w karoserii i wyposażeniu.

Kobieta wskazała mi miejsce w głębi, sama usiadła z przodu i do nawigacji wprowadziła adres, jakąś lokalną nazwę, która nic mi nie mówiła. Potem zaczęła się podróż. Widziałam tylko kark mojej towarzyszki, która

się nie odzywała. Przez moment zastanawiałam się, czy by jej nie poprosić, żeby się zatrzymała, tak bym mogła wyskoczyć, ale wiedziałam, że to nie ma sensu. Kobieta nie dała mi żadnego wyboru. A w jej oczach było coś, co mówiło, że jeśli nie zrobię, co mi każe, poniosę konsekwencje.

Poza tym… Może ona mogłaby doprowadzić mnie do Wei-Wena? A tylko to ma jakieś znaczenie.

Jechałyśmy blisko godzinę, zanim opuściłyśmy centrum, gdzie spotykałyśmy jakieś samochody, ale później byłyśmy na drodze same. Nie działały żadne światła uliczne, nie musiałyśmy na nic zwracać uwagi. Drogowskaz informował, że jesteśmy w drodze do Shunyi, nie wiedziałam nic o tej okolicy, ale zabudowania świadczyły o tym, że kiedyś dzielnica musiała być zamieszkana przez zamożnych ludzi. Obszerne, cofnięte od ulicy domy, trzy- lub czteropiętrowe, w ogromnych ogrodach, były z pewnością reprezentacyjne. Teraz jednak domy popadły w ruinę, a ogrody zarosły. Mijałyśmy coś, co kiedyś musiało być polem golfowym. Teraz równina pokryta była chwastami, a w jednym narożniku widać było małe poletka, na których próbowano coś uprawiać. Mnóstwo urodzajnej ziemi leżało wtedy odłogiem, dziwiłam się, że nikt nie chce tu niczego siać. Może wszyscy uciekli?

W końcu się zatrzymałyśmy. Kobieta otworzyła drzwi i wysiadła, poprosiła, bym szła za nią.

Znajdowałyśmy się na rynku, którego centrum ozdabiała niegdyś elegancka fontanna. Duża rzeźba ptaka — żurawia — leżała na dnie basenu, może została zrzucona siłami natury, a może zrobili to wandale. Nie słyszałam szumu samochodów, tylko wiatr uderzający w budynki, pozbawione okien i dachów, odgłosy naprężających się muskułów natury, wolno, ale nieodwracalnie zyskującej przewagę, która unicestwi cywilizację.

Jakieś głosy sprawiły, że uniosłam głowę. Na dachu wysokiego budynku stało dwóch ludzi, widziałam tylko dwie sylwetki na tle nieba, słyszałam rozmowę, ale nie rozróżniałam słów. Trzymali coś w rękach, coś, co teraz wypuścili. Okrągłe cienie sunęły w powietrzu, oddalały się od nas w kierunku centrum. Czytałam o sterowanych pilotami latających komputerach, które niegdyś istniały, o dronach. Czy to właśnie one? Komu mają towarzyszyć? Nagle przyszło mi do głowy, że mogłyby śledzić także mnie, i to dłużej, niż przypuszczałam, i że oni wiedzą już wiele.

— Idziemy tutaj — oznajmiła kobieta.

Budynek nie miał nazwy, żaden szyld nie mówił, co się w nim kryje. Kobieta przyłożyła dłoń do szklanej płyty na ścianie, każdy palec dotykał jednego ze znajdujących się tam pięciu punktów. Natychmiast podwójne wielkie drzwi rozsunęły się na boki. Poruszane były elektrycznie, choć wyglądało na to, że cała okolica od dawna nie ma prądu.

Moja towarzyszka wprowadziła mnie do środka. Drgnęłam, gdy o mało nie zderzyłyśmy się z młodym mężczyzną, który stał na warcie po tamtej stronie drzwi. Okazało się, że strażników jest wielu. Mieli takie same mundury jak kobieta, która mnie tu przywiozła, i pozdrawiali ją. Ona kiwała im tylko głową i szła dalej.

Podążałam za nią przez wielki hol, aż weszłyśmy do otwartego gabinetu. Wszędzie mijałyśmy ludzi. Po wielu tygodniach spędzonych w wymarłym mieście wydawało mi się to nierzeczywiste. Wszyscy prezentowali się tak jak strażnik, byli czyści i zadbani. Nie wyglądało, żeby wykonywali fizyczną pracę lub przebywali na słońcu. Byli bardzo zajęci, wielu pracowało przed ogromnymi ekranami, część prowadziła przyciszone rozmowy, siedząc na miękkich kanapach umieszczonych w narożnikach lub przy okrągłych stołach. Wszystko było przeźroczyste: ściany ze szkła, pokoje pootwierane, ale dźwięk nie niósł się daleko. Tłumiły go grube

dywany i ciężkie meble. W wielu miejscach potykałam się o okrągłe, płaskie odkurzacze, które jeździły po podłodze, zbierając brud, którego nie mogłam dojrzeć.

Skutki Zapaści tutaj nie dotarły, miałam wrażenie, jakbym znalazła się w świecie należącym do przeszłości. Nareszcie kobieta przystanęła. Znajdowałyśmy się na końcu korytarza, przed sobą miałyśmy ścianę, pierwszą, jaką tu widziałam, która nie została wykonana ze szkła. Tę zbudowano z ciemnego, wypolerowanego do połysku drewna. Wysokie i szerokie drzwi były jak wyrzeźbione w drewnie. Kobieta zapukała w nie energicznie. Po kilku sekundach drzwi wydały z siebie szum, a potem kliknięcie i się otworzyły.

Wei-Wen. Czy on tu jest? Nagle zaczęłam się trząść.

— Proszę bardzo. — Kobieta wskazała głową wejście.

Z wahaniem przekroczyłam próg. Drzwi się za mną zamknęły, słyszałam, że powtórzył się dźwięk towarzyszący otwarciu. Najpierw szum, potem kliknięcie — zostałam zamknięta na klucz.

Pokój był obszerny i jasny, ale nie miał okien. Również tutaj podłogę pokrywały dywany. Ściany osłonięto tkaninami, ciężkimi draperiami od podłogi po sufit. Tylko czy za draperiami znajdują się jakieś ściany? Czy ukrywa się coś innego? Ludzie, przejścia do innych pomieszczeń. Czy po prawej stronie coś się nie poruszyło? Odwróciłam się gwałtownie. Ale nie, zasłona wisiała jak przedtem. Dyskretny dźwięk na zewnątrz budynku był niczym ogłuszający alarm w porównaniu z ciszą panującą w tym pomieszczeniu. Może jest to pokój, w którym w ogóle nie ma żadnych dźwięków? Żadne tu nie docierają, żadne stąd nie wychodzą. Na myśl o tym serce przestało mi bić.

Zaszeleściła tkanina zawieszona na prawo ode mnie, zasłona została rozsunięta na boki. Wyłoniła się stamtąd starsza kobieta. Uśmiechała się

łagodnie. Było w niej coś znajomego, w sposobie, w jaki trzymała głowę, w ciasnym kołnierzyku. W sieci zmarszczek wokół oczu. Widziałam ją już wcześniej, wiele razy, ale nigdy w rzeczywistości. Bo to jest Li Xiara. Głos z radia. Przywódczyni Komitetu, najwyższego organu władzy w naszym kraju.

Cofnęłam się o krok, a ona wciąż się uśmiechała.

— Bardzo żałuję, że musimy spotykać się w ten sposób — powiedziała cicho. — Ale nie mogliśmy dłużej odkładać rozmowy z tobą. — Położyła rękę na oparciu wygodnego fotela. — Bardzo cię proszę, usiądź. — Sama też nie czekała, usiadła na takim samym fotelu naprzeciwko. — Wiem, że masz mnóstwo pytań. Przykro mi, że nie mogłam pojechać po ciebie sama. Mam nadzieję, że uda nam się wszystko ustalić. — Mówiła łagodnie, kontrolowała słowa, jakby czytała z kartki.

Siedziałyśmy zwrócone ku sobie twarzami, nasze głowy znajdowały się na tej samej wysokości.

Nie mogłam przestać na nią patrzeć. Twarz miała bardziej zniszczoną, niż to widziałam na zdjęciach. Dziwnie było siedzieć tak blisko niej, widzieć ją w rzeczywistości. Poczułam skurcz w sercu. Ta kobieta. Jakiego wyboru dokonała? Za co jest odpowiedzialna? Za śmierć miast? Za sytuację tamtego młodego chłopaka z restauracji? Owych starych, porzuconych na śmierć? Za młodych, którzy wyglądają jak duchy i są tak zdesperowani, że traktują bliźnich jak zdobycz? Za moją mamę?

Nie, nie mogę tak myśleć, nie mogę jej zadać tych pytań, krytykować, bo ona wie więcej ode mnie.

— Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś mogła mi powiedzieć, dlaczego się tu znalazłam. — Starałam się naśladować jej sposób rozmowy, mówić tak łagodnie i miło, jak potrafię.

Kobieta zatrzymała na mnie wzrok.

— Na początku uważaliśmy, że sprawiasz kłopoty.

— Co?

— Zwłaszcza kiedy przyjechałaś tutaj, do Pekinu. — Zrobiła pauzę. — Potem jednak… Naprawdę myśleliśmy, żeby się z tobą skontaktować, nie chcieliśmy, żebyś… żebyście zbyt długo żyli w nieświadomości. Ale najpierw musieliśmy być bardzo, bardzo pewni.

— Pewni czego?

Pochyliła się do przodu, jakby chciała być bliżej mnie.

— Teraz jesteśmy pewni.

Nie odpowiedziałam. Jej spokojny, melodyjny głos budził we mnie wściekłość, ale okazując gniew, nie poznam odpowiedzi na moje pytania.

— I może mimo wszystko tak jest najlepiej — mówiła dalej. — Że sama musiałaś znaleźć odpowiedź.

Głęboko zaczerpnęłam powietrza, próbowałam zachować spokój.

— Nie rozumiem, co masz na myśli.

— W nadchodzącym czasie będziesz miała możliwość odegrać pewną rolę. I mamy nadzieję, że zechcesz z nami współpracować.

— Ale o co dokładnie chodzi?

— Dojdziemy do tego. Czy mogłabyś mi najpierw powiedzieć, co według ciebie stało się twojemu synowi? Co zdążyłaś sobie wyjaśnić?

Zmuszałam się do zachowania spokoju. Ona ustaliła, co należy robić, ja nie mam wyjścia, tylko realizować jej plan, współpracować. Co by się stało, gdybym odmówiła?

— Uważam, że Wei-Wenowi przytrafiło się coś, co ma znaczenie dla wielu, nie tylko dla mnie — powiedziałam wolno. — Nie tylko dla niego.

Przytaknęła.

— I co jeszcze?

— Myślę, że to dlatego go zabraliście. I to, co się stało, może być… może zmienić wszystko.

Li Xiara czekała.

— Nie powiesz mi, gdzie on jest? — spytałam błagalnym głosem. — Nic więcej już nie wiem.

Moja gospodyni milczała. Wzrok zawisł gdzieś w powietrzu.

Nagle odniosłam wrażenie, jakby wszystko we mnie stanęło, nie mogłam dłużej znieść jej spokojnego śpiewnego głosu, tej zabawy w zgadywanie. Tego neutralnego spojrzenia i bladego półuśmiechu, który trudno zrozumieć.

— Nic nie wiem! — Dopadłam do niej jednym skokiem.

Drgnęła na fotelu. Chwyciłam ją, wtedy po raz pierwszy zmieniła wyraz twarzy. Przez ścianę obojętności przebił się ledwo dostrzegalny cień strachu.

— Gdzie jest Wei-Wen?! — krzyknęłam. — Gdzie on jest? Co się z nim stało? — Próbowałam podnieść ją z fotela. — Więcej już nie zniosę, rozumiesz? To moje dziecko!

Wciąż nią potrząsałam. Byłam silniejsza, sprawniejsza, całe życie pracowałam fizycznie. Ona nie miała szans, przycisnęłam ją do drzwi, uderzałam nią o drewnianą futrynę. W końcu jej twarz się wykrzywiła, w końcu coś w niej obudziłam, ale nadal nie puszczałam. Trzymałam mocno i krzyczałam:

— Gdzie jest Wei-Wen?! Gdzie on jest?!

Natychmiast pojawili się strażnicy, zaszli mnie od tyłu, odciągnęli i rzucili na podłogę. Trzymali mnie leżącą. Z gardła wyrwał mi się głęboki szloch.

— Wei-Wen… Wei-Wen… Wei-Wen…

Li Xiara stała nade mną. Znowu tak samo spokojna, poprawiała ubranie. Próbowała oddychać miarowo.

— Puśćcie ją.

Strażnicy z wahaniem wykonali polecenie. Usiadłam na podłodze, pochylona do przodu, nie stawiałam już oporu, nic się nie działo. Xiara podeszła do mnie, pochyliła się i położyła mi rękę na głowie, trzymała ją przez chwilę, po czym pogłaskała mnie po policzku i ujęła podbródek. Ostrożnie uniosła moją twarz, tak że nasze spojrzenia się spotkały.

I skinęła głową.

Wei-Wen leżał na białym prześcieradle w mocno oświetlonym pokoju. Spał. Ciało zostało otulone kołdrą. Tylko głowa była widoczna. Twarz miał łagodną, ale szczuplejszą niż poprzednio. I cienie pod oczami. Podeszłam bliżej i wtedy to odkryłam: po jednej stronie głowy zgolili mu włosy. Zrobiłam jeszcze jeden krok i zrozumiałam dlaczego. Skóra za uchem u nasady włosów była czerwona. Pokłuta. Stłumiłam chęć doskoczenia do niego. Byłam tu sama, wiedziałam jednak, że oni na mnie patrzą. Widzieli mnie przez cały czas. Ale nie dlatego stałam. Dopóki znajduję się tutaj, dwa metry od niego, mogę nadal wierzyć, że Wei-Wen śpi.

Mogę wierzyć, że śpi i że nie musiał oglądać lodowych kryształów, które niczym pnącza wyrastały z podłogi i spod nóg łóżka. Mogę wierzyć, że śpi i nie musi widzieć, jak mój oddech unosi się w powietrzu za każdym razem, kiedy pozwalam, by ciepło opuściło płuca.

Mogę wierzyć, że śpi i nie musi widzieć, że taki sam biały obłoczek nie unosi się nad nim, że nad jego łóżkiem, nad białą pościelą, powietrze jest nieruchome, czyste i zimne.

GEORGE

Nad obejściem Garetha unosiła się woń spalenizny. Słodkawy zapach ciepłego miodu i benzyny. Dym uderzył we mnie, jak tylko otworzyłem drzwi samochodu.

Gospodarz stał odwrócony do mnie plecami, z twarzą skierowaną w stronę ogniska. Miało ono wiele metrów wysokości, ule nie zostały ustawione, ale rzucone jeden na drugi. Ogień buzował, huczał i trzaskał. Wesoło, przyszło mi do głowy. Jakby było w nim życie. Starał się kompletnie unicestwić dzieło cudzego życia.

Gareth trzymał bańkę z benzyną, ręka opadła mu wzdłuż ciała, może zapomniał, że w ogóle ją ma.

Odwrócił się i wtedy mnie zauważył. Nie wyglądał na zaskoczonego.

— Ile? — spytałem, wskazując głową ognisko.

— Dziewięćdziesiąt procent.

Nie ilość uli, nie liczba pszczelich rodzin, ale procenty. Jakby chodziło jedynie o matematykę. Jednak jego oczy wyrażały coś innego.

Odszedł parę kroków, odstawił bańkę. Ale zaraz znowu ją podniósł, zrozumiał chyba, że nie może jej tak zostawić pośrodku placu.

Był czerwony na twarzy, skóra wyschła tak, że o mało nie popękała, na brązowej od słońca szyi widać było pęcherze oparzeń.

— A u ciebie? — Uniósł głowę.

— Większość.

Skinął głową.

— Spaliłeś je?

— Nie wiem, czy to ma jakiś sens, ale…

— I tak nie da się wykorzystać ich ponownie, nie. To siedzi w nich.

Gareth miał rację. One cuchną śmiercią.

— Nie wierzyłem, że to dojdzie aż tutaj — powiedział znowu.

— Mnie się zdawało, że to z powodu błędów w pielęgnacji — odparłem.

Gareth uniósł kąciki ust w grymasie, który miał przedstawiać uśmiech.

— Mnie też.

W najmniejszym stopniu nie przypominał tamtego małego chłopca, którym niegdyś był, tego, który stał samotnie na szkolnym dziedzińcu. Pusta torba na ziemi przed nim, książki podarte, ołówki rozrzucone, wszystko utaplane w błocie. Ale nigdy się wtedy nie poddawał, nigdy nie uciekał, kucał tylko, podnosił książki, rękawem swetra ocierał błoto, zbierał ołówki, sprzątał, tak jak to robił setki razy przedtem.

Nie wiem dlaczego, ale nagle wyciągnąłem rękę i uścisnąłem jego ramię. Wtedy pochylił głowę, twarz mu się wykrzywiła, jakby się przede mną rozpadł. Usłyszałem głęboki szloch. Jego ciało dygotało pod moją ręką, miał w sobie coś jeszcze, co chciało wydostać się na zewnątrz. A ja wciąż mocno go trzymałem. Nic więcej się nie wydarzyło, tylko ten głęboki szloch. Nic więcej.

Potem się wyprostował, przetarł oczy wierzchem dłoni, nie patrząc na mnie. W tym momencie silniejszy poryw wiatru cisnął w nas kłębami dymu. Z naszych oczu popłynęły łzy.

— Przeklęty dym — powiedziałem.

— No właśnie — zgodził się. — Przeklęty dym.

Staliśmy w milczeniu. Gareth skulił się, starał się panować nad sobą. Po chwili na wargach pojawił się jego zwykły uśmiech.

— Tak, tak, George. W czym mógłbym ci dzisiaj pomóc?

Gareth miał rację. Ule przyjechały natychmiast. Allison załatwiła pożyczkę bez mrugnięcia okiem i już dwa dni później na mój dziedziniec

wjechała szara ciężarówka. Wysiadł z niej energiczny facet, zapytał, gdzie ma wyładować. Przetransportował ule na łąkę, zanim sam zdążyłem tam dojść. Nie powiedział ani słowa, podał mi tylko podkładkę z arkuszem papieru i poprosił, bym potwierdził przyjęcie towaru.

No i teraz stoją tam, sztywne, nowe. Tak samo stalowoszare jak ciężarówka, którą przyjechały. Pachną farbą przemysłową. Stoją w długim szeregu. Każdy kropka w kropkę podobny do następnego. Ogarnęło mnie zmęczenie, odwróciłem się.

Miałem tylko nadzieję, że pszczoły nie zauważą różnicy.

Choć dobrze wiedziałem, że zauważą.

One zauważą wszystko.

TAO

Chłopiec postawił przede mną na stole smażony ryż. Ostatnim razem dołożono do niego kilka kawałków warzyw i jajko. Dzisiaj został przyprawiony jedynie sztucznym sosem sojowym. Od zapachu kręciło mnie w nosie, musiałam się pochylić, by nie zwymiotować. W ostatnich dniach prawie nie jadłam, choć Xiara dała mi dość pieniędzy. Więcej niż dość. Ale nie byłam w stanie przełknąć nic prócz suchych herbatników. Palił mnie każdy nerw, zasychało w ustach, skóra na rękach popękała. Byłam odwodniona, pewnie dlatego, że mało co piłam. A może to przez łzy, które z siebie wylałam. Teraz płaczę na sucho, nie mam już więcej łez, wypłakałam je do końca, słuchając głosu Xiary. Odwiedzała mnie codziennie, mówiła i mówiła, tłumaczyła i przekonywała. I powoli, w miarę jak czas płynął, jej słowa nabierały sensu. Uchwyciłam się ich niemal łapczywie, pewnie bardzo chciałam, by miały sens. Chciałam jej słuchać, nie musieć samodzielnie myśleć.

— Za bardzo go kochałaś — powiedziała Xiara.

Czy można kogoś kochać za bardzo?

— Byłaś jak wszyscy rodzice. Chciałaś dać swojemu dziecku wszystko.

— Tak. Chciałam dać mu wszystko.

— Wszystko to jednak za wiele.

Czasami, przez ułamki sekund, minut, zdawało mi się, że ją rozumiem. Ale potem powracało poczucie bezsensu, to, co mówiła, to były tylko słowa, byłam bowiem w stanie myśleć tylko o nim: Wei-Wen. Wei-Wen. Moje dziecko.

Wczoraj Xiara przyszła po raz ostatni.

— Nie będziemy więcej rozmawiać — oświadczyła.

Tłumaczyła, że teraz powinnam pojechać do domu, uwolnić się od żałoby. Czekają mnie zadania. Xiara chciała, bym spotykała się z ludźmi, przemawiała do nich, opowiadała o Wei-Wenie. O pszczołach, które wróciły. O naszych, o jej zamiarach hodowania pszczół jako pożytecznych stworzeń, w kontrolowanych warunkach, postawienie wszystkiego na to, by znowu zaczęły się rozmnażać w szybkim tempie, by wkrótce wszystko znowu było jak dawniej. Wei-Wen może stać się symbolem, mówiła. A ja będę tą pogrążoną w żalu matką, która potrafiła wznieść się ponad to, dla wspólnoty odłożyć na bok własne sprawy, zrezygnować z siebie. „Skoro ja, która utraciłam wszystko, mogę, to wy też możecie”. Nie dała mi wyboru. W głębi duszy wiedziałam dlaczego. Czułam, że ona też robi to, co musi lub sądzi, że musi. Choć wciąż nie miałam pojęcia, czy potrafię, czy będę w stanie zrobić to, czego ona ode mnie oczekuje. Bo jedyne, co nadawało mojemu życiu jakiś sens, to moje dziecko. Jego twarz. Próbowałam mieć ją wciąż przed oczyma. Jego buzia między mną i Kuanem. Wei-Wen spoglądający w górę na nas. „Jeszcze. Jeszcze. Raz, dwa, trzy — hop!” I czerwona chusta powiewająca na wietrze.

Jutro mam wyjechać. Wei-Wen musi zostać. Później pewnie będę mogła urządzić mu pogrzeb. Ale to nie jest ważne. To małe, zimne ciało pokryte warstwą szronu to przecież już nie on. Ta twarz nie jest jego, to nie ta buzia, którą przez cały czas próbuję pamiętać.

Przesunęłam miskę w stronę chłopca.

— To dla ciebie.

Spojrzał na mnie pytająco.

— Ale… Ty w ogóle nie będziesz jeść?

— Nie. Zamówiłam to dla ciebie.

Chłopak stał, kiwał się na jednej nodze.

— Usiądź — usłyszałam prośbę w swoim głosie.

Pośpiesznie usiadł i przysunął do siebie miskę, przez moment przyglądał się jej niemal uszczęśliwiony, potem podniósł ją do ust i zaczął pochłaniać ryż. Przyjemnie było patrzeć, jak je, widzieć, że trzyma się życia. Przyglądałam mu się, jak wsuwał ryż do ust, zanim zdążył przeżuć pierwszą porcję, nabierał następną.

Kiedy najgorszy wilczy głód został zaspokojony, chłopiec koncentrował się bardziej na tym, by wolniej poruszać pałeczkami, jakby jakiś wewnętrzny strażnik dobrego wychowania podpowiadał mu, jak właściwie powinien postępować.

— Dziękuję — rzekł cicho.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

— Czy wiesz coś więcej? — spytałam po chwili.

— O czym?

— O was. Będziecie tu nadal mieszkać?

— Nie wiem. — Wpatrywał się teraz w blat stołu. — Wiem tylko, że tata każdego dnia żałuje. Myśleliśmy, że tu będziemy bezpieczni, że tu powinniśmy zostać, ale wszystko się odmieniło. Teraz stanowimy tylko plagę dla władzy.

— Nie możecie wyjechać?

— Dokąd? Nie mamy pieniędzy ani miejsca, gdzie moglibyśmy się udać.

Znowu ogarnęła mnie bezsilność. Jeszcze jedna sprawa, na którą nic nie mogę poradzić.

Nie. To nie jest niewykonalne. To akurat mogłabym załatwić, komuś jednak mogłabym pomóc.

— Jedźcie ze mną.

— Co masz na myśli? — Patrzył na mnie zdumiony.

— Wracajcie ze mną.

— Jedziesz do domu?

— Tak. Teraz jadę do domu.

— Ale… Nie mamy prawa… Oni nam nie pozwolą. No i co z pracą? Czy tam znajdzie się dla nas praca?

— Obiecuję, że wam pomogę.

— A co z jedzeniem?

— Tutaj jest go jeszcze mniej.

— Tak…

Odłożył pałeczki na stół. Miseczka po ryżu była pusta. Tylko jedno samotne ziarenko leżało na dnie. Chłopak je zauważył, sięgnął po pałeczki i chciał wziąć ziarnko, ale zrezygnował, widząc, że go obserwuję.

— Musicie — powiedziałam cicho. — Tutaj umrzecie.

— Może tak byłoby lepiej.

W jego głosie kryło się coś dzikiego, nie patrzył mi w oczy.

— O co ci chodzi? — wykrztusiłam. Nie mogłam tego znieść. Nie u niego. Jest taki młody.

— Nie ma już znaczenia, co się z nami stanie — rzekł z pochyloną głową. — Z tatą i ze mną. Nie ma znaczenia, gdzie mieszkamy. Tutaj czy gdzie indziej. Razem. Czy każdy z osobna. To nie jest ważne. — Głos mu się załamał, przez chwilę chrząkał. — Nic z tego nie ma już znaczenia. Jeszcze nie zrozumiałaś?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Jego słowa stanowiły odwrotność słów Xiary: „Nikt z nas osobno nie jest ważny”. Ale podczas gdy ona mówiła o wspólnocie, ten chłopiec mówił o samotności.

Podniosłam się gwałtownie, musiałam skłonić go do milczenia. Ta krucha nadzieja, której się czepiałam, łatwo może ulec zmiażdżeniu. Idąc do drzwi, przesuwałam wzrok po pomieszczeniu, byle tylko nie patrzeć na niego.

— Powinniście się spakować — rzekłam cicho. — Wyjeżdżamy jutro.

Pośpiesznie wyjęłam torbę. Nie trzeba było wiele czasu, by zapakować tych trochę rzeczy, jakie miałam ze sobą. Ubrania, kilka przyborów toaletowych, dodatkowa para butów. Przeszukałam pokój, chciałam mieć pewność, że zabrałam wszystko. I wtedy je odkryłam. Książki. Były tutaj przez cały czas, ale ich nie zauważałam, stały się jakby częścią pokoju. Ułożone w stos, leżały na nocnym stoliku, nie tknęłam ich od czasu, kiedy zabrała mnie strażniczka, nigdy nie sięgnęłam po żadną, nie przeczytałam. Dobrze wiedziałam, że zawarte w nich słowa mają tak samo niewiele sensu jak wszystko inne.

Powinnam je zwrócić, może zdążyłabym jeszcze do biblioteki. Ale wciąż tylko stałam, trzymając książki w rękach. Czułam, że gładki plastik obwolut lepi mi się do rąk.

Większość odłożyłam na łóżko, wyjęłam tylko jedną. To był *Ślepy pszczelarz*. Nigdy nie zdążyłam przeczytać jej do końca, ale teraz ją otworzyłam.

GEORGE

Emma znowu płakała. Stała odwrócona do mnie plecami, obierając ziemniaki, i płakała. Pozwalała łzom płynąć, nie powstrzymywała ich, co jakiś czas z jej ust wydobywał się cichy szloch. Płakała jak na pogrzebie. Gdziekolwiek i kiedykolwiek, nad zmywakiem, przy gotowaniu obiadu czy myciu zębów. Za każdym razem chciałem wyjść, nie zwracać na to uwagi, znaleźć jakieś wytłumaczenie, dlaczego ją zostawiam.

Na szczęście niezbyt często bywałem w domu. Pracowałem od rana do wieczora. Nająłem Ricka i Jimmy’ego na pełne dniówki. Pieniądze, pożyczone pieniądze, wypływały z konta. Z czasem machnąłem na to ręką i przestałem sprawdzać. Nie chciało mi się patrzeć na stale topniejące saldo. Teraz trzeba po prostu pracować. Tylko pracować. Żadnych nakładów, żadnych inwestycji. W dalszym ciągu mogłem uratować część zbiorów. Zebrać pieniądze tak, bym mógł spłacać pożyczkę. Chudłem, ubyło mi parę kilogramów, gram po gramie. Dzień po dniu, noc po nocy, bo sypiałem kiepsko. Emma dbała o mnie, karmiła mnie, ozdabiała jedzenie plastrami ogórka i wstążeczkami marchwi, ale to nie pomagało. Nie podchodziło mi nic, jedzenie smakowało jak wióry. Jadłem tylko dlatego, że tak trzeba i by mieć siły do wydostania się na powierzchnię. Wiedziałem, że Emma najchętniej smażyłaby mi codziennie befsztyki, ale ona też oszczędzała. Nie rozmawialiśmy na ten temat, ale przecież oboje widzieliśmy, jak kurczy się saldo.

Zasadniczo nie rozmawialiśmy teraz o niczym. Nie miałem pojęcia, co się z nami stało. Tęskniłem za swoją żoną, ona przecież tu jest, ale zarazem jej nie ma. Albo może tak naprawdę to nie ma mnie.

Emma pociągała nosem. Chciałem ją objąć, tak jak to miałem w zwyczaju. Ale ciało nie było na to gotowe. Wszystkie łzy Emmy zebrały się w tej potężnej kałuży, która nas rozdzielała.

Wycofałem się z kuchni, miałem nadzieję, że tego nie zauważy. Ale Emma się odwróciła.

— Przecież widzisz, że płaczę.

Nie odpowiedziałem. Co tu jest do powiedzenia?

— W takim razie chodź tutaj — powiedziała cicho.

Poprosiła mnie o to po raz pierwszy. Mimo to nadal się nie ruszyłem.

Emma czekała. Wciąż trzymała nóż w jednej ręce, a ziemniaka w drugiej. Też czekałem. Miałem chyba nadzieję, że to wszystko przeczekam. Ale tym razem się nie udało.

Emma jęknęła cicho.

— Ty się wcale nie przejmujesz.

— Oczywiście, że się przejmuję — odparłem, ale nie mogłem spojrzeć w jej oczy.

Jeszcze wyżej uniosła ręce.

— Płacz nic nie pomoże — rzekłem.

— Nie pomoże też to, że nie będziemy się nawzajem pocieszać.

Odwróciła moje słowa, często tak robi.

— Nie przybędzie nam uli od tego, że będę tu stał i cię pocieszał — burknąłem. — Nie będziemy mieć z tego więcej królowych, więcej pszczół, więcej miodu.

Ramiona Emmy opadły. Odwróciła się.

— No to idź do roboty.

Ale ja stałem.

— Idź do roboty — powtórzyła.

Zrobiłem krok w jej stronę. I jeszcze jeden. Mogłem położyć rękę na jej ramieniu. To by pewnie pomogło. Nam obojgu.

Wyciągnąłem rękę do jej pleców. Ona tego nie zauważyła, wróciła do obierania, wyjęła kolejny ziemniak z brudnej wody w misce. Szybkimi ruchami zdejmowała skórę tak, jak to robiła setki razy przedtem.

Wyciągałem rękę w powietrzu, ale nie sięgnąłem. W tej chwili zadzwonił telefon. Moja ręka opadła. Odwróciłem się, wyszedłem na korytarz i podniosłem słuchawkę.

Głos był młody, prawie dziewczęcy. Zapytał, czy ja to ja. Potwierdziłem.

— Dostałam twoje nazwisko od Lee. Chodziliśmy razem do szkoły.

— Aha.

Czyli, inaczej mówiąc, ona nie jest taka młoda, jak mi się wydawało.

Mówiła szybko, zręcznie posługiwała się słowami. Powiedziała, że pracuje w pewnej stacji telewizyjnej, która przygotowuje teraz film.

— Dokument poświęcony CCD.

— Tak?

— *Colony Collapse Disorder*. — Dodała to wolno i wyraźnie.

— Wiem, co to jest CCD.

— Robimy film o pszczołach, które umierają, i o tym, jakie to ma konsekwencje. Ty sam doświadczyłeś tego na własnej skórze.

— Lee wam opowiedział.

— Wolelibyśmy, żebyś zrobił to osobiście — rzekła.

— Osobiście, tak. Dobrze — zgodziłem się.

— Moglibyśmy spotkać się z tobą któregoś dnia, pójść razem do uli, posłuchać o twoich przeżyciach związanych z tą sprawą.

— O moich przeżyciach? Chyba nie ma wiele do gadania.

— Ależ jest, mnóstwo. I właśnie to chcemy pokazać. Jak każdy pojedynczy człowiek odczuwa to, co się stało. Jak to zniszczyło wasze

źródła utrzymania. Tak to przeżyłeś? Było to dla ciebie trudne?

— Akurat mojego źródła utrzymania nie zniszczyło — zaprzeczyłem. Nagle przestał mi się podobać jej ton. Mówiła jak do rannego psa.

— Nie? A ja zrozumiałam, że straciłeś niemal wszystkie swoje pszczoły.

— Owszem. Ale wiele z nich już zastąpiłem nowymi.

— O?

Zaległa cisza.

— Robotnice pszczół żyją tylko przez kilka tygodni lata — tłumaczyłem. — Nie trzeba zbyt długiego czasu, by nowe ule zaczęły pracować.

— Aha. Więc teraz tym się zajmujesz. Zasiedlasz nowe ule?

— Zgadza się.

— Świetnie! — zawołała uradowana.

— Tak?

— Możemy to wykorzystać. Naprawdę wspaniale! Odpowiadałoby ci, gdybyśmy przyjechali w przyszłym tygodniu?

Odłożyłem wilgotną od potu słuchawkę. Mam wystąpić w telewizji. Jestem jednym z tych, których „można wykorzystać”. Chyba nie było możliwości, bym się wymigał. Próbowałem, ale ona mnie zagadała. Była gorsza od Emmy.

Telewizja krajowa. Całe USA będą mogły to zobaczyć.

Do pokoju weszła Emma. Wycierała ręce kuchenną ścierką. Oczy miała czerwone, ale na szczęście suche.

— Kto to był?

Wyjaśniłem jej, kto dzwonił.

— Wywiad na temat pszczół? Dlaczego musimy to robić?

— Nie my. Będą rozmawiać tylko ze mną.

— Ale dlaczego się zgodziłeś?

— Możliwe, że to zadziała. Może władze coś zrobią — powiedziałem, powtarzając słowa tej, która telefonowała.

— Ale dlaczego chcą wypytywać właśnie nas?

— Mnie — powtórzyłem twardo i się odwróciłem. Nie chciałem więcej pytań, więcej płaczu, więcej marudzenia.

I nagle znowu to na mnie spadło. Zmęczenie. W ciągu tych wszystkich tygodni miałem spokój. Nie odczuwałem go od czasu, kiedy zimą Tom był w domu. Ale teraz znowu powróciło. Mógłbym położyć się na podłodze w korytarzu i po prostu zasnąć. Zniszczona drewniana podłoga wyglądała kusząco. Pomyślałem o termometrze w kształcie niedźwiadka, o pisku, jaki wydaje. Chciałbym, żeby termometr pokazał jak najwyższą temperaturę, straszną gorączkę. Wtedy mógłbym leżeć w łóżku. Dostałbym miękką poduszkę, ciepłą pierzynę otulającą mnie całego. Chciałbym mieć gorączkę, która nigdy nie spada.

Ale nie mogę się położyć, nie mogę nawet usiąść. Bo na zewnątrz stoją ule. Szare i puste. Zbyt lekkie. Trzeba je napełnić. A nie ma nikogo innego, kto mógłby to zrobić. I teraz mają mnie pokazać w telewizji. Muszę udowodnić, że działam. Że nie dałem się złamać jakiemuś CCD.

Roboczy kombinezon wisiał na swoim haczyku. Siatka i kapelusz tuż nad nim. Na podłodze stały wysokie buty, wszystko to wyglądało, jakby jakiś płaski człowiek schował się w ścianie.

Zdjąłem kombinezon, zacząłem się przebierać. Starannie podciągnąłem suwak, dopilnowałem, żeby wszystkie otwory zostały zamknięte.

— Przecież zaraz obiad — powiedziała Emma.

Stała w drzwiach ze swoimi pustymi rękami.

— Mogę zjeść wieczorem.

— Ale dzisiaj będzie mięsny pudding. Przygotowałam mięsny pudding.

— Przecież mamy kuchenkę mikrofalową.

Emma nic nie powiedziała, ale dolna warga jej zadrżała. Stała bez ruchu, a ja włożyłem kapelusz, zasłoniłem twarz siatką i ruszyłem.

Poszedłem na łąkę nad Alabast River i spędziłem tam resztę dnia. Najpierw pracowałem. Pogoda była znakomita. Nie powinna być aż taka. To nie w porządku. Ogromne słońce wisiało po zachodniej stronie nieba nad kwitnącą łąką. Krajobraz piękny jak z obrazka w kalendarzu.

Ale było mi bardzo ciężko. Ramiona miałem jak sparaliżowane. Ogarniało mnie coraz większe zmęczenie. Mogłem tylko chodzić. Okrążałem nowe ule. Puste. Szare. Niczym potężna góra. Byłem tam, gdy pszczoły zaczęły wchodzić do środka. Natura zastygła w bezruchu.

Dopiero wtedy przeszedłem przez łąkę na drugi koniec. Nogi same mnie tam niosły. Do tych starych, pomalowanych na kolorowo uli, do tych z nich, w których nadal było życie.

Dlaczego akurat te zostały oszczędzone? Kto zdecydował, że właśnie one mają żyć?

Ciężko oddychając, przystanąłem przy żółtym ulu. Za każdym razem, kiedy sprawdzałem któryś z nich, kuliłem się z niepokoju. Za każdym razem spodziewałem się tego samego. Już widziałem osłabłe pszczoły poruszające się na samym dnie ula, pustkę, samotną królową w otoczeniu kilku młodych.

Coś było jednak nie tak, również z nimi. Wydawały się zbyt spokojne. Z całą pewnością coś jest nie tak. Sprawdziłem wylot ula. Jedynie kilka pszczół. Za mało.

Nie byłem w stanie.

Jednak musiałem.

Z zamkniętymi oczyma zdjąłem pokrywę. Potem otworzyłem ul. Powitał mnie tym samym co zawsze szumem, brzęczeniem. Jak mogłem tego nie usłyszeć? Że wszystko jest jak zwykle. Jest, na sto procent jest tak, jak

powinno. W dole pszczoły latają w kółko. Niektóre tańczą. Mignęła mi królowa, turkusowa kropka na grzbiecie. Widziałem młode. Widziałem czysty, złocisty miód. Pszczoły pracują, żyją. Są tutaj.

Zakręciło mi się w głowie. Byłem taki zmęczony. Osunąłem się na ziemię. Siedziałem przez dłuższą chwilę. Ziemia była ciepła, źdźbła trawy miękkie. Oczy znowu mi się zamknęły.

Ale nie spałem. Bo czułem ów ucisk w piersiach. Dosięgły mnie łzy Emmy, poziom wody się podnosił, chlupotał wokół stóp. Raz po raz przełykałem ślinę, nie mogłem oddychać. Topiłem się. Ale walczyłem z tym.

W końcu znowu się podniosłem. Stałem tylko i patrzyłem na pszczoły, które również walczyły tam w dole. Prowadziły tę zwyczajną, codzienną walkę o potomstwo, o wystarczającą ilość pyłku, o miód.

Ale umrą, te także. To, czym się zajmuję, nie ma prawa do życia. Za każdym razem, kiedy otworzę ul, będzie tak samo jak tutaj. To samo uczucie: czy żyją, czy zniknęły? To nie ma sensu.

To nie ma sensu!

Napinały mi się wszystkie mięśnie. Wszystkie siły skupiły się w jednej nodze, w stopie, i nagle kopnąłem.

Ul upadł na ziemię z dudnieniem, uniósł się nad nim rój pszczół.

Powyszarpywałem ramy. Teraz pszczoły były wszędzie. Wściekłe i śmiertelnie przerażone. Chciały mnie dopaść, zemścić się. Deptałem po nich, po larwach, po ich dzieciach. Ale dźwięk był stłumiony, prawie niedosłyszalny. Nie taki jak dźwięk tłuczonego szkła. Mimo to nie przestawałem. Niszczyłem je, miażdżyłem. Wyrywałem im skrzydła, wytłukę wszystkie, zanim one unicestwią mnie. I nieoczekiwanie przyszedł mi do głowy ten pomysł. Jakie to proste! Możemy unicestwić się nawzajem.

Stanąłem w chmurze rozwścieczonych pszczół. Rzucały się na mnie.

To takie proste.

Uniosłem rękę do zamka błyskawicznego, do siatki.

Wystarczyło ją tylko podnieść.

Zdjąć kapelusz.

Zrzucić rękawice.

Szybko pociągnąć zamek w dół — wydostać się z kombinezonu.

Zrzucić z nóg buty.

I po prostu stać, pozwolić, by robiły swoje.

Będą mnie żądlić w obronie własnej. Wbijać we mnie żądła, oddawać życie za to, by odebrać mi moje. Ale tym razem mojego ojca tu nie będzie, nikt nie weźmie mnie na ręce i ze mną nie odbiegnie, a chmara pszczół nie będzie za nami podążać aż do rzeki, gdzie ojciec nie wskoczy do wody, żeby uchronić nas obu przed dalszymi atakami.

Tym razem upadnę. Będę leżał. Trucizna będzie się rozchodzić w żyłach. Pozwolę, by nadal mnie żądliły, a gdyby przestawały, będę je kopał gołymi stopami, deptał po nich, aż znowu się zdenerwują i będą mnie ciąć, aż stracę czucie.

Będą miały swoją zemstę, zasłużyły na to.

No i wszystko się skończy.

Teraz to zrobię.

Teraz.

Palce chwyciły siatkę, cienki materiał dotykał grubych rękawic.

Unieść siatkę.

Teraz.

Ale oto…

Kroki na łące. Ktoś krzyczy.

Biegnie w moją stronę.

Najpierw spokojnie, potem szybciej. Głośniej.

W białym kombinezonie.

Kapelusz, siatka. Kompletnie ubrany, gotowy do pracy. Jeszcze raz przyjechał bez uprzedzenia. Albo może Emma wiedziała?

Przyjechał. Na dobre?

Teraz biegnie. Czy mnie zobaczył? Widział, co się dzieje?

Wołanie było coraz głośniejsze. Dźwięczało w powietrzu.

— Tato? Tato!

TAO

Chłopiec i jego ojciec stali za mną, kiedy włożyłam klucz do zamka i otworzyłam drzwi do pustej wieczornej ciemności. Na wieszaku w przedpokoju nie było kurtki Kuana. Zniknęły buty.

Nacisnęłam klamkę drzwi do łazienki. Jego półka była pusta i wymyta. Został tylko ślad mydła w miejscu, gdzie leżała golarka.

Wyprowadził się bez ostrzeżenia. Czy dlatego, że chciał? Dlatego, że myślał, iż ja chcę? Dlatego, że wszystko we mnie przypominało mu o Wei-Wenie, tak jak wszystko w nim mnie przypominało o synku?

Dlatego, że mnie oskarża?

Jeszcze jeden, który zniknął. Tym razem jednak nie mogę szukać. Nie mogę rozpytywać, nawiązać z nim kontaktu. To był jego wybór, nie mam prawa nic zrobić. Bo wina wciąż jest moja.

Chłopiec i jego ojciec wciąż stali w korytarzu. Patrzyli na mnie wyczekująco, musiałam coś powiedzieć.

— Możecie rozgościć się w sypialni.

Postawiłam swoją torbę pośrodku salonu i pościeliłam sobie na kanapie. Słyszałam, że obok chłopiec coś mówi. Głos dochodził do mnie falami, pełen zapału, praktyczne detale dodawały mu energii. Chłopak odnalazł przyszłość. Mrok, który w sobie nosił, zniknął. Albo może ja poprzedniego wieczora nadałam słowom zbyt wielkie znaczenie. Włożyłam w nie całą swoją nadzieję.

Podeszłam do okna. Ogrodzenie nadal stało. W górze nad nim krążył helikopter. Pszczoły zostały zamknięte niczym w kokonie, ani jedna nie

może się wydostać, zanim nie będzie ich o wiele, wiele więcej, a ludzie nabiorą pewności, że można je kontrolować. Tak właśnie chce Xiara.

Chce oswoić pszczoły. To nas uratuje. Chce oswoić pszczoły tak, jak oswoiła mnie. A ja na to pozwoliłam. Tak było najprościej — podążać za nią, nie myśleć.

Chłopiec w sypialni się roześmiał. Po raz pierwszy słyszałam jego śmiech. Taki młody i radosny. Coś im dałam, jemu i ojcu. Śmiech narastał, sprawiał, że oddychało mi się lżej. Kiedy ostatnio ktoś spał w tych czterech ścianach?

Za mną stała torba. Jest w niej książka, nie zwróciłam jej do biblioteki, ale przeczytałam całą, od początku do końca. Nosiłam w sobie słowa, nie wiedziałam tylko, co miałabym z nimi zrobić. Były zbyt wielkie, nie radziłam sobie z tym.

Ludzie przygotowali rynek, wysprzątali plac. Zbudowali podium, zamontowali kamery. Wiele ekip pracowało jednocześnie, bo przemówienie miało być transmitowane na cały świat. Jakaś energiczna kierowniczka produkcji dyrygowała ludźmi. Na samym końcu ustawiła wielkie kosze pełne świeżo zebranych gruszek. Symbolika wydawała mi się przesadzona, ale może tak powinno być.

Dostałam własne ubrania. Jakaś kobieta przyszła z naręczem rzeczy, z których mogłam coś wybrać. Nic szczególnego, ale wszystko całkiem nowe. Prosty krój przypominał uniformy z wcześniejszych okresów funkcjonowania Partii. By przypominać, skąd przyszłam, że jestem jedną z nich, z ludu. Trochę sztywne, chociaż uszyte z miękkiego materiału.

— To bawełna — wyjaśniła kobieta.

Bawełna z recyklingu. Nigdy przedtem nie miałam niczego bawełnianego. Metr tego materiału kosztuje miesięczną pensję. Wybrałam niebieski kostium, włożyłam go. Materiał oddychał, wkrótce to poczułam.

Spojrzałam w lustro. Było mi w tym kostiumie do twarzy. I wyglądałam jak jedna z nich. Jak ona, Xiara, a nie jak robotnica z owocowych pól. Taka właśnie miałam chyba być.

W tym kostiumie stałam się kimś innym — kimś takim, jak Xiara mnie prosiła.

Odwróciłam się, znowu zerknęłam w lustro, żakiet ładnie leżał na ramionach, spodnie opinały biodra. Pociągnęłam lekko rękawy, zatrzymały się akurat tam, gdzie powinny.

I wtedy napotkałam własne spojrzenie. Moje oczy… Jakie one podobne do jego oczu. Ale kim ja jestem? Wei-Wen nigdy nie miał na sobie nic bawełnianego. Nigdy nie posiadał żadnej rzeczy z bawełny i jego krótkie życie nie miało żadnego sensu.

Zmusiłam się, by ponownie unieść głowę, by popatrzeć na siebie. Z tamtej strony spoglądała na mnie pożyteczna idiotka.

No nie! Poczułam na skórze materiał żakietu. Zerwałam z siebie bluzę, zrzuciłam spodnie, cisnęłam je na podłogę.

To powinno mieć sens. I przecież wiem, jak to zrobić.

Wciągnęłam przez głowę własny zniszczony sweter, włożyłam stare spodnie, szybko się pozapinałam i obułam.

Potem chwyciłam stojącą na podłodze torbę, otworzyłam drzwi i wyszłam. Odszukałam kierowniczkę produkcji.

— Gdzie jest Li Xiara? Muszę z nią porozmawiać.

Xiara urzędowała w budynku komitetu wiejskiego, dostała największy gabinet. Kiedy weszłam, trzej mężczyźni zostali wyprowadzeni stamtąd przez strażnika, choć najwyraźniej ich rozmowa się jeszcze nie zakończyła. Xiara podniosła się, wyszła mi na spotkanie, próbując uśmiechać się łagodnie, ale teraz już na to nie reagowałam.

— Masz. — Wyciągnęłam do niej książkę.

Wzięła ją, ale nie otworzyła, nawet na nią nie spojrzała.

— Tao, nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę twoje przemówienie.

— Musisz przeczytać tę książkę — odparłam.

— Jeśli chcesz, możemy powtórzyć wszystko jeszcze raz. Chętnie z tobą popracuję. Chodzi o brzmienie słów. Może zmienimy jakieś sformułowania…

— Chcę tylko, żebyś przeczytała — upierałam się.

W końcu skierowała wzrok na książkę, przesunęła palcem po tytule.

— *Ślepy pszczelarz*?

Skinęłam głową.

— Nic nie zrobię, nie wygłoszę żadnego przemówienia, dopóki nie przeczytasz.

Spojrzała na mnie.

— O czym ty mówisz?

— Wszystko robicie źle.

Jej oczy się zwęziły.

— Robimy wszystko, co możemy.

Pochyliłam się do przodu, popatrzyłam jej w oczy i powiedziałam cicho:

— One wyginą. Ponownie.

Xiara też patrzyła mi w oczy. Oczekiwałam odpowiedzi, ale ta nie nadeszła.

Czy ona się zastanawia? Czy to do niej dotarło? Czy moje słowa w ogóle mają dla niej jakieś znaczenie? Narastała we mnie złość. Czy ona nie może się odezwać?

Nie chcę dłużej tu być. Odwróciłam się i ruszyłam ku drzwiom. Wtedy w końcu zareagowała.

— Zaczekaj.

Otworzyła książkę na stronie tytułowej.

— Thomas Savage. — Przyglądała się nazwisku autora. — Amerykanin?

— To jedyna książka, jaką napisał — odparłam pośpiesznie. — Ale nie czyni jej to mniej ważną.

Xiara uniosła głowę i znowu na mnie popatrzyła. Potem wskazała mi krzesło.

— Usiądź. Opowiadaj.

Najpierw mówiłam szybko, urywanymi zdaniami, przeskakiwałam z tematu na temat. Zaraz się jednak zorientowałam, że ona daje mi czas, nie śpieszy się. Wielokrotnie ktoś pukał do drzwi, wiele osób czekało na spotkanie, ale Xiara odprawiała wszystkich i powoli się uspokajałam.

Opowiadałam o autorze, Thomasie Savage'u. Książka została napisana na podstawie jego życia i jego osobistego doświadczenia. Rodzina Savage'ów hodowała pszczoły od pokoleń, ojciec Thomasa był jednym z pierwszych dotkniętych Zapaścią i jednym z ostatnich, którzy się poddali. A Tom Savage pracował z nim do ostatnich chwil. Wcześnie przeszli na hodowlę ekologiczną, to było żądanie Thomasa. Nigdy nie zmuszali pszczół do opuszczania uli, nie zabierali im więcej miodu, niż musieli, by się utrzymać. Nawet to jednak ich nie ocaliło. Pszczoły marły. Raz za razem. W końcu byli zmuszeni sprzedać farmę. Dopiero wtedy pięćdziesięcioletni Thomas usiadł, by napisać książkę o swoich przeżyciach i o przyszłości. *Ślepy pszczelarz* jest pracą wizjonerską, mimo to konkretną, bo opartą na doświadczeniu.

Książka wyszła w roku 2037, zaledwie osiem lat przed tym, jak Zapaść stała się faktem. Zawarto w niej przewidywanie, jak może skończyć ludzkość. I w jaki sposób, być może, zdołamy się podnieść.

Kiedy skończyłam, Xiara długo się nie odzywała. Jej ręce spoczywały na książce. Spojrzenie, które trudno było odczytać, spoczywało na mnie.

— Teraz możesz iść.

Czy ona mnie wyrzuca? Jeśli odmówię, wezwie strażników i każe odwieźć mnie do domu. Zażąda, bym została w mieszkaniu aż do wygłoszenia mowy, bo naprawdę chce, żebym ją wygłosiła i przekonała możliwie jak najwięcej ludzi.

Nic takiego nie zrobiła. Otworzyła pierwszy rozdział i zaczęła czytać.

Nadal stałam. Kiedy Xiara znowu na mnie spojrzała, wskazała głową drzwi.

— Chciałabym zostać sama. Dziękuję ci.

— Ale…

Osłoniła ręką książkę, jakby chciała ją chronić.

— Ja też mam dzieci.

WILLIAM

Tapety w strzępach zwisały ze ścian i wciąż narzucały mi się ze swoją złotą barwą. A ona znowu śpiewała. Śpiewała dzisiaj tak samo jak we wszystkie inne dni — melodyjne nucenie, czasem pojawiał się jakiś cichszy ton — i jednocześnie precyzyjnymi ruchami zamiatała podłogę.

Zebrała śmieci na szufelkę, którą postawiła przy drzwiach, i zwróciła się do mnie:

— Może powinnam wytrzepać twoją kołdrę?

Nie zaczekawszy na odpowiedź, ściągnęła ją ze mnie energicznie i obejmując ramionami, niosła w stronę okna. Leżałem w samej koszuli nocnej, czułem się obnażony, ale Charlotte na mnie nie patrzyła.

Otworzyła okno, powietrze napływało do pokoju. Było chłodniejsze niż jeszcze wczoraj. Poczułem na stopach gęsią skórkę i podkurczyłem nogi.

Trzymała kołdrę za oknem i energicznie nią potrząsała. Kołdra wyglądała jak żagiel. Potem Charlotte opuszczała ją w dół, znowu pociągała i ponownie trzepała.

Gdy skończyła, otuliła mnie kołdrą, zimną jak powietrze na zewnątrz. Potem przysunęła do łóżka krzesło i stała chwilę z ręką na jego oparciu.

— Mam ci poczytać?

Nie oczekiwała odpowiedzi. Nigdy nie oczekuje odpowiedzi. Podeszła do półki z książkami, które teraz były znowu starannie poustawiane. Wahała się przez moment, przesuwała palec wskazujący po grzbietach. W końcu wybrała.

— Weźmiemy tę.

Nie widziałem tytułu, zresztą nie będzie czytać dla mnie. Wiedziała dobrze, że to nie ma dla mnie znaczenia. Ważne było to, że ona czyta, a nie to, co czyta.

— Charlotte — rzekłem zachrypniętym głosem starego człowieka, głos nie należał do mnie. — Charlotte.

Spojrzała na mnie. Lekko pokręciła głową. Nie musiałem tego mówić, nie powinienem, bo powtarzałem już niezliczoną ilość razy. Oboje dobrze o tym wiemy. Prosiłem ją zawsze o to samo: by poszła sobie stąd, wyjechała, zostawiła. By pomyślała o sobie. By zaczęła żyć nie dla mnie, lecz dla siebie.

Ale jej odpowiedź była za każdym razem taka sama. Mimo to nie rezygnowałem, powtarzałem to znowu i znowu. Nie mogłem przestać. Byłem jej to winien, bo ofiarowała mi całe swoje życie. Ale żadne słowa nie mogły jej stąd wypędzić. Żadne słowa nie były w stanie wysłać jej gdzieś daleko. Chciała tylko być ze mną.

Jej głos wypełniał pokój razem z chłodnym jesiennym powietrzem. Ale już nie marzłem. Otulały mnie słowa. Charlotte będzie teraz czytać długo, nigdy nie pozwala sobie przerwać.

Wyciągnąłem rękę i wiedziałem, że ona ją ujmie.

Siedziała tak, dzisiaj tak samo jak we wszystkie inne dni, z dłonią spokojnie złożoną w mojej, i pozwalała, by głos zaburzał ciszę. Kierowała w moją stronę słowa, oddawała mi swój czas, swoje życie. Już to samo było wystarczającym powodem, bym stanął na nogi. Ale nie potrafiłem tego zrobić. Zostało mi odebrane, nie, nie odebrane, przegrałem, zarówno swoją wolę, jak i pasję.

Nagle z dołu zaczęły się do nas przedostawać jakieś odgłosy. Odgłosy, jakich nie słyszałem od wielu lat. Płacz niemowlęcia. Jakieś niemowlę? Nie

moje. Może ktoś złożył nam wizytę? Ciekawe kto? Przecież od wielu miesięcy nie słyszałem z dołu nic, poza gadaniem mojej rodziny.

Charlotte przestała czytać. Tym razem pozwoliła sobie przeszkodzić, pochyliła się lekko, jakby szykowała się do skoku.

Ktoś na dole uspokajał dziecko. Thilda?

Dziecko popiskiwało, ale pozwalało się utulać. Powoli cichło.

Moja córka znowu usiadła wygodniej na krześle, sięgnęła po książkę i kontynuowała lekturę. Powieki ciężko mi opadły. Zamknąłem jej dłoń w mojej, słowa falowały w powietrzu między nami. Mijały minuty. Charlotte czytała, a ja leżałem bez ruchu, przeniknięty głęboką wdzięcznością.

Niestety dziecko na dole znowu zaczęło kwilić. Tym razem głośniej. Charlotte umilkła.

Cofnęła swoją rękę.

Płacz stawał się rozpaczliwy, trudny do opanowania, wdzierał się przez ściany. Wtedy Charlotte wstała i odłożyła książkę. Szybko ruszyła do wyjścia.

— Przepraszam, ojcze.

Otworzyła drzwi. Pokój wypełnił się płaczem.

— Niemowlę — powiedziałem.

Zatrzymała się w progu.

Szukałem odpowiednich słów.

— Czy ktoś przyszedł z wizytą?

Charlotte pokręciła energicznie głową.

— Nie… Ja… Dziecko jest teraz nasze.

— Ale… jak to?

— Matka umarła w połogu, a ojciec… nie jest w stanie się nim zająć.

— A kto to taki? — spytałem. — Czy on jest tutaj?

— Nie, ojcze. — Wahała się przez chwilę. — Jest w Londynie.

Nagle do mnie dotarło. Na pół usiadłem w łóżku, próbowałem patrzeć na nią surowo, zmusić, by powiedziała prawdę.

— To jest jego dziecko, prawda? Edmunda?

Charlotte zamrugała. Nie mówiła nic, ale też nie musiała.

— Przykro mi — bąknęła. Potem odwróciła się i wyszła.

Drzwi stały otworem. Słyszałem jej szybkie kroki na schodach, jak znalazła się na parterze i jak szła przez pokój.

— Już idę. — Zatrzymała się. — Ja mam go… — powiedziała to ciszej. — Tak… no już… no już… ciii….

A potem znowu… to jej ciche nucenie. Tylko że teraz śpiewała nie dla mnie.

Nareszcie nie śpiewa dla mnie. Śpiewa dla dziecka, które trzyma w ramionach i które wolno kołysze.

GEORGE

Wciąż w środku dygotałem. Tkwiło to we mnie całymi dniami. Rano, w południe, wieczorem. Nie mogłem utrzymać sztućców. Emma widziała, co się dzieje, ale nie komentowała. Nie mogłem używać narzędzi, hebel spadał mi na ziemię, piła cięła krzywo.

Każdego ranka budziłem się zdjęty strachem.

Budziłem się, schodziłem na dół i spotykałem jego. On tylko na mnie spoglądał i lekko kiwał głową, potem znowu pogrążał się w lekturze. Ale to było w porządku.

Bo on się nie trząsł.

I się nie wahał. Nawet jeśli przewracał kartki w książce, robił to pewnymi ruchami, zdecydowanie i spokojnie, filiżankę z kawą też unosił pewną ręką. Jego kroki, kiedy szedł na łąkę, do uli, były wszystkie dokładnie tak samo długie, stopy precyzyjnie dotykały podłoża.

Więc podążałem za nim. Przez cały czas z dygotem w środku. Ale po tym, kiedy zobaczyłem te jego długie kroki, jak idzie po łące, te ruchy nóg, jak je zgina, podnosi, stawia przed sobą; po tym, jak poznałem jego ruchy, powoli przestałem się trząść. I każdego dnia było mi łatwiej utrzymać widelec. No a teraz, kiedy mieliśmy wybierać miód, kiedy łagodne jesienne słońce stało nisko na niebie, tak samo żółte jak te krople, które strząsaliśmy z plastrów, nagle to zauważyłem. Przeszło mi. Drżenie ustało.

Teraz pracowałem spokojnymi, pewnymi ruchami. Tak jak on. Obok niego.

W tym samym rytmie.

TAO

Ul był strzeżony, ale namiot usunięto, stał więc całkiem odsłonięty, na granicy pól, tuż pod lasem.

Ludzie zebrali się w odpowiedniej odległości, stali spokojnie i tylko na niego patrzyli. Nikt się nie bał pszczół, nie były niebezpieczne. Alergia Wei-Wena okazała się pojedynczym przypadkiem. Wokół nas rosły kwiaty, nowo posadzone krzewy — czerwone, różowe, pomarańczowe, ten sam bajeczny świat, który widziałam w namiocie, a który teraz rozciągał się na olbrzymiej przestrzeni, bo drzewa owocowe zostały wycięte, a ich miejsce zajęły nowe rośliny.

Wojsko odjechało, ogrodzenia rozebrano, namiot zwinięto. Kokon został rozpruty, ul żył wśród nas. Pszczoły mogą sobie latać, gdzie chcą, całkowicie wolne.

Ul stał dziesięć metrów ode mnie, w cieniu drzew, słońce świeciło na niego przez liście — niedaleko miejsca, gdzie została znaleziona pierwsza dzika barć i gdzie pszczoła użądliła Wei-Wena. Miałam przed sobą standardowy ul Savage’a, dokładnie taki jak ten, który Thomas Savage naszkicował w *Ślepym pszczelarzu*, taki jak te, które w jego rodzinie budowano od 1852 roku i których szkice zniknęły w jakimś momencie dziejów. Ale ich wymiary i wygląd Savage zapamiętał i odtworzył. Twórca tego ula miał na myśli produkcję miodu i naukowe obserwacje, zamierzał też w nim oswajać pszczoły. Ale pszczół nie można oswoić. Można je tylko hodować, okazywać im troskę. Pominąwszy początkowe zamiary budowniczego, ul stał się wygodnym domem dla pszczół. Znajdowało się w nim wszystko, co potrzebne, by mogły się rozmnażać i formować w roje.

Miód zachowywały dla siebie, niczego nie można było wybierać, niczego użytkować. Powinien pozostać tym, do czego powołała go natura: pokarmem dla nowo narodzonych. Dźwięk był niepodobny do niczego, co kiedykolwiek słyszałam. Pszczoły wylatywały na zewnątrz i wracały do środka, na zewnątrz i do środka. Przynosiły nektar i pyłki, pożywienie dla potomstwa. Ale nie dla własnych potrzeb. Każda pojedyncza pszczoła pracuje dla ludu, dla wszystkich, dla organizmu, który razem tworzą.

Brzęczenie wypełniało powietrze. Budziło we mnie jakieś wibracje. Uspokajało mnie, ułatwiało oddychanie.

Długo tak stałam. Próbowałam śledzić wzrokiem każdą pojedynczą pszczołę. Obserwować jej lot z ula do kwiatów, z kwiatu na kwiat i z powrotem do ula. Ale wciąż traciłam je z oczu. Było ich zbyt wiele. Poruszały się według niemożliwych do zrozumienia wzorców.

Wobec tego wolałam patrzeć na całość, na ul i otaczające go życie, na całe życie, które on chroni.

W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że ktoś się do mnie zbliżył. Odwróciłam się. To Kuan. Był bardzo zainteresowany ulem, podniósł głowę, by lepiej widzieć. I wtedy spostrzegł mnie.

— Tao.

Podszedł bliżej. Jakimś nieznajomym krokiem, cięższym, jakby się tymczasem zestarzał.

Staliśmy tak naprzeciwko siebie. Kuan nie spuszczał ze mnie wzroku, nie wbijał go w ziemię, jak to często robił. Pod oczami miał głębokie cienie, był chudy, blady.

Tęskniłam za nim, brakowało mi tego człowieka, którym był kiedyś. Tego, co w nim jasne i lekkie. Jego dobrego samopoczucia, radości z dziecka, które mieliśmy. I dziecka, które jeszcze mieliśmy mieć.

Pragnęłam powiedzieć coś, co przywróciłoby mu tamtą pogodę ducha, ale nie znajdowałam słów.

Zwróciliśmy się oboje w stronę ula, staliśmy obok siebie i patrzyliśmy. Nasze dłonie znajdowały się blisko siebie, ale żadne nie ujęło ręki drugiego, dwoje nastolatków, którym brakuje odwagi. Ciepło między nami. Ciepło, które wróciło.

Jakaś pszczoła przeleciała obok nas, w odległości najwyżej metra, skręciła w prawo, z pozoru nieplanowany ruch, potem przeleciała między nami, poczułam ruch powietrza na policzku, i zniknęła pośród kwiatów.

Wtedy Kuan wyciągnął do mnie rękę. Głęboko zaczerpnęłam powietrza. Tym razem się odważył. Nareszcie znowu mnie dotknął. Moja dłoń była mała w porównaniu z jego. Dzielił się ze mną swoim ciepłem.

Po prostu tam byliśmy, trzymaliśmy się za ręce, patrząc na ul.

I oto.

Nareszcie przyszły słowa, za którymi tak tęskniłam. Wypowiedział je cicho i wyraźnie, ale z powagą, jakiej u niego nie znałam. Nie powiedział tego, bo musiał, powiedział dlatego, że tak uważał:

— To nie była twoja wina, Tao. To nie była twoja wina.

Potem, kiedy już się pożegnaliśmy, szłam w dół sama. Wciąż miałam w uszach brzęczenie pszczół. I jego słowa, które uwolniły słowa we mnie. Szłam dalej, coraz wolniej i wolniej, w końcu przystanęłam pośród drzew owocowych. Wszystko było otwarte, żadnych śladów ogrodzenia ani wojska, wszystko jak przedtem, jak w ubiegłym roku o tej samej porze. Na ziemię spadały żółte liście. Była nimi dokładnie pokryta, wkrótce drzewa staną się nagie. Gruszki zostały zebrane, każdy pojedynczy owoc starannie zdjęty z drzewa, zapakowany w papier i wywieziony. Gruszki ze złota.

Ale na horyzoncie majaczyła zmiana. Niekończące się szeregi drzew owocowych zostały wycięte. Robotnicy wydobywali korzenie z ziemi.

Wizja Thomasa Savage’a nareszcie stawała się rzeczywistością. Zrezygnowaliśmy z kontroli, las może się teraz rozprzestrzeniać. W ziemi zasadzi się inne rośliny, ogromne tereny powinny pozostać dzikie.

Tak. Teraz tego chciałam. Wygłosić przemówienie, tak jak ona sobie tego życzyła. Chciałam mówić o Wei-Wenie. Miałam mówić, kim był dla nas wszystkich, kim dla nas pozostanie — jego zdjęcie, które umieszczono na wielkich flagach na rynku i plakatach rozklejonych na ścianach domów oraz na banerach zawieszonych nad drzwiami budynków publicznych. To była jedna z jego nielicznych fotografii, jakie mieliśmy. Niewyraźna i wyblakła. Zdjęcie zrobione na neutralnym, szarym tle, ale na plakatach kolory były czyste, kontrasty wyraźne, a oczy Wei-Wena lśniły. To kolorowe ostre zdjęcie zobaczył świat i o tym teraz chciałam mówić. Nie o nim, Wei-Wenie, jego ludzie nigdy nie poznają. Jego zapału i uporu. Nigdy się nie dowiedzą, że czasami budził się i zaczynał śpiewać, innym razem był skwaszony, ale też nie brakowało mu entuzjazmu.

Nigdy nie usłyszą wiecznego marudzenia trzylatka, a to żeby mu zmienić zasikane majtki, a to rozcierać lodowate stopy, nie poznają, jakie to uczucie, kiedy ciepłe od snu ciało dziecka przytula się do człowieka w nocy. Dla nich on nigdy nie będzie kimś takim. Dlatego nie jest to już takie ważne. Nie jest ważny on taki, jaki był. Życie pojedynczego człowieka, jego ciało, krew, płyny fizjologiczne, impulsy nerwowe, myśli, lęki i marzenia nie znaczą nic. Moje marzenia o nim też nie miały znaczenia, dopóki nie byłam w stanie zrozumieć, że te same marzenia muszą odnosić się do nas wszystkich.

Ale Wei-Wen mimo wszystko będzie miał znaczenie. Pozostanie jego obraz — chłopiec w czerwonej chuście, jego buzia — to będzie nowy czas. Dla milionów ludzi jego okrągła buzia, jego wielkie błyszczące oczy na tle

błękitnego nieba łączyć się będą z jednym jedynym słowem. Jedynym łączącym wszystkich uczuciem: z nadzieją.

PODZIĘKOWANIA

Bardzo dziękuję wszystkim specjalistom, którzy poświęcili swój czas, by przeczytać rękopis i odpowiedzieć na moje pytania: historyczkom Ragnhild Hutchinson i Johanne Nygren, sinolożce Tone Helene Aarvik, zoologowi Peterowi Bøchmanowi, lekarce Siri Seterelv, radcy Bjørnowi Dahle z Norweskiego Związku Pszczelarzy, doradcy z Bybi Ragnie Ribe Jørgensen, autorowi tekstów z zakresu pszczelarstwa Roarowi Ree Kirkevoldowi, pszczelarzom Ingarowi Tallakstadowi Lie i Perowi Sugmundowi Bøe, a zwłaszcza Isaacowi Barnesowi z Honeyrun Farm w Ohio.

Dziękuję również wszystkim tak bardzo zaangażowanym osobom, które przeczytały książkę, skomentowały ją i wspierały mnie podczas pracy. Są to: Hilde Rød-Larsen, Joakim Botten, Vibeke Saugestad, Guro Solberg, Jørgen Ronge, Mattis Øbyo, Hilde Østby, Cathrine Movold, Gunn Østgård i Steiner Storløkken.

Chcę też serdecznie podziękować mojej mądrej redaktorce Norze Campbell oraz wszystkim jej uzdolnionym kolegom z wydawnictwa Aschehoug, którzy od pierwszego dnia podchodzili do *Historii pszczół* z niezwykłym entuzjazmem.

Podczas pracy nad powieścią wykorzystałam wiele źródeł. Do najważniejszych pozycji należały fachowe opracowania: *The Hive* autorstwa Bee Wilson, *Pasieka Ingara* napisana przez Roara Ree Kirkevolda, *Langstroth's Hive and the Honey-Bee*, której autorem jest Lorenzo Lorraine Langstroth, *A World Without Bees* Allison Benjamin i Briana McCalluma, a także *Nowe Chiny* Henniga Kristofersena. Ponadto filmy dokumentalne: *Vanishing of the Bees*, *More than Honey*, *Who Killed the Honey Bee*, *Silence of the Bees* i *Queen of the Sun.*

Oslo, maj 2015
Maja Lunde

Więcej informacji o pszczołach, pszczelarstwie i CCD znajduje się na: www.norbi.no, www.bybi.no oraz www.coloss.org